MOC CZYTANIA NA BOŻE NARODZENIE I NOWY ROK

TYGODNIK POWSZECHNY

Kraków 20 grudnia 2023 – 2 stycznia 2024
nr 52-53 (3885–3886)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)
Katolickie pismo
społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Albatros travel

Włoskie Wybrzeże Adriatyku – od Ravenny po San Marino

„Najpiękniejsze miasto Włoch", średniowieczne zamki, bizantyjskie kościoły, skarby UNESCO i zachwycające krajobrazy wzdłuż włoskiego wybrzeża Adriatyku.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Bolonia i przejazd do hotelu w Cesenatico. **Dz. 2** Rawenna i wspaniałe mozaiki wpisane na listę UNESCO. **Dz. 3** Republika San Marino i piękne miasteczko San Leo. **Dz. 4** Wycieczka fakultatywna do renesansowego miasta Urbino (dodatkowo płatna). **Dz. 5** Wizyta na targu w Rimini i nadmorskie miasteczko Cattolica. **Dz. 6** Przekroczenie Rubikonu, Riviera del Conero z miasteczkiem Sirolo, podziemne korytarze w Osimo i wizyta w winnicy. **Dz. 7** Dzień wolny do własnej dyspozycji. **Dz. 8** Przelot z Bolonii do Polski.

8 dni | Wyloty z Warszawy 07/05, 18/05 2024

od **5.998,-**

Indie z Ladakh – w krainie bogów i królów

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Polski. **Dz. 2** Przylot do Delhi. Bramia Indii i zwiedzanie Starego Delhi. **Dz. 3** Delhi – Leh. Poranny lot do Ladakh i odpoczynek. **Dz. 4** Leh – Sankar – Leh. Zwiedzanie miasta Leh i wycieczka do klasztoru Sankar. **Dz. 5** Leh – Tikse – Hemis – Leh. Wycieczka do klasztorów Tikse i Hemis oraz wizyta w Wiosce Dziecięcej SOS. **Dz. 6** Leh – Dolina Nubra. Przejazd przez przełęcz Khardung la i przybycie do kwietnej doliny Nubra. **Dz. 7** Dolina Nubra. Wspaniała przyroda i pokaz tradycyjnych tańców. **Dz. 8** Dolina Nubra – Leh. Powrót do cywilizacji i czas do własnej dyspozycji. **Dz. 9** Leh – Delhi – Agra. Poranny lot do Delhi i wizyta w forcie Agra. **Dz. 10** Agra – Delhi. Zwiedzanie Taj Mahal i czas na zakupy. **Dz. 11** Przelot Delhi – Warszawa.

11 dni | Wylot z Warszawy 29/07 2024

12.998,-

NOWOŚĆ

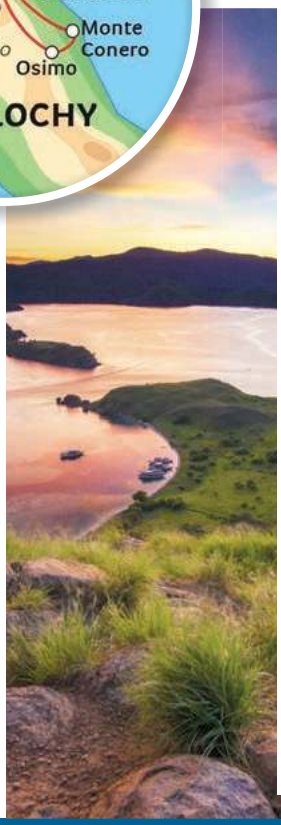

Przywitaj Bali i Komodo

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Denpasar. **Dz. 2** Przylot na Bali i przejazd do Candi Dasa. **Dz. 3** Candi Dasa. Zabytkowa wioska oraz pałac wodny Tirta Gangga. **Dz. 4** Candi Dasa – Munduk. **Dz. 5** Munduk. Wycieczka do Wodospadu Czerwonych Korali i wykład poświęcony darom ofiarnym. **Dz.6** Munduk – Ubud. Gorące źródła Banjar. Bliźniacze Jeziora, Świątynia Bogini Wody i lokalny targ w Bedugul. **Dz. 7** Ubud. Kurs gotowania. Czas wolny. **Dz. 8** Ubud. Zwiedzanie na własną rękę lub na rowerze (za dodatkową opłatą). **Dz. 9** Ubud. Świątynia Tanah Lot. Przelot na Flores. **Dz. 10** Labuan Bajo. Całodniowa wycieczka łodzią do Parku Narodowego Komodo. **Dz. 11** Przelot na Bali. Przejazd do Sanur. **Dz. 12-13** Wypoczynek w Sanur. **Dz. 14-15** Wykwaterowanie z hotelu. Wylot z Bali i przylot do Warszawy.

15 dni | Wyloty z Warszawy 10/04, 15/07, 07/09 2024

od **12.998,-**

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.

Kod reklamy: **TP28**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

REKLAMA

KS. ADAM

Boniecki: *Choć nie wiemy kiedy...*

Obchodzi się to święto na pewno od IV wieku. Na pewno data narodzin Pana Jezusa nie była ani znana, ani przywoływana. Ta grudniowa została wybrana później. Ale w sumie nie jest to tak bardzo ważne. Pogodziliśmy się, że liczby lat nie całkiem się zgadzają z wydarzeniami z życia Jezusa. Obchodzimy bardziej fakt narodzenia aniżeli dokładny jego moment.

Gorzej z okolicznościami narodzin. Opisy Ewangelii, nie całkiem – jak wiadomo – między sobą zgodne, właśnie dlatego budzą zaufanie. Tak się przecież pamięta wydarzenia. Nie pamięta się dokładnie. Zwłaszcza jeśli wiadomości mamy z drugiej ręki, a tak jest z narodzeniem Jezusa. Oczywiście, sensowne jest pytanie, czy wszystkie szczegóły, które znamy, są historycznym opisem wydarzeń czy literackim upiększeniem, może religijnym komentarzem. Zresztą to pytanie uzasadnione w odniesieniu do całej Biblii. Ważne pytanie brzmi: jak wtedy, gdy powstawały Ewangelie, nie mówiąc o innych księgach Biblii, traktowano ścisłość historyczną?

Narodzenie Jezusa w Betlejem, sposób opowiadania o nim – ma ogromny wpływ na jakość chrześcijaństwa także dzisiaj. Nawet fakt, że przez ponad 300 pierwszych lat chrześcijaństwa nie starano się o możliwie dokładny, jednolity opis betlejemskich wydarzeń, ma swoją wymowę. Moim zdaniem – pozytywną. Świadomi, że dokładnej daty nie znamy, od wieków czcimy Boże Narodzenie.

Czcimy je, choć nie po raz pierwszy widzimy bezgraniczną odległość świąt od tego, co się w naszym świecie dzieje. Weźmy Ukrainę. To wojna o niezależność od Rosji, to ruiny domów do niedawna zamieszkałych, to bezlik zniszczonych ukraińskich instytucji, to zabici i zabijani nadal ludzie, wojskowi i osoby cywilne, zabijani, bo nie chcą należeć do Rosji. Ta wojna zdumiewa – że trwa nadal, że zaangażowały się w nią inne kraje, dostarczając środków bojowych, zdumiewa wytrwałością Ukraińców, zdumiewa wzbudzeniem podziwu i solidarności wielkich obszarów świata, nawet jeśli chwiejnej. Widok ludzi uciekających z Ukrainy pozostanie w naszej pamięci, zwłaszcza tych z nas, którzy też uchodzili z podobnych, palonych i burzonych miast w czasie ostatniej wojny. Odruch współczucia i pomoc świadczona Ukrainie jest odruchem wspaniałym i biada tym, którzy wywołują złe duchy przeszłości. Zdumiewa też upór, z jakim przeciwko Ukrainie walczy potężna Rosja, upór w niszczeniu przez nią wszystkiego, co się da w Ukrainie zniszczyć. Giną obrońcy Ukrainy, ale giną także liczni walczący po stronie agresora. Wiadomości o poległych po tamtej stronie frontu też są przerażające. Ludzie wcieleni do armii rosyjskiej giną masowo. Zapewne ani nie są tak przygotowani do walki, ani nie są tak zmotywowani, jak wojska ukraińskie. A to jeszcze nie koniec, bo nawet jeśli – co bynajmniej nie jest pewne – Ukraina miałaby ostatecznie ulec potędze rosyjskiej, to i tak prędzej czy później znów powstanie. Kiedy więc i jak to się skończy?

Jakby tej wojny było mało, mamy drugą, w Izraelu. Nie jest łatwo wygłaszać o niej sądy. Tysiące pozbawionych domów, mnóstwo zabitych, winnych i niewinnych, racje każdej ze stron konfliktu odczytywane w najgorszej wersji, pytania o możliwości współżycia na tym niewielkim obszarze, izraelskie roszczenia i pragnienia Palestyńczyków, by żyć spokojnie na ziemi ojców, czy to wszystko jest możliwe? I kiedy?

Boże Narodzenie... W wielu domach będzie jak zwykle radośnie. Dzieciom nie trzeba odbierać radości. My, starzy, przy dzieciach ogrzejemy stare uczucia, zapomnimy na chwilę o własnych niepokojach, będziemy śpiewać kolędy. Namiastki domu będziemy tworzyć dla tych, którzy dom stracili, będziemy się dzielili z tymi, których wojna pozbawiła ciepłego domowego wnętrza, i ciepła najbliższych. To nie zmienia faktów, ale pozwala przeżyć.

Na te święta Bożego Narodzenia życzymy wszystkim Czytelnikom otuchy i nadziei – płynących z faktu, że jeśli nawet nie znamy precyzyjnej daty narodzin, to wiemy na pewno, że On przyszedł, że zamieszkał między nami. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

Moc czytania na nowy rok

▪ **Olga Drenda**: Jak odpocząć: antyporadnik na 2024 r. ▪ **Jarosław Flis**: To nie będzie spokojny rok w polityce... ▪ **Zbigniew Nosowski**: ...a w Kościele tym bardziej ▪ **Marek Węcowski**: Wszyscy jesteśmy starożytnymi Grekami... ▪ **Jakub Majmurek**: ...a raczej sarmatami ▪ **Tadeusz Iwański**: Zełenski: prezydent pod presją ▪ **Łukasz Kwiatek**: Czasopisma naukowe to zło ▪ **Dariusz Kosiński**: Strzępka na zgliszczach ▪ **Łona**: Życie na taryfie ▪ A także: **DJ Vika**, **Hanna** i **Jerzy Fedorowiczowie**, teologia sztucznej inteligencji, czekolada i tapiry.

Numer trafi do kiosków i salonów prasowych w **środę 3 stycznia**, a w serwisie TygodnikPowszechny.pl przeczytacie go wcześniej: na premierę zapraszamy już we wtorek 2 stycznia wieczorem.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

BOŻE NARODZENIE 2023

14 To, co najważniejsze, dzieje się teraz
PIOTR SIKORA ▪ *Boże Narodzenie to czas o wyjątkowym znaczeniu. Co mówi? Że tak samo wyjątkowa jest każda chwila.*

18 Uśmiech Boga
ROZMOWA Z O. TIMOTHYM RADCLIFFE'EM OP
▪ *Otrzymaliśmy z Ewangelii i Tradycji wspaniałe prawdy, ale mamy tylko mały przebłysk tego, co one naprawdę znaczą.*

21 A gdyby nam się nie narodził?
RYSZARD KOZIOŁEK ▪ *Czternastolatka w ciąży wcale nie musiała chcieć zmierzyć się z samotną ciążą i porodem pośród nietolerancyjnej, religijnie ortodoksyjnej społeczności Izraela.*

26 Legenda o dzieciństwie Jezusa
MARCIN MAJEWSKI ▪ *Ewangeliści nie usiłowali rekonstruować faktycznego stanu rzeczy. Stworzyli katechezę, która odpowiadała na pytanie: kim jest Jezus?*

30 Najuczciwszy smród na świecie
KRZYSZTOF STORY ▪ *To oni i ich zwierzęta wydeptali ścieżki, którymi dziś chodzimy na górskie wycieczki. Przez stulecia praca polskich pasterzy wiele się nie zmieniła, a na jeden oscypek nadal potrzeba 6 litrów mleka.*

32 Jak przetrwać Święta
PIOTR SIKORA ▪ *Boże Narodzenie nie zawsze i nie dla wszystkich jest czasem pojednania i bliskości. Dla wielu wrażliwych ludzi jest to czas psychicznie bardzo trudny.*

44 Do dyktatury i z powrotem
WŁODZIMIERZ WRÓBEL
Nie ma takiego prawa i takiej konstytucji, która sama chroniłaby nas przed bezwzględnymi politykami po tym, jak już zdobędą władzę.

120 Napełnij kosz i wróć do domu
PIOTR KOFTA
Do monumentalnej serii polskich przekładów dołączyła właśnie ostatnia powieść Ursuli K. Le Guin. Pisarki, która rozsadziła ramy fantasy i science fiction, wyprzedzając swój czas o dziesięciolecia.

94 Jasne tony Lewantu
ROZMOWA Z WASSIMEM IBRAHIMEM, KOMPOZYTOREM I MUZYKIEM:
Jak mogła brzmieć muzyka pasterzy, gdy rodził się Jezus? Melodia Palestyny jest związana z tańcem. Radosna. Ale też ma trochę nostalgii. Niesie dobre, bliskie uczucia.

62 Wyprawa życie
ROZMOWA Z JANEM MELĄ:
Czasem dostaję pytania: „Panie Jaśku, kiedy kolejna wielka podróż?". Wyprawa? Pewnie! Moja codzienna ekspedycja to ta do Biedry po zakupy, a potem z pieluchami na śmietnik. I bardzo ją lubię.

KRZYSZTOF STORY // DAN TUFFS / GETTY IMAGES // GRAŻYNA MAKARA // JACEK TARAN // PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

■ ■ OBRAZ ROKU

6 W kolejce do nowej Polski
MAREK KĘSKRAWIEC

8-9 Wydarzenia

10-13 Komentarze i Postacie

■ ■ CZYTANIA

42-43 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, KARD. GRZEGORZ RYŚ, PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

44 Do dyktatury i z powrotem
WŁODZIMIERZ WRÓBEL

48 Przewodniczki
MAŁGORZATA NOCUŃ *o położnych*

52 Nierozłączni
ANNA GOC: *Reportaż o miłości*

56 Pół wieku Karwowskiego
JAKUB SZUMSKI: *„Czterdziestolatek" nie przestaje fascynować*

■ ■ ŚWIAT

74 Nocni łowcy
SZYMON ŁUCYK: *W losach braci Kherfi odbijają się dole i niedole francuskich przedmieść*

80 Wszystkie drogi prowadzą do Niemiec
ŁUKASZ GRAJEWSKI: *Republika Federalna coraz gorzej radzi sobie z imigracją*

84 Siwi nomadzi ciągną przez Australię
AGNIESZKA BURTON *o emerytach podróżujących kamperami*

87 Ich test generalny
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET *o utopijnej palestyńsko-izraelskiej wiosce Wahat al-Salam-Neve Szalom*

OPOWIEŚĆ WIGILIJNA

Język polski to jest jednak dziwny.
O co chodzi w tej świątecznej pieśni?
Moc Pana zamiera, gdy malutki Zbawiciel
ogląda sobie ten świat.

KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

34 Moc truchleje
SABINA JAKUBOWSKA

■ STRONY SPECJALNE ■

67 FUNDACJA UNIWERSYTET DZIECI

72 ŻYWE KAMIENIE WAWELU

98 MEDIA BLISKO LUDZI

105 30 LAT NIEMIECKIEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO W WARSZAWIE

■ FELIETONY ■

39 ZUZANNA RADZIK **61** TOMASZ STAWISZYŃSKI **93** ELIZA KĄCKA **134** OLGA DRENDA **135** PAWEŁ BRAVO **142** STANISŁAW MANCEWICZ **142** BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: MADONNA Z DZIECKIEM, ok. 1498 r., fresk przypisywany Rafaelowi, Urbino, Włochy // DEAGOSTINI / GETTY IMAGES

Redaktor prowadzący: PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

90 Dzieci bohaterów
WOJCIECH JAGIELSKI: *Potomkowie noblistów płacą dziś za walkę rodziców*

■ ■ HISTORIA

100 Cesarstwo jak Feniks
MACIEJ MÜLLER: *570 lat temu Turcy osmańscy sforsowali mury Konstantynopola*

■ ■ NAUKA

112 I staje się życie
ROZMOWA Z MAGDALENĄ ŻERNICKĄ-GOETZ, EMBRIOLOŻKĄ: *Jeden zarodek może wytworzyć miliony różnych komórek*

116 Ciemna misja Euklidesa
SEBASTIAN SZYBKA *o zagadce ciemnej materii i ciemnej energii*

■ ■ KULTURA

120 Napełnij kosz i wróć do domu
PIOTR KOFTA

124 I znów do kresu nocy
DARIUSZ KOSIŃSKI *o twórczości Jana Klaty*

128 Róbmy hałas
ROZMOWA Z BARTOSZEM „FISZEM" WAGLEWSKIM: *Zawsze byłem nieśmiały*

132 Nasi bracia więksi
ANITA PIOTROWSKA *o filmie dokumentalnym „Pieśni wielorybów"*

133 Profesorowa się zmienia
LEKTOR *o „Śmierci na Wenecji" Maryli Szymiczkowej*

■ ■ ZMYSŁY

136 Lecz mnie, pierniku
ROZMOWA Z ALEKSANDREM K. SMAKOSZEM: *W świecie przypraw spotykają się farmacja, medycyna, gastronomia i kultura*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Co obejrzeć na VoD
Co wiemy o naszych bliskich? Czy istnieją granice rodzicielskiej miłości? – bośniacki serial poleca **ANITA PIOTROWSKA**
TygodnikPowszechny.pl/weekend

Prawda o fast fashion
W Bangladeszu protestują szwaczki, a polska odzieżówka narzeka na zapaść sprzedaży. Czy szybka moda łapie zadyszkę? – wyjaśnia **MAREK RABIJ** | TygodnikPowszechny.pl/szybka-moda

TYGODNIK POWSZECHNY

Dziękujemy, że kupujesz „Tygodnik Powszechny".
Najnowsza oferta prenumeraty na stronach 40-41
TygodnikPowszechny.pl/sklep

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

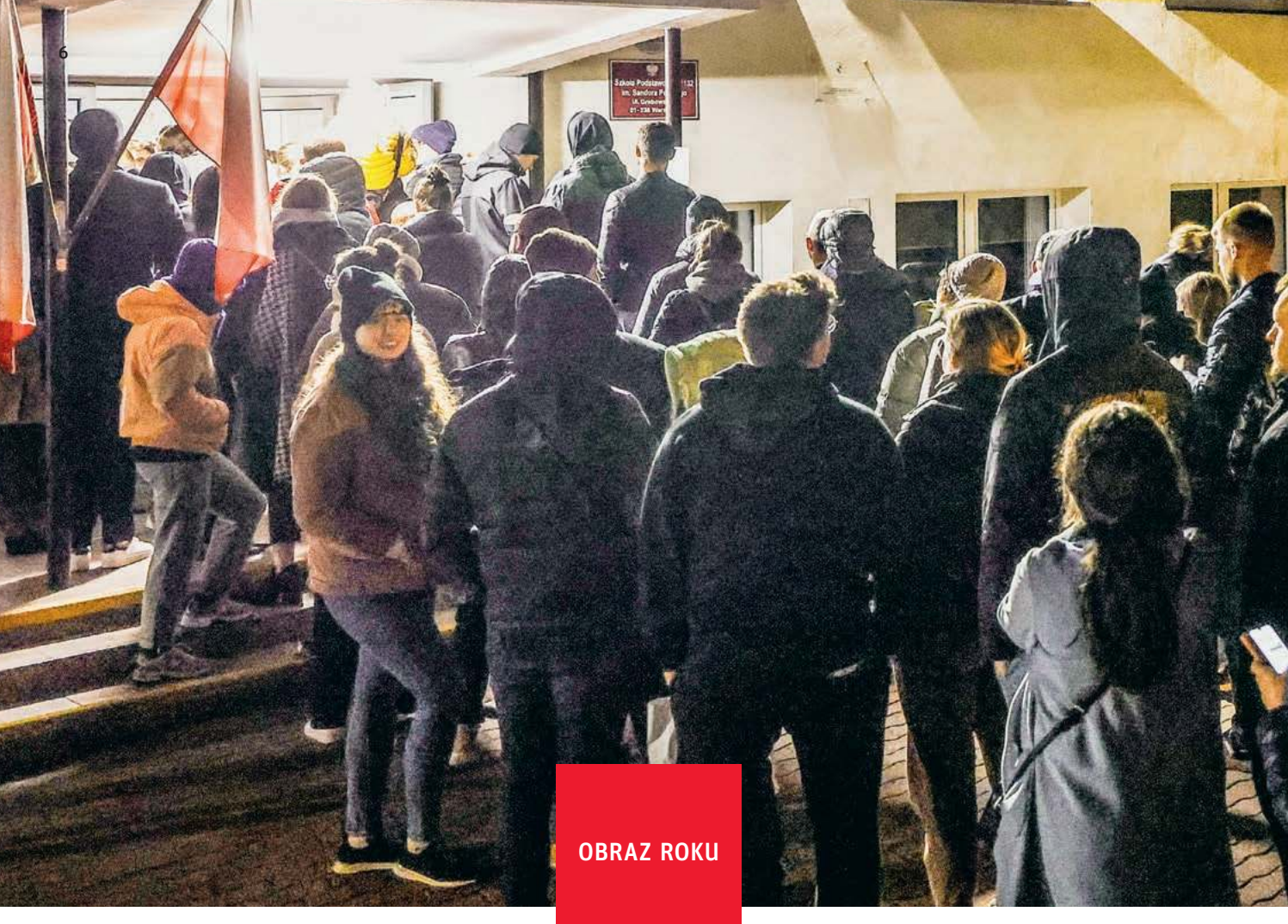

OBRAZ ROKU

W KOLEJCE DO NOWEJ POLSKI

Tusk zwyciężył, bo pojął to, czego nie umiał zrozumieć Kaczyński. Gdy sondaże zaczęły grozić mu wyborczą porażką, podał tlen przyszłym sojusznikom. Lider PiS wolał swoich zadusić.

MAREK KĘSKRAWIEC

POWYŻEJ:
Kolejka do głosowania w wyborach parlamentarnych.
Warszawa, 15 października 2023 r.

Rekordowa liczba 22 milionów Polek i Polaków wzięła 15 października sprawy w swoje ręce. Na wybory poszło nas o ponad 3 mln więcej niż cztery lata wcześniej. Jedni chcieli głębokiej zmiany, inni się jej bali; wielu z nas prawo do głosu okupiło oczekiwaniem w długich kolejkach do urn, jak na wrocławskim Jagodnie. Niektórym przywiodło to na myśl czasy PRL, gdy stało się godzinami po artykuły pierwszej potrzeby, teraz taką potrzebą okazało się pragnienie potwierdzenia, że wciąż żyjemy w państwie demokratycznym.

Potem mieliśmy wysyp innych „kolejek" – ponad stu posłów PiS zadawało pytania najdziwniejszemu rządowi w historii Polski, choć wiedziało, że gabinet Mateusza Morawieckiego jest tylko chwilowym performensem, który ma dotychczasowej opozycji oraz jej elektoratowi odebrać radość ze zwycięstwa. I dać czas na betonowanie kolejnych instytucji, mogących blokować przyszłe decyzje rządu Donalda Tuska.

W ogonku do stanowisk stoją już ludzie nowej władzy i miejmy nadzieję, że komitety kolejkowe w różnych instytucjach zadbają o to, byśmy zrozumieli wybory personalne i nie potraktowali ich wyłącznie jak łupy wojenne dla środowiska wyposzczonego ośmioma latami w opozycji. Do tego jednak potrzebne są transparentne konkursy i to one będą testem uczciwości nowej władzy.

Kolejka okazała się słowem kluczem mijającego roku, ale towarzyszyła jej pochodząca jeszcze z czasów rzymskich maksyma: zgoda buduje, niezgoda rujnuje. Przekonał się o tym najboleśniej Jarosław Kaczyński, największy przegrany mijającego roku, który swój kryzysowy zjazd będzie kontynuował w kolejnych miesiącach, naznaczonych wyborami do samorządów

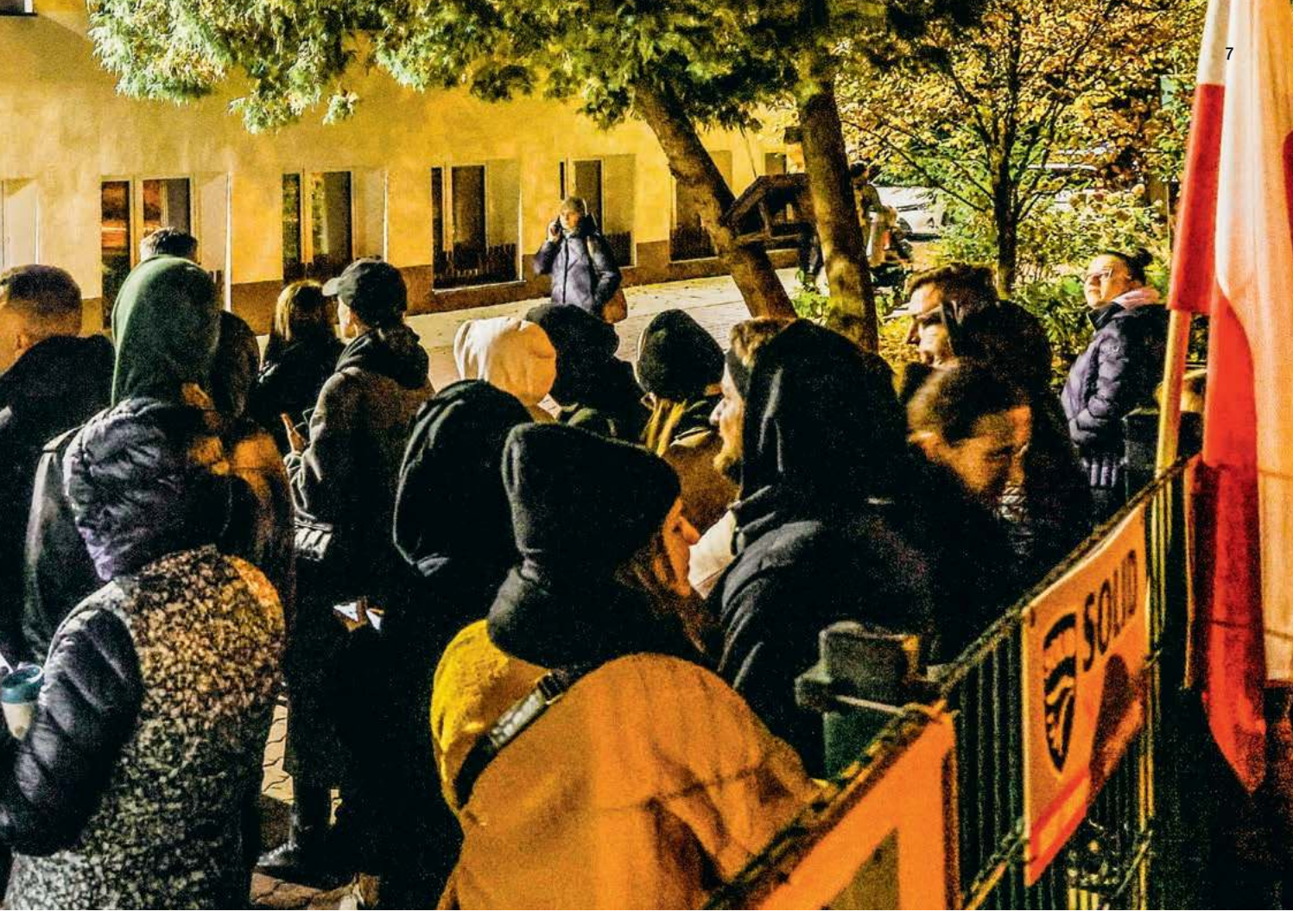

FILIP NAUMIENKO / REPORTER

i europarlamentu. Jeśli nadal będzie wykazywał podobne niezrozumienie dla przyczyn utraty władzy, to Zjednoczonej Prawicy grozi pogrążanie się w upadku. Albo bunt przeciwko Kaczyńskiemu.

Wielu posłów PiS dostrzega niespójny przekaz, w którym premier Morawiecki przez półtorej godziny nawołuje w *exposé* do narodowej zgody wokół dekalogu polskich spraw, a potem „normalność" przywraca prezes PiS histerycznymi krzykami „bez trybu" z sejmowej mównicy, potwierdzającymi jego obsesję na punkcie Donalda Tuska. Uporczywe nazywanie go niemieckim agentem budzi niechęć wśród coraz większej grupy polityków prawicy, zdających sobie sprawę, iż mogą wylądować w stale topniejącej, także ze względów demograficznych, wyborczej niszy.

Najbardziej wpływowe osoby w PiS, czyli Jacek Sasin, Joachim Brudziński i Beata Szydło – nie mają ambicji, by stawiać się prezesowi. Nie zrobi tego również wciąż nieco wyalienowany w tym środowisku Morawiecki ani dużo silniejszy Zbigniew Ziobro – przytłoczony ciężką chorobą, która wyklucz go z polityki na miesiące i nie pozwoli wykorzystać potencjału 18 posłów Suwerennej Polski, wprowadzonych do Sejmu z list PiS, co czyni partię Ziobry siłą o potencjale równym Konfederacji. Liderzy tej partii z kolei mają dziś głęboki, grożący rozwodem konflikt z nieobliczalną frakcją Grzegorza Brauna, więc będą spozierać łapczywie w stronę ław PiS i przygarniać uciekinierów. Każdy poseł, który szybko ustawi się w tej kolejce i wzmocni sypiący się układ Konfederacji, będzie mógł liczyć na więcej od Krzysztofa Bosaka i Sławomira Mentzena.

Siłą, która przyczyni się do erozji środowiska odchodzącej władzy, będzie niewątpliwie Andrzej Duda. On wciąż ma w rękach ogromną władzę i niekoniecznie musi grać w jednej drużynie z Kaczyńskim. Zresztą, już widać, że nie gra. Podpisał bez szemrania ustawę o *in vitro*, uczynił też swą prawą ręką znienawidzonego w PiS Marcina Mastalerka, który otwarcie krytykuje Kaczyńskiego – a to rzecz wyjątkowa w tym środowisku.

Proces orientowania na Dudę będzie się pogłębiał, jednak – mimo gestów ze strony prezydenta w stronę Tuska, które rozsierdziły prezesa PiS – jest jasne, że swoją pozycję musi on budować w opozycji nie tylko do Kaczyńskiego, ale przede wszystkim do premiera nowego rządu, także na tle jego relacji z Brukselą i Berlinem.

Tusk wygrał, bo zrozumiał to, czego nie pojął Kaczyński. Gdy sondaże PiS zaczęły dołować, prezes wcisnął gaz radykalizmu do dechy, chcąc jeszcze bardziej zmobilizować twardy elektorat i zabrać tlen konkurencji. Nic nie zyskał: zaczął dusić siebie, a swoim językiem obraził wszystkich ewentualnych koalicjantów.

Tusk poszedł przeciwną drogą, Trzecią Drogą. On również chciał konkurencję w swym środowisku zadusić, ale kiedy zorientował się, że może to oznaczać klęskę całego obozu, opamiętał się i podał przyszłym koalicjantom dłoń, widząc, że nie zgodzą się na jego dyktat. W efekcie mogliśmy się przekonać, że blok senacki – bezpośrednia emanacja idei jednej listy – zdobył niecałe 10 mln głosów, osobne zaś listy sejmowe KO, Trzeciej Drogi i Lewicy – 11,6 mln. Nie byłoby tego wyniku, gdyby Tusk nie wyciągnął mądrzejszego wniosku z kampanii niż prezes PiS – zgoda buduje, niezgoda rujnuje. ©℗

MICHAŁ ŻEBROWSKI / EAST NEWS

Premier Mateusz Morawiecki, Warszawa, 27 września 2023 r.

Atom, OZE i górnicy. Polska bez węgla na horyzoncie

PRĄD ▪ Udział węgla w energetyce spadł w tym roku o 10 pkt. proc. i po raz pierwszy w historii zanurkował poniżej 70 procent. W 2023 r. piece węglowe wyprodukowały tylko 63,7 proc. polskiego prądu (to wciąż najwięcej w Unii). Nie zaskakuje fakt, że stromy zjazd zaczął się za władzy, która przez 8 lat przysięgała bronić „czarnego złota". To tylko dowód, że energetyką rządzą poważniejsze czynniki niż opowiastki polityków o „zapasach węgla na 200 lat".

Co zostawia PiS w energetyce? Wzrost odnawialnych źródeł, głównie fotowoltaiki, w której mamy 140 razy więcej mocy niż w 2015 r. To głównie zasługa obywateli, którzy (wspierani rządowymi programami) instalowali panele. Po drugie: gazociąg Baltic Pipe i inwestycje w bloki gazowe, które do spółki z OZE łatają dziury po odchodzącym węglu. Po trzecie: wstydliwą historię zablokowania na lata rozwoju energetyki wiatrowej, zakończoną niby-naprawą, bo wynegocjowane rozwiązanie (500 metrów od wiatraka) zostało w ostatniej chwili zmienione napisaną na kolanie poprawką posła Suskiego. I po czwarte, może najważniejsze: rozpoczęty projekt elektrowni jądrowej.

Tak blisko atomu nie byliśmy od opuszczenia placu budowy w Żarnowcu w latach 80. Mamy umowę projektową, na podstawie której amerykański Westinghouse ma zbudować w Słajszewie pierwsze trzy reaktory, i decyzję zasadniczą na drugi projekt, który ma stanąć w Wielkopolsce. Co zrobi nowa władza? Najbliższym problemem jest model finansowania pierwszej elektrowni, która ma ruszyć w 2033 r. (choć już można mówić o roku opóźnienia). Ani poprzedni, ani ten rząd raczej nie namówi Westinghouse na zakup 49 proc. udziałów w inwestycji, ale to nie przekreśla projektu. Na atom nas stać, a koalicjanci w tej sprawie są raczej zgodni. Jeśli nowa władza chce pokazać, że też umie realizować wielkie projekty, ten nadaje się idealnie.

Są jeszcze dwa wyzwania: odblokowanie wiatraków (pierwsze podejście skończyło się komunikacyjną klęską) oraz sprawiedliwa transformacja – misja nie tyle technologiczna, co społeczna. Polska bez węgla majaczy już na horyzoncie, ale PiS, największy adwokat górników, zostawia ich branżę w fatalnej kondycji, bez planów wsparcia pracowników i bez utworzonej Narodowej Agencji Bezpieczeństwa Energetycznego, która miała koordynować całą transformację.

©℗ KRZYSZTOF STORY

M jak mieszkanie? Raczej M jak marzenie

RYNEK ▪ W lipcu tego roku za metr kwadratowy mieszkania na rynku pierwotnym trzeba było zapłacić w Polsce średnio 9718 zł, a w przypadku wtórnego – 7938 zł. Osiem lat wcześniej ceny sięgały odpowiednio 4976 zł i 4254 zł. To w zasadzie wystarczy za całą ocenę polityki mieszkaniowej rządów Prawa i Sprawiedliwości.

W polityce PiS „narodowe programy" mnożyły się z każdym kolejnym rokiem, wbijając obywatelom do głów, że do organizowania codzienności w niemal każdym jej wymiarze mają właśnie państwo. W tym festiwalu omnipotencji centralnie sterowanej (śmiesznym z uwagi na nieudolność, nie zaś same założenia) długo

DAREK DELMANOWICZ / PAP

Nowe osiedle mieszkaniowe bez drogi dojazdowej. Rzeszów, 13 kwietnia 2023 r.

nie było jednak strategii mieszkaniowej. Przez pewien czas jej namiastką stała się hulaszcza polityka monetarna NBP, który nie tykał niskich stóp procentowych, mimo że wszystko przemawiało za podwyżkami. Dopiero gdy inflacja uderzyła z pełną mocą i zamroziła dostęp do kredytów, rząd zaproponował program „Bezpieczny kredyt 2 proc." z dofinansowaniem z budżetu, dla osób, które nie mają własnej nieruchomości i nie ukończyły 45 lat. Efekt? Tylko w lipcu, jak informowało Biuro Informacji Kredytowej, indeks popytu na hipoteki wzrósł o ponad 273 proc. Spodziewając się zwyżki cen, deweloperzy znacznie ograniczyli podaż lokali. Skończyło się tak, jak się skończyć musiało – gigantycznym skokiem cen nieruchomości.

Jak przystało na rząd kierowany przez byłego prezesa banku, gabinet Morawieckiego stawiał w mieszkalnictwie na wolny rynek. Problem w tym, że w Polsce mamy 15,6 mln mieszkań, z czego w dodatku ponad milion stanowią lokale w budynkach oddanych do użytku przed rokiem 1918, a więc o wątpliwej przydatności. Rocznie do użytku oddaje się około 130-230 tys. nowych mieszkań, zapotrzebowanie w skali kraju sięga tymczasem około 1,5 mln lokali. Takiej nierównowagi niewidzialna ręka rynku nie ustabilizuje.

©℗ MAREK RABIJ

Europa wysyła sygnał, że nie odpuści Ukrainy

MIGUEL MEDINA / AFP / EAST NEWS

Viktor Orbán (z lewej) wita się z Emmanuelem Macronem przed szczytem Rady Europejskiej. W środku kanclerz Austrii Karl Nehammer. Bruksela, 14 grudnia 2023 r.

ROZSZERZENIE UNII ▪ Przywódcy europejscy wyrazili zgodę na otwarcie negocjacji akcesyjnych z Mołdawią i Ukrainą oraz potwierdzili, że w niedługiej przyszłości może na to liczyć Bośnia i Hercegowina. Gruzji przyznano status kandydata na członka Unii.

Jeszcze niedawno, w końcu listopada, zdawało się, że zgoda na takie rozszerzenie Unii jest powszechna. Viktor Orbán podważył jednak ten konsensus, negując możliwość przyjęcia Ukrainy. Jednocześnie wycofał zgodę dla pakietu pomocy finansowej dla Kijowa, wartego 55 mld euro. Wobec sporu o wsparcie finansowe w USA powstała groźba zupełnego załamania się solidarności Zachodu z Ukrainą.

Emocje na szczycie Rady trwały do ostatniej chwili. Unijni przywódcy próbowali przekonać Orbána na spotkaniu, które przeszło do historii jako „śniadanie ostatniej szansy". Jeszcze przed szczytem Komisja odblokowała 10,2 mld euro dla Budapesztu, wcześniej zamrożonych z powodu węgierskich problemów z praworządnością. Oficjalnie decyzja Komisji nie miała związku z wetem, lecz zakładano, że pomoże w skłonieniu Orbána do wycofania go. Ostatecznie to niemiecki kanclerz miał poprosić premiera Węgier o opuszczenie sali na czas głosowania (jedni twierdzą, że niby do toalety, inni, że Orbán miał zrobić sobie kawę). Rozwiązanie to miało pozwolić mu zachować twarz. Rozstrzygnięcia w sprawie pomocy finansowej dla Ukrainy przełożono na styczeń 2024 r.

Decyzję o rozpoczęciu negocjacji przyjęto w Kijowie i Kiszyniowie z entuzjazmem. Nikt nie ma jednak wątpliwości, że proces rozszerzenia, związany z trudnymi reformami i negocjacjami, dopiero się zaczyna. Przykład Bałkanów pokazuje, że może trwać latami.

Sytuacja ta nakłada się na dyskusję o zmianie sposobu podejmowania decyzji w kwestiach polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Część państw, w tym Francja i Niemcy, chce odejścia od jednomyślności na rzecz głosowania większościowego. Właśnie po to, by jeden kraj, kierując się własnym partykularyzmem lub wręcz interesem innego mocarstwa, nie mógł blokować decyzji. Ten szczyt pokazał, że już obecnie staje się to faktem.

Unia wysłała jasny sygnał, że nie zamierza odpuszczać w kwestii Ukrainy. Ma to być też dowód, że Wspólnota nadal jest w stanie przezwyciężać kryzysy. Nie liczy się tu styl, lecz efekt. Pytanie, jak długo da się tak budować strategiczną jedność, odłożono do kolejnego „śniadania ostatniej szansy".

© PIOTR OLEKSY

Synodalność pod specjalnym nadzorem

WATYKAN ▪ Gdyby w Kościele głosowano na słowo roku, laureatką tegorocznego plebiscytu zostałaby „synodalność". Do niedawna mało kto wiedział, czym jest. Jasnej opinii na jej temat nie mieli nawet delegaci na październikowy „synod o synodalności", pierwszy tydzień obrad poświęcając na dyskusję o temacie spotkania.

Wielu katolików traktowało ją podejrzliwie, utożsamiając z radykalnymi propozycjami niemieckiej Drogi Synodalnej. Wielu myślało, że chodzi o zmianę sposobu sprawowania władzy w Kościele – jak w starożytności, gdy synody decydowały o najważniejszych sprawach doktrynalnych, dyscyplinarnych i personalnych. Wielu uznało synodalność za kolejny pusty slogan.

Franciszkowi udało się odciąć od niemieckiego projektu, pokazać, że nie chodzi o metodę zarządzania Kościołem, ale sposób jego funkcjonowania, a przede wszystkim wypełnić to słowo zrozumiałą treścią. Dziś każdy z grubsza wie, co to jest Kościół synodalny – słuchający innych, zwłaszcza świeckich, otwarty, różnorodny.

Październikowe obrady były pierwszymi „warsztatami z synodalności". Okazało się, że otwartość nie grozi utratą własnej tożsamości, świeccy mogą mieć takie same prawa jak biskupi, a kobiety jak mężczyźni, dyskusja nad postulatami z całego świata nie kończy się chaosem. Zwłaszcza gdy kontroluje ją papież i jego ludzie z sekretariatu synodu, przez jednych chwaleni za sprawną moderację, przez innych oskarżani o manipulację. Synodalność to nie demokracja – mówi Franciszek. Danie głosu innym nie oznacza oddania im władzy.

Słowo, którego uczyliśmy się przez ostatnie miesiące, będzie też odmieniane na wszystkie sposoby w kolejnym roku. Efektem pierwszego etapu synodu była lista 20 tematów do dalszych prac. Najnowsze wytyczne (z 11 grudnia) zalecają, by każda lokalna wspólnota wyłoniła z niej trzy, które uzna za najważniejsze, warte przedyskutowania „na poziomie całego Kościoła" i podczas kolejnej sesji obrad (październik 2024). Sekretariat synodu sugeruje, by do ścisłej czołówki zaliczyć m.in. diakonat kobiet.

Synodalność zmienia Kościół. Nawet ta moderowana i pod specjalnym nadzorem.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

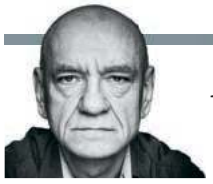

Izraela droga w nieznane

DARIUSZ ROSIAK

W ataku Hamasu na Izrael 7 października 2023 r. zginęło najwięcej Żydów od czasu Holokaustu. Ten fakt jest kluczem do zrozumienia izraelskiej reakcji, czyli wojny prowadzonej w Gazie, którą władze wojskowe eufemistycznie nazywają „manewrem".

Hamas uderzył w fundament spajający naród. Jeśli istnieje bowiem jedna rzecz, która łączy izraelskich Żydów bez względu na poglądy polityczne, stosunek do religii czy do Palestyńczyków, jest nią przekonanie, iż państwo Izrael musi istnieć. Że nie ma dla niego alternatywy, bo bez niego Żydzi narażeni są na powtórkę z Holokaustu. Hamas udowodnił Izraelczykom, że we własnym kraju, rządzonym według własnych zasad, też nie są bezpieczni.

Hamas obnażył też słabości tego państwa, a zwłaszcza magiczne myślenie, według którego narodowe aspiracje Palestyńczyków można „wygasić", a konfliktem da się zarządzać tak, by powstanie państwa palestyńskiego stało się bezprzedmiotowe. Temu służyła polityka Izraela od fiaska porozumień z Oslo, a głównym jej adwokatem jest Netanjahu. Hamas położył jej kres, stając się przy okazji czołową siłą wśród Palestyńczyków – nie dlatego, że większość z nich popiera mordowanie cywili, ale z braku skutecznej alternatywy politycznej.

Atak Hamasu pokazał też, jak złudne było przekonanie Izraelczyków o sile ich armii i wywiadu: dziś wiemy, że ignorowano sygnały o przygotowaniach do rzezi 7 października. Sposób zaś prowadzenia wojny w Gazie przez Izrael jest nie do zaakceptowania nawet dla jego największych sojuszników. Izrael przegrywa wojnę propagandową, akty antysemityzmu są coraz liczniejsze na świecie i coraz częściej znajdują obrońców. W cień odchodzą zbrodnie Hamasu i fakt, że nie jest on zainteresowany ochroną życia Palestyńczyków.

Jak do tego doszło? Na to pytanie odpowiedzą zapewne sami Izraelczycy, gdy wojna się skończy. Kiedy to się stanie ani jaki jest jej długofalowy cel – nie wiadomo. ©

Niedoceniony Joe

MARTA ZDZIEBORSKA

Na finiszu roku 2023 prezydent USA ma prawo czuć się zmęczony. Po miesiącach wzmacniania sojuszy w Europie i zabezpieczania pomocy dla Ukrainy przyszło mu walczyć na własnym podwórku z Republikanami – ci uzależniają kolejny pakiet od zaostrzenia polityki migracyjnej USA. Biały Dom potrzebuje też środków na wsparcie dla Izraela i pomoc humanitarną dla cywilów w Gazie. Choć Biden robił wszystko, by w ten konflikt nie zaangażowały się Iran i Hezbollah (w ramach odstraszania skierował w ten region lotniskowce), i tak jest krytykowany za wsparcie dla Netanjahu. Odwracają się od niego progresywni Demokraci i młodzi wyborcy, wśród których 70 proc. potępia jego politykę wobec wojny Hamas–Izrael. Inni podkreślają, że powinien skupić się na rywalizacji z Chinami.

Wyborcy źle oceniają Bidena także za „prace domowe". Choć gospodarka trzyma się mocno, 70 proc. Amerykanów uważa, iż nie ma on w tym zasługi. Jego rządy negatywnie ocenia ponad 55 proc., a niemal 40 proc. Demokratów chce jego odejścia na emeryturę. Sondaże nie dają złudzeń: jeśli 81-letni prezydent stanie na ringu z Trumpem, czeka go trudna walka. A Biden nie zazna też spokoju na Kapitolu: Republikanie zatwierdzili wobec niego śledztwo w ramach procedury impeachmentu. Szykują spektakl, choć nie mają dowodów, iż czerpał zyski z transakcji biznesowych swego syna Huntera (ten usłyszał właśnie zarzut nadużyć podatkowych).

Na spotkaniu w Bostonie z darczyńcami Biden oświadczył, że nie wyklucza wycofania się z wyścigu o reelekcję, jeśli ze startu zrezygnuje Trump. „Nie jestem pewien, czy będę walczył" – wypalił. Nie ma się czemu dziwić. ©

Autorka jest dziennikarką „Press".

Sudan: największa wojna Afryki

WOJCIECH JAGIELSKI

W cieniu wojen w Ukrainie i Gazie toczy się wojna w Sudanie – i grozi dalszym rozpadem tego do niedawna największego kraju Afryki.

Wybuchła 15 kwietnia 2023 r. w Chartumie, gdzie starły się wojska rywalizujących o władzę generałów: Abdela Fataha al-Burhana i Mohammeda Hamdana Dagalo. Burhan wywodzi się z Arabów znad Nilu, od zawsze rządzących Sudanem. Dagalo przewodzi Arabom z Darfuru, których chartumskie elity traktowały jak ubogich krewnych z prowincji.

Z Chartumu wojna rozlała się na Darfur na zachodzie i Kordofan na południu. W grudniu walki ogarnęły położoną na północ od Chartumu prowincję al-Dżazirah, rolnicze zagłębie kraju. Od wiosny zginęło w niej co najmniej kilkanaście tysięcy ludzi, a ok. 7 mln (jedna siódma społeczeństwa) stało się uchodźcami; z tego 1,5 mln uciekło za granicę. Chartum został zniszczony wskutek ulicznych walk i doszczętnie splądrowany. W Darfurze arabskie milicje Dagalo dokonują pogromów afrykańskich ludów Furów, Zaghawów i Massalitów (na początku tego stulecia w Darfurze wymordowano ćwierć miliona ludzi; ówczesne pogromy uznano za pierwszą ludobójczą zbrodnię w XXI wieku).

Wcześniej, w 2011 r., po trwającej pół wieku wojnie domowej, Sudan – wówczas największy kraj Afryki – rozpadł się na dwoje, a południe, zamieszkane przez wyznające chrześcijaństwo afrykańskie ludy, ogłosiło niepodległość jako Sudan Południowy. Teraz nowa wojna znów przepołowiła kraj. W efekcie na zachód od Nilu panują darfurscy Arabowie generała Dagalo, a na wschód od Nilu – nadrzeczni Arabowie generała Burhana. Ten ostatni przeniósł stolicę z pogrążonego w wojennym chaosie Chartumu do Port Sudanu, najważniejszego portu kraju nad Morzem Czerwonym. ©℗

Grzechy Kościoła

ZUZANNA RADZIK

„Nie po to zostałem księdzem, żeby po tym sprzątać". Tak arcybiskup Antwerpii Johan Bonny skomentował głośny tej jesieni belgijski serial dokumentalny o molestowaniu w Kościele. Czyli nawet jeden z bardziej progresywnych biskupów Europy nie rozumie konieczności oczyszczenia Kościoła. I to w roku, który przyniósł choćby wielokrotne zwroty akcji w sprawie jezuity Marko Rupnika rozgrywającej się między jezuicką kurią generalną a Watykanem, oraz raport hiszpańskiego rzecznika praw obywatelskich z szacunkami niemal pół miliona nieletnich ofiar molestowania w tamtejszym Kościele. Z każdym kolejnym skandalem wydaje się, że mobilizacja w sprawie przeciwdziałania przemocy seksualnej, ale również wymierzenie sprawiedliwości i wsparcie pokrzywdzonych powinno być bezwzględnym priorytetem Kościoła. I ciągle okazuje się, że nie jest.

W Polsce najważniejszym wydarzeniem w tym temacie była emisja dokumentu Marcina Gutowskiego „Bielmo", pokazującego ofiary księży przenoszonych z parafii na parafię za czasów metropolity Karola Wojtyły. Odpowiedzią była obrona dobrego imienia polskiego papieża, zarówno przez episkopat, jak i parlament. Później głośna stała się książka Tośki Szewczyk „Nie umarłam", która przy okazji pokazuje, jak retraumatyzujący jest kościelny proces zgłaszania krzywdy. Jej autorka w listopadzie upomniała się w liście otwartym o komisję ds. badania historycznych przypadków pedofilii, obiecaną przez episkopat po filmie Gutowskiego. O tym, jak wygląda w Kościele pociąganie do odpowiedzialności nawet w sprawach oczywistych, przypomniała słynna w tym roku orgia na sosnowieckiej plebanii, w konsekwencji której na bardzo wczesną i luksusową emeryturę przeszedł w wieku 59 lat tamtejszy biskup.

Wracając do przykładu Belgii, temat rozliczenia przestępstw seksualnych wrócił dziś do centrum dyskusji po kilkunastu latach, dopiero dzięki słabnącej sile politycznej miejscowego Kościoła.

To przypomina, że nie będzie oczyszczenia Kościoła bez stałej presji, mechanizmów kontroli biskupów oraz nacisku świeckiego państwa.

Trudno z tym, co dziś wiemy, wierzyć w wolę samooczyszczenia.

To dotyka nas systemowo, ale też osobiście. Sama kończę ten rok z pytaniem: co to znaczy dla mojej wiary i trwania w Kościele, że wychowali mnie w wierze i spowiadali księża, którzy dziś okazują się sprawcami seksualnej przemocy? Nie mam odpowiedzi, a pytanie dotyczy jakoś nas wszystkich. ©

Rozważając najgorsze

WOJCIECH PIĘCIAK

Życie w nieco nudnych czasach może być błogosławieństwem. W roku 2023 taki rodzaj błogosławieństwa nie był nam dany i najpewniej nie będzie również w 2024 r.

W ostatnich tygodniach kończącego się roku w polskim internecie – na Youtubie, Twitterze – modne stało się straszenie. I to od razu apokalipsą. „Czy Rosja zaatakuje Polskę lub kraje bałtyckie?"; „Ile czasu ma Polska, by się przygotować?" – brzmią zapowiedzi licznych podkastów, w których publicyści i analitycy rozważają, czy mamy jeszcze 2-3 lata, zanim Putin na nas ruszy, czy może 5-6. Zwykle jest na poważnie, choć są wyjątki. „Plan Rosji to mielonka gdzieś na Wiśle" – takim tytułem pewna gazeta zachęcała do kliknięcia (pewnie skutecznie).

Skąd nagle taki katastrofizm? Dyktator z Kremla nie powiedział ostatnio nic nowego (powtarza, że jego cele nie zmieniły się od grudnia 2021 r., gdy zażądał kontroli nad Ukrainą i wycofania się NATO z Europy Środkowej). Punktem zwrotnym, po którym polscy analitycy zaczęli dość gremialnie odliczać, jak długo przetrwa świat, który zbudowaliśmy po 1989 r., jest chyba kumulacja szeregu okoliczności: słynne wystąpienie gen. Załużnego (przyznał, że wojna staje się konfliktem na wyczerpanie, a w takim Rosja jest na lepszej pozycji); malejąca pomoc Zachodu dla Ukrainy i chaos wokół jej kontynuacji w USA i UE; informacje, jak skutecznie Rosja przestawia gospodarkę na tryb wojenny (i jak niewiele uczyniono tu po stronie Europy), wojna w Gazie (absorbująca uwagę i zasoby), wreszcie możliwy wybór Trumpa i jego groźba, że zwinie parasol ochronny USA znad Europy.

Seria złych wiadomości (a to nie wszystkie, listę można ciągnąć) sprawia, że w mroczną przyszłość odsuwa się szansa na koniec wojny na warunkach korzystnych dla Ukrainy. Za to przybliża się perspektywa jej klęski, po której armia Putina stanęłaby nad granicą Polski i państw bałtyckich.

Co więc teraz? Wywiadowany na Youtubie pułkownik i analityk Piotr Lewandowski powiedział: nie należy zadawać pytania, czy Rosja zaatakuje, należy po prostu przygotowywać się na najgorszy scenariusz.

W istocie, po 24 lutego 2022 r. nie ma sensu rozważanie, czy Rosja uderzy na NATO, a Trump nas wtedy porzuci. Po tym, jak 24 lutego 2022 r. stało się to, co było wcześniej niewyobrażalne, trzeba budować własne zdolności obronne, silną armię. Z nadzieją, że Ukraina – to przedmurze Europy – jednak się utrzyma. ©℗

Putin na ceremonii odznaczenia uczestników wojny. Kreml, 8 grudnia 2023 r.

SERGEY GUNEYEV / AFP / EAST NEWS

Cichy lider

WŁADYSŁAW KOSINIAK-KAMYSZ ▪ Frontmanami są Donald Tusk i Szymon Hołownia. Ale nie byłoby ich sojuszu bez lidera PSL, który oparł się pokusom PiS, choć oferowano mu fotel premiera. Swoim może niezbyt efektownym, ale konsekwentnym sposobem uprawiania polityki był rzeczywistym spoiwem „koalicji 15 października". Od początku opierał się wspólnej liście, która, jak wynika z najnowszych badań, mogłaby nie zapewnić ówczesnej opozycji zwycięstwa. Był też konsekwentny w budowaniu sojuszu z Polską 2050, swoim spokojem uzupełniając medialnego Szymona Hołownię. Gdy Polska 2050 sprzeciwiła się zapraszaniu na wspólne listy Michała Kołodziejczaka, stawiając sprawę na ostrzu noża, skłonił własną partię do ustępstw, ratując Trzecią Drogę.
Na początku lat 90. eksperci wróżyli polityczną przyszłość Tuskowi, wówczas młodemu liderowi KLD. Nie mylili się. Dziś coraz częściej mówi się, że prezes PSL może być jednym z filarów polskiej polityki za 20 lat. To chyba dobrze. © PIOTR ŚMIŁOWICZ

Drapieżnik

WILKI ▪ Nie pomyli dzika z psem, spacerowiczem albo żołnierzem. Poluje na trzeźwo, nie zamyka lasu dla innych. Ale chyba najważniejszym powodem, dla którego myśliwi tak bardzo nie lubią tego gatunku, jest jego skuteczność. Tam, gdzie żyją wilki, nie potrzeba ludzi ze strzelbami. Populacja jeleniowatych jest regulowana w sposób naturalny. Przywrócony znad skraju wymarcia, wilk mieszka dziś w niemal każdym zakątku Polski. Jest pod ochroną, co odróżnia nas od sporej części Europy. Mimo tego niemal 150 wilków ginie rocznie z rąk kłusowników. Ostatni rok przyniósł dwa skrajne przykłady – do wilków strzelano na terenie i w bezpośrednim sąsiedztwie Magurskiego Parku Narodowego. Niech to będzie postanowienie na 2024 rok: żeby o tym drapieżniku nie mówić nacechowaną złymi emocjami gwarą. Wilki nie żyją w watahach, ale w grupach rodzinnych. Mają oczy, a nie lampy. Nie liczy się ich na sztuki. A kiedy się do nich strzela, to jest to zabijanie, a nie pozyskanie.
© ADAM ROBIŃSKI

Przełom

SZTUCZNA INTELIGENCJA ▪ Choć 2023 r. przyniósł w tej kwestii przełom, na razie raczej nie ma się co obawiać, że obudzimy się w świecie jak z „Matriksa". Zaledwie rok temu świat dostał ChatGPT – „wielki model językowy", który może wygenerować niemal dowolny tekst. „Nazwałabym to momentem zwrotnym. Ludzie wreszcie poznają sztuczną inteligencję i jej wpływ – wszystko, co w niej dobre, złe i brzydkie" – uważa Fei-Fei Li, pionierka badań nad AI. Dziś, zamiast armii terminatorów, mamy zalew sztucznie wygenerowanych treści, procesów o prawa autorskie i korporacyjnych awantur z jednym z ojców AI, Samem Altmanem w roli głównej (na zdjęciu). Rosną też obawy o wpływ tej technologii na rynek pracy czy kampanie wyborcze. Tematem wreszcie zainteresowali się na poważnie politycy. Waszyngton, Pekin i Bruksela przedstawiają własne pomysły na regulowanie AI. Żaden polityk nie zdecydował się jednak na realne ograniczenie jej zastosowania w wojsku czy inwigilacji. © AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Zwierciadło

JOANNA KUCIEL-FRYDRYSZAK ▪ „Chłopki" w pół roku rozeszły się w niemal trzystu tysiącach egzemplarzy, co jest dowodem na to, że czytelnik najchętniej sięga po literaturę faktu – wzorzec drzewa genealogicznego. Bo jak inaczej czytać książkę, która stała się zwierciadłem losów naszych chłopskich przodkiń? Dotąd mało kto poświęcał im uwagę, nie widząc niczego interesującego w „babach" z dwoma wiadrami na ramionach, chustką na głowie, bez butów na nogach, harujących na gospodarstwie od świtu do zmroku i w przerwach między jedną a drugą młócką rodzących dzieci, z których połowa szybko umiera. I właśnie z dokumentów oraz usłyszanych opowieści poświęconych tym sprawom i wątkom Joanna Kuciel-Frydryszak utkała herstorię większości obywatelek Polski międzywojnia. Chłopkom zawdzięczamy jeszcze i to, że ubogacają nasze człowieczeństwo o wiedzę, co je lepiło i jaką cenę płaciły za nią kobiety z naszych rodzin.
© KATARZYNA KUBISIOWSKA

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER // DAVID & MICHA SHELDON / EAST NEWS // JUSTIN SULLIVAN / GETTY IMAGES // MAKS PFLEGEL / MATERIAŁY PRASOWE // ADOBESTOCK // MONTAŻ TP-ONLINE

NA PUNKTY

STYCZEŃ
Podczas gdy jedna przyjaciółka Jarosława Kaczyńskiego, Janina Goss, trafiła do rady nadzorczej Orlenu, inna, Julia Przyłębska, wpadła w kłopoty w Trybunale Konstytucyjnym, gdzie kilku sędziów uznało, że jej kadencja dobiegła końca.

LUTY
W konkursie resortu edukacji fundacje powiązane z PiS uzyskały wielomilionowe dotacje na zakup lub remont nieruchomości. „Szanowni panowie, wstańmy, pokażmy teraz, jak jesteśmy dumni z naszych ministrów. Brawo! Brawo minister Czarnek! Brawo minister Czarnek!! Wstajemy! Brawo!" – skandował w Sejmie poseł Kowalski.

MARZEC
Premier Morawiecki – nadając ton przyszłej kampanii swojej partii – podczas spotkania w Jaśle mówił głównie o PO i jej liderze. „Mateusz, ty masz promować swojego obecnego szefa, nie poprzedniego" – skomentował Donald Tusk.

KWIECIEŃ
„Jan Paweł II święty, TVN przeklęty, Jaga murem za JP II" – głosił transparent białostockich kibiców po emisji reportażu „Franciszkańska 3". W pociągach Pendolino częstowano tzw. papieskimi kremówkami, a minister Siarka zadysponował utworzenie w każdym nadleśnictwie drzewostanu ku czci papieża Polaka.

MAJ
Pod Bydgoszczą odnaleziono w końcu pocisk rakietowy, który w grudniu 2022 r. wystrzelono z rosyjskiego samolotu lecącego nad Białorusią i który następnie znikł z polskich radarów.

CZERWIEC
Kilkaset tysięcy osób wzięło udział w marszu 4 czerwca po tym, jak Sejm przegłosował projekt ustawy zmierzającej do zbadania wpływów rosyjskich na polską politykę, a faktycznie zmierzającej do pozbawienia możliwości pełnienia funkcji publicznych przez inicjatora manifestacji, Donalda Tuska.

LIPIEC
TVP wyemitowała sondę uliczną. Tzw. przypadkowy przechodzień – „przeciwnik pikiet zakłócających spokój w stolicy", pomstujący na zgromadzenie z hasłem „TVP łże" – został wynajęty na jej potrzeby przez agencję medialną.

SIERPIEŃ
Na firmowanym przez Rafała Trzaskowskiego Campusie Przyszłości nie doszła do skutku tzw. debata symetrystów: pod presją głosów w mediach społecznościowych organizatorzy wycofali zaproszenie dla Grzegorza Sroczyńskiego, który w dyskusji radiowej określił wspierającą PO grupę aktywistów z Twittera mianem „wściekłych kundelków". Nieprzejednanym wrogiem symetrystów był zwłaszcza promotor wspólnej listy opozycji, nazywający lidera Trzeciej Drogi „Kałownią", Tomasz Lis.

WRZESIEŃ
„Na pewnych stanowiskach trzeba oczekiwać i wymagać klasy. To jest ważne. Trzeba wiedzieć, jak się zachować na tym stanowisku i jak zarządzać tym wszystkim" – powiedział kapitan piłkarskiej reprezentacji Robert Lewandowski, komentując m.in. opisywane szeroko w mediach skandale w PZPN.

PAŹDZIERNIK
„Koniec. Niestety, koniec" – powiedział komentator TVP Mateusz Borek po ostatnim gwizdku meczu Polska–Mołdawia. Kilkadziesiąt minut wcześniej zamknięto większość lokali wyborczych (w paru miejscach kolejki były tak duże, że swoich kandydatów do Sejmu i Senatu Polacy wybierali nawet po północy).

LISTOPAD
Kilkaset tysięcy subskrybentów zyskał Sejm nowej kadencji w serwisie YouTube, a na popularność z marszałkiem Szymonem Hołownią rywalizować mógł w tym czasie jedynie uczestnik teleturnieju „Jeden z dziesięciu" Artur Baranowski, który w drodze do finału zdobył rekordowe 803 punkty, ale w samym finale nie wziął udziału z powodu awarii samochodu.

GRUDZIEŃ
Donald Tusk został wybrany przez Sejm na premiera. „Nie wiem, kim byli pańscy dziadkowie, ale wiem jedno. Jest pan niemieckim agentem" – wykrzyczał chwilę później z parlamentarnej trybuny Jarosław Kaczyński. Przyjaciółka prezesa Janina Goss straciła posadę w Orlenie. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

TO, CO NAJWAŻNIEJSZE, DZIEJE SIĘ TERAZ

Boże Narodzenie to czas o wyjątkowym znaczeniu. Co mówi? Że tak samo wyjątkowa jest każda chwila.

PIOTR SIKORA

W tykaniu zegara najważniejsza jest przestrzeń pomiędzy tyknięciami. Umyka ona jednak często naszej świadomości, przesłonięta widokiem cieniutkiej wskazówki: przez niemal sekundę nieruchomej, by nagle w mgnieniu oka przeskoczyć o jedną sześćdziesiątą okręgu, do następnej pozycji i... by znowu znieruchomieć. Wzrok, który jest głównym zmysłem łączącym większość z nas ze światem, widzi zatem czas poszatkowany. Co sekundę szarpnięcie, pomiędzy nimi bezruch. Inaczej słuch – może zauważyć, że pomiędzy krótkimi tyknięciami rozciąga się rozległa przestrzeń ciszy, ciągnie sekunda za sekundą. Uważne słuchanie ujawnia nawet to, że i same tyknięcia nie są momentalne – trwają choćby chwilkę, z ciszy powstają i w ciszy nikną. Rzeczywistość płynie. Płynie jako czas.

Właściwy moment

Starożytni Grecy znali dwa rodzaje czasu: *chronos* i *kairos*. Pierwszy, zwykły, miał się ciągnąć równomiernie, przesypywać z przyszłości w przeszłość bez żadnych zawirowań tak, że mogły odmierzać go klepsydry. Drugi, święty, to miał być TEN moment: okazja, która tylko raz się zdarza, biegnie niczym goły chłopak z grzywką, ale łysy z tyłu głowy – złapać go możesz tylko wtedy gdy się zbliży, lecz nie zdąży jeszcze przemknąć koło ciebie (z tyłu go nie złapiesz: skóra pokryta oliwą wymsknie ci się z rąk).

Starożytni Grecy w jednym się mylili – jeśli naprawdę widzieli tu różnicę. Czas jest jeden. Rozszczepiamy go na dwa rodzaje my – poprzez nasze nastawienie, sposób postrzegania świata.

↦

Start rakiety Starship z bazy Starbase. Boca Chica, Teksas, 18 listopada 2023 r.

TIMOTHY A. CLARY / AFP / EAST NEWS

↦ Jak możemy dostrzec czas? Doświadczając zmiany: biegu słońca na niebie (najpierw skryte za linią drzew na wzgórzu, wznosi się wyżej, a cień się skraca i przesuwa); stygnięcia herbaty; wysychania chleba. Uświadamiając sobie, że spotkanie, na które dopiero co czekaliśmy, zostało wspomnieniem. Albo tak: dopiero co Boże Narodzenie zbliża się szybciej niż nasza zdolność załatwienia wszystkich spraw, które przed Świętami załatwić trzeba, a już sprzątamy po Wigilii, i nie za bardzo zdążywszy odpocząć, orientujemy się (kiedy minęły te dwa wolne dni?!), że po naprędce zjedzonym śniadaniu musimy wybiec z domu, by zdążyć do pracy...

I znów jesteśmy w zwykłym czasie, znużonym umysłem oczekujący tego samego, co zawsze, być może lekko przerażeni wielkością liczby przypisanej do kolejnego okrążenia Ziemi wokół Słońca. Pozwalając niezliczonym chwilom mijać niepostrzeżenie, nawet gdy czekamy na ekscytujące wydarzenie, które – mamy nadzieję – stanie się w dającej się wyczekać przyszłości. Tak czy inaczej – na co dzień pozostaje mocna kawa dająca lekkie pobudzenie przy wsiadaniu do zupełnie nienowego samochodu i utknięcie w korku w tym, co zwykle, miejscu. Nic nadzwyczajnego, można się było spodziewać. W głowie pojawia się dobrze znane pytanie: dlaczego właśnie mnie to spotyka? Dzisiaj, jak i zawsze.

Skarb jawnie ukryty

Czyż jednak historie, które są początkiem bożonarodzeniowego świętowania, nie są właśnie o tym – że to, co najważniejsze i najświętsze, dzieje się przed naszymi oczami w najbardziej zwykłej postaci?

Zacznijmy od Ewangelii Mateusza. Pobieżna lektura może łatwo zmylić. Na plan pierwszy mogą wysunąć się magowie w egzotycznych szatach i gwiazda – niezwykłe zjawisko. Jak również niebywale odważna decyzja na opuszczenie stron rodzinnych i wędrówkę w nieznane w poszukiwaniu króla nad królami, ze schowanymi w sakwach mirrą, kadzidłem i złotem. Potem dwór w Jerozolimie i najmędrsze głowy Izraela. Ale przecież u celu czekał skromny dom, zwyczajna rodzina. Tak niepozorna, iż Herod (ślepy na gwiazdę) nie był w stanie odnaleźć swojego „rywala" w malutkim Betlejem. Mateusz opowiada o podróży, w której umysły mędrców przebyły drogę od zachwycająco niebywałego do niebywale zwyczajnego.

Jeszcze bardziej zwyczajna jest historia w wersji Łukasza. Ubogie młode małżeństwo, zmuszone do drogi decyzją wielkich tego świata (życie iluż z nas w dużej mierze zależy od decyzji dzierżących władzę: polityków, szefów, policjanta z drogówki?). Brak miejsca w zajazdach – nic dziwnego, ruch ludności spory. Czas porodu – taki sam jak u większości *homo sapiens*, zgodny z cyklami natury. A skoro schronili się, ona z mężem, w stajni – naturalne było także to, że natknęli się na nich ludzie parający się pilnowaniem stad i zaganianiem bydła z pastwiska do zagrody.

A jednak, ktoś mógłby się upierać, była tam niezwykła gwiazda – bez niej zaś nie wiedzieliby w ogóle, że czas wyruszyć w drogę, nie znaliby kierunku wędrówki i nie rozpoznali tego zwykłego, ale jedynego domu. Jak również anioł – u Łukasza musi pokazać się anioł: Zachariaszowi, Marii, Józefowi oraz im – pasterzom. Bez anioła i jego wskazówek nic by się nie stało, a wszyscy byliby ślepi.

Owszem, w opowieściach jest gwiazda i jest anioł (i boski blask anielskich chórów). Ale, co wyraźnie widać przy uważnej lekturze tekstów ewangelii (por. tekst Marcina Majewskiego w tym numerze), nie należą oni do świata zewnętrznych wydarzeń. Te toczą się zwyczajnie. Kamera filmowa nie znalazłaby zapewne żadnych niezwykłych szczegółów. Gwiazda rozjaśnia umysły magów, anioł szepce w głębi ducha umiejących słuchać swym wewnętrznym uchem – i wtedy w sobie ludzie dostrzegają boski blask. Magowie i pasterze też są realni tylko wewnątrz. My jesteśmy magami – gdy szukamy sensu świata. My pasterzami – gdy troszczymy się o to, co w świecie słabe, niewiele zyskując, ryzykując pogardę porządnych i czystych.

Boska włóczka

Czy jednak i samo wcielenie boskiego Słowa nie jest wydarzeniem jedynym i niepowtarzalnym? Czy przecież – nawet jeśli zewnętrzne okoliczności były tak zwykłe, że nie pozwalały na znalezienie żadnej zewnętrznej oznaki – nie wydarzyło się coś niesłychanego, czego nigdy wcześniej ani nigdy później nie było?

I tak, i nie.

Choć to Boże Narodzenie, posłuchajmy słów Apokalipsy. Jan, widzący, mówi w niej w imieniu Boga: „Jam jest Alfa i Omega, mówi Pan, Będący, Który Był i Przychodzący, Pantokrator" (Ap 1, 8). W niektórych rękopisach można spotkać tekst uzupełniony o wyjaśnienie, czemu Stwórcę określono pierwszą i ostatnią literą alfabetu. Wstawka brzmi: *arche et telos*, co polskie przekłady oddają: „początek i koniec". Warto jednak sięgnąć do greki, która bogatsza jest w znaczenia. „Arche" bowiem nie znaczy jedynie „początek", lecz również „władza" i „pierwsza zasada". „Telos" to nie jest tylko zakończenie, lecz cel i spełnienie.

Objawienie zapisane tu przez Jana odsłania przed nami rzecz zwykle niezauważaną. Mówi: czy zwrócisz się w tę, czy w tamtą stronę, czy pójdziesz w przód, czy w tył – natkniesz się na Boga. Albowiem mieści On w sobie wszystko, tak jak wszystkie litery znajdują się pomiędzy alfą i omegą. Więcej nawet – jako *Arche* jest podstawą, zasadą wszystkiego. To więcej niż to, czym alfa jest dla alfabetu. Już raczej – jak sugerował mistyk i filozof Mikołaj z Kuzy – jak jedność dla liczb naturalnych. Choć bowiem – pisze Kuzańczyk – bez trudu odróżniamy cztery od siedmiu tysięcy dwustu sześćdziesięciu trzech, to przecież obie te liczby (jak i każda inna) składają się wyłącznie z jedności: cztery to jeden i jeden, i jeden, i jeden (a siedem tysięcy dwieście sześćdziesiąt trzy to tyleż razy jeden). Każda zaś jedynka jest – jako liczba – nieodróżnialna od innych. Jako liczba jedność jest jedyna.

Gdyby ktoś uznał, że takie widzenie liczb jest sprytnym trikiem filozofa, Kuzańczyk odparłby zapewne: nie trikiem, lecz wymagającym wysiłku zaglądnięciem pod powierzchnię rzeczy. I dlatego jest to ruch umysłu pozwalający dostrzec, co na Patmos zobaczył Jan. Nawet jeśli wielość różnych rzeczy i zdarzeń nie jest po prostu złudzeniem (jak nie jest nim wielość liczb, bez której nie dałoby się dzielić, mnożyć, dodawać, odejmować, mierzyć rzeczy i budować mostów), to przecież patrząc z odpowiedniej perspektywy możemy dostrzec, że podłożem i tworzywem tej fascynującej rozmaitości

jest boskie *Arche*. Jak jedynka w każdej liczbie, jak ta sama włóczka w swetrze i w skarpecie, jak kartka papieru w różnych figurach origami. Wszystko jest wcieleniem Boga.

Co jednak – uprawnione jest pytanie – z niedoskonałością świata, czasami tylko uciążliwą, czasami jednak bardzo bolesną? Jasnej odpowiedzi nikomu – jak dotąd – nie udało się znaleźć. Poszukując jej ciągle, lub godząc się, że może jej nie być, warto pamiętać, że Bóg wcielony to nie tylko *Arche*, ale także *Telos* każdego zdarzenia i wszystkich rzeczy. Jest wszystkiego celem i spełnieniem. Innymi słowy: wciela się we wszystko tym bardziej, im bardziej każde coś i każdy ktoś, i całość wszechświata rozwija swój potencjał. Im bardziej wszelkie stworzenie staje się tym, czym być może, tym bardziej ujawnia swój boski charakter.

Świat jest ułomny, świat nie jest gotowy. Znamienna jest zapisana w Ewangelii Jana odpowiedź Jezusa na zarzut, że uzdrawia w Szabat – święto odpoczynku Boga po stworzeniu świata: „Ojciec działa aż do teraz i ja działam" (J 5, 17). Dzieło stworzenia jeszcze się nie skończyło, Bóg nie odpoczywa, pracuje, leczy i staje się ciałem.

Światło w każdym

Każde ciało rodzi się, rośnie i rozwija. Rozwój to zmiana, zmiana to czas. Nie można zatem przeoczyć, że Bóg z Apokalipsy, Alfa i Omega, przedstawiony jest w postaci czasu. To czas bowiem jest w ten sposób, iż dokładnie wtedy, gdy otwiera się przed nami, odchodzi w przeszłość – staje się tym, który był. Nie znika jednak z pola doświadczenia – przychodzi (do nas) wciąż na nowo. A zatem, jak zapisano w Objawieniu: Alfa i Omega, zasada i spełnienie każdej chwili, który/a jest, (i właśnie wtedy) który/a był/a, (i właśnie wtedy) który/a przychodzi. Pantokrator – trzymający w sobie każde wydarzenie.

Być może przyzwyczailiśmy się – przynajmniej niektórzy – widzieć, jak mawiał Mistrz Eckhart, siebie tutaj, a Boga – gdzieś tam. Być może mamy też nawyk myślenia o wcieleniu jako o wydarzeniu kiedyś tam mającym miejsce, zupełnie niebywałym, różnym od wydarzeń zwykłych (lub nawet wyjątkowych, lecz o mniejszym, bo skończonym znaczeniu). Jeśli mamy tak – ten nawyk i to przyzwyczajenie zaciemniają nasz wewnętrzny wzrok, przesłaniają gwiazdę, blask anielskich chórów. I nie widzimy tego, co zobaczył św. Paweł: że cel zesłania Syna Boga i urodzenia się Go z niewiasty i pod prawem jest ściśle związany z naszym przeznaczeniem, by stać się dziećmi Boga (por. Ga 4, 4-6). Pisze więc Paweł do Galatów: „Dzieci moje, oto ponownie w bólach was rodzę, aż Chrystus w was się ukształtuje" (Ga 4, 19), sam wcześniej wyznawszy: „Teraz zaś już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus" (Ga 2, 20).

W teologii Apostoła Narodów odkrycie, że w życiu chodzi właśnie o to, by w człowieku ukształtował się Chrystus – a więc by wypełniło się w niej lub w nim boskie wcielenie – jest motywem kluczowym. W późniejszym Drugim Liście do Koryntian wskazuje też, jak przebiega ów proces: „My wszyscy z odsłoniętą twarzą odbijamy w sobie blask Pana jak w zwierciadle, i jaśniejąc coraz bardziej jesteśmy przekształcani w ten sam obraz" (2 Kor 3, 18). Znowu pojawia się światło, jak w bożonarodzeniowych historiach pojawiała się gwiazda i blask anielskich chórów. Lecz teraz wprost jest powiedziane: światło świeci w nas; odbijamy je w sobie. I jeśli jesteśmy tego świadomi, rozjaśnia nas całych i przekształca dokładnie w ten obraz, który w nas świeci – w obraz niewidzialnego Boga.

Paweł żył w świecie, w którym istniały głębokie podziały etniczne, religijne, społeczne, w świecie nierówności ekonomicznych i brutalnej walki o władzę. Sam doświadczał bardzo boleśnie tej ciemnej strony świata – stała się ona przyczyną jego śmierci. Podobnie jak stała się przyczyną śmierci Jezusa z Nazaretu. A jednak – widząc wewnątrz siebie blask (gwiazdy, anielskich chórów – czyli ostatecznie blask boski) – żył i nauczał w taki sposób, że jego uczniowie napisali pod jego imieniem słowa: „tu już nie ma Greka ani Żyda, obrzezania ani nieobrzezania, barbarzyńcy, Scyty, niewolnika, wolnego, lecz wszystkim we wszystkich – Chrystus" (Kol 3, 11). Chrystus, którego ciałem jest zwołana przez Ducha wspólnota i który „wszystko całkowicie napełnia" (Ef 1, 22-23).

Teraz i zawsze

„Kiedy nadejdzie panowanie Boga?" – pytali Jezusa faryzeusze. Kiedy będzie widać, że działa, kiedy – mogliby zapytać jego chrześcijańscy uczniowie – wcielenie Twoje stanie się jawne?

Mistrz odpowiedział: „Panowanie Boga nie przyjdzie dostrzegalnie i nie da się powiedzieć: oto tu, albo: oto tam. Panowanie Boga dzieje się w was" (Łk 17, 20). W tobie świeci gwiazda – gdy zobaczysz ją, wyprowadzi cię z miejsca twojego zamieszkania, to znaczy ze świata, który – jak ci się zdaje – dobrze znasz, który niczym cię nie może zaskoczyć, i poprowadzi cię przez zupełnie nieznane ci strony. Ale, pamiętaj, okolice, przez które będziesz wędrować, dla ciebie nowe i zaskakujące, to miejsca zwyczajnego życia tamtejszych mieszkańców.

Jeśli będziesz przechodzić przez kolejne zdarzenia, wrażliwy na to światło, które odbija się w tobie, nie lgnąc do swojej duszy, szanując jej troski i pragnienia nie mniej i nie więcej niźli troski i pragnienia innych, i nie próbując zatrzymać wrażeń, myśli, osób, rzeczy, lecz pozwalając płynąć temu, co przepływa, i nie zamykając uszu na płacz, lecz delikatnie opatrując współczującą ręką miejsca, które bolą – zobaczysz, jak gwiazda zatrzymuje się nad każdym domem.

Albowiem w tykaniu zegara najważniejszy jest czas pomiędzy tyknięciami. Gdy „będące" bez ustanku przechodzi w „już było". A jednocześnie, gdy nie przestaje biec ku nam, jak ten goły chłopak z grzywką, ale łysy z tyłu głowy. Ruch to bez żadnej specjalnej oznaki. Często w ciszy. Albo w brzmieniu zwykłych dźwięków świata. W śmiechu skaczącego dziecka zmieniającym się nagle w płacz po uderzeniu kolanem o żwir ścieżki i w płaczu cichnącym w ramieniu rodzica – płynnie odłożył książkę, wstał z ławki, podszedł i przytulił. W terkocie wiertarki przygotowującej miejsce dla półki na rośliny – będą cicho kiełkować, rosnąć, niepostrzeżenie rozwiewając wokół siebie tlen. W szumie deszczu i gotującej się wody w saganie. W świszczącym oddechu kogoś, kto już przeżył swoje. W niemal bezgłośnym szmerze krwi płynącej przez tętnice i wracającej żyłami do serca. W przyspieszonym pulsie kochających. W spowolnionym – tych, co śpią.

©℗ PIOTR SIKORA

Uśmiech Boga

O. TIMOTHY RADCLIFFE OP, TEOLOG:

Otrzymaliśmy z Ewangelii i Tradycji wspaniałe prawdy, ale mamy tylko mały przebłysk tego, co one naprawdę znaczą.

ZUZANNA RADZIK: Co się wydarzyło, gdy Jezus urodził się jako człowiek?

O. TIMOTHY RADCLIFFE OP: Bóg zbliżył się do nas i podzielił całe nasze człowieczeństwo. Izrael zawsze pragnął ujrzeć oblicze Boga, ale wierzono, że byłoby to nie do zniesienia. To jak zbytnie zbliżenie się do słońca: spłoniesz! Tylko nieliczni, jak Mojżesz, widzieli Boga twarzą w twarz. W Bożym Narodzeniu twarz Boga została objawiona w ludzkiej twarzy, którą mogła zobaczyć Jego matka i rodzina, a nawet pasterze. Bóg stał się bezbronny, a potem umarł. Zatem bez względu na to, co zrobiliśmy i kim jesteśmy, Bóg zbliża się do nas nawet w chwilach, gdy cierpimy, nawet gdy wydaje się całkowicie nieobecny. Teraz musimy być dla siebie nawzajem miłującym obliczem Boga, nosicielami Jego uśmiechu.

Śpiewamy i modlimy się podczas świąt Bożego Narodzenia, że wielkie rzeczy przydarzyły się nam i światu. W jakim sensie to dobra nowina dla świata?

Na całym świecie jest coraz więcej przemocy i podziałów. Ludzi dzieli wojna, nieufność, wzajemne niezrozumienie. Jednak w Boże Narodzenie świętujemy, że została pokonana największa przepaść między Tym, który wszystko stworzył, a nami. „W tym przejawia się miłość, że nie my umiłowaliśmy Boga, ale że On sam nas umiłował i posłał Syna swojego jako ofiarę przebłagalną za nasze grzechy" (1 J 4, 10). Tak więc przepełnieni tą samą miłością powinniśmy starać się przekraczać wszelkie bariery – czy to nienawiści, czy uprzedzeń, czy pokoleń – i docierać do ludzi, od których jesteśmy oddzieleni.

Obchodzimy Boże Narodzenie w coraz bardziej zsekularyzowanej Europie i w rodzinach, które nie są już jednolicie chrześcijańskie. Czy w chrześcijańskim przesłaniu jest coś, czym możemy podzielić się z ateistami, chrześcijanami kulturowymi, postchrześcijanami?

W świeckiej Wielkiej Brytanii ta pora roku jest czasami obchodzona jako Festiwal Światła. Oczywiście my świętujemy teraz narodziny Chrystusa, chociaż nie znamy faktycznej daty jego narodzin, ponieważ na półkuli północnej, na której się urodził, dni zaczynają się teraz wydłużać. Istnieje więc powszechne pragnienie świętowania powrotu światła. To przemawia do każdego z nas. Albert Camus powiedział: „W środku zimy odkryłem, że jest we mnie niezwyciężone lato". Wierzymy, że „światłość w ciemności świeci, a ciemność jej nie ogarnęła" (J 1, 5). Możemy więc świętować z naszymi niewierzącymi przyjaciółmi, wierząc, że jakiekolwiek światło znajdują w swoim życiu, jest ono migotaniem czegoś niepokonanego.

Mój przyjaciel, dyrektor słynnej angielskiej szkoły, zmagał się z decyzją, czy wierzyć, czy nie. Często o tym rozmawialiśmy. Ostatecznie pytał, czy miłość, którą darzył swoją żonę i dzieci, była tylko przelotną emocją, czy też była czymś transcendentnym i światłem, którego nic nie mogło ugasić. Kiedy umierał, wezwał mnie do swojego łóżka i właśnie o tym rozmawialiśmy. Powiedziałem mu, że wkrótce się dowie!

Jezus stał się człowiekiem w określonym czasie i kontekście: galilejskim Żydem, urodzonym na okupowanej ziemi, w późnym antyku. Czy te szczególne cechy mają uniwersalne znaczenie?

Po pierwsze, stanie się człowiekiem, posiadanie ludzkiego ciała nie jest jak ubranie, które się zakłada, tak jakby Bóg mógł równie dobrze stać się niedźwiedziem czy psem. Miliony lat ewolucji doprowadziły do powstania ludzkiego ciała, które jest ukształtowane do miłości. Potrzeba było tysięcy lat, by twarz zmiękła na tyle, by się uśmiechać, a usta stały się elastyczne na tyle, by całować. Całe nasze ciało ewoluowało, aby wyrażać otwartość na drugą osobę. Moglibyśmy mówić o innych zwierzętach i ich darach, ale na to potrzebowalibyśmy dużo czasu! Tak więc wcielenie obejmuje naszą ludzką cielesność, dzieloną przez wszystkich.

Po drugie, Chrystus zgromadził ludzkość w jedności, ponad czasem i przestrzenią. Kiedy zapalamy świecę paschalną podczas Wigilii Paschalnej, mówimy: „Chrystus wczoraj i dziś: Początek i koniec, Alfa i Omega. Do Niego należy czas i wieczność. Jemu chwała i pa-

CROFTS SIMON / ANZENBERGER / FORUM

Jarmark bożonarodzeniowy w Edynburgu. Szkocja 2007 r.

nowanie przez wszystkie wieki wieków. Amen". Cała ludzkość jest włączona. W Nim jesteśmy jednością z naszymi przodkami i istotami ludzkimi w czasie i przestrzeni. Dziś w Anglii ludzie często odrzucają naszych przodków, bo skompromitowani są swymi złymi czynami, takimi jak niewolnictwo. Pomniki są usuwane, a nazwy budynków zmieniane, ponieważ chcemy odciąć się od tych, którzy byli przed nami. Ale wszyscy jesteśmy objęci przebaczeniem Chrystusa i dlatego ośmielamy się zaakceptować ich jako naszych przodków.

A co ze specyfiką wcielenia się jako mężczyzna? Argument fizycznego podobieństwa do Chrystusa został użyty do uzasadnienia, dlaczego święcenia kobiet są niemożliwe. To wprowadza nierówność ochrzczonych.

Kościół katolicki zawsze wierzył, że mężczyźni i kobiety są równi. Żaden ortodoksyjny teolog nigdy nie zaprzeczył równości kobiet. Rzymianie i Grecy w zasadzie temu zaprzeczali, więc wiara w równość jest jednym z triumfów chrześcijaństwa. Z kolei wyświęcenie na kapłana nie czyni nikogo lepszym. Kapłan odgrywa rolę we wspólnocie, ale jest to rola służebna, a nie nadrzędna. Chrześcijaństwo rozkoszuje się różnicą w równości. Prawdą jest, że nieustannie staramy się zrozumieć naturę różnicy, ponieważ łatwo ześlizguje się ona w nierówność. Kwestia natury różnicy płci jest złożona i myślę, że jesteśmy dopiero na początku prób jej zrozumienia. Co najważniejsze, kapłan nie jest na obraz Boga. Księga Rodzaju mówi: „Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz, na obraz Boży go stworzył: stworzył mężczyznę i niewiastę" (Rdz 1, 27). Nikt z nas sam w sobie nie jest obrazem Boga, jesteśmy nim w naszej relacyjności i wzajemnej miłości.

Czy możemy spekulować, gdzie dziś urodziłby się Jezus? Co jest zapomnianą prowincją naszego obecnego świata – obóz uchodźców na Lesbos, Sudan?

Narodziny Jezusa nie były tylko narodzinami jednostki. Było to wypełnienie obietnicy danej Abrahamowi, że za sprawą jego potomstwa wszyscy będą błogosławieni. Jego narodziny były przygotowywane przez setki pokoleń. Uwielbiam genealogię, od której zaczyna się Ewangelia Mateusza! Jezus jest więc owocem wyjątkowej historii, która ciągnie się przez całą historię Izraela, co najmniej tysiąc lat. W tym sensie Jezus nie mógł po prostu urodzić się gdziekolwiek. Ale ze względu na Jego narodziny i objęcie przez Niego całej ludzkości każdy chrzest jest jak małe narodziny Jezusa, maleńkie wcielenie! Zatem Jezus rodzi się w Sudanie, Lesotho, Krakowie, a nawet w Oksfordzie za każdym razem, gdy chrzczone jest dziecko.

Czy mogły istnieć inne próby zbliżenia się Boga do ludzkości, inne wcielenia lub manifestacje miłującej bliskości, które nie były ograniczone tylko do Izraela jako narodu wybranego?

Napięcie między uniwersalizmem a partykularyzmem istniało od samego początku. Abraham został powołany przez Boga do dania początku narodowi wybranemu, który jednak miał być błogosławieństwem dla wszystkich narodów. Tomasz z Akwinu powiedział, że każda prawda, niezależnie od tego, przez kogo jest wypowiedziana, pochodzi od Ducha Świętego. Istoty ludzkie są stworzone do prawdy i mamy do niej głęboki instynkt. Każdy, kto szuka prawdy, niezależnie od tego, czy jest wierzący, czy nie, jest naszym sprzymierzeńcem i przyjacielem Boga. W całej historii i na całym świecie były osoby, które dzięki darom świętości i inteligencji były dostrojone do boskości i które mają wiele do przekazania ↦

nam, chrześcijanom, w naszych poszukiwaniach. Kościół naucza, że łaska Boża nie ogranicza się do Kościoła, a pierwsi Ojcowie, tacy jak Justyn Męczennik w II wieku, mówili o tym, że nasiona Słowa Bożego były obecne we wszystkich kulturach. Mimo to wierzymy, że Bóg wkroczył w historię ludzkości w wyjątkowy sposób w Jezusie. Bóg nie jest jak przybysz z kosmosu, który składa okresowe wizyty!

Wcielenie nie zakończyło się wraz ze śmiercią Jezusa, wierzymy, że kontynuuje On swoją cielesną obecność. W pierwszych tysiącleciach było to postrzegane głównie jako kontynuacja wcielenia Boga w Jego Kościele. Kościół jest więc cielesną obecnością Boga. Jak dostrzec Boga w Kościele, w którym widzimy strukturalny grzech i który jest w kryzysie?

W Chrystusie Bóg przyjął nas takimi, jakimi jesteśmy, słabymi i silnymi, grzesznymi i świętymi. Pomyśl tylko: Jezus wybrał na Skałę swojego Kościoła Piotra, który się Go zaparł. Stolica Apostolska opiera się zarówno na Piotrze, jak i na Pawle, a Paweł był mordercą chrześcijan przed swoim nawróceniem. Jezus powiedział: „Przyszedłem powołać grzeszników, a nie sprawiedliwych" i nadal to czyni. Kościół zawiódł radykalnie w kryzysie nadużyć seksualnych, ale przede wszystkim starając się ukryć nasz grzech i chronić instytucję, zamiast dbać o tych, których skrzywdziliśmy. Ale Kościół od samego początku był miejscem świętych i grzeszników. Gdyby był tylko dla dobrych, byłby maleńkim klubem, do którego nikt z nas nie chciałby należeć!

Sobór Watykański II odnowił w Kościele pojęcie znaków czasu i przedstawił jako metodę niesienia Ewangelii współczesnemu światu. Jakie są znaki naszych czasów, w które musimy wnieść Ewangelię?

Bez wątpienia są to zmiany klimatyczne. Zdaje się, że dryfujemy w kierunku katastrofy, a politykom brakuje woli, by stawić jej czoło. Jeśli będą działać tylko w perspektywie krótkoterminowej, nie będzie żadnej perspektywy długoterminowej. Papież Franciszek opublikował na początku Synodu adhortację „Laudate Deum". Spotkaliśmy się, gdy na Ukrainie wciąż szalała wojna, a czwartego dnia Synodu Hamas dopuścił się straszliwych okrucieństw. Podczas Synodu byliśmy coraz bardziej świadomi wybuchającej przemocy – w Mjanmie, Sudanie, wielu krajach Afryki. Wzrost przemocy jest owocem wielu rzeczy, przede wszystkim nierówności. Nierówność zarówno wewnątrz narodów, jak i między nimi niszczy poczucie przynależności do tego samego gatunku, naszego wspólnego człowieczeństwa. Innym źródłem przemocy jest zanik poczucia prawdy, dryfowanie w kierunku „mojej prawdy" i „twojej prawdy". Nasze społeczeństwo, napędzane fałszywymi wiadomościami, uproszczonymi sloganami i szalonymi teoriami spiskowymi, nieuchronnie podsyca przemoc. Dlatego zadaniem dzisiejszego Kościoła jest pielęgnowanie Tego, który jest Prawdą, nawet jeśli możemy rozumieć tę prawdę inaczej.

YANNICK COUPANNEC / LEEMAGE / CORBIS / GETTY IMAGES

TIMOTHY RADCLIFFE jest dominikaninem, wieloletnim profesorem Nowego Testamentu na Uniwersytecie Londyńskim.
Były generał zakonu dominikanów. Autor bestsellerowych książek z dziedziny duchowości. Przed obradami Synodu o synodalności poprowadził rekolekcje dla jego uczestników.

Kiedy Kościół spotkał się na II Soborze Watykańskim, nadal był w przeważającej mierze europejski w swoim myśleniu, troskach i przywództwie. Teraz jesteśmy w czasie wyjątkowego procesu synodalnego Kościoła bardziej zróżnicowanego, tworzonego w dużej mierze przez mieszkańców Ameryki Południowej i Afryki. Co ta zmiana daje Kościołowi?

Na Synodzie zauważyliśmy również wzrost znaczenia Azji! Połowa ludzkości to Azjaci! Ich głos był silny i inspirujący. Wielu z nas, ludzi Zachodu, pojechało na Synod ze swoją agendą, z naszymi najważniejszymi kwestiami, w których chcieliśmy dokonać zmian. Jest to słuszne i dobre. Ale kiedy słuchaliśmy uczestników z całego świata, coraz bardziej zdawaliśmy sobie sprawę, że te kwestie są czymś innym dla ludzi z pozostałych części świata. Po upadku muru berlińskiego w 1989 r. wydawało się, że wkroczyliśmy w nową erę pokoju, a Francis Fukuyama napisał swoją książkę o „Końcu historii". Wyglądało na to, że w tym nowym świecie wszyscy zmierzają w kierunku zachodniej liberalnej demokracji. Reprezentowaliśmy uniwersalną przyszłość. Ale myliliśmy się!

Wkraczamy w świat wielobiegunowy, z rosnącymi w siłę Indiami i chińską Inicjatywą Pasa i Szlaku (nowego Jedwabnego Szlaku), która obejmuje ponad połowę światowej populacji. Wiele osób na Globalnym Południu uważa Zachód za upadający i słaby. Tak więc, kiedy spotykamy się na Synodzie, starając się być Kościołem jednym i katolickim, my z Zachodu musimy stracić pewną arogancję, starając się poznać Chrystusa poprzez Jego braci i siostry z całego świata i z różnych czasów. Musimy słuchać z otwartymi umysłami i sercami. Kwestie, które przynieśliśmy na Synod, są słuszne i dobre, i nie możemy ich porzucać. Jednak możemy je zrozumieć z pomocą naszych braci i sióstr, którzy widzą rzeczy zupełnie inaczej.

Współczesne społeczeństwo w wielu kwestiach różni się od tego, co jest obecnie akceptowane w Kościele. Czy powinniśmy z pokorą uczyć się o emancypacji kobiet i osób LGBTQ+, czy też walczyć w obronie naszych chrześcijańskich prawd, które do tej pory nie pozwalały im być równymi?

Jak powiedziałem wcześniej, równość kobiet i mężczyzn zawsze była nauczana przez Kościół, ale niewątpliwie prawdą jest, że musimy się jeszcze wiele nauczyć o tym, co to oznacza.

Tak często jest, że otrzymujemy z Ewangelii i Tradycji wspaniałe prawdy, ale mamy tylko mały przebłysk tego, co one naprawdę oznaczają. Wierzymy, że Bóg jest miłością, ale dopiero zaczynamy rozumieć, co to znaczy. Dlatego powinniśmy być otwarci na uczenie się od każdego, kto może nas uczyć, niezależnie od tego, czy podziela naszą wiarę, czy nie. A jeśli okażemy tę pokorę, oni również mogą być otwarci na uczenie się od nas o głębokiej tajemnicy miłości, którą otrzymaliśmy w Ewangeliach. Papież Franciszek wielokrotnie podkreślał, że Kościół jest domem dla wszystkich. To sprawia, że ludzie obawiają się, że wyrzekniemy się nauk Kościoła, zwłaszcza jeśli przyjmiemy osoby LGBTQ+. To nie tak. Jeśli otworzymy nasze serca i życie na ludzi i będziemy ich kochać, wtedy lepiej zrozumiemy nauki Kościoła, ponieważ nigdy nie mogą one ograniczać naszej miłości. Jeśli tak sądzimy, to źle je zrozumieliśmy.

Krótko mówiąc, czy wcielenie się w teraźniejszość lub odczytywanie znaków czasu może sprawić, że Kościół zmieni się bardziej, niż się spodziewaliśmy?

Tak! Kościół z pewnością zmieni się w sposób, którego nie możemy teraz przewidzieć. Tak działo się zawsze. Najpierw nastąpiło to wraz z przyjęciem pogan, o którym czytamy w Dziejach Apostolskich. Stało się to następnie wraz z nawróceniem cesarza Konstantyna, kiedy chrześcijaństwo przestało być prześladowane, a także podczas Reformacji i II Soboru Watykańskiego. Mógłbym tak wymieniać w nieskończoność! Ale kiedy spojrzymy wstecz, możemy dostrzec, że mimo wszystko istnieje ciągłość. Św. John Henry Newman mówił, że czasami uświadamiamy sobie działanie Bożej opatrzności w naszym życiu dużo później. To, co wyglądało na odrzucenie tradycji, okazuje się być jej głębszym zrozumieniem, rozwojem wiary. Jak w naszym życiu. Spoglądam wstecz na moje dzieciństwo – na małego, nieśmiałego chłopca, żyjącego w dużej, uprzywilejowanej rodzinie. Ten mały chłopiec wydaje się bardzo różnić od starego brata dominikanina, którym się stałem. A jednak przez cały ten czas stawałem się sobą. Owszem, popełniając błędy i dokonując złych wyborów, ale mam nadzieję z łaską Bożą, na drodze do powolnego stawania się osobą, do bycia którą wzywa mnie Bóg. Tak jest z każdym z nas i tak samo jest z Kościołem. Być może czekają nas wielkie zmiany, ale później zobaczymy, że nie są one odrzuceniem tradycji, ale raczej jej wypełnieniem. Nie musimy się martwić. Duch Święty prowadzi nas do całej prawdy!

© Rozmawiała ZUZANNA RADZIK

A gdyby nam się nie narodził?

RYSZARD KOZIOŁEK

Czternastolatka w ciąży wcale nie musiała chcieć zmierzyć się z samotną ciążą i porodem pośród nietolerancyjnej, religijnie ortodoksyjnej społeczności Izraela.

I CARRY THE CROSS, IF VIRGIN MARY HAD AN ABORTION / *I'd still be carried in the chariot by stampeding horses / Had to bring it back to New York / I'm happy that the streets is back in New York / For you rappers, I carry the cross*" – mówi w utworze „The Cross" raper Nas. Zostawiam bez tłumaczenia. Nie dlatego, że nie trzeba, ale tak łatwiej mi obcować z tym, co raz pomyślane, wypowiedziane i napisane nie pozwala się już odzobaczyć i odmyśleć. Filtr obcego języka sprawia, że nie do końca wiem, co mówię.

Kiedy jednak wypowiadam te słowa w myślach po polsku, przejmuje mnie dziwny niepokój. Być może to pozostałość świętej grozy, jaka ogarniała człowieka, kiedy ten naruszał granicę oddzielającą go od spraw świętych.

Decyzja

Czego się obawiam – ćwiczony przez dziesiątki lat przez literaturę w wypowiadaniu wszystkiego, co potrafi ludzki język? Chyba samego dopuszczenia do świadomości, że mogło tak być, mogło Go nie być. Przypuszczenie absurdalne z punktu widzenia wierzącego chrześcijanina, dla którego u początków historii Zbawienia nie ma mowy o przypadku. Po prostu, Bóg, interweniując w historię, znosi przypadek; nie ryzykuje, ale decyduje o biegu rzeczy. Niby tak. Wybierając Marię, nie pyta jej o zdanie, czy chce być w ciąży, ale oznajmia jej za pośrednictwem anioła, że będzie i że urodzi syna. Opis Zwiastowania jest lapidarny, wydaje się jednak, że mimo Boskiej wszechmocy, Maria dysponuje jakimś przyczółkiem wolności, ponieważ dopiero kiedy się zgadza, anioł odchodzi. Czy Bóg potrzebował zgody Marii? Tak. Nawet jeśli nie na poczęcie, to na urodzenie Jezusa z pewnością.

Z naturą łatwiej Bogu sobie poradzić niż z ludzką wolnością, niemniej nawet bardzo niekompletna wiedza o demografii urodzeń w wiekach przednaukowych pokazuje, że ryzyko przeżycia Jezusa było mniejsze niż możliwość jego śmierci na skutek poronienia, powikłań porodowych lub chorób dziecięcych. Natura hojnie szafuje wszelkimi, także ludzkimi istnieniami, testując zdolności adaptacyjne poszczególnych gatunków. Zanim nie przerwaliśmy tego hazardu wynajdując naukę i higienę, przez wieki umieralność niemowląt przekraczała ich przeżywalność. Jeszcze w XVII wieku we Francji połowa dzieci umiera przed 15. rokiem, a średnia długość życia wynosi tam ↦

↦ 25-30 lat. Możemy prawdziwie przypuszczać, że półtora tysiąca lat wcześniej nie było lepiej.

Większe ryzyko dla planu zbawienia ludzkości tkwiło jednak w wolności Marii – niezamężnej czternastolatki w ciąży, która wcale nie musiała chcieć zmierzyć się z samotną ciążą i porodem pośród nietolerancyjnej, religijnie ortodoksyjnej społeczności. Zwłaszcza że Żydzi przed Chrystusem znali i korzystali z różnych sposobów kontrolowania urodzeń. Jak pisze John M. Riddle, „w źródłach hebrajskich, greckich i łacińskich znajduje się wiele przykładów poruszających tematykę aborcji i antykoncepcji, przy czym w starożytności nie ma zgody co do tego, kiedy antykoncepcja potencjalnie płodnego współmałżonka oraz przerywanie ciąży po zapłodnieniu były moralnie złe" („Contraception and Abortion from the Ancient World to the Renaissance").

Co szczególnie intrygujące, w starohebrajskim podejściu do zagadnienia antykoncepcja była przywilejem kobiet. Część interpretacji rabinicznych tłumaczyło nakaz „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się" (Rdz. 1, 28) jako odnoszący się wyłącznie do mężczyzn. Ukaranie śmiercią biblijnego Onana potwierdzało takie rozumowanie. Za to kobiety były zwolnione z bezwarunkowego podporządkowania się nakazowi płodności, co otwierało furtkę dla antykoncepcji i przerywania ciąży. Problem, którego starożytni nie potrafili i nie mogli zadowalająco rozstrzygnąć, był taki sam jak nasz. Mianowicie, od kiedy zaczyna się pełne ludzkie życie; ile czasu trwa okres między poczęciem a powstaniem pełnej ludzkiej istoty. To właśnie ten sporny przedział uznawano więc za dopuszczalny na przerwanie ciąży.

„Pomiędzy poczęciem a »ożywieniem« istniało okno dla działania kobiety. Z tego powodu antykoncepcja i wczesne aborcje były dopuszczalne. Hebrajskie prawo religijne dopuszczało je w okresie do trzydziestu dni, zanim płód był potencjalnie zdolny do życia. Kobiety nie można było uważać za ciężarną aż do czterdziestego dnia po poczęciu" – pisze wspomniany John M. Riddle.

Jeśli Boga nie ma – wolno nam jeszcze mniej

Spekulacje, czym byłby świat bez Chrystusa, nie mają sensu. Historii kontrfaktycznej w tej skali nikt nie jest w stanie pomyśleć, a tym bardziej napisać. Nie umiem poważnie przejąć się możliwością historii bez chrześcijaństwa, bo najzwyczajniej nie potrafię jej sobie wyobrazić. Podobnie, jak nie przeraża mnie najważniejsze pytanie metafizyczne, zadane przez Leibniza, dlaczego raczej istnieje coś niż nic? Nie potrafię pomyśleć niczego. Ale już siebie niezaistniałego wyobrażam sobie z łatwością, podobnie jak niezaistnienia każdej innej istoty. A to przeraża mnie o wiele bardziej niż nieistnienie wszechświata.

Stawiam sobie przed oczy ten skandal możliwego nieistnienia Jezusa, ponieważ w nieskończonym sporze, jaki toczymy o prawo do indywidualnego zaistnienia jednostki ludzkiej i o to, kto powinien to prawo posiadać, szczególnie przygnębia mnie nasze tchórzostwo intelektualne i moralne. Przygnębia, ale nie dziwi. Szekspir opłakujący syna Hamleta, Kochanowski Urszulę (bardziej) i Hannę (mniej), Bach – trzynaścioro zmarłych dzieci spośród dwudziestu poczętych, miliardy rodziców od początku świata, którzy stracili dzieci – wszyscy oni mogli mieć o to żal do bogów lub do natury. My, nowocześni i świecko wyedukowani, przerzuciliśmy niemal całą winę na siebie. Za obciążenia genetyczne, przebieg ciąży i porodu, warunki szpitalne, błędy w sztuce, za porażki macierzyństwa, rodzicielstwa, edukacji. Uwikłaliśmy się w absolutną odpowiedzialność za pojedyncze życie, której – poza ludźmi – nie ma z kim podzielić.

> Nie dowodów na Jego istnienie potrzeba, ale dowodów na istnienie chrześcijańskiego człowieka, którego historycznej możliwości dowiódł Chrystus.

Kiedy w serialu „Lioness" czternastoletnia córka głównej bohaterki traci w wypadku ciążę, o której nie wiedziała, matka chcąc ochronić ją przed poczuciem winy, mówi, że Bóg tak chciał. Nie ma to najmniejszego sensu wobec braku jakichkolwiek religijnych składników ich życia. Ale psychologicznie jest uzasadnione świadomą troską matki o umysł bardzo młodej, inteligentnej i wrażliwej córki. Stoi za tym obawa przed uznaniem człowieka za istotę, która dysponuje wolnością oraz wiedzą o jej egzystencjalnych i moralnych konsekwencjach. Czyli za istotę tragiczną. Bo to właśnie wiedza tragiczna czyni z nas ludzi.

Przez lata edukacji systematycznie i systemowo rozbudowujemy świadomość; skłaniamy dzieci i młodzież do rozumienia i współodczuwania dylematów Antygony, Makbeta, bohaterów Borowskiego, Hanny Krall; uczymy podstaw genetyki. Krok po kroku stymulujemy egzystencjalną refleksję dojrzewającego, myślącego i czującego człowieka. I nagle, ze strachu przed trudnym darem wolności, jaki uświadomiliśmy młodym ludziom, przenosimy odpowiedzialność za nasze czyny na rozgniewanego Boga lub na okrutne państwo, które grozi więzieniem. Nie ma tak! Albo uznajemy, że natura, względnie Bóg mają przemożny wpływ na pojedyncze istnienie, albo jesteśmy znów bohaterami tragedii greckiej. Tymczasem współczesna, świecka pop-teodycea usiłuje umknąć prawdzie, że dobrzy ludzie także muszą robić złe rzeczy. I w tej sprawie przenosi całą odpowiedzialność na kobietę, chytrze zmieniając odpowiedzialność w „prawo do decydowania o własnym ciele".

Większość demokratycznych wspólnot uznała, że mniejszym złem jest dać sobie prawo do przerywania indywidualnego życia przed końcem trzeciego miesiąca jego rozwoju, niż zmuszać kobietę do urodzenia dziecka wbrew jej woli. To słuszne prawo, ale równocześnie wygodna fikcja, która urąga naszej wiedzy biologicznej i wrażliwości moralnej budujących w nas troskę o każde życie, także ludzkie. Dysponentem tego prawa nie jest przecież człowiek etycznie wydrążony, moralnie niefrasobliwy albo edukacyjny ignorant. A nawet gdyby był, to nie takiego chce każda pedagogika.

Odkąd możemy poznać genom naszego dziecka, stoimy u wrót nowej wiedzy, a przez to nowej odpowiedzialności za świat, jaki przekażemy swoimi ciałami naszym potomkom. Potrafimy dowiedzieć się nie tylko, w jaki sposób połączyło się DNA matki i ojca, aby stworzyć nowego człowieka, ale wiemy od niedawna, że dziedziczymy też wszystko, co żyje w naszych ciałach – od mikroorganizmów po technologie, których używamy.

ALI KHARA / REUTERS / FORUM

W szpitalu w Bamianie. Afganistan, 2 marca 2023 r.

Mylił się bohater Dostojewskiego, twierdząc w „Braciach Karamazow", że jeśli nie ma Boga, to wszystko jest dozwolone. Przeciwnie, wtedy człowiekowi wolno jeszcze mniej – przestrzegał Jacques Lacan. Bóg nie ma wyrzutów sumienia, natura podobnie. To są nasze, wyłącznie ludzkie, kłopoty z istnieniem.

Na początku było ciało

Świadomość tragiczna zawsze wypływa z wiedzy. Antygona, Edyp, Hamlet, Faust uświadamiają sobie, że w świetle tego, co wiedzą, każde rozwiązanie jest złe. Nasz tragizm jest bardziej prozaiczny, niemal codzienny, bowiem wiedza, która w wielkich tragediach była dostępna bogom i bohaterom, istnieje dla nas w powszechnym dostępie. Współczesna świadomość tragiczna ma dziś korzenie naukowe i wiodą one przede wszystkim do wiedzy o przyrodzie. Nowoczesne przyrodoznawstwo miało dwóch ojców. Nigdy się nie spotkali, choć młodszy czytał starszego. Gdyby doszło do spotkania... niewiele by się zmieniło, jedynie historia nauk przyrodniczych trochę by przyspieszyła.

Karol Darwin odkrył prawo, które zapewnia życiu dalsze życie. Fundamentem tego procesu jest ciągła, funkcjonalna zmiana zachodząca w żywych organizmach pod wpływem zmieniającego się środowiska. Darwin nie pojmował jednak, w jaki sposób indywidualne osobniki mają w sobie całą historię rozwoju gatunku, do którego należą. Skąd taka larwa gąsienicznika wie, jak wyżreć od środka gąsienicę omijając przy tym jej układ nerwowy, aby „spiżarnia" pozostała żywa? Po prostu nie znał genetyki; nie wiedział, że całe DNA jest kopiowane przy każdym podziale komórkowym. Nie mógł jej znać, bo jeszcze nie istniała. Ale mógł wybrać się do Brna, do klasztoru augustianów, którego przeorem był Georg Mendel. Darwin nie rozumiał prawa dziedziczenia, za to Mendel zrozumiał, czego zabrakło Darwinowi. Opisał to w pracy o grochu zwyczajnym, którą opublikował w 1866 r. pt. „Badania nad mieszańcami roślin".

Dzięki odkryciom Mendla rozumiemy, że płeć Jezusa zależała od męskich chromosomów XY, które połączone z chromosomami Marii XX przyjęły układ XY tworząc chłopca. Dzięki Darwinowi zaś wiemy, że Chrystus – Bóg i człowiek zarazem – przejął w swoim genomie całą historię życia na Ziemi. Niech sobie teologia przy pomocy mikrobiologii rewitalizuje zakurzone dysputy teologiczne o boskiej i ludzkiej naturze Chrystusa czy niepokalanym poczęciu Marii. Dziś sedno tych sporów przeszło z teologii do biologii, a właściwie do genetyki, która odsłania nowe zaskakujące perspektywy dla teologii. Dzięki badaniom, które prowadził Shinya Yamanaki (Nagroda Nobla 2012), wiemy, że z każdej komórki ludzkiej można uczynić komórkę embrionalną. Bóg, niczym inżynier genetyczny, mógł z komórek Marii stworzyć zarówno plemniki, jak i komórki jajowe, dokonać następnie stosownej modyfikacji kodu Jezusa i zaprojektować człowieka doskonałego lub mocno poprawionego.

Zapowiada się poważna praca dla jakiejś chrystogenologii, z której się nie tylko nie naigrawam, ale jej niecierpliwie oczekuję jako wsparcia dla rozważań całkowicie antropologicznych. Teologia była i może znów być pomocna dla wyobraźni, kiedy ta usiłuje sprostać nowej wiedzy o człowieku i odpowiedzieć na najbardziej podstawowe pytanie: kim jestem jako pojedyncze ludzkie istnienie? Ewangeliczna opowieść o wcieleniu Boga w człowieka i jego zmartwychwstaniu w ciele zmieniła fundamentalnie nasz stosunek ↦

do ludzkiego ciała, niezwykle je nobilitując. To już nie pojemnik czy więzienie nieśmiertelnej duszy, ale psychofizyczny konglomerat niemożliwy do rozdzielenia na umysł i ciało. Biologia komórkowa potwierdziła tę personalistyczną koncepcję istoty ludzkiej. Nie jakaś specjalna część – oczy, mózg czy serce – ale każda, najbardziej nawet nieznacząca komórka zawiera w sobie cały projekt kompletnego człowieka.

Przy okazji jednak nauki biologiczne zdewastowały nasz słownik humanizmu. Nie potrafimy w sposób pewny i bezdyskusyjny zdefiniować takich pojęć jak: dziecko, rodzice, tożsamość, indywidualność, dziedziczenie, ewolucja, kobieta, mężczyzna, człowiek. Mylił się Jędrek Kudasik, kiedy pytał i odpowiadał: „Cym ześ cłeku jest? Mos noge, aleś przecie nie nogom. Mos brzuch, aleś przecie nie brzuchem. Mos płuco, aleś przecie nie płucem. Do reśty mos i ciało, aleś przecie nie ciałem. No to cymeś? Dusom – ześ cłeku, dusom, a nie ciałem" (Józef Tischner „Historia filozofii po góralsku").

Cały kompletny człowiek z duszą jest w nodze albo w brzuchu, albo w płucu.

Kto mnie pozna?

Jesteśmy generacją histeryków. Histeryk nieustannie pyta „kim jestem?" i żadna odpowiedź go nie satysfakcjonuje; żadnej nie ufa, gdyż żadna nie ogarnia naturalnego popaprania naszych osobowości; niejednorodnych emocji i przekonań każdego z osobna i wszystkich pospołu. Globalnej niepewności skwapliwie wychodzi naprzeciw polityka tożsamościowa oferując „bańki do wynajęcia" – narodowe, genderowe, prawackie, lewackie, konsumenckie, fandomowe albo po prostu reżim i przemoc, według starej i odnowionej zasady: czyja władza, tego tożsamość.

Potężnym katalizatorem histerii nietożsamości stały się media społecznościowe, które pomnażają nasze istnienie w niekończące się reprezentacje i manifestacje. Naszą indywidualistyczną pychę dobiły generatory AI, które będą mogły symulować każdego. W tej sytuacji nie sposób sobie wyobrazić, jak dowieść odrębności własnego istnienia, poza odrębnością danych biometrycznych. Wielki prorok nowoczesności, twórca pozytywizmu i nauk społecznych August Comte stwierdził, że jednostka to abstrakcja, a rzeczywiste jest tylko to, co społeczne. Po romantycznym kulcie jednostki było to zdanie szokujące. Dziś już nie protestujemy, z beznadzieją dryfując na topniejącej krze indywidualizmu. Może jedynie literatura jeszcze wierzga.

Stefan Szymutko, obsesyjnie badający relację indywidualne/powszechne, miał w powieści „Słowo i ciało" Teodora Parnickiego swój ukochany cytat. Jej bohater, Chozroes, pisze listy-treny do nieżyjącej Markii, próbując w nich wskrzesić ją dla siebie z niepewnych źródeł o jej życiu i śmierci, z plotek i kłamstw na jej temat. Nie potrafi. Zrozpaczony pisze: „Jesteś sobą, tylko sobą – raz jesteś, jedyna niepowtarzalna. Jesteś Markią z Anagnii – połową marzenia miłosnego dwojga Seleukijczyków znad Tygrysu, kontrolera mennicy i córki urzędnika monopolu solnego".

To rozpaczliwe zdanie jest pragnieniem, aby słowem sprostać ciału, które kiedyś było, ale już go nie ma i tak niewiele po nim zostało. A nawet gdyby trafiło do archiwum zawierającego siatkówkę oka, odciski palców, kompletny genom, czy wydobyłyby one Markię spośród miliardów istnień i pokazały ją taką, jaką kocha Chozroes? Tak, wiem, miliardy fotografii puchnących w smartfonach i na kontach społecznościowych dokumentują uporczywie nasze istnienia. Ale to tylko jeszcze jeden koronny dowód tożsamościowej histerii. Zresztą, oglądanie własnych fotografii tylko mnoży wątpliwości. Widzę na nich czoło babki Milki, oczy ojca, usta mamy, nos wujka Zbyszka. A już ta z dzieciństwa, na której trzymam kurę? Pucołowaty blondynek z własnej prehistorii, do której moja pamięć nie ma dostępu.

przed lustrem twarz odziedziczona
worek gdzie fermentują dawne mięsa
żądze i grzechy średniowieczne
paleolityczny głód i strach
jabłko upada przy jabłoni
w łańcuch gatunków spięte ciało

Zbigniew Herbert,
„Pan Cogito obserwuje w lustrze swoją twarz"; fragment

„No, już starczy tej histerii – mówi w mojej głowie z anglosaską flegmą biskup Berkley. – Być to być postrzeganym". Istnieję osobny i odrębny wtedy, gdy jestem postrzegany nieobiektywnie, czyli nie jak rzecz. To skierowane na mnie cudze spojrzenie, uwaga, ciekawość, emocje wyodrębniają mnie z powszechnego istnienia. Ten, kto podejmuje wysiłek, żeby widzieć we mnie więcej i godzi się z tym, co widzi i co o mnie wie, wyodrębnia mnie najbardziej; czyni osobnym, czyli osobą. Tylko z miłości może znieść mnie całego.

Dzień bez pytań

„– Jakkolwiek było, jakoś przecież było" – wspiera Berkleya Parnicki. Toteż porzucam nużące dywagacje: był czy nie był? istnieje nie istnieje? zmartwychwstał czy nie? Kto wierzy, to wierzy, i basta. Ale żeby dowodów dostarczać za lub przeciw, to dla obu stron stało się jakoś żenujące. Pozbawiliśmy te pytania sensu. Ostatnim, który skłonił świat do ich roztrząsania, był Dawkins, publikując „Boga urojonego". Pytanie o istnienie Boga od jakiegoś czasu podnoszą fizycy antropiści – późne wnuki deistów oświeceniowych. Ale dla jednych

OGŁOSZENIE

Redakcji, Klubowiczom, Przyjaciołom, Sympatykom oraz Czytelnikom „Tygodnika Powszechnego" życzenia dobrych, spokojnych, pełnych miłości i nadziei Świąt Bożego Narodzenia.

Niech nadchodzący czas przyniesie ukojenie i radość, zawiesi wszelkie spory, wprowadzi zrozumienie i pokój w nadchodzącym 2024 roku.

Życzą koordynatorki i koordynatorzy Klubów „Tygodnika Powszechnego"

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA
KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

REKLAMA

LIVE IN CONCERT

ANDREA 30TH BOCELLI

ANNIVERSARY

24 SIERPNIA 2024

PGE NARODOWY, WARSZAWA

BILETY: BILETSERWIS.PL

ALMUD MAVERICK UNIVERSAL UNIVERSAL MUSIC GROUP KMM Klassics Music Management

Prestige MJM · BILET SERWIS · PGE NARODOWY · REGENT WARSAW HOTEL · ZET radio · RZECZPOSPOLITA · onet · VIVA! · TYGODNIK POWSZECHNY · proart · VIXON

REKLAMA

Poczuj

Nienawiść do literatury

słowo/obraz terytoria

↦ i drugich Bóg to brakujący element hipotezy ontologicznej, a nie Zbawiciel świata. Nie to jest dziś problemem, kto zbudował dom, w którym mieszkamy – świat i pojedyncze ciało – ale czy mieszka z nami nadal lub tylko wpadł na chwilę.

Istnienie Chrystusa jest historycznym faktem. Urodził się i umarł. Jego genom pozostaje tajemnicą. Odkryty i zsekwencjonowany zakończy lub unieważni większość dotychczasowych kwestii chrystologicznych i otworzy następne, na czele z pokusą replikacji. Dla dziejów chrześcijaństwa będzie to bez znaczenia. Tajemnicą nierozwiązaną pozostanie Jego indywidualna osobowość, która zaistniała raz i nigdy jej już więcej nie będzie. To Jego sposób bycia z ludźmi nadał siłę tekstom Ewangelii. Nie wszystkie były ponad wszelką wątpliwość Jego słowami. Ale nawet gdyby Chrystus autoryzował Ewangelie, najważniejsze pozostaną opisane w nich Jego wielkie gesty przekraczania granic: nienawiści, wrogości, niechęci, obojętności – rozmowa z Samarytanką, wizyta u Zacheusza, scena z Jawnogrzesznicą, przebaczenie Piotrowi. Prawda bycia przeciw prawdzie pisma.

Dziś jeszcze lepiej rozumiemy ten konflikt, gdy przekaz kościelny staje się na naszych oczach martwą literą, a nawet gorzej, bo fasadą, którą osłaniają się hipokryci, cynicy, a nawet przestępcy – przy milczącym przyzwoleniu większości chrześcijan. Dlatego przyszłość chrześcijaństwa nie będzie oparta na kwestii istnienia czy nieistnienia Boga; nie dowodów na Jego istnienie potrzeba, ale dowodów na istnienie chrześcijańskiego człowieka, którego historycznej możliwości dowiódł Chrystus. Ta możliwość oznacza sprostanie nakazowi miłości bliźniego, którym może być także nieprzyjaciel. Tylko kruche, nietrwałe, pojedyncze ludzkie ciało może być dowodem w sprawie wiarygodności tego zobowiązania. Ciało czytelniczki, wyznawcy, aktywistki, przyzwoitego człowieka, którzy starają się postępować dosłownie jak On, dokonując tym samym epigenetycznej replikacji zachowań ewangelicznych, transmitowanych w kolejne pokolenie. Jeśli wielkie gesty Jezusa nie mają stać się zapomnianym językiem wymierającej kultury chrześcijańskiej, muszą odnawiać się poza Kościołem, a nawet poza religią; wszędzie, gdziekolwiek, ot tak:

W pierwszej z brzegu ustroni
– w pierwszej kwiatów powodzi
I zdziwiło nas bardzo, że tak biednie przychodzi.
Ubożeliśmy chętnie – my i nasze zdziwienie...
A on – patrzał i patrzał... Cudaczniało istnienie...
Zrozumieliśmy wszystko! – I że właśnie tak trzeba!
I że można – bez szczęścia... I że można – bez nieba...
Tylko drobnieć i maleć od nadmiaru kochania.
A to była odpowiedź, i nie było – pytania.

Bolesław Leśmian, „Dzień skrzydlaty"; fragment

© RYSZARD KOZIOŁEK

Korzystałem z: Carl Zimmer „Śmiech ma po matce. Tajemnice genów", przeł. M. Fafiński.

Legenda o dzieciństwie Jezusa

MARCIN MAJEWSKI

Ewangeliści nie usiłowali rekonstruować faktycznego stanu rzeczy. Stworzyli katechezę, która odpowiadała na pytanie: kim jest Jezus?

Dwa pierwsze rozdziały zarówno w Ewangelii Mateusza, jak i Łukasza są potocznie nazywane ewangelią dzieciństwa. To z tych opowiadań (Mt 1-2 i Łk 1-2) dowiadujemy się o narodzinach Jezusa w Betlejem i ich cudownych okolicznościach.

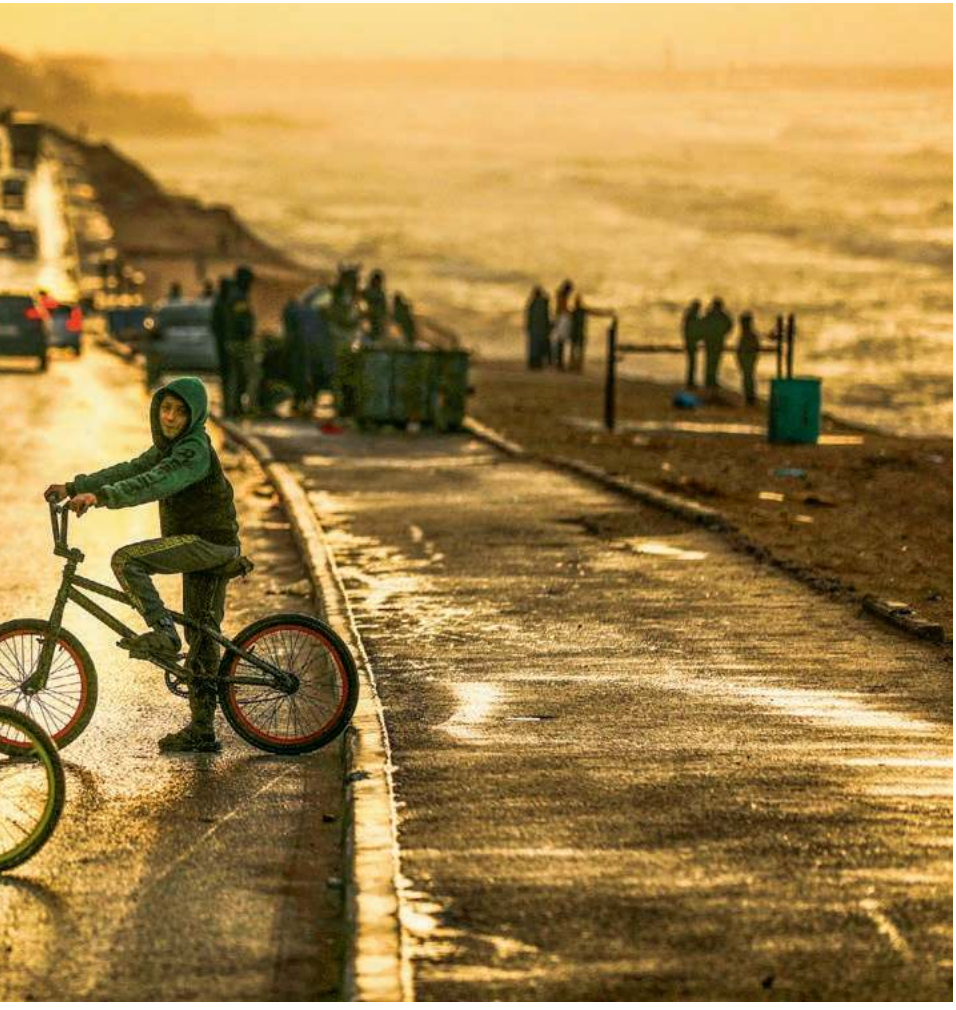

MAJDI FATHI / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Palestyna, styczeń 2022 r.

Czytamy tu o mędrcach, którzy przybyli ze wschodu, o gwieździe, która zatrzymała się nad Betlejem, o przerażeniu Jerozolimy na wieść o narodzeniu Króla żydowskiego, o rzezi niewiniątek, o ucieczce świętej rodziny do Egiptu (to w Ewangelii Mateusza) czy o spisie ludności w cesarstwie rzymskim, o wędrówce z Nazaretu do Betlejem brzemiennej Maryi, o porodzie w grocie dla zwierząt, o objawieniu się anioła pastuszkom, ich pokłonie Jezusowi i o proroctwie Symeona (to w Ewangelii Łukasza). Znamy te teksty od dziecka, celebrujemy je w święta Bożego Narodzenia, choćby śpiewając liczne kolędy utkane z tych dramatycznych, ale i wzruszających scen.

Coraz częściej jednak współczesny czytelnik zadaje pytanie o historyczność tej części Ewangelii. Być może intuicyjnie wyczuwamy, że takie nagromadzenie cudowności i niezwykłości upodabnia ją bardziej do legendy czy baśni niż do literatury faktu.

I rzeczywiście, klimat niesamowitości, który towarzyszy tym opowiadaniom, znika w trzecim rozdziale obu ewangelii, gdy mowa jest o początkach działalności Jezusa. Dwie pozostałe ewangelie kanoniczne – Marka oraz Jana – w ogóle nie zawierają tzw. ewangelii dzieciństwa: rozpoczynają od wystąpienia Jana Chrzciciela i Jezusa już jako dorosłych. Podobnie pierwotna katecheza chrześcijańska zaczynała od ukazania publicznej działalności dorosłego Jezusa (zob. np. mowy zawarte w Dziejach Apostolskich). A zatem pierwotne nauczanie o Jezusie nie zawierało żadnych opowiadań czy nawet aluzji do jego narodzin i dzieciństwa. O wydarzeniach z Nazaretu czy z Betlejem nie opowiadano ani za życia Jezusa, ani długo po jego śmierci. Najważniejszy był przekaz o jego dziełach i czynach, jego śmierci i zmartwychwstaniu.

Dopiero z czasem wśród pierwszych chrześcijan zrodziła się potrzeba dowiedzenia się więcej nt. dzieciństwa Jezusa. Przecież opowiadaniom o wielkich postaciach często towarzyszyły narracje o ich zrodzeniu w cudownych okolicznościach. Czy z Jezusem było podobnie? Potrzeba dowiedzenia się czegoś więcej nt. narodzin Jezusa wynikała być może ze zwykłej ciekawości, a być może z konieczności polemiki z gnostykami. Ci bowiem twierdzili na przykład, że Jezus stał się Synem Bożym dopiero w trakcie chrztu w Jordanie. Jednym z celów ewangelii dzieciństwa mogło być zatem ukazanie Jezusa jako Boga już od samego początku – od jego narodzin.

Polemika z gnostykami nie była zapewne celem podstawowym. Nie ulega wątpliwości, że najważniejszą funkcją ewangelii dzieciństwa jest sformułowanie odpowiedzi na pytanie: kim jest Jezus? Chodziło o ukazanie go jako Mesjasza i Pana – Tego, który realizuje najważniejsze obietnice mesjańskie świętych Pism. Bibliści już dawno zauważyli, że w obu ewangeliach dzieciństwa mamy wyraźną nadreprezentację cytatów z Pierwszego Testamentu oraz wyraźnych aluzji do niego. Zarówno Mateusz, jak i Łukasz wskazują, że Jezus wypełnia Pisma. Cytują Pierwszy Testament o wiele częściej niż w pozostałych częściach ewangelii, powtarzając formułę: „A stało się to wszystko, aby się wypełniło słowo Pańskie powiedziane przez Proroka". Obaj nawiązują do psalmów mesjańskich (królewskich), ale przede wszystkim do zapowiedzi proroków Izajasza, Daniela, Malachiasza, Sofoniasza czy Micheasza. To wskazuje, że ewangelie dzieciństwa są uroczystym prologiem chrystologicznym do właściwej katechezy o Jezusie z Nazaretu, a nie relacją z wydarzeń wokół narodzin Jezusa. Gdyby potraktować je jako relacje, jako fakty historyczne – napotykamy wówczas na liczne nieścisłości i niezgodności.

Niezgodności między ewangeliami

Nie wiemy, skąd Mateusz i Łukasz czerpali swoje informacje nt. narodzin i dzieciństwa Jezusa – ale fakt, że obaj opisują je zupełnie inaczej (żadna opowieść nie powtarza się w ich wersjach!), świadczy, że była tu duża dowolność. Związki między Mateuszem i Łukaszem są niewielkie i ograniczają się do kilku podstawowych kwestii: Jezus urodził się w Betlejem z dziewicy Maryi, poślubionej Józefowi, ↦

↦ za panowania Heroda Wielkiego. I tyle. Wszystkie inne okoliczności, sceny i bohaterowie są całkowicie różni.

Najczęściej ujmuje się owe widoczne różnice tak, że Mateusz przedstawił narodziny Jezusa z perspektywy Józefa, Łukasz zaś z perspektywy Maryi. Istotnie, w Ewangelii Mateusza przedstawiany jest Józef i jego dylematy, to jemu objawia się anioł. W Ewangelii Łukasza jest inaczej, rozważane są dylematy i punkt widzenia Maryi i to jej objawia się anioł, ona zaś zachowuje „wszystkie te sprawy w swym sercu".

Zasadniczy problem nie tkwi jednak w tym, że obie ewangelie dzieciństwa tak mocno różnią się między sobą, ale w tym, że wydarzenia nie przystają do siebie i pojawia się wiele faktów wątpliwych historycznie.

Wątpliwości co do wersji Mateusza

Źródła zewnętrzne nie potwierdzają ani szczegółów, ani okoliczności opisanych w ewangeliach dzieciństwa. W żadnym z dokumentów historyków rzymskich czy żydowskich nie znajdziemy informacji o rzezi dzieci w Betlejem i jego okolicach czy o wędrującej gwieździe. Na jej temat milczą, o dziwo, ewangelista Łukasz oraz żydowski historyk Józef Flawiusz. Niezwykła gwiazda pojawia się za to jako motyw literacki opowieści o narodzinach wielkich osobistości, jak Aleksander Wielki czy cezar August. Istniało przekonanie, że przyjściu na świat niezwykłej postaci towarzyszą specjalne znaki na niebie. Gwiazda pojawia się też jako symbol mesjański i królewski tak w Biblii (np. Lb 24, 17), jak i poza nią. I to w tych znaczeniach używa symbolu gwiazdy autor Ewangelii.

Inne informacje z Ewangelii Mateusza, jak ta o wizycie Mędrców ze wschodu czy przerażeniu całej Jerozolimy, mają charakter wyraźnie legendarny. Opowieść o pokłonie Mędrców stanowi czytelną aluzję do Ps 72, 10-11: „Królowie Tarszisz i wysp przyniosą dary, królowie Szeby i Saby złożą daninę. I oddadzą mu pokłon..." oraz do Iz 60, 3-6: „I pójdą narody do twojego światła, królowie do blasku twojego wschodu... Do ciebie napłyną bogactwa zamorskie, zasoby narodów przyjdą ku tobie. Wszyscy oni przybędą ze Saby, zaofiarują złoto i kadzidło, nucąc radośnie hymny na cześć Pana".

> Pierwotne nauczanie o Jezusie nie zawierało żadnych aluzji do jego narodzin i dzieciństwa. Najważniejszy był przekaz o jego dziełach i czynach.

Wydaje się, że Mateusz inspiruje się tymi i podobnymi zapowiedziami biblijnymi oraz pozostającymi w tym samym klimacie oczekiwaniami apokaliptycznymi – i tworzy rodzaj hagady o przybyszach ze wschodu (hagady, czyli opowieści, która ma zaktualizować i wyjaśnić właściwy sens pism świętych). Niektórzy bibliści całą ewangelię dzieciństwa nazywają hagadą chrystologiczną.

Również wzmianka o przerażeniu całej Jerozolimy wespół z Herodem na wieść o narodzinach Mesjasza jest historycznie niewiarygodna. Żydzi nienawidzili Heroda i wieść o przyjściu Mesjasza raczej wywołałaby ich radość, a nie przerażenie. Odrzucenie Jezusa jako Mesjasza przez mieszkańców Jerozolimy, owszem, dokona się – ale nie w chwili jego narodzin, tylko w czasie jego publicznej działalności. I ten fakt ewangelista antycypuje w swojej opowieści w Mt 2. Do tego, gdyby Herod otrzymał informację o narodzinach Mesjasza, zapewne nie zdawałby się na obcych przybyszów, ale wysłał własnych ludzi do Betlejem, oddalonego przecież zaledwie kilka kilometrów od Jerozolimy. Król Judei – znany ze swej brutalności – nie czekałby też dwóch lat, by nakazać rzeź niewiniątek w Betlejem i okolicach.

Podobnie wątpliwa historycznie jest ucieczka świętej rodziny do Egiptu, opisana przez Mateusza. Ewangelista Łukasz nie tylko nie wspomina o tej podróży, ale stwierdza, że po narodzinach i ofiarowaniu w świątyni „wrócili do Galilei, do swego miasta – Nazaret" (Łk 2, 39). Podróż do Egiptu i powrót z niego są potrzebne Mateuszowi z zupełnie innych względów niż historyczne. Służą ukazaniu Jezusa jako nowego Mojżesza.

Jezus jako nowy Mojżesz

Ewangelia Mateusza znana jest z tego, że przedstawia swoim żydowskim odbiorcom Jezusa jako nowego Mojżesza – tego, który na nowej górze, górze błogosławieństw, daje ludowi nowe prawo. Ta wyraźna analogia między Jezusem a Mojżeszem ukazana jest nie tylko w Kazaniu na górze (Mt 5-7), lecz w całej Ewangelii. Także w prologu chrystologicznym do swego dzieła Mateusz wprowadza tę ideę w sposób bardzo czytelny. Jezus, jak Mojżesz, rodzi się w okolicznościach prześladowań zarządzonych przez despotycznego władcę, lękającego się o swą władzę. Jak faraon z Księgi Wyjścia nakazał zabijanie hebrajskich dzieci płci męskiej, tak Herod nakazuje to samo. Jak mały Mojżesz w sposób cudowny uniknął śmierci z rąk tyrana, tak samo unika jej mały Jezus.

W hagadzie o Mojżeszu zapisanej przez Józefa Flawiusza (Ant. 2, 210-216) czytamy ponadto, iż ojciec Mojżesza, Amram, otrzymał objawienie we śnie nt. narodzin syna i jego przyszłej roli (por. identyczny w treści sen Józefa w Mt 1). Według innego przekazu Amram oddalił swoją żonę, ale na skutek interwencji swej córki Miriam zobowiązał się przyjąć ją z powrotem. Wracając do historii biblijnej, w Księdze Wyjścia czytamy, że Mojżesz ucieka przed despotycznym faraonem, gdyż jego życiu zagraża niebezpieczeństwo (Wj 2), a następnie wraca do Egiptu na polecenie Boga (Wj 4). W tym kontekście należy odczytywać Mateuszową opowieść o ucieczce świętej rodziny do Egiptu i powrót na polecenie Boga do Nazaretu. Jezus naśladuje tu nie tylko samego Mojżesza, ale i identyfikuje się z całym ludem Izraela, który z Egiptu przybywa do obiecanej przez Boga ziemi. Jezus powtarza historię swego ludu.

Ewangelista czyni tu szereg czytelnych i silnie przemawiających do wyobraźni żydowskich odbiorców aluzji do historii Mojżesza i wyjścia ludu Bożego z Egiptu. Ostatecznie przecież Jezus, który „wybawi swój lud od jego grzechów" (Mt 1, 21), jest mesjańskim odpowiednikiem tego, który wybawił swój lud z niewoli egipskiej.

Wątpliwości co do wersji Łukasza

Podobnie ma się sprawa z ewangelią dzieciństwa u Łukasza. Także i tu skrupulatność historyczna wyraźnie ustępuje przesłaniu teologicznemu, skupionemu na wykazaniu, kim jest Jezus z Nazaretu. Podstawowym problemem natury historycznej jest w wersji Łukaszowej wska-

zany przez niego „spis ludności w całym państwie" (Łk 2, 1) zadekretowany przez cezara Augusta.

Uwaga, która wydaje się przydawać tekstowi powagi historyczności, jest myląca. Cesarstwo Rzymskie nigdy nie zarządzało ogólnopaństwowych spisów ludności, jedynie lokalne, np. w poszczególnych prowincjach. Po drugie, ewangelista Mateusz nie podaje żadnej informacji o spisie ludności. Przeciwnie, wyraźnie sugeruje, że Maryja i Józef nie przyszli do Betlejem z Nazaretu, ale w Betlejem mieszkali. I dopiero jakiś czas po narodzinach Jezusa udali się na północ do Galilei (Mt 2, 1. 19-22). Po trzecie, nie mamy żadnego potwierdzenia, aby spis musiał był dokonany w miejscu pochodzenia.

Łukaszowi chodziło o podkreślenie pochodzenia Józefa z Betlejem, miasta Dawidowego (bo jest to ważna przesłanka mesjańska), a nie o oddanie realizmu sytuacji. Nawet gdyby wymagana była podróż Józefa do miejsca pochodzenia, z Nazaretu do Betlejem, nierealistycznie brzmi scenariusz, w którym bierze on ze sobą brzemienną i spodziewającą się bliskiego rozwiązania Maryję (kobiet nie obowiązywało uczestnictwo w spisie). Jej podróż do Betlejem, znów, jest ewangeliście potrzebna ze względu na ukazanie, iż Jezus realizuje proroctwo mesjańskie co do miejsca narodzenia Mesjasza z rodu Dawida.

Badacze mają też problem z ustaleniem, o jaki lokalny spis ludności mogłoby Łukaszowi chodzić. Nie pasuje ani spis za czasów Sencjusza Saturninusa, wielkorządcy Syrii (8-6 r. przed Chr.), ani spis za czasów Kwiryniusza w Judei (6-7 r. po Chr.). Nie zgadzają się ani miejsce, ani czas spisu. Prawdopodobnie Łukasz słyszał o tym drugim i dość swobodnie uznał, że podobny mógł odbyć się już wcześniej i obejmować Galileę. Nie wiemy jednak nic o takim spisie, który miałby objąć Galileę, w tym Nazaret.

Z drugiej strony Łukasz szczególnie w ewangelii dzieciństwa naśladuje styl biblijny, znany z Septuaginty, wskazując na realizację zapowiedzi Pierwszego Testamentu. Jego narracja o narodzinach w niegościnnym Betlejem i o pokłonie pasterzy (Łk 2, 8-20) jest przedstawiona w stylu podniosłym, nawiązującym do starotestamentalnej literatury objawieniowej, czyli apokaliptycznej. Wydaje się, że w scenie objawienia się anioła Pańskiego pasterzom ewangelista nie tyle chce docenić prostotę ich ubogiego życia (jak to dziś interpretujemy), ale przypomnieć, iż pasterzami byli patriarchowie, wielki Mojżesz, a przede wszystkim król Dawid, założyciel dynastii królewskiej i mesjańskiej.

Czy ewangelie dzieciństwa to fikcja?

Wyliczone powyżej problemy wskazują, iż ewangeliści zamieścili w swych tekstach jedynie echo wspomnień związanych z narodzinami Jezusa. Posłużyli się zapewne istniejącymi już w Kościele pierwotnym przekazami, ale nie usiłowali rekonstruować faktycznego stanu rzeczy. Raczej stworzyli katechezę w formie poszczególnych epizodów, znaczących i symbolicznych, które wzięte sumarycznie dają odpowiedź na zasadnicze pytanie całej Ewangelii: kim jest Jezus?

Aby wskazać, iż jest On Mesjaszem i Panem, posłużyli się licznymi cytatami z Pism Izraela, a także aluzjami do konkretnych proroctw, opowiadań i postaci z historii świętej. Już wcześniej pierwsi chrześcijanie wyjaśniali fakty z życia Jezusa – np. jego narodzenie za panowania Heroda, jego późniejsze odrzucenie przez Jerozolimę, jego śmierć na krzyżu czy przyjmowanie wiary w Chrystusa przez pogan – w świetle tekstów Pierwszego Testamentu.

Ewangeliści poszli dalej, tworząc midrasz hagadyczny czy mówiąc precyzyjniej: prolog chrystologiczny do swej Ewangelii. Stopień historyczności opisywanych tu wydarzeń nie jest równy stopniowi historyczności pozostałych fragmentów Ewangelii. Wspólne dla obu prologów elementy, jak narodziny Jezusa w Betlejem za czasów Heroda – mogły stanowić podstawę dla twórczej pracy teologicznej tak Mateusza, jak i Łukasza. Jednak zarówno jeden, jak i drugi pragną przede wszystkim prowadzić czytelnika do wiary w Jezusa jako Pana i obiecanego przez Boga Mesjasza bez roztrząsania szczegółów historycznych.

© MARCIN MAJEWSKI

REKLAMA

WKRÓTCE W KSIĘGARNIACH

Emigracja Wittlina do Ameryki, wymuszona sytuacją polityczną i narastaniem antysemickich nastrojów, zestawiona zostaje w książce z historią Odyseusza, z którą mierzył się jako tłumacz. Pozwala to zobaczyć w biografii pisarza uniwersalny los człowieka wykorzenionego, skazanego przez historię na tułaczkę.

WIEŹ
WYDAWNICTWO.WIEZ.PL

PATRONAT
odra

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Najuczciwszy smród na świecie

KRZYSZTOF STORY

To oni i ich zwierzęta wydeptali ścieżki, którymi dziś chodzimy na górskie wycieczki. Przez stulecia praca polskich pasterzy wiele się nie zmieniła, a na jeden oscypek nadal potrzeba 6 litrów mleka.

Jadę przez zimowe Podhale, w oczy bije kolejny bilbord z zaproszeniem do kolejnej „Zbójnickiej Chaty". Albo karczmy, albo koliby, albo willi, bo taka też oczywiście jest. Znowu wciska mi się tę namolną zbójnickość, jak jakieś podtatrzańskie „abrakadabra", a do mnie wraca wspomnienie z lata, powidok górskiej wędrówki. Białe, kudłate punkciki przesuwają się po przeciwległym zboczu doliny w Fogaraszach, najwyższych górach Rumunii. Są ich setki, tysiące, jak ziarna ryżu rozsypane na trawie albo pierze wystrzelone z rozdartej poduszki. Oczy kłamią, podpowiadają, że stok jest niemal pionowy, niepodobna tamtędy przejść, a już na pewno nie w takiej liczbie i z takim spokojem. A jednak idą. Dzwonki na wełniastych szyjach odbijają się echem przez całą dolinę. Obserwuję w milczeniu, gdy po mojej stronie doliny na grani wyrasta pięć masywnych sylwetek. Psy. Z góry obserwują drugie stado, które zmierza prosto na mnie. Zbite ciasno, idą swoim rytmem, jedna przy drugiej, nie widać kopyt, pysków nawet, tylko morze wełny, jak spienione grzywy fal. Barani potop beczy, dzwoni i stuka racicami. Za nimi idzie jeden człowiek z przewieszoną przez ramię niedużą torbą. Tak samo jak sto, dwieście i pięćset lat temu, jak Karpaty długie i szerokie. Te góry to dom pasterzy, a nie żadnych, pożal się Boże, zbójników.

Gdy kilka miesięcy później w bacówce w podhalańskim Witowie pytam Marię Zych Ptoś o pasterstwo, odpowiada jednym słowem. „Tułaczka". Podaje mi zawinięty w worek kawał bryndzy i mówi: – Przed zjedzeniem położyć na stole i wyrobić jak ciasto. Popieścić, utulić trzeba. Żeby się od dłoni nagrzała.

TROCHĘ SKANSEN | Grudzień to jeden z niewielu miesięcy, gdy baca ma trochę spokoju. Skończył się wypas, sery robi się co najwyżej z krowiego mleka, bo owce już od dawna swojego nie mają (dobra rada dla wszystkich, którzy z uporem godnym lepszej sprawy próbują zimą kupić „prawdziwego" oscypka – po prostu wróćcie w Tatry latem), a na świat jeszcze nie przyszły jagnięta. Czas na rozmowę i picie herbaty.

– Jak my, dzieciaki, poszli do szkoły, na przerwach gadka była tylko o jednym – wspomina Józef Słodyczka, baca z Doliny Kościeliskiej. – Jakie kto ma owce, jakiego owczarka, jak gospodarzy. O owcach, juhasce i wełnie się rozmawiało.

Rozmawiamy w domu Słodyczków na Gubałówce, latem spotkalibyśmy się raczej przy bacówce w Kościeliskiej. Józef jest jednym z najbardziej doświadczonych baców pod Tatrami.

– Tylko szkołę skończyłem, zaraz następnego dnia pojechałem juhasić w Bieszczady, kawał drogi, 14 lat miałem, a tam półtora tysiąca owiec – mówi. – Młodego się posyłało do najgorszej roboty, nanieść wody, drzewa narąbać, koszar przestawić, strągę zrobić. Szybko się człowiek uczył.

Koszar to zagroda, w której owce nocują na hali – hotel pod gołym niebem, strąga – przegroda, przez którą stado przechodzi do dojenia. Józef Słodyczka po trzech latach spędzonych „na Bieszczadach" gospodarzył w bacówce Uniwersytetu Jagiellońskiego tam, gdzie dzisiaj rozlewa się sztucznie utworzone Jezioro

KRZYSZTOF STORY

Dobczyckie. Później była Polanka Hallera, między Skawiną a Kalwarią Zebrzydowską, tam spędził 7 lat. Stamtąd do Raby Wyżnej. Owce woziło się pociągiem albo ciężarówkami. Do Doliny Kościeliskiej trafił 17 lat temu.

– Dzisiaj na terenie parku narodowego mamy tu, ładna nazwa, wypas kulturowy – mówi Józef Słodyczka. – Trzeba ludziom tę tradycję pokazać, więc musi być strój góralski, musi być gwarą rozmawiane. Trochę skansen.

W głosie gospodarza jest i radość z tego, że ta tradycja przetrwała, i smutek, z którym wypowiada słowo „skansen". Czy pasterstwo to ginący zawód?

– Szczerze, gdyby nie dotacje, nikt by tu owiec nie trzymał. Wełna, która kiedyś była podstawą dochodu, dziś jest nic nie warta, moda na kożuchy minęła już dawno. Mięso to głównie na eksport do Włoch i jeszcze to, co się z serów zarobi. Ciężko to zgodzić.

Największym problemem każdego polskiego bacy nie jest dzisiaj rolnicza biurokracja ani nawet ceny, tylko znalezienie pracowników do pomocy, choć w kilku miastach Małopolski (m.in. w Nowym Targu czy Myślenicach) są od lat prowadzone specjalne kursy dla juhasów. Do ciężkiej, pachnącej owcą pracy garnie się niewielu.

– Same stare dziadki na tych bacówkach zostały. Ma taki 70 lat i idzie jeszcze na halę, bo co zrobi – śmieje się Józef Słodyczka.

OD WOJCIECHA DO MICHAŁA | Można (co wielu gospodarzy chętnie robi) narzekać na młode pokolenie, ale ciężko się dziwić, że młodzi wybierają inne drogi, gdy poznamy życie bacy czy juhasa. Jego rytm ustalają przecież same owce.

Zacznijmy od grudnia. Zwierzęta są w oborze, nie ma dojenia, wystarczy je karmić, ale spokój zaraz się skończy, bo większość owczych dziewczyn jest w ciąży. Wykoty, czyli czas jagnięcych narodzin, zaczynają się w połowie stycznia.

– Wtedy nie można odejść od stada, ustalamy dyżury i przynajmniej co godzinę w nocy ktoś zagląda do obory – mówi Jan Stopka, baca z Cięciny w Beskidzie Żywieckim. – Po urodzeniu trzeba od razu oddzielić mamę i jagnięta od stada, dać im własną przestrzeń. Matka musi pokochać te dzieciaki, zaakceptować, a one muszą się przede wszystkim napić siary.

Siarą nazywa mleko, które daje nowa owcza mama. Dla nas jest paskudne w smaku, ale dla jagniąt to najważniejsza szczepionka w życiu, daje odporność, bez której ciężko im przetrwać. Gdy trochę podrosną, wiosną pójdą na swoje pierwsze w życiu pastwisko. Tradycyjnie wypas zaczyna się 23 kwietnia, ale w Tatrach bywa to nawet miesiąc później, gdy trawa w końcu wyłoni się spod śniegu. Baca przejmuje owce od gospodarzy (zazwyczaj ma również własne zwierzęta), łączy je w jedno stado i wraz z juhasami prowadzi na halę. Rusza wiosenny redyk.

– Od kwietnia człowiek siedzi już w rakiecie, gotowy na start. Baca latem jest jak marynarz. To zupełnie co innego niż owczarstwo, w którym zwierzęta cały rok spędzają w oborze – mówi Jan Stopka. – Wypas według tradycji trwa od Wojciecha do Michała, czyli od 23 kwietnia do 29 września.

Pięć miesięcy zasypiania i budzenia się przy owcach. W nocy pilnować stada, o świcie rozpalić watrę i udoić – na początku sezonu dwa razy dziennie, później raz. Jedna polska owca w ciągu roku daje około 40 litrów mleka – po szklance dziennie. Doi się najczęściej ręcznie. No i oczywiście sam wypas. Dobry juhas wie, jak poprowadzić owce – rano na otwarty teren, gdy zrobi się za gorąco – do lasu. Dwa razy dziennie przyda się przeprowadzić stado przez wodę, żeby zwierzęta mogły się napić. Na bieżąco trzeba też robić i sprzedawać ser. Jeden oscypek powstaje z sześciu litrów mleka. To ciężka, fizyczna praca, niewiele w niej wygód, a ani zwierzęta, ani pogoda nie znają pojęcia urlopu. Może dlatego pasterstwo tak mocno zapisało się w kulturze i religii chrześcijańskiej jako symbol troski i dobrej opieki. „Pasterz musi pachnieć owcami, a nie drogimi perfumami" – powiedział w swoim kazaniu na Wielki Czwartek w 2015 r. papież Franciszek. Być może ciepły, gęsty zapach owczego stada to najuczciwszy smród na świecie.

– Liczyło się zawsze tak, że na 100 owiec musiał być jeden juhas – mówi Józef Słodyczka. – Dawniej większość zapłaty była w jedzeniu. Baca z właścicielami zwierząt i pastwisk też rozliczał się najczęściej bez pieniędzy. Mógł robić i sprzedawać oscypki na własny zysk, ale 8 funtów sera [niespełna 4 kg – red.] ↦

Wypas owiec w Górach Fogaraskich. Rumunia, sierpień 2022 r.

↦ za każdą owcę musiał oddać jej właścicielowi. Ten z kolei przychodził po kilku tygodniach wypasu na halę i razem z bacą robiło się mirę. Doili owce razem i patrzyli, ile faktycznie mleka dają.

Dzisiaj te rozliczenia wyglądają zupełnie inaczej, zależą głównie od tego, kto jest właścicielem pastwiska. Juhasom już nie płaci się w serze i kiełbasie, ale zwyczaj wspólnotowego wypasu, w którym zaufany baca zbiera owce z całej wsi w jedno stado, przetrwał.

Do dziś żywa jest chyba najbardziej znana i widowiskowa tradycja pasterska: jesienny redyk. Wielkie święto juhasów i baców, którzy wraz z owcami wracają do domów na zimę. Tym ostatnim wesoły nastrój nieco popsuć może konieczność opłacenia pracowników za cały sezon. W Polsce redyki potrafią mieć niezwykłą oprawę: na tę okazję bacowie robią specjalne sery (redykołki), najczęściej w kształcie zwierząt i rozdają napotkanym podczas pochodu ludziom. O ile na co dzień dzwonki nosi kilka owiec w stadzie (często najstarszych przewodniczek), tak na koniec września pobrzękuje już cały kopytny pochód.

– Ma cała wieś dzwonić i wiedzieć, że idzie baca z redykiem. Przechodząc rozdziela się stado i oddaje owce gospodarzom – Józef Słodyczka uśmiecha się, gdy pytam, jak rozpoznają, która czyja. – Teraz są kolczyki, wcześniej każdy też robił jakieś swoje oznaczenia, ale dobry baca tego nie potrzebuje. Każda z tych owiec przechodziła mi przez ręce dwa razy dziennie przez pięć miesięcy, znam je na pamięć.

W ROMANTYCZNYM STYLU | To opowieść o świecie, który powoli znika, ogranicza się do roli atrakcji turystycznej. W całej Polsce jest dzisiaj około 200 tysięcy owiec, z czego nie więcej niż 30 tysięcy jest wypasanych na halach. Wielokrotnie mniejsza Słowacja ma 1,5 miliona owiec.

– Nasze pasterstwo bardzo różni się od tego, co widzimy w Europie, bo wygląda praktycznie tak samo jak kilkaset lat temu – mówi Jan Stopka. – Cała struktura społeczna, ręczne dojenie, wypas na wolnym terenie, robienie sera w drewnianych naczyniach na ogniu – to wszystko przetrwało. Z miejskiej perspektywy można powiedzieć, że jesteśmy jakąś grupą rekonstrukcyjną. Słowacy z nas żartują, że musimy być potężnym imperium, skoro stać nas na redyki.

Jan Stopka jest nietypowym bacą, który od kilku lat próbuje pokazać, że tradycyjne pasterstwo może radzić sobie w nowych czasach. Dla niego owce to powrót do rodzinnej historii: – Mam wołoskie korzenie. Moi przodkowie przywędrowali z Siedmiogrodu do Beskidu Żywieckiego ze swoimi stadami w XVI wieku. Król Zygmunt Stary pozwalał im się tu osiedlać i paść owce, bo chciał mieć darmowy zwiad i straż graniczną w tych górach. Dlatego wszystkie polany wychodzą na południe, w stronę Orawy.

Ostatni baca w jego rodzinie, stryj pradziadka, też nazywał się Jan Stopka. Pradziadek zginął w I wojnie światowej, holi [tak w gwarze mówi się na halę – red.] Stopkowej nie miał kto przejąć, została w 1918 r. sprzedana i zalesiona. – Po stu latach przerwy postanowiliśmy z żoną wrócić do tej historii rodzinnej. Dla mnie to odkrywanie, czym żyli przodkowie, jest jak dotknięcie korzeni.

Jego rodzina zawsze trzymała owce, ale to nie to samo, co bycie bacą. Jan sam długo mieszkał w Niemczech, miał firmę, dzisiaj prowadzi dwie restauracje w Krakowie i Kazimierzu Dolnym. – Zawsze, gdy tylko byłem w górach, odzywała się we mnie chęć powrotu – mówi. – Zacząłem od 1,5 hektara ojcowizny, rozbudowałem gospodarstwo, a w 2018 r. wróciliśmy do tradycyjnego wypasu owiec. Stado liczy około tysiąca zwierząt. Oczywiście nie da się tego utrzymać ze sprzedaży serów ani nawet z dopłat, które wynoszą około 300 złotych. Roczne utrzymanie jednej owcy to około 1000 złotych.

Jak przetrwać Święta

PIOTR SIKORA

Boże Narodzenie nie zawsze i nie dla wszystkich jest czasem pojednania i bliskości. Dla wielu wrażliwych ludzi jest to czas psychicznie bardzo trudny.

Poniższy zestaw kilku umiejętności i sposobów może pomóc przejść przez Święta z mniejszym cierpieniem i bardziej świątecznie:

1. OBRONA INTEGRALNOŚCI – GRANICE MOŻLIWOŚCI | Zamiast próbować stawiać innym granice, uważnie obserwuj, gdzie leżą twoje limity możliwości – co dasz radę, a czego już nie. Zbliżanie się do takiej granicy sygnalizuje nam ciało: przez zmęczenie, ociężałość, napięcia; a także emocje: niepokój, rozdrażnienie. Sygnalizuj otoczeniu, gdzie leżą twoje granice, gdy tylko zauważysz, że się do nich zbliżasz – a nie dopiero wówczas, gdy do nich dojdziesz lub gdy je przekroczysz. Łatwiej ci będzie zrobić to w sposób spokojny, adekwatny do sytuacji.
Nie przekraczaj swoich granic – chyba że masz bardzo ważny powód (a wówczas tylko tyle, ile to konieczne: szybko wracaj i daj sobie czas na regenerację). Masz do tego prawo – fundamentalna etyczna zasada głosi: co leży poza możliwościami, nie obowiązuje.

2. CIAŁO JAKO PODSTAWA | Pamiętaj, że twoje ciało jest podstawą twoich reakcji, działania i samopoczucia. Niedobór snu, zmęczenie, ale także nadmiar cukru we krwi sprawiają, że łatwiej reagujemy smutkiem, lękiem, irytacją czy gniewem. Przygotowując się do Świąt, łatwo zaniedbać ciało – spać za mało, robić za dużo. Rozważ, co z zewnętrznych przygotowań jest niekonieczne, mniej ważne. Prawdopodobnie odpuszczenie sobie i niezrobienie tego, co pozwoli wejść w czas świąteczny mniej zmęczoną/ym i bardziej wyspaną/ym, umożliwi ci lepsze świętowanie.
Nie bez znaczenia jest też, czym ciało karmisz – przed Świętami i w Święta. Jeśli zażywasz jakieś leki – nie zapominaj o tym. Zbyt dużo cukru we krwi (o co w tym czasie nietrudno!) zwiększa podatność emocjonalną. Pyszne ciasta jedz powoli, smakuj uważnie – wyciśniesz wtedy tyle samo (a może i więcej) przyjemności z mniejszej ilości kalorii.

3. PRZYGOTOWANIE UŁATWIA DZIAŁANIE | Przypomnij sobie, jakie sytuacje były kiedyś dla ciebie trudne. Zastanów się: dlaczego właśnie te? Co w nich sprawiało trudność? Wyobraź

JAKUB RYBICKI

W bacówce Józefa Słodyczki w Dolinie Kościeliskiej, wrzesień 2021 r.

Do interesu dokłada więcej niż zarabia. Mógłby zamknąć zwierzęta w oborze, karmić paszą i „zlakonizować" (laucane to francuska rasa, dobrze nadająca się do hodowli na mleko).

– Z kolei owce na mięso powinny mało biegać, dużo jeść i krótko żyć, a my robimy wszystko na odwrót – śmieje się. – Nasze zwierzęta robią w sezonie 12-14 km dziennie, Słowacy mówią, że to maratonki.

Polskie owce są specyficzne. Nasza rodzima górska rasa nazywa się cakiel podhalański, choć dziś większość jest krzyżówką z odmianami z Siedmiogrodu, które do Polski przez Karpaty przeprowadzili m.in. przodkowie Jana. To stworzenia piękne i harde, odporne na surowe warunki, ale zupełnie „nieefektywne gospodarczo". Są małe, nie mają zbyt wiele mięsa, a wełna, jak mówi Józef Słodyczka, ostra jak na psie. Za to wiernie towarzyszą nam od stuleci.

– Widzę, że nie tylko mnie się ta idea podoba – w sezonie zatrudniam 12 osób i średnia wieku jest w okolicach 30. To być może najmłodsza bacówka w Polsce – mówi Jan Stopka. – Żeby zostać juhasem, wystarczy chcieć. Siły w rękach się nabiera przy dojeniu, gwizdać można się nauczyć. Ale ta chęć to nie jest łatwa sprawa: to można robić z pasji albo wcale.

On sam stara się znaleźć nowe funkcje tradycyjnego pasterstwa. Stawiają na działania edukacyjne, organizują warsztaty, starają się przyciągać turystów zainteresowanych kontaktem z przyrodą, robią też maty sensoryczne z garbowanych owczych skór. Ostatnio odbudowali bacówkę na Hali Lipowskiej. Przy współpracy ze Stowarzyszeniem dla Natury „Wilk" stara się też jak najlepiej zabezpieczać owce przed drapieżnikami (stosuje się w tym celu fladry, pastuchy elektryczne i oczywiście niezastąpione owczarki podhalańskie).

– Ekonomicznie to kompletnie bez sensu – przyznaje. – Ale to, że wielu rzeczy, jak choćby wartości krajobrazowej, nie da się wpisać na fakturze i łatwo spieniężyć, nie znaczy, że ich nie ma. Niejeden mnie już pożałował, że chcę zbankrutować w możliwie najbardziej romantycznym stylu. Ja odbieram to trochę inaczej. Widzę, jak ludzi przyciąga to, że mogą spędzić tu czas w trochę wolniejszym tempie. Że mogą rano zobaczyć zieloną trawę, a wieczorem zjeść już świeży, słodki bunc. Może w erze stali, szkła i plastiku to jest nowa funkcja pasterstwa?

©℗ KRZYSZTOF STORY

---

sobie, że podobne zdarzą się w tym roku. Zaobserwuj swoje reakcje. Pomyśl, jak mogłabyś/ /mógłbyś się zachować, żeby – z jednej strony – nie przekraczać swoich granic, a z drugiej – uwzględnić jakoś potrzeby innych i nie eskalować ewentualnego konfliktu. Przećwicz w wyobraźni możliwe scenariusze.

4. OSĄDZANIE RODZI CIERPIENIE | Ludzie często zachowują się w sposób, który nas rani. Jeśli cię to spotyka – nie udawaj, że nic się nie stało, uznaj swoje cierpienie. Ale spróbuj odpuścić osądzanie i obwinianie tych, którzy cię ranią. Każde zachowanie ma swoją przyczynę. Może inni starają się najlepiej jak potrafią, a problem bierze się stąd, że nie potrafią inaczej? Przyjmij najbardziej życzliwą interpretację ich zachowania, na jaką cię stać. Albo nawet – w ogóle nie interpretuj, skup się na opisie: co z sytuacji zarejestrowałaby kamera.
Jeśli rozmawiasz o problemowej sytuacji z bliskimi, którzy w niej uczestniczą, postaraj się tylko opisywać dające się zauważyć z zewnątrz zachowania i swoje emocje oraz adekwatnie wyrażać swoje potrzeby i pragnienia. Jednocześnie pamiętaj: jeśli to twoje zachowania zraniły innych, zasada najbardziej życzliwej interpretacji stosuje się (tzn. ty możesz stosować ją) i do ciebie. Możesz uznać, że coś, co zrobiłaś/eś, powiedziałaś/eś, było raniące, bez obarczania się winą. Jeśli inni cię obwiniają – może nie potrafią inaczej, lecz ty nie musisz wewnętrznie przyjąć ich wyroku.

5. SZTUKA SURFOWANIA | Oczywiście, jak byś się nie przygotował/a, co byś nie robił/a, konflikty i tak zapewne się zdarzą, doświadczysz trudnych emocji i myśli. Taka jest rzeczywistość. Nie próbuj udawać, że nie przeżywasz tego, co przeżywasz, nie próbuj też walczyć z emocjami i myślami, tłumić ich. Po prostu rozpoznaj, co przeżywasz, uznaj, że nie wzięło się to znikąd. Myśli i emocje przychodzą i odchodzą jak fala – obserwuj je, pozwól im przychodzić i odchodzić. Gdy cię będą wciągać, po prostu łagodnie powracaj uwagą do lekko spowolnionego oddechu. Możesz wspomóc się postawą ciała: rozluźnij policzki, a kąciki ust lekko unieś w górę, ręce ułóż otwartymi dłońmi ku górze.
Oddychając i niczego nie tłumiąc, możesz też się wspomóc mówiąc w myślach do siebie: „Tak, to trudna sytuacja; ale takie jest życie; będę traktować siebie życzliwie". ©℗

Większość powyższych wskazówek zainspirowana jest dialektyczno-behawioralnym treningiem umiejętności dla osób o wysokiej wrażliwości emocjonalnej. Autor jest trenerem umiejętności DBT.

OPOWIEŚĆ WIGILIJNA

MOC TRUCHLEJE

Język polski to jest jednak dziwny. O co chodzi w tej świątecznej pieśni? Moc Pana zamiera, gdy malutki Zbawiciel ogląda sobie ten świat.

TEKST SABINA JAKUBOWSKA | ILUSTRACJE KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP”

Józef i Maria

Takie właśnie imiona zostaną zapisane w Księdze, gdy narodzi się ich syn. Bo czuła, że to będzie syn. Ale naprawdę miała na imię Lia. Rodzice i siostra mówili do niej Lili. I pierwszy mąż, w chwilach czułości. Józef miał dopiero zostać jej mężem. Obiecała mu to. Jeśli przeżyją.

Czy da się przeżyć w szopie, pod ostrzałem ciekawskich spojrzeń, nasłuchiwań? Kto z sąsiadów może wydać ich ze strachu? Kogo zmuszą torturami?

Jest zima. Jest śnieg. Tutaj ludzie znają kształty butów każdego w okolicy. Nie da się wyjść z tej szopy nawet za potrzebą. Ale czasem trzeba wyjść. Zmylić prześladowców. Skołować podglądaczy. Józef zbudował kilka bunkrów, tu i tam. On wie, kiedy przejść z jednego miejsca do drugiego. On tutejszy, ma przyjaciół. Na niego nie doniosą. Jego ślady nie budzą podejrzeń. Z jednej kryjówki do drugiej przenosił Lili na plecach. A może po prostu lubił czuć blisko jej ciało. Dopóki nie przeszkodził w tym jej wielki ciążowy brzuch.

Jak można mieć taki brzuch, będąc stale głodną?

Bóg się rodzi

Stara kobieta ciągle śpiewa kolędy. Robi to specjalnie. Chce ją nauczyć nowej wiary. Bez nowej wiary nie będzie nowego życia.

To matka Józefa. Nie pochwala ich mieszkania razem, we wspólnej szopie, we wspólnym bunkrze. Jej jedyny syn, taki dzielny, taki odważny, a jaki pracowity! Każda panna w okolicy by go chciała! Że też musiał wziąć Żydówkę. Lili słyszy myśli starej. Bombardują ją z nie mniejszą mocą, niż niemieckie bomby zrzucone na polskie domy.

Jeszcze nie rozmawiały ze sobą wcale, choć mija już wiele miesięcy życia w ukryciu. Nikt nie może usłyszeć ani słowa rozmowy. Stara kobieta ukrywa Żydówkę przed oczyma całego świata, na oczach całego świata, bo przecież ludzie wiedzą wszystko. Stara kobieta ryzykuje życiem, by ukryć swojego syna. Inaczej już dawno wzięliby go do przymusowej pracy, a może do obozu. Więc gada całymi dniami, niby do siebie. Jakby powariowała trochę w tej samotności. Gada do siebie, gdy krząta się wokół domu. Aby i oni coś niecoś usłyszeli z tych wszystkich nowin codziennych. Śpiewa nabożne pieśni.

Dziś jest Wigilia. Ich Wielkie Święto. Bóg im się rodzi.

Jak może się rodzić ciągle na nowo? Że mu się tak chce? Warto? Do tych ludzi? W czas wojny? Aby potem co roku umierać? Lili nic nie rozumie z tej religii. Nie rozumie tego ich Boga. Stara wiara jest prostsza. Jest odwieczny Pan. I jest Oczekiwanie. Bo dobrze jest na coś czekać.

Nieprawda. Stara wiara była prostsza. Dopóki Naród nie został wybrany na śmierć.

Oczekiwanie. Dziś jest mierzone skurczami. Są tak okropnie regularne. Bóle wwiercają się w kości krzyża. To są te najgorsze. Lili pamięta, jak rodził się jej pierworodny, Wilhelm. Wtedy nie było bóli krzyżowych. Dlaczego teraz? Bo rodzi się przyszły chrześcijanin?

Stara kobieta mówi, co ugotuje na wieczerzę wigilijną. Opowiada sobie, ale przecież im opowiada, że zięć jej przyniósł drzewko nieduże, więc postawi je w kącie i będzie świętować Wigilię sama, skoro syn daleko. Och, jak wyraźnie wymawia ostatnie słowo. Daleko. Bardzo daleko. Odejdźcie stąd wszyscy. Jego tu nie ma.

Ale przecież jest. Leży skulony w szopie, tuż przy Lili. Oddycha ciężko. Dziś powalił go atak reumatyzmu. Od czasu ukrywania się w lodowatej rzece ma nawroty choroby. Nachodzi go czasem taki ból, taka złość, ciało zwija się w odrętwieniu, nic nie przynosi mu ulgi. Nie ma w szopie niczego, co mogłoby przynieść ulgę. Gryzie palce z bezsilności.

Lili także gryzie palce na skurczu. Bezradność jest najgorszym uczuciem na świecie. Dlaczego dziś? Bo Bóg się rodzi? Może lubi mieć towarzystwo w tym rodzeniu się? I w umieraniu. Bo to się nie może dobrze skończyć. Kobieta da radę urodzić w kompletnej ciszy. Ale jak zmusić do tej ciszy noworodka?

Przecież wiadomo, jak.

Moc truchleje

Język polski to jest jednak dziwny. O co chodzi w tej świątecznej pieśni? Truchleje znaczy zamiera. Moc Pana zamiera, gdy malutki Zbawiciel, w żłobie położony, ogląda sobie ten świat.

I jej się ciągle śnią truchła. Widziała ich tak strasznie dużo, i ciągle je widzi. Gdy tylko zasypia sama w ciemnym bunkrze. Jedynie ciepło Józefa, gdy owija ich wspólny barłóg, może odegnać koszmar. Ale często go nie ma. Wychodzi w nocy. Ogarnia sprawy. Partyzant Batalionów Chłopskich.

Te truchła. Tak się poznali.

To jest jednak bardzo dziwne, że każde z nich pamięta to zupełnie inaczej.

Dla niego to wielka romantyczna opowieść o tym, jak pokochał ją pośród trupów. Mówi, że od pierwszego wejrzenia w brzeskim getcie. On, prosty rolnik przymuszony przez okupantów do brudnej roboty, w stosie zmarłych przeznaczonych do wywózki zobaczył najpiękniejszą dziewczynę na świecie.

Niekiedy w jego pamięci ta historia nabiera dramatyzmu. Od pierwszego wejrzenia – na żydowskim cmentarzu. Tuż przed wrzuceniem do zbiorowej mogiły. Jej piękno, jej twarz, jej kształty. Długie czarne rzęsy. Nagłe spojrzenie ciemnych oczu, pełnych nieopisanego wyrazu. Grom z jasnego nieba. Miłość po grób.

I czekał do zmierzchu. Pozwolił jej czekać na siebie tam właśnie, struchlałej wśród trucheł, aż zapadnie zmrok, aż nikt nie zauważy drgnienia życia przenoszonego w jego silnych ramionach. Życia wiezionego furą aż na strych w Jadownikach.

Podobno był u nich doktor, aby opatrzyć jej przestrzelone płuco. Lili nic nie pamięta. Może miała gorączkę?

Czy to była prawda? Tak straszna, że aż wyrzucona poza nawias wspomnień?

Pan niebiosów obnażony

Dla niej wspomnienia o poznaniu Józefa to opowieść o obietnicy ocalenia.

↦

↦ Józef pojawił się w życiu Lili, gdy wydawało się, że najgorszy dramat ma już za sobą, a przed nią wyłącznie dni spokojne i smutne. Ot, jak to dwudziestodwuletnia wdowa w obcym mieście.

Wyszła za mąż tuż przed wojną. Bielszczanka z urodzenia, zamieszkała we Lwowie, gdzie jej mąż Henryk był komisarzem fabryki chemicznej. Starszy od niej o 20 lat, wiedeńczyk obyty w świecie.

Dwa tygodnie po wkroczeniu Niemców do miasta pojmało go gestapo. Kiedy go ostatni raz widziała, próbował się do niej uśmiechnąć, ale był to tylko cień skatowanego człowieka. Końcem września 1941 roku już nie żył.

Lili zabrała kilkumiesięcznego synka Wilhelma i ruszyła do siostry Sabiny, do Brzeska. Kurczowo ściskała łapki maluszka. Kompulsywnie sprawdzała, czy nie wypadły jej pozaszywane w ubraniach resztki pieniędzy. Wyzbyła się ich prawie do cna, płacąc łapówki za przekazywanie paczek z żywnością dla męża i za widzenia z nim. Ukraiński milicjant w gestapowskim więzieniu ryzykował wszystkim. Lili martwiła się, jak będzie umiała żyć z takim długiem wdzięczności wobec ukraińskiego milicjanta. Wtedy nie wiedziała, ile jeszcze osób zaryzykuje wszystkim – dla niej.

W Brzesku Żydzi żyli w niewyobrażalnej nędzy, ale ciągle dało się oddychać. Siostra Lili i jej synkowie korzystali z pomocy rolników. Józef często pojawiał się w domu Sabiny z żywnością. Patrzył w oczy Lili. Wiedziała, że widzi w niej kobietę. Takie rzeczy się wyczuwa.

Dwa miesiące później Lili i Sabinę wraz z dziećmi zamknięto w getcie. To brzeskie getto było bardzo duże, bo i w Brzesku trzy czwarte mieszkańców to byli Żydzi, a jeszcze zwożono tam wyłapanych po wioskach. Gęsto tu było od umierających z głodu, z chorób, ze strachu i zwątpienia w dalszy sens życia. Partyzanci z Jadownik, Okocimia, Brzeska i okolicy przemycali do getta żywność. Czasem też z getta wykradali. Ludzi.

Tak właśnie Józef wykradł Lili i Wilhelma.

Silny człowiek, ciepły. Nieustraszony. A może po prostu zakochany. Ukrył ją na strychu.

Ale nie da się ukryć ząbkującego w gorączce malucha. Jego płacz tak głośno niósł się wśród gęstej zabudowy starej, ludnej wsi, gdzie wszyscy dobrze wiedzą, co u kogo za miedzą. Lili słyszała ze strychu pytania sąsiadów. Matka Józefa kłamała na potęgę, ale bała się. A strach czuć z daleka. Przez zapach strachu to i psy głośniej szczekają, i ludzie desperują.

– Żydówkę macie z dzieckiem, Petronelo – tak mówili ludzie do starej kobiety. – Przez nią nasze dzieci na śmierć wywiozą, przez nią spalą całą wieś.

Ogień krzepnie, blask ciemnieje

Lili wiedziała, że nie ma na co czekać. Uparła się, by wrócić do getta. Po drodze, na śliskim stoku, złamała nogę. Józef, który ją odprowadzał, wziął na ręce jej synka i pomógł jej się dowlec do Brzeska. Obiecał wyszukać bezpieczne miejsce dla dziecka. Chodził po znajomych, od domu do domu, pytając, czy znajdzie się miejsce dla małego, ale wszyscy odmawiali – nawet gdy gwarantował na utrzymanie chłopca sumę piętnastu tysięcy przedwojennych złotych, własnym majątkiem. Bali się. Nie jest łatwo skazać swoich na śmierć, dla obcego dziecka.

Nie było miejsca dla ciebie w żadnej gospodzie.

Ze złamaną nogą Lili nie mogła opiekować się synkiem. Nie mogła nawet zejść do piwnic w razie nalotu. Była ciężarem dla siostry.

Sabina zapowiedziała, że nie zostawi Lili samej. Jeśli zacznie się nalot albo likwidacja getta, będą razem z dziećmi czekać na śmierć. Jak można kogoś postawić przed takim wyborem?

Wtedy właśnie Józef przekonał zapłakaną Lili, by pozwoliła siostrze i dzieciom ukryć się w piwnicy w getcie, a siebie – wykraść raz jeszcze. Obiecał, że po nich wróci, że załatwi im schron i papiery. Wyniósł ją z getta. Podniósł druty kolczaste i wydostał najpierw siebie, a potem ranną kobietę. I niósł ją na plecach do Jadownik. Ładnych kilka kilometrów. Prostą drogą, a potem pod górkę.

Następnego dnia wrócił po Sabinę i chłopców. Za późno. Likwidacja getta już trwała. Oni zginęli. Lili przeżyła. Po co?

Przeżyła, bo Józef tego chciał. Bo Józef jej chciał. Z jakiego innego powodu tak bardzo by się starał? Tak wiele ryzykował?

Można łatwo pomylić wdzięczność z miłością. Tak właśnie powstał ten jej wielki brzuch.

A jednak. W nim było życie. A życie było światłością ludzi. A światłość w ciemności świeci, i ciemność jej nie ogarnęła.

A potem nastała ciemność bunkrów. Józef, powołany przez okupanta do przymusowej pracy za granicą, ukrywa się razem z Lili. Zmieniają bunkier co kilka dni. Czasem co kilka godzin. Ledwo nachuchają i ogrzeją własnym ciałem, już trzeba iść do nowej zimnicy.

Żar Józefa stygnie. Czy nie żałuje swych wyborów? A może po prostu zimno bunkra go powala. Odnawia chorobę kości. Kiedy kilka miesięcy wcześniej szmuglował jedzenie do getta, jeszcze przed poznaniem Lili, umknął z zasadzki, w której zginął jego kolega. W czasie strzelaniny ukrywał się przez dwie godziny w nurtach lodowatej Uszwicy. Cudem przeżył i tę akcję, i późniejsze przeziębienie. Jego stara matka załamywała ręce, gdy wrócił do partyzantki i do getta kilka miesięcy potem. Aby poznać Lili, na swoje nieszczęście.

Ma granice, Nieskończony

Stara kobieta pragnęłaby podzielić się z ukochanym synem opłatkiem. Zamiast tego, tak jak co dzień, daje im jeść, udając przed światem, że karmi świnie. Także dziś, w Wigilię.

I pewnie myśli o Lili jak o świni, zwierzęciu nieczystym. Lili słyszy jej myśli.

Jej biblijne imię, Lea, znaczy Krowa. Żywicielka. Rzeka mleka. Lea była pierwszą z czte-

rech żon praojca Jakuba, matką jego córki i sześciu z dwunastu synów. Czyli matką połowy Izraela.

Matką. Kiedy Lili myśli o swym synku Wilhelmie, łzy same płyną jej z oczu, a z suchych piersi zaczyna kapać pokarm. Znak nadchodzącego porodu. Jeszcze nie, jeszcze nie, jeszcze nie!

Ma granice? Nieskończony! Dla Boga nie ma nic niemożliwego! Lili bezgłośnie szepcze słowa swej prostej modlitwy. Jeszcze nie, jeszcze nie, jeszcze nie.

A właściwie dlaczego nie? Czy jutro będzie lepszy dzień, by umrzeć?

Stara kobieta opowiada sobie głośno o tym, że wojna wkrótce się skończy. Niemcy są na wykończeniu. Już się pakują. Zbierają skarby. Wysyłają do Rzeszy. Armia sojusznicza już nadchodzi. Tylko trzeba przetrwać te ostatnie naloty. Jeszcze parę dni, parę tygodni. Kto przeżyje, ten przeżyje. A na razie...

Trwożnie robi znak krzyża, rozgląda się. Może zbyt głośno to sobie opowiadała.

Znów słychać strzały. Seria strzałów. Gdzie? Do kogo strzelają tak bardzo?

Niemcy ćwiczą nową broń w lasku. Nie wiedzą o tym, że wśród drzew schowany jest jeden z bunkrów. Dziś akurat pusty. Parę dni temu, gdy po raz pierwszy strzelali w tym lasku, prawie nad głową uciekinierów, Lili mało nie umarła ze strachu. Dziecko w jej brzuchu rozrzucało rączki przestraszone. To właśnie wtedy zdecydowali z Józefem, że wracają do szopy. Na szczęście nie było ani śniegu, ani błota. Po ostatniej odwilży wszystko zamarzło. Twarde grudy, błogosławione grudy. Na nich lekka stopa nie zostawia śladów.

Dziś dla Lili odgłosy tych strzałów są wybawieniem. Lęk narasta w niej tak silny, że przeważa nawet bóle krzyżowe. Fala skurczy zamiera. Jej dziecko nie narodzi się w bunkrze w Wigilię. Jeszcze nie.

Wzgardzony, okryty chwałą, Śmiertelny Król nad wiekami

– Chwała Bogu, odchodzą! Niemcy odchodzą! Armia Czerwona nadchodzi ze wschodu! – mówi matka Józefa nabożnym szeptem.

Do Lili ledwie docierają te słowa. Nic teraz nie znaczą.

Poród rozpoczęty w Wigilię uspokoił się, by zalać ją falą silnych odczuć kilka tygodni później. Kobieta dusi w sobie krzyk. Oddycha tak cicho, jak się da. Chce już dać wyjść temu dziecku, choćby trzeba było urodzić w bunkrze. Ale jest słaba. Przeźroczysta. W oczach, w których zakochał się Józef, nie ma już wiele życia. Może właśnie dlatego mężczyzna zaprzęga szkapę i kładzie Lili na wóz. Jego matka szybkim ruchem robi znak krzyża na jej czole i na brzuchu. Okrywają ją starym pledem. Siano kłuje i pachnie, pachnie i kłuje. Łagodzi wstrząsy drogi.

Niemcy odchodzą na zachód, cała droga jest ich. Gdzie mogą, niszczą za sobą słupy, wysadzają mosty. Jest ich jeszcze tak wielu.

Józef prowadzi wóz inną drogą, prosto do szpitala. Doktor Brzeski wita Lili jako jego żonę, i zapisuje pod jego nazwiskiem. Doskonale wie, że fałszuje teraz dane pacjentki. Dobrze ją zna. Pomagał jej niejeden raz. Opatrywał jej nogę, leczył przeziębienie, hamował krwotok. Być może nawet zwiedził wszystkie bunkry. Lili zapamięta na zawsze jego spokój, dobroć i nieugięty hart ducha. Doktor Jan Wiktor Brzeski nie przyjmuje pieniędzy za pomoc. Nie potrzebuje podziękowań. A przecież był już przesłuchiwany przez gestapo, więziony w Tarnowie za samo podejrzenie niesienia pomocy Żydom. Niepomny losu swojego ojca, starego doktora Jana Władysława Brzeskiego, który zakończył życie w KL Auschwitz. Znów ryzykuje wszystkim. Dla niej.

Zaprawdę, powiadam wam: Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili.

A słowo ciałem się stało

Doktor Brzeski wraz z akuszerką Genowefą Tykową pomagają przy porodzie. Niemcy odchodzą, Sowieci nadchodzą, Lili rodzi syna. Kazimierza.

Ta świeża wolność jest taka niepewna. Pielęgniarki przynoszą matkom dzieci do karmienia.

↦

↦ Lili jest teraz Marią. Tak ją zapisał doktor Brzeski, tak się do niej zwracają. Przyjmuje tę zmianę spokojnie. Myśli o swojej matce, której było na imię Miriam.

Czyta uważnie katechizm. Połowy rzeczy nie rozumie, a z pozostałymi rzadko się zgadza. Ale Józef nalega na ślub, a wcześniej na chrzest – Lili i syna. Inaczej jego matka nie wpuści ich do domu. Matce też się należy wdzięczność i szacunek od ludzi.

Lili tęskni za Wilhelmem. Karmi Kazimierza.

Myśli o Miriam, prorokini, siostrze Aarona i Mojżesza, której zadaniem było dopilnować, aby skazane na śmierć dziecko przetrwało prześladowania, choćby i zmieniając się w Egipcjanina.

I mieszkało między nami

Wiosną proboszcz egzaminuje Lili z katechizmu. W sobotę 21 kwietnia 1945 kobieta przyjmuje chrzest w wierze katolickiej i otrzymuje imię Maria. Jej chrzestnymi rodzicami zostają zaufany sąsiad, który pomagał Józefowi kopać bunkry, i siostra Józefa. To właśnie ona czasami zajmowała się małym Wilhelmem w czasie okupacji. Lili zgadza się na ten wybór. Tego samego dnia ochrzczony zostanie Kazimierz.

Na ślub rodzice Kazimierza poczekają jeszcze pół roku.

Na rozstanie – kilka lat.

Józef zgorzknieje w oczekiwaniu na dzień, w którym wdzięczność zamieni się w miłość.

Jego matka umrze w poczuciu, że przynajmniej dwie dusze zostały ochrzczone.

Maria po śmierci teściowej nie stanie się doświadczoną rolniczką i gospodynią jak inne kobiety z babki prababki w Jadownikach.

Kazimierz wyjedzie wraz z matką do Izraela.

Józef Topolski umrze w wieku 50 lat, zmęczony ciężkimi chorobami i własnym nieudanym życiem.

Lili odejdzie z tego świata w wieku 84 lat, otoczona gronem kochających dzieci i wnuków, na innym kontynencie.

Doktor Jan Wiktor Brzeski odznaczony zostanie medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

Niżej podpisani Żydzi z Brzeska zaświadczają, że „dr Jan Brzeski z Brzeska w okresie okupacji szedł z pomocą lekarską ludności żydowskiej z całą gotowością i to tak w pierwszym okresie jak i w najcięższych czasach ukrywania się i pogromu". Chaskel Blonder, Józef Glassner, Szymon Goldberg, Helena Taub, Stefania Liban, Bronisława Malawer, Lili Matzner, Naftali Schiff, Herman Sperber, Regina Sperber, Maurycy Zuckerman.

© SABINA JAKUBOWSKA

DR SABINA JAKUBOWSKA jest pisarką, badaczką historii lokalnej, doulą, archeolożką i nauczycielką. W 2022 r. wydała bestsellerowe „Akuszerki" (nominacje do Nagrody Nike, Nagrody Literackiej im. Witolda Gombrowicza i Nagrody Literackiej Unii Europejskiej) – powieść o kobietach przyjmujących porody w XIX-wiecznej i XX-wiecznej Małopolsce. Wcześniej ukazał się „Dom na Wschodniej".

Autorka dziękuję dr Annie Brzyskiej ze Stowarzyszenia „Pamięć i Dialog. Wspólna historia" za pomoc w dotarciu do źródeł, z których część została opublikowana na stronie brzesko-briegel.pl.

ZUZANNA

Radzik: *Święty patchwork*

Liturgiczny adwent to znaki: odczytywanie, czy nadchodzi, spodziewanie się Tego, który ma przyjść z mocą i wyzwolić. I w sumie życie chrześcijanki to też adwent. Ciągłe czekanie na tego, który przychodzi. Czujność. Nie w sensie eschatologicznym, czyli wypatrywania sygnałów końca świata, lecz rozumienia wrażliwości na znaki tego, że Bóg już jest z nami. Gdzieś tu, nieopodal. Subtelnie albo uparcie domaga się naszej uwagi. Tymczasem nasza uwaga jest tak często rozproszona tysiącem ważniejszych spraw, a nasze oczekiwania, jak powinna wyglądać obecność Boga w świecie, odległe od tego, jak On przychodzi.

Znaki w ewangelicznej opowieści pasterzy i mędrców prowadzą do stajni, gdzie rodzi się dziecko. Dobrze rozumiane, mogą zaprowadzić nas tam, gdzie najbardziej można spotkać Bożą obecność także dziś. Tylko że mędrcy, z całym swoim rozeznaniem, szukali nowego władcy, a zawiodły ich znaki wiodące do biednego niemowlaka. Nie tak miało być. Izraelscy pasterze z okolic Betlejem, jeśli czekali na mesjasza albo na ponowne wyjście z niewoli czy odrodzenie świata, to nie w noworodku upatrywali zapowiedzi tej dobrej nowiny. Nie tak miało być. Taki ten nasz Bóg, nie spełnia oczekiwań.

Choć my zapewniamy się, że spełnia – ewangeliści wywodzą przecież, jak dokładnie wypełniło się Pismo i spełniły proroctwa. Że było niczym w scenariuszu. Biorą Księgę Izajasza, wycytowują, łączą z tym, gdzie się rodzi i jak, i wszystko hula. Dziś już nie rozpoznamy, gdzie w ich interpretacjach kończą się fakty, a gdzie zaczyna teologia i literatura. Czy to, że Izajasz sugeruje, iż królowie innych krajów oddadzą Bogu Izraela pokłon, spełniło się w mędrcach faktycznie, czy jest to literackie mrugnięcie okiem do czytelnika, żeby skojarzył, co się w tej opowieści wydarza? Nie dowiemy się do końca. Ale przyjmujemy najważniejsze w ich opowieści: rozeznali, że w Jezusie przyszedł mesjasz, zapowiadane zbawienie.

Dlatego ze wzruszeniem myślę o wysiłku duchowego rozeznawania, który ruch Jezusowy – pierwsi uczennice i uczniowie – podjął, żeby zrozumieć, co im się wydarzyło i jaki to ma sens. Próbuję postawić się na ich miejscu i zobaczyć, jak niełatwo było rozeznać to we wspólnocie, ile było sporu, niedowierzania, niejasności. Jakie to musi być irytujące, gdy wydarzy się coś doniosłego i Bożego, ale rozsadza to, czego się spodziewasz. Jest zgodne z tradycją, a jednocześnie ją przekracza. Prowadzi na nowe ścieżki, kiedy ty wcale nie chcesz opuszczać tych, które znasz. Bo, prawdę mówiąc, ukrzyżowany mesjasz to kolejna odsłona Boga, który zawodzi oczekiwania. Ile by się nie czytało u Izajasza o cierpiącym słudze, to i tak człowiek oczekuje nieco więcej przytupu i triumfu od Boga wkraczającego w historię. A tu nawet zmartwychwstanie jest dość dyskretne. Nie tak miało być. Mogło to jakoś lepiej wyglądać.

I jeszcze oni, w tej stajence, nie tacy, jak człowiek by się spodziewał. Ona, zbyt pyskata i niezależna jak na młodą dziewczynę w czasach sprzed emancypacji kobiet. Odstępująca od normy i modelu kobiecości. I Józef, święty patron tego, że może w życiu pójść nie tak, jak miało być. Stoi tam z nie swoim dzieciakiem i z żoną dziewicą. Żaden macho, raczej protoplasta tego, co dziś nazywają nową męskością. Czuły, miękki, relacyjny, niedominujący. Nie jest protagonistą tej historii, stoi w cieniu. Umożliwia ją, ale nie zasłania. Którędyśmy doszli od tej nienormatywności rodzinnej i świętego patchworku w stajni do dyscyplinowania wszystkich wokół, by tworzyli nuklearne rodziny według jedynego słusznego modelu?

Tymczasem oni są właśnie o tym, że wszystko poszło nie tak, jak powinno, że każde z nich musiało się zgodzić, iż będzie nie tak, jak by chciało. Nie będzie tak, jak społeczeństwo by lubiło, nie będzie jak u innych. Ich rodziny to dopiero miały powody zamartwiać się, co ludzie powiedzą. Każde z nich musiało się zgodzić na boże zaskoczenie, czujnie odczytać, że może właśnie w ten sposób wpuszcza Boga w świat.

To czytanie znaków wymaga odwagi, jest nieoczywiste, można się pomylić, ale można też uwierzyć wbrew własnym oczekiwaniom. Nie tak miało być, ale tak jest. Jak to w rodzinie, na którą spojrzymy czule przy wigilijnym stole, jakkolwiek nienormatywna by nie była. Nie tak miało być, ale tak właśnie będzie dobrze. ©

POŻEGNANIE

Msza święta za spokój dusz

Ś.† P.

Henryka Niewodniczańskiego

w 55. rocznicę śmierci,

jego żony

Ireny z Prawocheńskich

w 33. rocznicę śmierci

i syna

Tomasza

w 14. rocznicę śmierci

zostanie odprawiona w Kolegiacie św. Anny w Krakowie
31 grudnia o godz. 10.00

SYN JERZY

Najlepsza oferta na Tygodnik

TYGODNIK POWSZECHNY

Zgadzamy się, opis oferty jest dość długi, ale jesteśmy pewni, że jest wart Państwa czasu

Właśnie się zaczęła

To długo nie potrwa

Szanowni Państwo, na miły koniec roku 2023 i na dobry początek roku 2024 przedstawiamy najlepszą ofertę na prenumeratę „Tygodnika Powszechnego". Oferta jest ograniczona czasowo, potrwa od 20 grudnia do 9 stycznia (włącznie), dlatego **warto skorzystać z niej od razu**. To tylko 21 dni, a wiadomo, jak to bywa z przelewami, bankami i w ogóle ilością rzeczy do załatwienia w okresie świąteczno-noworocznym. Szkoda byłoby zmarnować taką okazję.

Suwerenni dzięki Wam

Suwerenni dzięki Wam – to hasło towarzyszy „Tygodnikowi" od dłuższego czasu. Oznacza tyle, że **przetrwanie pisma zależy od jego Czytelniczek i Czytelników**, a nie od widzimisię władzy politycznej czy kapitałowej. Zalety takiej sytuacji są obopólne: Państwo macie pewność, że publikacje „Tygodnika" są niezależne, redakcja natomiast ma wolność pisania tak, jak lubi, czyli obiektywnie i o sprawach najważniejszych.

Misja „Tygodnika"

Jest coś jeszcze. Każda osoba prenumerująca „Tygodnik" wspiera realizację naszej misji: *Odważnie prowadzimy Czytelniczki i Czytelników przez świat, zachęcając do patrzenia na rzeczywistość z różnych perspektyw. Nasze publikacje i działania poszerzają horyzonty myślenia i wolności. Poważanie dla prawdy jest dla nas sprawą nadrzędną. Ważny jest dla nas wzajemny szacunek i otwartość – nie zamykamy się na żadną ze stron dialogu.* ***Wierzymy, że świat da się naprawić,*** *dlatego inspirujemy do przemyślanego działania liderów życia społecznego i kulturalnego.*

No ale co z tą ofertą?

Misja misją, ale przecież obiecaliśmy najlepszą ofertę na prenumeratę „Tygodnika". Brzmi ona tak: **każdy (naprawdę każdy) rodzaj krajowej prenumeraty papierowej będzie tańszy o 10 procent**. Oznacza to nawet 77 złotych oszczędności (w przypadku rocznej priorytetowej) albo na przykład tylko 144 złote za prenumeratę kwartalną (to aż 12 kolejnych wydań „Tygodnika Powszechnego"). Dwa najpopularniejsze rodzaje prenumeraty (roczna ekonomiczna oraz Pokolenia – dla studentów, seniorów i dużych rodzin) kosztują więc odpowiednio 495 złotych (zamiast 550) i 432 złote (zamiast 480).

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
  Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta na prenumeratę „Tygodnika":
TygodnikPowszechny.pl/Sklep

PODSUMOWUJĄC
każdy rodzaj krajowej prenumeraty papierowej, zakupionej między 20 grudnia a 9 stycznia, będzie tańszy o 10 procent.

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej (ile zostało do końca itp.) pomocy udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej przez internet pomocy udziela Mateusz Chmielowski w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	CENA Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
3 miesiące – 12 wydań	~~160 zł~~ 144 zł	~~200 zł~~ 180 zł
Rok – 52 wydania	~~550 zł~~ 495 zł	~~680 zł~~ 612 zł
Rok – 52 wydania w ofercie Pokolenia	~~480 zł~~ 432 zł	
4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	~~100 zł~~ 90 zł	
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	~~640 zł~~ 576 zł	~~770 zł~~ 693 zł
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	~~570 zł~~ 513 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

PARTNER MARKETINGOWY
SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Mąż rozsądny

Czy zdarzyło się Państwu w okresie wczesnoszkolnym poważnie uszczuplić domowy zapas wykałaczek, by pracowicie klecona makieta „polskich Pompei" wzbogaciła się o częstokół? Wówczas, zapewne, hasło „epoka brązu" budzi u Państwa skojarzenia z Biskupinem. Tymczasem gdy powstaje ten znamienity gród, na Bliskim Wschodzie epoka brązu jest już od niemal 500 lat wspomnieniem. Na przełomie XIII i XII wieku przed erą chrześcijańską – pod koniec tej epoki na owym terenie – Lewant i inne kraje śródziemnomorskie nawiedzają wieloletnie plagi suszy, niechybnie kończące się głodem. Egipt, w którym regularnie wylewający Nil zapewnia obfite plony, znajduje się w zupełnie innej sytuacji niż kraje zależne od opadów deszczu.

Wedle Biblii w sennych wizjach faraona pojawiają się krowy tłuste i chude oraz takież kłosy zboża. Te sny potrafi zinterpretować Józef: dla Egiptu nadejdzie wpierw siedem lat z obfitymi zbiorami, po czym los się odmieni. Władca porucza młodemu Hebrajczykowi zadbanie o aprowizację kraju w trudnym okresie i udziela mu szerokich plenipotencji: „Ty będziesz nad domem moim, a podług słowa twojego rządzić się będzie cały lud mój; tylko tronem wyższym będę od ciebie" (Rdz 41, 40; Cylkow). Młodzian wspaniale wywiązuje się z powierzonego zadania i wkrótce Egipt staje się spichrzem dla olbrzymiego regionu: „ze wszystkich krajów przybywali do Micraim, aby zakupować zboże u Josefa; gdyż wzmagał się głód na całej ziemi" (wers 57). Księga Rodzaju o tym nie wspomina, ale już Stela Merenptaha czy inskrypcja w Medinet Habu tak: zasoby Egiptu stają się obiektem pożądania dla bezskutecznie próbujących szczęścia kolejnych grup najeźdźców.

Czytamy, że drugi po faraonie – Józef – sprzedaje nadwyżki zboża i wzmacnia potęgę ekonomiczną Egiptu. Czy w tym kraju było kiedykolwiek możliwe, by wezyrem został cudzoziemiec? Tak, zwłaszcza wtedy, gdy na tron wstępowało dziecko (por. Rdz 45, 8). Za Setiego II jednym z dworzan jest pochodzący z „północy" (Kanaanu?) niejaki Bej. Po śmierci tego faraona tron obejmuje – wspierany przez Beja – niepełnoletni Siptach, panujący w latach 1197-1191 przed erą chrześcijańską. Zarówno Józef jak i Bej przyjmują egipskie imiona, obaj są związani z Heliopolis [hebr. On] (zob. Rdz 41, 45). Czyżby...? Zapewne ucieszą się ci, którym konieczne jest do szczęścia pozabiblijne potwierdzenie, że protoplaści Ludu Izraela byli postaciami historycznymi lub ci, którzy nigdy w to nie wątpili. Ci zaś, dla których ważniejsze są idee i wartości, które te osoby wnoszą do naszego życia, być może westchną, że w obliczu wiszącego nad nami totalnego kryzysu bardzo przydałby nam się „mąż rozsądny i mądry" (zob. Rdz 31, 43) – taki jak Józef. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
W żłobie leży

W żłobie leży, któż pobieży kolędować Małemu? Ten Mały już dawno temu wydoroślał: „Znacie przecież łaskę naszego Pana Jezusa Chrystusa: On, będąc bogaty, dla was stał się ubogi, abyście wy wzbogacili się Jego ubóstwem". Wzbogacać ubóstwem? Czemu nie, przecież cała rzeczywistość jest oksymoroniczna. Uroczystość Narodzenia Pańskiego jest na to dowodem. Rodzi się człowiek i jednocześnie Bóg. Bezsilny i zależny od otoczenia osesek sprawcą wszystkiego, a jego śmierć potężnym przejawem życia. To skomplikowanie rzeczywistości dobrze oddaje liturgia Bożego Narodzenia. Pierwszego dnia narodziny Jezusa, drugiego święto pierwszego męczennika Szczepana. Trzeciego dnia w kościołach częstują winem, jako że czcimy Jana Ewangelistę, jedynego apostoła, który zmarł tzw. śmiercią naturalną. Czwartego wspominamy mord na dzieciach betlejemskich. I kiedy tak życie przeplata się ze śmiercią, szczęście z nieszczęściem, my zasiadamy za stoły, ucztujemy i wygląda na to, że oto właśnie chodzi. Przecież Dziękczynienie, czyli Eucharystia, „źródło i szczyt" chrześcijańskiego życia, dzieje się przy stole, ale to życie w liturgii się nie wyczerpuje.

Franciszek, mówiąc o trudach tegoż życia, przestrzega, żeby nie uciekać od życia i nie szukać schronienia przed życiem „w strefach bezpieczeństwa, takich jak nawykowe, niekończące się powtarzanie słów i gestów, w kuszącym zatopieniu się w duchowych przeżycia wewnętrznych, czy też w źle rozumianym przekonaniu o centralnej roli liturgii. Są to pokusy, które przybierają postać wierności tradycji, ale często są nie tyle odpowiedzią na natchnienia Ducha, co reakcjami na osobisty brak satysfakcji". Słowem papież przestrzega przed ucieczką z ziemi, z tej „łez doliny", od realnego świata do wydumanej nadprzyrodzoności, od brzydkiego *profanum* do przepięknego *sacrum*. Przestańmy marzyć o jakimś rezerwacie, w którym Jezus trzymałby swoich przyjaciół pod strażą Michała Archanioła. Nie po to „Słowo stało się ciałem", Bóg stał się człowiekiem i zamieszkał na zawsze w świecie takim, jaki był dawniej, i w takim, jaki jest dzisiaj. Szybując poza świat, do jakiegoś nieba, które miałoby istnieć gdzieś poza granicami ciała wszechświat, grozi nam, że zaczniemy żyć urojeniami.

Franciszek w przemówieniu do bractwa Fraternità di Romena powiedział: „Życie w rzeczywistości jest zbyt krótkie, aby być samolubnym. (...) Proszę was, abyście nadal praktykowali braterską gościnność, abyście oferowali miejsce, gdzie ludzie mogą odpocząć oraz gdzie każdy może poczuć się kochanym przez Boga i poczuć się częścią powszechnego braterstwa, tego, które Ojciec zainaugurował w Jezusie i o co prosi nas Jezus, byśmy je budowali razem z Nim i z Duchem Świętym". ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Ciężary

Gdy zjednoczycie rozdwojone, staniecie się ludźmi.

EWANGELIA TOMASZA

Przejdź z czasu i przestrzeni do bezczasowości i bezprzestrzenności. Tam są twoje korzenie.

AL-HAKIM AL-SAMARKANDI

Wybrał PIOTR SIKORA

„Przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię. Weźcie na siebie moje jarzmo i uczcie się ode Mnie, bo jestem cichy i pokornego serca, a znajdziecie ukojenie dla dusz waszych. Albowiem słodkie jest moje jarzmo, a moje brzemię lekkie" (Mt 11, 28-30) – całkiem niedawno Liturgia skonfrontowała nas na nowo z tymi słowami Jezusa. Słowa te niosą ze sobą nie tylko pokrzepienie i ukojenie, kryją one w sobie również rozeznanie, z którym potrzebujemy się zmierzyć. Kryje się ono w pytaniu o to, czym jesteśmy „utrudzeni"? Co w naszym życiu stanowi „ciężar", który nas przerasta? Możliwych odpowiedzi jest zapewne wiele – sam tekst sugeruje odpowiedź raczej nieoczywistą: może tym ciężarem, który wyczerpuje nasze siły, odbiera nam spokój ducha i radość życia jest... nasze serce? Nie zewnętrzne okoliczności. Nie nadmiar pracy. Nie domagające się wielkiej odpowiedzialności obowiązki. Nawet nie ludzie wokół (obojętni, nieprzyjaźni lub wprost wrodzy). Nie złośliwe komentarze i hejt; nie krytyka „dla zasady" i osąd – przetrącające chęć dalszego angażowania się i trudu. Nie! Serce.

Przywołując do siebie ludzi „utrudzonych i obciążonych", Jezus nie obiecuje im cudownej i nagłej przemiany rzeczywistości wokół nich. Obiecuje im przemianę serca! Z przemienionym sercem najwyraźniej uda się im udźwignąć to, co ich w tej chwili przerasta i wgniata w ziemię. „Utrudzonym i obciążonym" Jezus obiecuje: dam wam serca ciche i pokorne – tak, jak ciche i pokorne jest moje Serce. Tu właśnie przychodzi do nas rozeznanie i diagnoza: nasze serca stają się dla nas ciężarem nie do uniesienia, gdy są hałaśliwe i pełne pychy.

Są hałaśliwe: dobijają się o swoje! Przekrzykują z innymi – by być zauważone. Docenione. Nagrodzone. Kiedy wykrzykują swoje rozczarowanie, pretensję, żal. Im głośniej krzyczą – tym cięższym stają się ciężarem. W swojej bowiem najgłębszej prawdzie chcą być bezinteresowne i kochające...

Jeszcze większym ciężarem dla człowieka jest serce pyszne – wynoszące się nad innych; redukujące drugiego do roli koniecznego kontrastu. Czy Jezus nie mówi nam: nie ma większego ciężaru niż wrzaskliwe i pyszne serce skoncentrowane narcystycznie na sobie samym?

Nie mówi nam jednak tego po to, by nas taką diagnozą pognębić. Mówi: przyjdźcie do Mnie! Dam Wam serce ciche i pokorne. To znaczy: kochające. Miłość „nie szuka poklasku, nie unosi się pychą, nie szuka swego, nie zazdrości". Jest zdolna zmierzyć się z każdą rzeczywistością: „wszystko znosi, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma". Uniesie każdy ciężar. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (24 XII – 7 I)

4. niedziela Adwentu: 2 Sm 7, 1-5. 8b-12. 14a. 16; Ps 89; Rz 16, 25-27; Łk 1, 26-38. 19-28;
Poniedziałek, uroczystość Narodzenia Pańskiego: Iz 52, 7-10; Ps 98; Hbr 1, 1-6; J 1, 1-18;
Wtorek: Dz 6, 8-10. 7, 54-60; Ps 31; Mt 10, 17-22;
Środa: 1 J 1, 1-4; Ps 97; J 20, 2-8;
Czwartek: 1 J 1, 5 – 2, 2; Ps 124; Mt 2, 13-18;
Piątek: 1 J 2, 3-11; Ps 96; Łk 2, 22-35;
Sobota: 1 J 2, 12-17; Ps 96; Łk 2, 36-40;
Niedziela, święto Świętej Rodziny: Rdz 15, 1-6. 21, 1-3; Ps 105; Hbr 11, 8. 11-12. 17-19; Łk 2, 22-40;
Poniedziałek, uroczystość Świętej Bożej Rodzicielki: Lb 6, 22-27; Ps 67; Ga 4, 4-7; Łk 2, 16-21;
Wtorek: 1 J 2, 22-28; Ps 98; J 1, 19-28:
Środa: 1 J 2, 29 – 3, 6; Ps 98; J 1, 29-34;
Czwartek: 1 J 3, 7-10; Ps 98; J 1, 35-42;
Piątek: 1 J 3, 11-21; Ps 100; J 1, 43-51;
Sobota, uroczystość Objawienia Pańskiego: Iz 60, 1-6; Ps 72; Ef 3, 2-3a. 5-6; Mt 2, 1-12;
Niedziela Chrztu Pańskiego: Iz 55, 1-11; Ps: Iz 12, 2-6; 1 J 5, 1-9; Mk 1, 7-11.

KRAJ

DO DYKTATURY I Z POWROTEM

Nie ma takiego prawa i takiej konstytucji, która sama chroniłaby nas przed bezwzględnymi politykami po tym, jak już zdobędą władzę. Obrona przed autokratami jest tylko jedna – niedopuszczenie ich do rządów.

WŁODZIMIERZ WRÓBEL

Miasta w świątecznym oświetleniu, pod choinką prezenty, w telewizji nieśmiertelny Kevin. Pokojowo przekazana władza. Spada społeczne napięcie. Na pozór wraca normalność, którą większość z nas ceni ponad wszystko. Jednak fundamenty naszej rzeczywistości wciąż pozostają mocno naruszone i nie gwarantują, że na kolejnym zakręcie politycznym nie pojawi się jakiś nowy demagog, wciągając nas w wir nienawistnych emocji.

Autorytarne dziedzictwo

Efekty trwających osiem lat autorytarnych rządów w Polsce są wciąż dobrze widoczne. Na polsko-białoruskim pograniczu trwa stan bezprawia i w lesie odnajdywane są kolejne ludzkie ciała. Zdemolowane zostały instytucje, które miały i mają pełnić funkcję bezpieczników na wypadek szaleństw władzy: Trybunał Konstytucyjny, Krajowa Rada Sądownictwa, sądy, prokuratura, media publiczne. Osoby pełniące funkcje prezesów TK i Sądu Najwyższego zostały powołane na te stanowiska z jawnym naruszeniem Konstytucji. W tej panoramie trwałych pozostałości po autorytaryzmie nie można zapomnieć o prezydencie, który choć miał być „strażnikiem Konstytucji", to aktywnie wspierał projekt jej niszczenia – odmawiając przyjęcia ślubowania prawidłowo wybranych sędziów Trybunału Konstytucyjnego, dokonując bezprawnych nominacji na stanowiska sędziowskie czy też tworząc sądy specjalne, z niesławną Izbą Dyscyplinarną Sądu Najwyższego na czele. Te działania prezydenta nie ustaną mimo odrzucenia wizji państwa promowanej przez odchodzącą władzę w wyborach 15 października, i to przez ogromne rzesze obywateli.

Prawdopodobnie Pałac Prezydencki pozostanie schronieniem dla niedemokratycznych idei. Jest to o tyle istotne, że bez współdziałania prezydenta nie można dzisiaj uchwalać ustaw przywracających normalne funkcjonowanie państwa, bowiem nowa większość parlamentarna, choć gwarantująca stabilność gabinetu rządowego, jest jednak zbyt mała, by odrzucać prezydenckie weta do ustaw.

Jednak dziedzictwo autorytaryzmu to nie tylko wciąż funkcjonujące, niekonstytucyjne instytucje. To także bardzo rozległe obszary prawa zmieniane dla ochrony politycznych interesów władzy: podporządkowanie sądów prokuraturze, drakońskie kary jak bezwzględne dożywocie czy więzienie dla 14-latków, ustawy umożliwiające nepotyzm i zaludnianie publicznych instytucji politycznymi poplecznikami, albo spółki Skarbu Państwa przekształcone w partyjno-rządowe skarbonki.

Ten ponury krajobraz wynaturzonego prawa kryje w sobie wiele pułapek, które zagrażają powrotowi do normalności i naszemu bezpieczeństwu. Kilka lat temu ukazał się wywiad rzeka z prof. Andrzejem Zollem pod tytułem „Do pań-

PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

Marsz Miliona Serc. Warszawa, 1 października 2023 r.

stwa prawa i z powrotem". Napisanie dalszego ciągu tego wywiadu, który mógłby mieć tytuł „do autorytaryzmu i z powrotem", nie jest proste, bowiem mało kto dotychczas przebył taką drogę w warunkach, gdy część instytucji państwa albo w ogóle nie funkcjonuje, albo prezentuje wyraźną wrogość wobec planów przywracania praworządności.

Bez grubej kreski

Nie da się uchwalić ustaw przywracających praworządność, nie da się też po prostu wysłać policji do budynku Trybunału Konstytucyjnego lub Sądu Najwyższego, by wyprowadzić stamtąd osoby bezprawnie zajmujące prezesowskie i sędziowskie gabinety, bo powtórzy się w ten sposób autorytarne metody stosowane przez poprzednią władzę. Wielu ekspertów wskazuje wręcz, że zastosowanie radykalnych metod przywracania praworządności, polegających np. na likwidacji całego Trybunału Konstytucyjnego czy generalnym unieważnieniu wszystkich powołań na stanowiska sędziów, dokonanych na podstawie decyzji neo-KRS – skończy się destabilizacją państwa. A po kolejnym politycznym zakręcie zostanie zastosowany ten sam mechanizm – nowa władza odwoła wcześniej mianowanych sędziów, znowu przejmie Trybunał Konstytucyjny oraz media publiczne. To najgorszy z możliwych scenariuszy, oznaczałby bowiem zgodę na to, że wszystkie wcześniej wskazane „instytucje bezpieczniki", które stanowią symbol stabilnej praworządności i dojrzałej demokracji, stają się po prostu zwykłym łupem politycznym kolejnej ekipy rządzącej.

Równocześnie idea praworządności stałaby się swoją karykaturą, gdyby miała służyć zalegalizowaniu skutków całej epoki bezprawia, i gdyby przejść nad nią do porządku dziennego, bez rozliczeń. Perwersyjnie brzmią dzisiaj nawoływania do przestrzegania zasad Konstytucji przez osoby, które z jej naruszeniem ↦

↦ zawłaszczyły najróżniejsze funkcje i stanowiska. Z istoty konstytucyjnej zasady państwa prawa wynika, że bezprawne nominacje muszą zostać zweryfikowane, niekonstytucyjne instytucje zniesione lub gruntownie zreformowane, a osoby świadomie łamiące prawo pociągnięte do odpowiedzialności, także majątkowej. Naiwnością jest także przekonanie, iż przyjęcie metody grubej kreski zapewni stabilność i przestrzeganie konstytucyjnych reguł gry w przyszłości, przy kolejnej zmianie władzy. Nie ma takiego prawa i takiej Konstytucji, która sama chroniłaby nas przed bezwzględnymi, autokratycznymi politykami po tym, jak zdobędą już władzę w rządzie i parlamencie. Obrona przed nimi jest tylko jedna – niedopuszczenie ich do tej władzy.

Kwestia dublerów

Pogodzenie tych dwóch przeciwstawnych opcji nie jest łatwe, zwłaszcza w warunkach prawdopodobnej prezydenckiej blokady dla ustaw przywracających praworządność. Pozostaje sięganie po instrumenty czysto polityczne: można wydawać uchwały stwierdzające nieważność wcześniej podjętych rozstrzygnięć, powoływać komisje śledcze, można wstrzymać lub ograniczyć finansowanie określonych instytucji lub konkretnych funkcji i osób. Takie działania powinny mieć jednak swoje bezpośrednie źródło w rozstrzygnięciach sądów krajowych lub międzynarodowych. Wiele takich orzeczeń, oceniających i weryfikujących panujące w Polsce bezprawie, już zapadło i te właśnie rozstrzygnięcia, podejmowane z dala od bieżących układów politycznych, powinny stanowić kotwicę chroniącą nas przed scenariuszem „odbijania" instytucji publicznych przez kolejne ekipy rządzące. Innymi słowy, przywracanie praworządności, w warunkach braku Trybunału Konstytucyjnego i efektywnej możliwości zmiany ustaw, powinno polegać na wykonywaniu przez instytucje państwa orzeczeń sądowych, w tym przede wszystkim trybunałów międzynarodowych, lub inicjowaniu takich orzeczeń.

Jak konkretnie miałoby to wyglądać? W odniesieniu do osób zajmujących bezprawnie stanowiska w Trybunale Konstytucyjnym, Sejm, wykonując orzeczenie Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, może podjąć uchwałę stwierdzającą fakt bezprawnego wyboru trzech sędziów dublerów, dokonanego na początku ery PiS. Jaki będzie efekt takiej uchwały? Bezpośrednio prawdopodobnie żaden. Przecież – jak już wspomniałem – nikt raczej nie wyśle policji do gmachu przy ul. Szucha, żeby opieczętować konkretne gabinety i uniemożliwić wejście do nich sędziom. Jednak taka uchwała, łącznie z wydanymi już wyrokami Sądu Najwyższego, stwierdzającymi brak znaczenia prawnego orzeczeń wydanych z udziałem sędziów dublerów, stałaby się podstawą oceny statusu owych osób w późniejszych postępowaniach sądowych.

Odciąć od pieniędzy?

Pierwszy wyrok w tej sprawie otworzy drogę do wprowadzenia do Trybunału Konstytucyjnego legalnie wybranych jeszcze w 2015 r. sędziów. Równocześnie pojawi się kwestia dopuszczalności dalszego publicznego finansowania uposażeń osób, które bezprawnie zajmują miejsca sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Ograniczenie budżetu Trybunału Konstytucyjnego w tym zakresie będzie pewnie rozważane przez odpowiednich urzędników w Ministerstwie Finansów, decydujących o przekazywaniu środków publicznych różnym instytucjom państwowym.

Z kolei w przypadku działań Julii Przyłębskiej, występującej dziś w roli prezesa TK (legalność jej wyboru kwestionują nawet sędziowie z jej środowiska politycznego), problemem jest ustalenie, czy faktycznie np. jej zarządzenie o publikacji wyroku Trybunału jest zarządzeniem konstytucyjnego prezesa TK. Ta kwestia także powinna być ustalona w niezależnym postępowaniu sądowym.

Podobny schemat działania należałoby przyjąć w odniesieniu do Krajowej Rady Sądownictwa. Także w tym przypadku jest bardzo wiele orzeczeń różnych sądów stwierdzających niekonstytucyjny sposób wyboru większości jej członków, a uchwała sejmowa stwierdzająca nieważność ich wyboru jedynie potwierdziłaby tę ocenę. Odtworzenie KRS w konstytucyjnym składzie wymaga współdziałania prezydenta, co wydaje się bardzo wątpliwe, mimo deklaracji o współpracy z rządem, złożonej przez Andrzeja Dudę podczas uroczystości zaprzysiężenia gabinetu Donalda Tuska. Domniemana prezydencka obstrukcja nie zwolni jednak innych organów państwa z obowiązku wykonania orzeczeń trybunałów międzynarodowych. Przypuszczam, że rozważane są w tym zakresie dwie drogi: przeprowadzenie wyborów do KRS w środowisku sędziowskim w oparciu o samą Konstytucję, a nie ustawę, lub reaktywacja bezprawnie przerwanej kadencji poprzednich członków KRS.

Co zrobić z neo-sędziami

Najbardziej pracochłonnym obszarem przywracania normalności pozostaje sądownictwo. Wadliwość setek sędziowskich nominacji, potwierdzona przez wyroki trybunałów międzynarodowych i Sąd Najwyższy, ciążyć będzie nad całym systemem, bez względu na zawierane w Polsce kompromisy polityczne i zmianę władzy. Wyroki te otwarły drogę do kwestionowania orzeczeń sądowych wydawanych przez tzw. neo-sędziów z uwagi na naruszenie prawa międzynarodowego i żadną grubą kreską nie jesteśmy w stanie temu zapobiec. Musi dokonać się więc proces weryfikacji procedur nominacyjnych i ponowne przeprowadzenie konkursów na stanowiska sędziowskie, co leży także w najlepiej pojętym interesie osób poddanych takiej weryfikacji. Ostatecznie kończy bowiem stan zawieszenia, w jakim się znaleźli.

POŻEGNANIE

Aleksandrze i Konradowi Flisom

wyrazy szczerego współczucia z powodu śmierci

Taty

składają

Przyjaciele z Klubu „Tygodnika Powszechnego" w Grudziądzu

Należy przy tym podkreślić, że w żadnym wypadku taka weryfikacja nie oznacza konieczności uchylania wyroków wydanych przez nieprawidłowo powołanych sędziów. Obowiązujące przepisy nie przewidują bowiem automatycznej nieważności orzeczenia, nawet gdy wydała je osoba nieuprawniona.

Dla przeprowadzenia weryfikacji sędziów nie jest konieczna zmiana prawa (choć ta droga byłaby najlepsza), ale obalenie mitu zagnieżdżonego w głowach części prawników, w tym sędziów Naczelnego Sądu Administracyjnego, jakoby decyzje prezydenta o powołaniu kogoś na stanowisko sędziego nie podlegały kontroli sądu, bo mają charakter „prerogatyw" głowy państwa. Zdumiewająca jest ta nieuświadomiona tęsknota za monarchą odpowiadającym tylko przed Bogiem i Historią, który – anegdotycznie – nawet konia może uczynić senatorem. Tymczasem w Polsce jest już obecnie rok 2023, a nasza Konstytucja nie tylko nie przewiduje monarchii, ale wręcz wyraźnie wskazuje, że każda decyzja, w każdej indywidualnej sprawie podlega sądowej weryfikacji. To istota demokracji i państwa prawa.

Funkcja sędziego jest służbą publiczną, do pełnienia której każdy ma prawo na równych zasadach, oczywiście po spełnieniu określonych warunków. Decydując o nominacji kogoś na stanowisko sędziego prezydent rozstrzyga zarazem o prawach tych osób, które również kandydowały, ale danego stanowiska nie otrzymały. A jeżeli dojdzie do korupcji, kryminalnych nadużyć czy jakiejkolwiek bezprawności w procesie nominacyjnym, to prezydencki podpis pod aktem powołania na stanowisko sędziego nie ma cudownej mocy usuwania tych wad. Decyzje prezydenta muszą więc podlegać sądowej kontroli, choćby po to, by podobnym nadużyciom zapobiegać. Z kolei uchylenie przez sąd wadliwej nominacji sędziowskiej otworzy drogę do ponownego, w pełni już zgodnego z prawem przeprowadzenia konkursu na stanowisko sędziowskie.

Usuwanie resztek autorytaryzmu i prawnych pułapek, nawet z niechętnym lub wręcz wrogim prezydentem w tle, jest do przeprowadzenia w sposób zgodny z zasadami państwa prawa, choć na pewno będzie to wymagało wysiłku i czasu. Dewastacja instytucji konstytucyjnych spowodowała bowiem szkody niezwykle poważne, dla których usuwania nie wystarczą tylko prawnicze umiejętności. Przez bezprawne procedury awansowe przeszło kilka tysięcy młodych i starszych sędziów, podobnie wielu prawników skusiło się politycznymi awansami w prokuraturze czy różnych instytucjach publicznych. Podstawowa zasada sprawiedliwości wymaga, by uzyskane przez nich bezprawnie awanse i przywileje zostały odebrane. Także dlatego, by oddać sprawiedliwość bardzo wielu innym prawnikom, którzy pozostając lojalni wobec Konstytucji, oparli się pokusie.

GRAŻYNA MAKARA

PROF. WŁODZIMIERZ WRÓBEL – *sędzia Izby Karnej Sądu Najwyższego, kierownik Katedry Prawa Karnego UJ.*

Prawnik jako obywatel

Minione osiem lat stało się potwierdzeniem prawdy, że od postawy prawników w dużym stopniu zależy skuteczność w zawłaszczeniu państwa przez autorytarną władzę. Współczesny autorytaryzm nie jest bowiem krwawą dyktaturą, ale bazuje głównie na ludzkiej słabości, chęci zysku, oportunizmie. Gdyby nie znalazło się tych kilkudziesięciu sędziów, którzy podpisali listy poparcia dla politycznych nominatów do Krajowej Rady Sądownictwa i gdyby wszyscy sędziowie odmówili udziału w procesach bezprawnych nominacji, stopień destrukcji w sądownictwie byłby znacznie mniejszy. Dlatego tak istotne jest dzisiaj wysłanie jasnego sygnału na przyszłość – kolaborowanie z politykami w niszczeniu rządów prawa się nie opłaca i prędzej czy później kończy się odpowiedzialnością.

Równocześnie trzeba mieć jednak świadomość, że powszechna weryfikacja nominacji w wymiarze sprawiedliwości łatwo stanie się pożywką dla resentymentów i konfliktów w środowisku sędziowskim. Z ochotą wykorzystają to cyniczni politycy przy jakiejś kolejnej recydywie autorytaryzmu. Zresztą już dziś powstają stowarzyszenia obrońców neo-sędziów, a pewnie wkrótce także rozliczanych ze swoich działań prokuratorów. Niebezpieczeństwo pojawienia się specyficznego poczucia krzywdy u osób poddanych tej weryfikacji dotyczyć może zarazem osób, które skądinąd w sposób rzetelny wykonywały swoje obowiązki, a do ubiegania się o stanowiska w niekonstytucyjnych procedurach były czasami namawiane przez środowiskowe autorytety, „żeby miejsc nie zajęli jeszcze gorsi". Teraz okazuje się, że mieliby podlegać weryfikacji na równi z owymi „gorszymi".

Kiedyś rozmawiałem ze znajomym, który zdecydował się na objęcie funkcji sędziego w stworzonym przez polityków sądzie specjalnym – Izbie Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych w Sądzie Najwyższym. Miał on pełną świadomość, że cała procedura konkursowa przed neo-KRS jest czystą fikcją, a lista osób, które miały się znaleźć w owej Izbie, została już wcześniej ułożona na biurkach polityków. Twierdził on wszakże, że w ten sposób przynajmniej część miejsc w Sądzie Najwyższym nie wpadnie w ręce prokuratorów od ministra Zbigniewa Ziobry. Można było odnieść wrażenie, że gdzieś w powietrzu unosi się duch Konrada Wallenroda. Tyle tylko, że Wallenrod ostatecznie coś zrobił, natomiast ówczesny mój rozmówca, jak też wiele innych osób, które podejmowały decyzje o przyjmowaniu awansów, by „uniknąć większego zła", konsekwentnie milczało przez kolejne lata podporządkowywania sądów politykom. Tyle zostało z ich rzekomego wallenrodyzmu.

Kryzys ostatnich ośmiu lat i szukanie sposobów jego pokonania uczą nas jednego – to ostatecznie nie prawo i jego instytucje są w stanie uchronić nas przed autorytarną władzą, ale obywatele, którzy w sposób masowy ów autorytaryzm odrzucą. A wśród tych obywateli także prawnicy. Jeśli więc chcemy normalności w przyszłości, to już dziś potrzebna jest nam masowa edukacja obywatelska – a najlepiej obowiązkowy egzamin maturalny z wiedzy o funkcjonowaniu społeczeństwa. © WŁODZIMIERZ WRÓBEL

Przewodniczki

MAŁGORZATA NOCUŃ

Ewa poczuła, że od wielu lat z nikim tak blisko nie była. Nikt jej tak nie dotykał, nie pieścił. Wcześniej myślała, że takiej intymności można zaznać jedynie z matką.

Położne starannie dobierają słowa, chcąc przekazać emocje związane z przyjmowaniem dziecka na świat. Wymieniają: euforię, wzruszenie do łez, zmęczenie ścinające z nóg, wściekłość, bezradność, frustrację. Na koniec mówią, że porodu i tak nie da się opisać – to doświadczenie mistyczne.

Ich zawód to dwie skrajności: piękno porodu fizjologicznego oraz przekleństwo poronień, porodów przedwczesnych i powikłanych. Nazywają siebie „przewodniczkami rodzących kobiet", „towarzyszkami". Ale dla matek znaczą o wiele więcej. Kobiety odnajdują je w mediach społecznościowych wiele tygodni po porodzie i piszą: „Dziękuję ci. Nie dałabym bez ciebie rady", „Dzięki tobie zostałam mamą", „Pięknie się z tobą rodziło".

Mądra kobieta

Lekarze położnicy mawiają, że poród naturalny jest czymś na granicy fizjologii i patologii, doświadczone położne twierdzą nawet, że to „ślizganie się pomiędzy życiem i śmiercią". Najczęściej dziecko rodzi się bez żadnych powikłań (w Polsce odsetek zgonów okołoporodowych jest minimalny), ale trzeba pamiętać, że w drugiej fazie porodu stężenie adrenaliny we krwi kobiety może stwarzać zagrożenie dla jej życia. Tętno płodu może też nagle zacząć spadać i trzeba wtedy podjąć decyzję o natychmiastowym cięciu cesarskim. Na położnej spoczywa więc ogromna odpowiedzialność. W jej rękach jest los dwóch osób – matki i dziecka. Choć wierzy w siłę natury, to kiedy nadchodzi zagrożenie, musi odpowiednio szybko je dostrzec. W języku francuskim położną nazywa się *sage-femme*, czyli mądrą kobietą. W książce „Mundra", autorstwa Sylwii Szwed, położna Irena Chołuj mówi: „Położna to pierwszy zawód kobiecy. Różnie nazywano kobiety go wykonujące: babki, akuszerki, mądre. Myślę, że zawsze to były bardzo silne osoby. Cieszyły się szacunkiem środowiska, bo przychodziły nie tylko do porodów, ale były też doradczyniami kobiet".

Doświadczona położna czasem spojrzy na kobietę i wie, jakie targają nią rozterki. Czuje jej lęk i emocje. Między innymi temu problemowi poświęciła książkę „Akuszerki" (opowiadającą o kilku pokoleniach położnych) Sabina Jakubowska. Powieść powstała na kanwie notatek jej prababki, która jako wiejska babka przyjmowała porody. Często padają w niej stwierdzenia, że do porodu przyszła matka musi się otworzyć. Musi być gotowa – psychicznie i fizycznie.

Tak było w przypadku Alicji, która chciała urodzić dziecko w domu. Podpisała kontrakt z położną, kupiła duży dmuchany basen, ale nic nie zwiastowało rozwiązania. Ginekolog-położnik powiedział jej, że ciąża przenoszona stwarza zagrożenie dla życia dziecka. Polecił – zgodnie z rekomendacjami – wywołać akcję porodową. Alicja z płaczem jechała do szpitala. Na izbie przyjęć usłyszała od położnej: „Nie urodziłaś w domu, bo zapewne twoje ciało nie było na to gotowe. Ale zadbamy, aby było ci tu jak w domu". Po wielu miesiącach Alicja wspomina, że tak właśnie było. Rodziła w wodzie, obok był mąż. Kiedy dziecko przyszło na świat, położna nie odcięła pępowiny, położyła noworodka na piersi Alicji. Zapytała tylko: „Chcecie, by zrobić wam zdjęcie?".

Magda bała się bólu. Lęk, podsycany opowieściami jej własnej matki i koleżanek, wzmógł się przed rozwiązaniem. Od wejścia na izbę przyjęć krzyczała: „Znieczulenie, proszę o znieczulenie!". Położna z długim stażem uśmiechnęła się i pogłaskała ją po głowie: „Chodź, dziecko, zbadamy się". Skurcze były regularne, szyjka macicy rozwarta. Położna westchnęła: „Jakie znieczulenie? Dziecko, przecież ty już rodzisz, wycisz się, oddychaj głęboko, zaraz będzie po wszystkim". W ciągu trzech godzin Magda została matką.

Położne z kilkudziesięcioletnim stażem mówią, że nie ma dwóch takich samych porodów. Wzruszają się, kiedy skurcz wypycha dziecko z łona matki. Przejmuje je pierwszy płacz niemowlęcia. Zdarza im się uronić łzę, kiedy widzą, że matka czy ojciec płaczą na widok noworodka. Mówią, że w tym zawodzie nie ma rutyny. Żeby zrozumieć cud narodzin, trzeba go zobaczyć.

Otwórz się

„Naprawdę te wody pani odeszły?" – Ewa wspomina, że lekarz na izbie przyjęć popatrzył na nią z powątpiewaniem. Rozpoznał ją, bo pojawiła się trzeci raz z rzędu. Za każdym razem twierdziła, że rodzi, ale po wykonaniu KTG (zapis tętna płodu i skurczy macicy) i zbadaniu odprawiano ją z kwitkiem. „Tak" – odparła, a on zaprosił ją na fotel. Po kilku minutach położnik stwierdził: „Nie mam wątpliwości, rodzi pani".

Na bloku porodowym oczekiwała położna, Katarzyna. Przedstawiła się i wręczyła kobiecie „plan porodu". Formularz zawierał kilkanaście pytań, m.in. czy chce słuchać muzyki, czy chce skorzystać z gazu rozweselającego, czy zgadza się na wykonanie lewatywy, na nacięcie krocza itd. Ewa wypełniała rubryczkę za rubryczką i czuła, jak wzbiera w niej lęk. To jej pierwszy poród. Jak będzie? Czy wytrzyma ból? Czy nie skrzywdzi dziecka? I przede wszystkim: Czy dziecko urodzi się zdrowe? Badania prenatalne wykazały, że płód może być obciążony wadą genetyczną. Co prawda po wykonaniu szczegółowego USG ultrasonografista uspokajał Ewę, ale niepokój nie ustał. Położna spojrzała na napięte ciało kobiety, spoconą twarz, rozbiegany wzrok. Delikatnie pogładziła pacjentkę po dłoni.

Na sali porodowej Ewa skierowała wzrok w stronę malutkiego łóżeczka. Położono w nim becik, pieluszkę i czapeczkę dla noworodka wielkości dłoni. „Teraz to do mnie dotarło. Dziś urodzę" – powiedziała. „Tak. Zanim nadejdzie zmierzch" – odpowiedziała położna. Wzięła ciężarną za ręce i poprowadziła

DANIEL DMITRIEW / FORUM

Sala poporodowa w szpitalu w Pyskowicach. 9 maja 2021 r.

w stronę okna: „Patrz na drzewa i tańcz". Ewa zdębiała. Położna położyła dłonie na biodrach rodzącej, lekko nimi zakołysała. „O, tak – powiedziała. – Umieść dłonie na żebrach i oddychaj razem ze mną. Długie, głębokie wdechy i wydechy. Czujesz skurcze?". Ewa pokiwała głową.

Jeszcze kilka dni temu zastanawiała się, czy ten ucisk w okolicach lędźwi i dziwnie twardniejący brzuch to skurcze. Teraz czuła je wyraźnie. Były regularne, coraz częstsze i silniejsze. Położna tłumaczyła, że w pierwszej fazie porodu skurcz pojawia się mniej więcej co kwadrans i trwa około trzydzieści sekund. Boli coraz bardziej? Ewa przytaknęła. Po kilku godzinach z trudnością wypowiadała słowa, wydawało jej się, że powietrze więźnie w płucach. Ból przeszywał ciało.

„Usiądziesz na piłce" – powiedziała położna. Ujęła Ewę za ręce, pomogła jej objąć piłkę udami. „Podczas skurczu ściskaj ją mocno – poinstruowała. – Kiedy skurcz minie, delikatnie się kołysz". Głaskała rodzącą po policzku. Wycierała uda z wciąż odchodzących wód płodowych. Podnosiła do ust butelkę wody mineralnej. „Masz spierzchnięte wargi. Pij małymi łykami" – mówiła. Dotykała głowy Ewy, głaskała ją, odgarniając sklejone potem włosy. Ewa poczuła, że od wielu lat z nikim nie była tak blisko. Nikt jej tak nie dotykał, nie pieścił. Wydawało jej się, że takiej intymności można zaznać jedynie z matką.

„Czy mogę cię zbadać?" – zapytała położna? Ewa skinęła głową, a położna poprosiła ją, by powiedziała, gdy skurcz minie. „Mamy już rozwarcie na siedem centymetrów" – powiedziała po chwili. Kiedy pojawiły się bóle parte, Ewa wyszeptała, że chyba nie da rady, że nie ma już siły. „Dasz – odpowiedziała położna. – Pięknie rodzisz, musimy tylko poszukać odpowiedniej pozycji. Uklęknij, rozsuń nogi, oprzyj przedramiona na fotelu". Gdy rodząca krzyczała, że boli, słyszała: „Połóż się. Ujmij nogi w kolanach, głowa do klatki piersiowej. Zrób kołyskę, nabieraj powietrza i przyj. Mocno". Ewa nawet nie zauważyła, kiedy w sali pojawiła się druga położna. Katarzyna stała przy jej kroczu, druga położna (także Ewa) usiadła na brzegu łóżka. Przytulała jej głowę, głaskała po policzku, szeptała coś do ucha. Ewa wyła z bólu i czuła, że bardzo boi się zobaczyć swoje dziecko. Chce je mieć, ale nie chce go urodzić.

„Nie krzycz – powiedziała położna. – Krzyk w niczym nie pomoże. I nie bój się. Otwórz się. Już widzę główkę". Po kilku minutach Ewa ujrzała w dłoniach położnej zwiniętego w kuleczkę noworodka. Był sino-biało-czerwony, pokryty mazią płodową i pasemkami krwi. Głośno zapłakał i Ewa też wybuchła płaczem. Już wiedziała, że jej synek jest zdrowy. Tak może płakać jedynie zdrowe dziecko. Ból, który jeszcze przed chwilą rozrywał jej ciało, natychmiast ustąpił.

Dałyśmy radę

W zawód położnej Paulinę Nowińską wprowadzały m.in. starsze koleżanki. Pracowały w czasach, w których ciężarne traktowano przedmiotowo (dziś takie podejście zdarza się coraz rzadziej). Kobiety rodziły we wspólnej sali, na ciasno ustawionych łóżkach oddzielonych parawanami. Personel nie wymieniał pacjentek z imienia i nazwiska. Mówiono: „łóżko dwa – skurcze parte"; „łóżko pięć – zatrzymanie akcji porodowej".

Rodzono w pozycji leżącej, ciężarna mogła chodzić jedynie wtedy, gdy zabrakło dla niej miejsca na sali. Położna chodziła od łóżka do łóżka, przykładała stetoskop do brzucha i słuchała tętna płodu. Rodzące wiedziały, że wyglądają niechlujnie. W szpitalu wydawano im koszulę (niekiedy zapinaną na agrafki), rozczłapane brudne kapcie, golono krocze tępą maszynką na żyletki, zabraniano noszenia majtek (nawet jeśli akcja porodowa dopiero się rozpoczynała). Pomimo tego Paulina słyszała od koleżanek: „Zauważ, jakie one są piękne. I nieważne, jak rodzą, naturalnie czy przez cięcie cesarskie".

↦

Paulina jest młodą położną, ale przyjęła już wiele porodów. Patrzy na kobiety zaciskające zęby i krzyczące z bólu, kobiety z popękanymi ustami, twarzami pokrytymi wybroczynami i myśli: „Boże, ile w ich ciałach jest siły. Tak, one są piękne".

W telefonie notuje nazwiska ciężarnych i datę ich zbliżającego się porodu. Kiedy w środku nocy dzwoni komórka, Paulina słyszy: „Mogę o coś zapytać?". Zaspana odpowiada: „Możesz". Wtedy w słuchawce pada: „Chyba mam skurcze", „Chyba krwawię", „Chyba odpłynęły mi wody". Słowo „chyba" wybrzmiewa prawie zawsze. Ciężarne nie są pewne, czy poród rzeczywiście się zbliża, szczególnie gdy spodziewają się pierwszego dziecka. Bywa, że chcą z kimś zwyczajnie porozmawiać. Paulina pyta: „Jak częste są skurcze?", „Czy krwawienie jest silne?", „Jakiego koloru są wody płodowe?". I najważniejsze: „Czy czujesz niepokój?". Kiedy przekonuje się, że kobieta zdjęta jest lękiem, mówi: „Jedź na izbę przyjęć". Paulina sama też wsiada na rower, by udać się do szpitala im. Stefana Żeromskiego w Krakowie.

Niekiedy dziecko spieszy się na świat, więc udział położnej w porodzie ogranicza się do podania kobiecie wody, potrzymania za rękę. Tak było niedawno. Pacjentka na izbie rzuciła w stronę Pauliny: „Ojej, ja cię znam! Jak dobrze, że na ciebie trafiłam". Kiedy pacjentka przebierała się w toalecie w koszulę porodową, Paulina pod drzwiami usłyszała, że ma już bóle parte (doświadczona położna rozpoznaje je po charakterystycznych jękach). Dwadzieścia minut później kobieta tuliła już w ramionach noworodka.

Poród trwa czasem nawet kilkanaście godzin. Wtedy Paulina chciałaby rodzącej ulżyć w cierpieniu. Wierzy, że mimo znieczulenia kobieta nie radzi sobie z bólem. Wie, że jest wyczerpana i myśli tylko o jednym: „niech to się już skończy". Mówi więc: „Oprzyj się o mnie, ściskaj moją rękę". Gładzi po głowie. Wspólnie szukają wygodnej pozycji: na kolanach, na stojąco, kucając, leżąc. Instruuje partnera, jak może wspierać rodzącą: „Zwilż jej usta wodą, pomasuj plecy", albo daje mu znać, żeby na chwilę się odsunął. Kiedy dziecko przychodzi na świat, Paulina czuje, jak bardzo jest zmęczona. Napięcie zejdzie z niej po kilku godzinach.

Mówi się, że dziecko rodzi się na ręce położnej. Paulina zachęca kobiety, by to ich dłonie dotknęły noworodka jako pierwsze. Kiedy skurcz wypycha dziecko z macicy, pyta: „Chcesz je przyjąć?". Jeśli słyszy „tak", jedynie asekuruje dłonie kobiety, w które skurcz wypycha noworodka. Matka przytula dziecko, z którym łączy ją jeszcze nieodcięta pępowina.

> Położne mają świadomość, **że wspomnienie porodu pozostaje z przyszłą matką na zawsze.** Może sprawić, że pogrąży się w poczuciu winy albo odwrotnie: będzie nim zbudowana.

Położne wiedzą, że wspomnienie porodu pozostaje na zawsze. Może sprawić, że kobieta pogrąży się w poczuciu winy. Albo odwrotnie: będzie zbudowana. Najciężej jest, kiedy rodząca doświadczyła traumy w przeszłości. Tak było w przypadku kobiety, z którą Paulina niedawno rodziła. Pacjentka zdecydowała się na poród naturalny po cięciu cesarskim. Podczas takiego porodu tętno płodu musi być stale monitorowane (blizna po poprzednim cięciu sprawia, że istnieje ryzyko pęknięcia macicy i krwotoku). Rodzącą nagle opanował lęk. Powiedziała, że sobie nie poradzi, że boi się znów trafić na stół operacyjny.

Paulina: – Powtarzałam: „Urodzisz, jesteś już dalej niż wtedy". Kiedy podawałam jej niemowlę do rąk, powiedziałam: „Ewa, no i dałaś radę". Spojrzała na mnie i odparła „Dałyśmy radę".

To po prostu magia

Poród nie zawsze jest spokojny. Bywa, że kobieta zdjęta niewyobrażalnym bólem klnie, a nawet bije personel medyczny. Położne wspominają porody, podczas których kobiety kopią i gryzą. Kiedy ból ustaje, spokojnie mówią: „Przepraszam".

– Cieszę się, że w szpitalu mamy pokój, w którym mogę swobodnie kląć – powiedziała mi jedna z położnych. – Kiedy jestem zmęczona agresywnym zachowaniem pacjentki, zamykam za sobą drzwi, klnę, na czym świat stoi, i wychodzę uspokojona. Rodząca kobieta nie ma prawa odczuć mojej irytacji.

Nic dziwnego, że położne postulują, by szpitale otaczały je opieką psychologiczną. Borykają się z nieuzasadnionym poczuciem winy, np. gdy poród naturalny skończył się cięciem cesarskim. Chcą podzielić się z kimś lękami. Podczas trudnego porodu, kiedy pacjentki nie słuchają ich poleceń, położne niekiedy mają na końcu języka: „Co ty robisz? Zaraz przydusisz dziecko!". Ale nie mogą tych słów wypowiedzieć. Muszą więc mieć możliwość przepracowania skrajnych stanów emocjonalnych.

Położne przyjmują nie tylko żywe porody. Do poronień dochodzi na późnym etapie ciąży. Zanim owiną dziecko w medyczny podkład i przymocują taśmą klejącą, jak stanowią procedury, układają je w tęczowym kocyku i – jeśli matka wyraża chęć – układają matce na rękach. Dla wielu rodziców pożegnanie z dzieckiem pozwala przeżyć żałobę i powtórnie otworzyć się na rodzicielstwo.

Rodzącą opiekuje się położna, nowo narodzone dziecko na świecie wita lekarz neonatolog. Dr hab. Dorota Pawlik, zastępczyni kierownika Oddziału Klinicznego Neonatologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie asystowała w tysiącach porodów, do dziś fascynuje ją moment, w którym dziecko zaczyna żyć poza łonem matki. Mówi krótko: – To po prostu magia.

Płód, który przez dziewięć miesięcy żył w ciele matki, oddychał i karmił się za pomocą pępowiny, nagle zaczyna żyć własnym życiem. Jego organizm, a przede wszystkim układ oddechowy i krwionośny, muszą się do tego przystosować. Pęcherzyki płucne płodu wypełnia płyn. Kiedy dziecko przychodzi na świat, płyn się absorbuje, pęcherzyki otwierają, a płuca rozprężają. Noworodek bierze pierwszy wdech, a na sali rozlega się krzyk, który matka i położna tak bardzo chcą usłyszeć. Dr hab. Pawlik: – Powtarzam studentom: „Zwróćcie uwagę, jak długo omawialiśmy zmiany zachodzące w płucach i krążeniu płodu. A teraz chodźmy zobaczyć cięcie cesarskie. Zwróćcie uwagę, kiedy dziecko zacznie samodzielnie oddychać". Są zafascynowani, bo to dzieje się natychmiast.

Dorota Pawlik mówi, że dostępne źródła naukowe tłumaczą mechanizm porodu, ale nawet kiedy się je dokładnie przestudiuje, to i tak pozostaje cień tajemnicy. Dlatego mówi się o cudzie narodzin. I tak powinno pozostać. © MAŁGORZATA NOCUŃ

REKLAMA

HAUSER
REBEL WITH A CELLO

19 LIPCA 2024
TAURON ARENA KRAKÓW
21 LIPCA 2024
ATLAS ARENA ŁÓDŹ

NOWY ALBUM
W SPRZEDAŻY

HAUSEROFFICIAL.COM

BILETY: BILETSERWIS.PL

Prestige 15 lat MJM
BILET SERWIS
RZECZPOSPOLITA
TYGODNIK POWSZECHNY
VIVA!
proart telewizja kablowa
VIXON MENU+

REKLAMA

CZYTAJ, aby zrozumieć

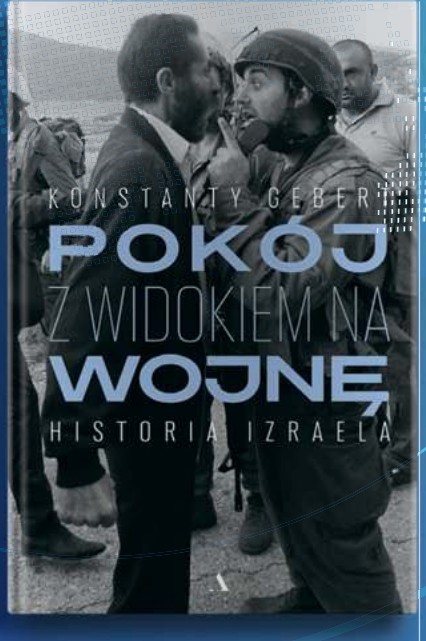

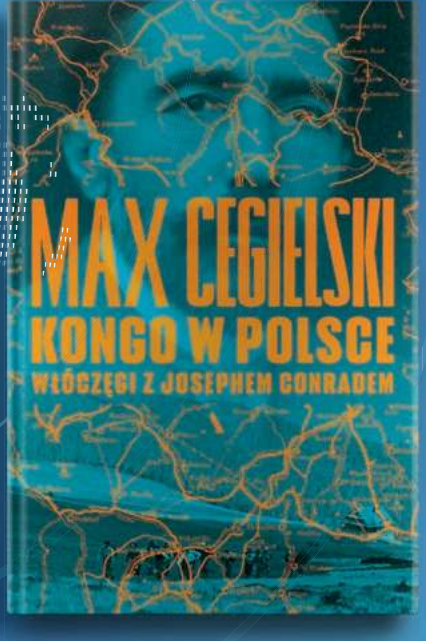

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

Wydawnictwo Agora

Nierozłączni

TEKST ANNA GOC | ILUSTRACJE MAGDA WOLNA

Juliusz idzie za Beatą. Patrzy to na jej plecy, to na nogi, to znów na plecy. Całej zobaczyć nie może.

BEATA MÓWI, że mają z Juliuszem swoje sposoby.

Na przykład idąc, trzymają się zawsze za ręce. Jak wiele innych par. Ale: Beata jest w czasie spacerowania czujna. Wysyła sygnały. Jeśli zauważy przeszkodę na ulicy, choćby wysoki krawężnik, ściska rękę Juliusza dwa razy i ciągnie ich dłonie w górę. Gdy mają zejść po schodach – to samo, tylko w dół. Widzi dziurę w drodze, kałużę – znów ściska dłoń Juliusza, ciągnie ją równolegle do drogi, wtedy Juliusz wie, co ma zrobić – zamaszysty krok. Przed skrętem w prawo przekręca ich dłonie w tym kierunku.

Inny przykład: rowery. Jeżdżą, wcale nie powoli. Beata zawsze przed Juliuszem, zerka w zamontowane na kierownicy lusterko: czy jest za nią? – jest, w czerwonej koszulce, żeby był widoczny także dla innych.

Idą w góry. Beata robi małe kroki. Żadnego przeskakiwania co drugi drewniany stopień. Żadnego zbiegania, wskakiwania na kamienie. Juliusz za nią, jakby szedł po śladach. Patrzy to na jej plecy, to na nogi, to znów na plecy. Całej zobaczyć nie może.

MIAŁA CZTERY LATA i była w szpitalu z powodu zapalenia opon mózgowych. Beata pamięta tamten dzień dość dobrze, choć jej bliscy się dziwią, skąd taka pamięć u dziecka: weszła do gabinetu, mama czekała na korytarzu. Pielęgniarka wbiła zastrzyk.

– I pstryk – mówi Beata. – Nagle zrobiło się cicho.

Wróciły na salę. Mama o coś zapytała, Beata nie odpowiedziała. Mama mówiła coraz głośniej, Beata nic. Wyjęła małe radyjko, postawiła na szafce przy łóżku. Grali ulubioną piosenkę Beaty – „Zuzia, lalka nieduża". Zwykle ją nuciła, tańczyła do niej. Teraz bez reakcji. Mama pogłaśniała, nic. Przystawiła jej radio do ucha, wtedy Beata szepnęła: „Zuzia...".

Beatę odwiedziła w szpitalu jej starsza o półtora roku siostra. Mówiła do niej, jak dawniej, i nie mogła zrozumieć, dlaczego Beata nie reaguje.

Tamtego dnia mama Beaty zorientowała się, że jej córka nie słyszy. Lekarze wyjaśniali, że dostała za dużą dawkę gentamycyny, która uszkodziła jej słuch.

JULIUSZ MIAŁ DWADZIEŚCIA LAT, gdy poszedł z kolegami do niewielkiego lasu, tuż przy kampusie uniwersyteckim. Była późna jesień, szybko szarzało. Juliusz starał się dotrzymać kolegom kroku, ale szedł niepewnie. Zahaczał o gałęzie, potykał się o konary. Zlewały mu się kontury drzew, czuł, że za chwilkę z którymś

się zderzy. Jeden z kolegów zawrócił i pomógł mu wyjść z lasu.

Tamtego dnia Juliusz zorientował się, że coś dzieje się z jego wzrokiem. Na badania poszedł dopiero kilka lat później, gdy podobnych sytuacji zaczęło przybywać.

Ktoś podał mu rękę na przywitanie, Juliusz jej nie zauważył.

Znalezienie kursora myszki na ekranie zajmowało mu kilka minut.

Ciągle się o coś potykał, na kogoś wchodził.

Dostał diagnozę: zespół Ushera. Rzadka choroba genetyczna, która powoli zabiera dwa zmysły – słuch i wzrok. Problemy ze słuchem zaczynają się wcześniej. Potem pojawiają się kolejne, ze wzrokiem. Coraz bardziej zawęża się pole widzenia. Jakby się świat oglądało przez dziurkę od klucza. Albo przez lunetę, o coraz mniejszej średnicy.

Beata: – Jestem głucha. Na lewe ucho nie słyszę nic, niedosłuch w prawym wynosi ponad 90 dB, a problemy z rozumieniem mowy i kontaktami z ludźmi mogą pojawiać się już przy niedosłuchu wynoszącym 40 dB.

Juliusz: – Nazwałbym siebie osobą niedosłyszącą. Mój niedosłuch jest dość symetryczny, wynosi około 70/80 dB po obu stronach. I niedowidzącą, bo pole widzenia wciąż się zawęża, nie widzę po zmierzchu i mam światłowstręt, co utrudnia funkcjonowanie w jasne dni bez okularów przeciwsłonecznych.

ODKĄD SIĘ POZNALI, są nierozłączni.

Wpadli na siebie na zajęciach z języka angielskiego. Beata była wtedy studentką, przygotowywała się do egzaminu z filozofii. O Juliuszu mówiło się, że jest geniuszem. Stwierdziła, że poprosi go o pomoc. Na jedno ze spotkań Juliusz spóźniał się. Napisał do Beaty, że przeprasza, ale nie może wyjść z domu, bo wyczerpały mu się baterie w aparacie słuchowym i nie pamięta, gdzie położył nowe.

„Półka nad biurkiem po prawej stronie" – odpisała szybko Beata, która ma świetną pamięć wzrokową.

„Musisz zostać moją żoną" – przyszła wiadomość po kilku sekundach.

We wspólnym mieszkaniu Beaty i Juliusza Iwanickich są białe ściany i rzeczy w kontrastowych kolorach. Światełka, które zapalają się i rozświetlają Juliuszowi korytarz w nocy. Dzwonek świetlny – prezent od taty Beaty, bo pewnego dnia stał pod drzwiami i dzwonił, dzwonił... Kupił więc pomarańczowego koguta i zamontował go.

Juliusz: – Teraz gdy ktoś dzwoni, uruchamia się w naszym mieszkaniu mały sztab straży pożarnej.

SPOSOBÓW NA TO, JAK ŻYĆ mają coraz więcej. Planują każdy tydzień. Oboje są wykładowcami akademickimi. Beata dostosowuje swój kalendarz do planu Juliusza. Zajęcia zaczyna zwykle nieco później, by zawieźć Juliusza na uniwersytet. Jeśli kończy wcześniej, dorzuca sobie dyżur, by na niego poczekać. Dodatkowe zajęcia, wyjazdy na konferencje naukowe, wyjścia do bibliotek – zapisują w swoich kalendarzach, do których mają nawzajem dostęp. Lista wspólnych spraw każdego dnia dochodzi do trzydziestu.

Juliusz: – Źle wypadam w wywiadach, na podstawie których orzeka się o stopniu niepełnosprawności i przysługujących ulgach. Źle – to znaczy za dobrze.

Beata: – Juliusz nie ma prawa do asystenta, bo jest zbyt pełnosprawny. Ma pracę, obronił doktorat, pisze książki. Podróżuje, biega, jeździ na rowerze. Nikogo nie interesuje, ile nas to kosztuje.

Stałe wykłady Beata zaczyna od krótkiego wprowadzenia – opowiada o tym, jak będzie wyglądała praca z nią, czyli głuchą wykładowczynią. Żeby się na przykład nie obrażać, jeśli Beata nie odpowie na „dzień dobry", tylko podejść i pomachać jej ręką przed oczami, wtedy na pewno zauważy.

Beata: – Jako wykładowcy z niepełnosprawnościami nie mamy obniżonego pensum ani dostosowanych stanowisk. Sporo energii zużywamy na to, żeby usłyszeć, co mówią studenci. Żeby kogoś nie zignorować. Do dzisiaj mam lęk, zwłaszcza w sytuacjach konfliktowych, że coś źle zrozumiem. W mojej poprzedniej pracy zdarzyło się, że w czasie egzaminu zauważyłam studenta, który ściągał. Poprosiłam, by oddał pracę i opuścił aulę. Gdy się odwróciłam, usłyszałam „ty suko", nie mogłam jednak zareagować, bo nie byłam pewna, czy dobrze usłyszałam jego słowa.

Juliusz: – Rzadko mówiłem o swoich potrzebach. Być może obawiałem się, że jeśli opowiem, to będę traktowany przez innych ulgowo, nikt nie zleci mi ambitnego zadania.

Jeśli Juliusz ma referat na międzynarodowej konferencji, jadą razem.

I tu mają swoje sposoby. Juliusz kończy referat, więc Beata znów jest czujna. Obserwuje słuchaczy, by wychwycić podniesione do góry ręce, których Juliusz może nie zobaczyć. Jeśli zauważa, że ktoś chce zadać pytanie, dzwoni do stojącego kilka metrów dalej męża, wtedy jego zegarek zaczyna wibrować – to sygnał, że jest pytanie z sali.

– Jak widzę? Mogę to zademonstrować – mówi Juliusz. Siada naprzeciw, kładzie rękę na kolanie, powoli ją unosi. – Teraz jej nie widzę – wyjaśnia. I podnosi dalej, aż ręka zatrzymuje się przed jego oczami. – O, teraz ją widzę. Ale wystarczy, że zostawię ją na tej wysokości i przesunę nieco w prawo albo w lewo, znów znika.

Przez wiele lat nie miał świadomości, że widzi inaczej niż większość. Poza zasięgiem jego wzroku są małe dzieci, zwierzęta, wystające gałęzie, zostawione na chodniku przedmioty. Jeśli spuści wzrok, zobaczy je, ale wtedy nie widzi tego, co dzieje się przed nim. Gdy z kimś rozmawia i ten ktoś stoi naprzeciw, widzi fragment jego twarzy. Jeśli odsunie się o dwa lub trzy metry, ma szansę zobaczyć całą twarz, ale wtedy gorzej słyszy.

Juliusz: – Nasze niepełnosprawności łatwo ukryć. Dobrze mówimy, więc dopóki ktoś nie dostrzeże aparatów słuchowych, może nie zorientować się, że jesteśmy głusi. Okulary nosi wiele osób, więc też nie zwracają uwagi.

BEATA NA PIERWSZE APARATY SŁUCHOWE czekała kilka miesięcy. Miała nadzieję, że dostanie pudełkowe – toporne, zawieszane na szyi. Przypominały walkmana, więc mogłaby udawać, że słucha muzyki. Gdy założyli jej zgrabne zauszne, które właśnie wchodziły na rynek, rozpłakała się.

Beata: – Jestem w innej sytuacji niż większość głuchych. Straciłam słuch, gdy umiałam już mówić. Dlatego zawsze podkreślamy z Juliuszem, że nie jesteśmy reprezentatywni, choć jesteśmy głusi.

O tym, że Beata może mieć problemy z mówieniem, lekarze powiedzieli jej mamie od razu po tym, jak straciła słuch. – Prędzej czy później przestanie mówić – przekonywali. – Nie będzie słyszała tego, co się dzieje dookoła, coraz rzadziej będzie zadawała pytania, coraz słabiej na pytania reagowała.

↦

↦ Mama Beaty zrezygnowała z pracy. Zawoziła córkę na zajęcia logopedyczne, codziennie ćwiczyła z nią w domu. Każda zabawa oparta na rozmowie była dobra. Grały w Koło Fortuny, które polega na zgadywaniu haseł na podstawie pojawiających się kolejnych samogłosek i spółgłosek. Wieczorami mama zarządzała zabawę dla całej rodziny: „Dzi-siaj mó-wi-my jak ro-bo-ty". Powoli, wyraźnie, najlepiej w taki sposób, żeby Beata widziała usta. Do teraz, gdy Beata z siostrą są w zatłoczonym tramwaju, potrafią porozumiewać się bezgłośnie, odczytując słowa z ruchu warg.

W nowej szkole Beata miała problemy z komunikacją. Na lekcji biologii nauczycielka poprosiła, by opisała „budowę domu". Beata zdziwiła się, zaczęła niepewnie „fundamenty". Nauczycielka powtórzyła polecenie: „Opisz budowę dębu", Beata znów podjęła próbę: „korzeń", „pień", „korona...". Nauczycielka po raz trzeci: „Opisz budowę zęba".

Beata: – Każdy człowiek mówi inaczej, jakby mówił w innym języku. My, głusi, musimy ciągle uczyć się czyjejś barwy głosu. A rozumiejąc jedno albo dwa słowa z całego zdania, odgadywać jego sens.

Przerobiły z mamą cały program pierwszej klasy, Beata nauczyła się czytać, pisać, liczyć. Jednak pedagodzy zdecydowali, że powinna iść do szkoły dla głuchych dzieci, bo w masowej sobie nie poradzi.

Beata: – W opinii zapisali, że „stwarzam zabawy niespotykane u innych dzieci, na przykład wchodzenie na zjeżdżalnię od drugiej strony". Zapamiętałam to zdanie, bo ono pokazuje, że pojęcie normy dla dzieci z niepełnosprawnością albo chorobami psychicznymi jest inne niż dla dzieci zdrowych.

Chcemy zobaczyć świat – dotknąć, poczuć, posmakować.

Mamy umowę, że ja mogę żyć o 5 minut dłużej od Julka. Musimy dotrwać do końca razem.

JULIUSZ BYŁ PODOBNO „CICHUTKIM DZIECKIEM". Gdy miał sześć lat, jego rodzice zorientowali się, że coś jest nie tak. Badania wykazały poważny niedosłuch. Poszedł do szkoły społecznej, gdzie są małe klasy, a nauczyciele skoncentrowani na uczniach. Miał prywatne zajęcia z logopedami.

– W świetle dzisiejszej wiedzy założenie głuchemu dziecku aparatów słuchowych w wieku sześciu lat to zdecydowanie za późno. Teoretycznie nie powinienem więc tak dobrze funkcjonować językowo. Być może udało się to dzięki zindywidualizowanej edukacji. Dostałem się do jednego z najlepszych liceów w mieście. I tam poczułem, że jestem inny – mówi.

Beata: – Świadomość, co to znaczy być osobą głuchą, pojawiła się u Juliusza dopiero wtedy, gdy się poznaliśmy. Wcześniej nie znał nikogo głuchego, nie miał wiedzy o polskim języku migowym. Był traktowany jak osoba pełnosprawna. Ja też robiłam wszystko, by nie odstawać.

GDY ZAUWAŻAJĄ PRZESZKODY w swoim mieście, interweniują. W listach do urzędów szczegółowo je opisują, wyjaśniają, na czym polega utrudnienie. Szare słupki, które mają ograniczyć wjazd samochodów i parkowanie w niektórych miejscach, są dla Juliusza prawie niemożliwe do zauważania. Wiaty na przystankach autobusowych z przezroczystymi szybami – podobnie. Niezabezpieczone remonty, powyłamywane płytki chodnikowe, niesprzątnięte śmieci.

Widzą, że ich reakcje przynoszą rezultaty – na słupkach pojawiają się odblaskowe obręcze, na przezroczystych szybach – naklejki.

Beata: – Ostatnio wjechała w nas dziewczyna na hulajnodze. Być może próbowała nas uprzedzić, być może coś krzyknęła albo zadzwoniła, nie usłyszeliśmy jej. Nasze społeczeństwo zakłada, że wszyscy słyszą. Idąc w zatłoczonych miejscach, czujemy napięcie, że czegoś nie zauważymy albo nie usłyszymy, i ktoś odpowie agresją.

TROCHĘ NA PRZEKÓR, TRENUJĄ. Jeżdżąc na rowerze, dzwonią do siebie. „Za chwilę będziemy skręcać", „uważaj, dziury", „ostrożnie, wysoki krawężnik..."

– instruuje Beata. Czasem robi też ustalone manewry. Umówili się, że jeśli na drodze pojawi się przeszkoda, Beata okrąży ją bardzo powoli, widowiskowo, a potem znów przyspieszy.

Zmianą był dla nich aparat słuchowy z Bluetooth – dzięki niemu mogą połączyć aparat z telefonem i dzwonić do siebie także w czasie jazdy.

Biegają w taki sposób, że Juliusz stara się być tuż za Beatą. Jeśli ona biegnie, ufa jej, że na tej drodze nie ma żadnej przeszkody. Dzięki temu mogą biec szybko.

Na maratony zakłada koszulkę z napisem „Niewidomy". Wahali się, czy nie napisać: „osoba niedowidząca", ale uznali, że nie ma co ryzykować. Podczas trudniejszych biegów Juliusz prosi o pomoc innych. Ostatni półmaraton przebiegł ze starszym bratem na lince, bo główną przeszkodą w czasie zawodów są inni uczestnicy, którzy nagle mogą przeciąć mu drogę.

Juliusz: – Jeśli miałbym opisać siebie, powiedziałbym: „jestem osobą słabowidzącą". Jednak wąskie pole widzenia na imprezie masowej, gdzie ludzie biegną w różnym tempie, wyprzedzają, może spowodować, że ich nie zauważę. Mogę nie dostrzec też przeszkód.

Tak było na Malcie. Część trasy zawodów była słabo oświetlona, Juliusz o mało nie wbiegł do wody. Czy w Holandii, gdzie biegacze musieli ominąć niskie szare słupki na drodze. Juliuszowi przy pierwszym okrążeniu udało się, ale przy drugim wbiegł prosto na słupek.

Beata: – Juliusz potrafi pięknie upadać. Zwija się w kłębek, wstaje i biegnie dalej. Jakby to zaplanował, ćwiczył pady albo pompki. Wtedy jednak upadł porządnie, przez kilka tygodni miał problemy z oddychaniem. Dlatego ćwiczy i chodzi regularnie do fizjoterapeuty, żeby być w dobrej kondycji. Mamy umowę, że ja mogę żyć o 5 minut dłużej od Julka. Musimy dotrwać do końca razem.

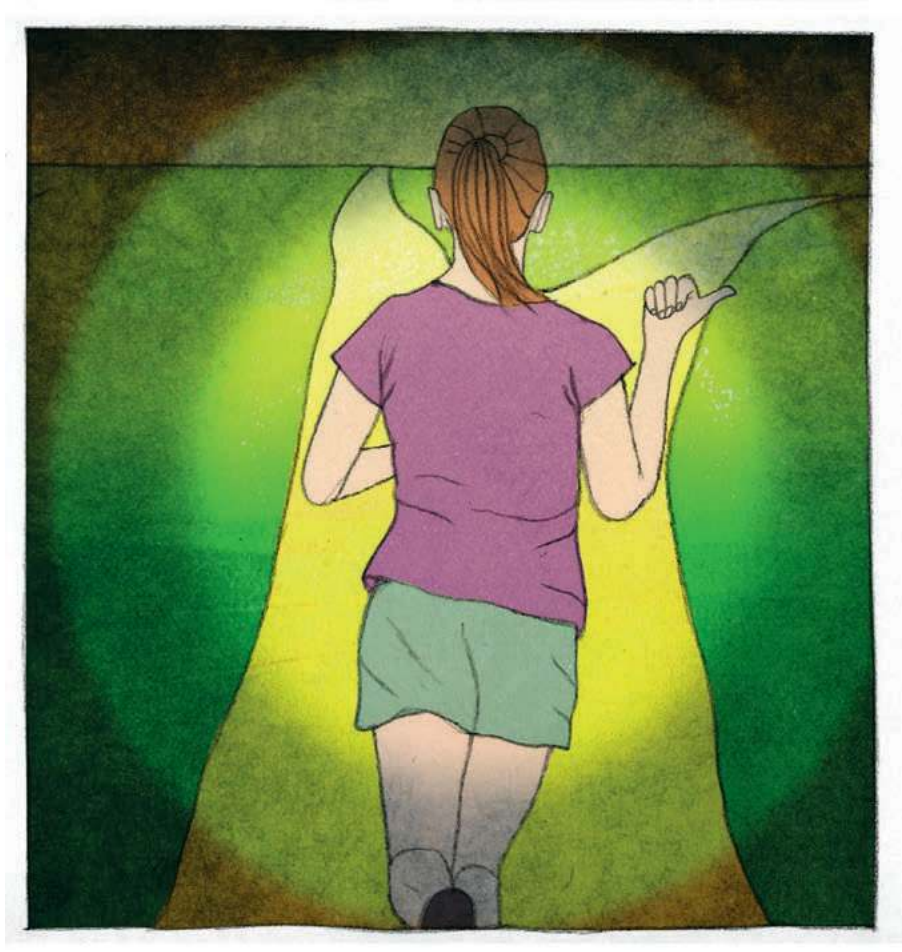

CIĄGLE PODRÓŻUJĄ. Zabierają: białą laskę, której Juliusz częściej używa za granicą. Buty – specjalne, mocno usztywnione na palcach. W przypadku uderzenia stopami o przeszkody, tylko takie się sprawdzają. Legitymacje potwierdzające stopień niepełnosprawności – dziś już w formie karty, kiedyś – tekturki z pieczątkami, której, zdarzało się, w niektórych krajach nie przyjmowano.

Przy okazji sprawdzają, jak kolejne kraje są otwarte na osoby z niepełnosprawnościami i jak są dostosowane.

Mają przygotowaną formułkę w kilku językach: „Dzień dobry, jesteśmy osobami niedosłyszącymi i niedowidzącymi. Nie potrzebujemy wózka ani windy, nie muszą państwo otwierać bocznych drzwi w samolocie. Jeśli to możliwe, chcielibyśmy tylko przejść kontrolę unikając tłumu. Dlatego potrzebujemy asysty".

Wciąż się zdarza, że choć zaznaczają, że niedosłyszą i niedowidzą, pracownik lotniska wychodzi po nich z wózkiem inwalidzkim, tłumacząc sytuację niedopracowaniem procedur. W jednej linii lotniczej zamówienie asysty na lotnisko wymaga telefonicznego potwierdzenia, nawet wtedy, gdy zamawia osoba głucha.

W zależności od lotniska, udogodnienia są różne. Plansze z napisami, pomyślane głównie dla osób, które nie znają języków obcych, ale użyteczne też dla niektórych głuchych. Odrębne sektory dla osób z niepełnosprawnościami, a tam przestrzeń bez świateł, bez dźwięków, miejsca na spokojny odpoczynek. Meleksy, którymi wymagający asysty pasażerowie są przewożeni. Specjalne kontrole bezpieczeństwa – z większymi koszami do prześwietlania zawartości plecaka.

Gdy przechodzili kontrolę bez asysty, denerwowali się. Zdarzało się, że nie słyszeli pytań. Beata sprawdzała, czy Juliusz wyjął wszystko z kosza. Zwracali na siebie uwagę. Dlatego teraz proszą o asystę.

Założyli, że wyjeżdżają raz w miesiącu.

Juliusz: – Zanim poznałem Beatę, byłem raczej domatorem.

Beata: – Sporo osób nie rozumie, dlaczego tyle podróżujemy. A my mamy świadomość, że nie wiemy, ile nam zostało czasu. Ile Julek będzie widział. Więc gdy znajdujemy tanie bilety, od razu je kupujemy. Chcemy zobaczyć świat – dotknąć, poczuć, posmakować.

©℗ ANNA GOC

Pół wieku Karwowskiego

JAKUB SZUMSKI

Nakręcony pięćdziesiąt lat temu telewizyjny serial „Czterdziestolatek" nie przestaje fascynować i inspirować. Co przygody słynnego inżyniera z czasów PRL mówią nam o historii i współczesności?

Sala Teatru Rampa na warszawskim Targówku wypełniona po brzegi. Zaraz rozpocznie się oparty na telewizyjnym serialu musical „40-latek". Na widowni przeważnie osoby starsze, im nieobcy jest świat przedstawiony w produkcji, która po kilku miesiącach oczekiwania na emisję trafiła na ekrany w 1975 r. Młodsza część publiczności, znająca dzieło Jerzego Gruzy i Krzysztofa Teodora Toeplitza dzięki rodzicom, bardziej szuka w nim nawiązań do współczesności. Joanna Drozda, autorka scenariusza i reżyserka spektaklu, usatysfakcjonować próbowała i jednych, i drugich.

Skąd w 2023 r. powrót „Czterdziestolatka"? A może nigdy z publicznej świadomości nie zniknął? To jeden z najpopularniejszych i najbardziej lubianych utworów kultury popularnej epoki PRL, zarazem niespodziewany sukces (na produkcję nikt specjalnie nie stawiał), który zmusił twórców po nakręceniu siedmiu pierwszych odcinków do zrealizowania kilkunastu kolejnych. Od lat serial wraca w kolejnych powtórkach, zapisał się też w języku („Ja jestem kobieta pracująca – żadnej pracy się nie boję"). Ostatnio stał się również tematem debat socjologów i historyków.

Czym był tak naprawdę „Czterdziestolatek"? Ironiczną, ale jednak apoteozą socjalizmu? Obrazem wad systemu, podanych w lekkiej formie, z tezą „socjalizm tak – wypaczenia nie"? A może zapowiedzią indywidualistycznego kapitalizmu po 1989 roku?

Na budowach socjalizmu

Emisja „Czterdziestolatka" rozpoczęła się w maju 1975 r., w samym środku gierkowskiej dekady. Jego tytułowym bohaterem, granym przez Andrzeja Kopiczyńskiego, był Stefan Karwowski, inżynier pracujący przy największych ówczesnych budowach Warszawy: Trasy Łazienkowskiej i Dworca Centralnego.

Gruza z Toeplitzem stworzyli komediową opowieść o dążeniu do nowoczesności i dobrobytu. Świat inżyniera Karwowskiego to seria komicznych konfrontacji: z samym sobą, borykającym się z kryzysem wieku średniego; z pracą, którą traktował nie tylko jako element osobistego rozwoju, ale i działalność za rzecz dobra wspólnego; oraz z rodziną, w której próbował znaleźć posłuch i zrozumienie. Nakładanie się na siebie tych światów pozwalało na pokazanie całej gamy drugo- i trzecioplanowych postaci: robotników i chłopów, artystów, naukowców, dyrektorów wielkich przedsiębiorstw, partyjnych działaczy i rodzącej się klasy „prywaciarzy". Tworzyło to wszystko szeroką społeczną panoramę ówczesnej Polski.

Komediowy charakter serialu nie oznaczał, iż decydenci i opinia publiczna nie traktowali go poważnie i nie stawiali przed nim wymagań. Gdy „Czterdziestolatek" trafił na ekrany telewizorów, od pewnego czasu gościł tam już inny serial o socjalistycznych menedżerach: „Dyrektorzy". Ta historia miała jednak ambitny rys realistyczny i zarazem tragiczny, dlatego recenzenci z lat 70. krytykowali dzieło Gruzy i Toeplitza za zbytnią krotochwilność, niepoważne traktowanie tematów bardzo istotnych: stosunków panujących w zakładach pracy czy społecznego awansu. Andrzej Kopiczyński w jednym z wywiadów odpowiadał, że serial „niesie ze sobą pewną porcję dydaktyki, podanej w lekkiej, niezbyt natrętnej formie".

O jaką dydaktykę mogło chodzić? W epoce dwóch kanałów państwowej telewizji serial o inżynierze walczącym o wykonanie planu na wielkich budowach socjalizmu (rzeczywiście trwających wtedy w Warszawie), wyraźnie oddziaływał na życie codzienne. Np. w odcinku „Kozioł ofiarny, czyli rotacja" inżynier Karwowski zostaje powołany na stanowisko dyrektora dzięki decyzji... komputera. Po jego emisji, odpowiadając na listy czytelników, katowicka „Trybuna Robotnicza" potwierdzała, że technologie informacyjne są już wykorzystywane w gospodarce i administracji, usprawniając produkcję i wydajność pracy. „Niezbędne staje się wprowadzenie nowoczesnych elektronicznych metod i nowoczesnych sposobów myślenia" – pisała autorka.

Pomimo sporej dozy komizmu i ironii, ukazywania ludzkich słabości, w tym egoizmu, Stefan Karwowski to „socjalistyczny wzorzec osobowy" – pisała już po zmianie ustroju badaczka kina Monika Talarczyk-Gubała. Zgodne to było z antykomunistycznym konsensusem, który zapanował w Polsce po 1989 r. „Wyrobiona publicz-

JAKUB KAMIŃSKI / EAST NEWS

Mural z bohaterami serialu „Czterdziestolatek" przy stacji metra Ursynów. Warszawa, 18 czerwca 2020 r.

ność" dzieła kultury popularnej czasów PRL co prawda wciąż oglądała, ale ostrożnie, gdyż naznaczone miały być korzystną dla komunistycznej władzy propagandą. W świecie „Czterdziestolatka" nie było na przykład w ogóle tradycyjnie pojmowanego patriotyzmu czy kwestii religii.

W sztuce Teatru Rampa z 2023 r. odwołania do minionej epoki nie są już problematyczne. Spektakl otwiera parodia kroniki filmowej gloryfikującej dokonania inżyniera Karwowskiego, a twórcy grają językiem z epoki; socjalizm ukazany w spektaklu jest udomowiony i w sumie przyjazny. Oglądane z perspektywy czasu życie socjalistycznej rodziny w epoce rozwoju (na kredyt) za czasów Gierka ma nawet posmak raju utraconego. Mamy więc romantyczny obraz analogowej rzeczywistości, zbiorowe życie mieszkańców blokowisk, dzieci bawiące się swobodnie na podwórkach i wiszące na trzepakach, których nie znajdziemy już na deweloperskich osiedlach. Nawet pół-obowiązkowe czyny społeczne z tej perspektywy wydają się atrakcyjną formą wspólnego spędzania czasu. Twórcy musicalu starali się oczarować starszych widzów magią wspomnień, czasem aż do przesady: mamy więc trzepak na scenie, fiata 126 p, rower-składak, filcowe kapcie.

Genealogia współczesności

„Czterdziestolatek opowiada o uniwersalnych problemach!" – mówili zaskoczeni młodzi widzowie podczas przerwy w musicalu. Dostrzegli w tej historii całkiem współczesne rzeczy: kryzys energetyczny, kryzys wieku średniego, dbanie o formę, rzucanie palenia, problemy rodzinne, konflikty pokoleniowe... W pewnym stopniu dlatego, że twórcy musicalu dokonali na znanych postaciach liftingu: na przykład Kobieta Pracująca została feministką.

Jako pierwszy poważną debatę na temat serialu podjął w 2014 r. socjolog Maciej Gdula (do niedawna poseł Lewicy). Jego zdaniem „Czterdziestolatek" nie był gloryfikacją społecznego awansu i modernizacji wedle socjalistycznych wzorów. Był czymś wręcz przeciwnym: zwiastował już upadek równościowych ideałów, którymi przynajmniej oficjalnie szczycił się poprzedni system. Zapowiadał kapitalizm i dominację przedsiębiorców oraz klasy średniej, której status mierzony jest osobistym rozwojem, dobrami materialnymi i kontaktami towarzyskimi. Zachodni kapitalizm jest więc w serialu alternatywną rzeczywistością, która poprzez ekonomiczną i kulturową dominację zaczyna przyćmiewać rodzimy socjalizm. „Moja kura od razu nazywa się *chicken*" – mówi w jednym z odcinków właściciel eksportowej fermy, szwagier głównego bohatera (w tej roli Janusz Gajos).

Inżynier Karwowski w serialu nie był przedstawicielem żadnej konkretnej klasy czy warstwy, która dzięki polityce państwa miała zająć wyższe miejsce w społecznej hierarchii. Prezentowany był jako aktywna jednostka, kształtującą swój los dzięki zdobytej wiedzy, kompetencjom, właściwym decyzjom, ale też układom, w których jednak Karwowski dość nieporadnie się porusza. W codziennej prasie pisano, że inżyniera zajmuje przede wszystkim „własny stan psychiczny i szukanie rozwiązania na różnych polach działalności". W tym sensie to opowieść o indywidualnej karierze. Aby osiągać sukces, Karwowski musi pracować nad sobą, doskonalić się, być nowoczesną jednostką.

Indywidualistyczny i współczesny, a więc daleki od socjalistycznych wzorów rys serialu znakomicie widać w sposobie, w jaki sportretowani zostali robotnicy. Dla państwa rządzonego przez partię nominalnie robotniczą klasa ta w teorii zasługiwała na szczególne wsparcie i docenienie. W „Czterdziestolatku" robotnicy traktowani są jednak bez żadnej taryfy ulgowej: są niekulturalni, cwani, niewykształceni. To „ludzie nierozgarnięci, nieutrzymujący porządku z własnej inicjatywy, robiący zbiegowiska i szukający sensacji", wskazuje Gdula. Potrzebują mieć nad sobą kierowników i dyrektorów, którzy za pomocą ↦

↦ odpowiednich technologii i zachęt zorganizują im życie w pracy.

W jednej ze scen musicalu Roman Maliniak, przy akompaniamencie mandoliny, typowego instrumentu samouka z klas niższych, wykonuje monolog i piosenkę „chama". Wypełniona jest resentymentem wobec mądrzejszych i lepiej urodzonych, Maliniak domaga się w niej uznania dla siebie i zapowiada przejęcie władzy bez czekania na akceptację elit. W monolog ten wplecione zostały mało fortunne wypowiedzi prezydenta Andrzeja Dudy („Musisz być twardy. Nie możesz sobie pozwolić na to, że cię coś rozbije"), nietrudno się więc domyślić nawiązań do współczesnej rzeczywistości i tego, kto został ustawiony w spektaklu w roli uzurpującego sobie władzę „chamstwa", a kto w roli elity, która ten pochód ma zatrzymać. W serialu z 1975 r. spojrzenie na lud było mimo wszystko dobroduszne i pełne zrozumienia. W musicalu tego zrozumienia brak.

Kolacja u Nowowiejskich

Na tezy Macieja Gduli, jakoby dla „Czterdziestolatka" punktem odniesienia była klasa średnia, odpowiedzieli jego koledzy po fachu: socjologowie Tomasz Warczok i Tomasz Zarycki. Wedle nich narracja serialu nie jest prowadzona z perspektywy klasy średniej czy inteligencji technicznej. Mimo że głównym bohaterem serialu był inżynier Karwowski, to jego przygody obserwujemy oczami wielopokoleniowej inteligencji starej daty, których reprezentantami byli twórcy serialu, w szczególności scenarzysta Krzysztof T. Toeplitz.

Co za tym przemawia? Serial dokonuje dekonstrukcji wielu grup społecznych: robotników i chłopów, Karwowskiego, bliskich mu inżynierów i kierowników, stojących wyżej dyrektorów i reprezentantów nomenklatury partii komunistycznej, artystów i dziennikarzy, przedwojennych elit. Chociaż dzieło pokazuje wspinanie się Karwowskiego po zawodowej drabinie, zakwestionowany zostaje punkt dojścia do awansu. Gdy Karwowski zostaje dyrektorem, okazuje się, że świat socjalistycznych menedżerów cechuje niekompetencja z jednej strony, a intrygi i układy z drugiej.

Zwycięsko z każdej konfrontacji wychodzą w rzeczywistości tylko dwie postaci: grana przez Irenę Kwiatkowską Kobieta Pracująca i sąsiad Karwowskich, lekarz Karol Stelmach (Leonard Pietraszak). Oni nie popełniają gaf, wiedzą, jak zachować się w każdej sytuacji. Co ich łączy? To ludzie wolni, inteligenci, erudyci, którzy na zawodowo-rodzinne problemy Karwowskiego patrzą z dystansu, gdyż nie muszą w nich uczestniczyć. „Z takiej pozycji cała socjalistyczna struktura klasowa jawi się jako śmieszna" – pisze kulturoznawczyni Magda Szcześniak, która w wydanej niedawno książce „Poruszeni. Awans i emocje w socjalistycznej Polsce" dużo miejsca poświęca „Czterdziestolatkowi".

„Czterdziestolatek" nie był gloryfikacją społecznego awansu i modernizacji wedle socjalistycznych wzorów. **Raczej zwiastował upadek ideałów, którymi szczycił się poprzedni system.**

Zapytany o swój ulubiony odcinek serialu, socjolog Tomasz Zarycki, profesor Uniwersytetu Warszawskiego bez wahania odpowiada: „Nowy zastępca, czyli meteor". „Meteorem" jest grana przez Grażynę Szapołowską młoda i atrakcyjna inżynier Urszula Nowowiejska. Przydzielona Karwowskiemu, dzięki zdobytym w Japonii doświadczeniom i wiedzy czerpanej z zachodniej literatury fachowej stara się usprawnić pracę na budowie, co wywołuje sprzeciw załogi.

„Odcinek ten daje najlepszy wgląd w konflikt społeczny – mówi Zarycki. – Współwystępują w nim robotnicy, technokraci i wielopokoleniowa inteligencja". Tam, gdzie inny scenarzysta podkreśliłby erotyczne napięcie między Karwowskim a atrakcyjną panią Inżynier, Toeplitz uwypuklił konflikt klasowy. Podobnie jak inne inteligenckie postaci, Nowowiejska z dystansem podchodzi do bolączek Karwowskiego. Powoli okazuje się, że po powrocie z praktyk w Japonii praca u jego boku to dla niej drobny epizod, a w Polsce lub za granicą czekają na nią ciekawsze i bardziej intratne zajęcia. W symbolicznym akcie przemocy, w obecności jego żony lustruje księgozbiór inżyniera. „O dogonieniu światowej czołówki nie ma co marzyć", podsumowuje brutalnie.

Kulminacyjną sceną odcinka jest wizyta w mieszkaniu Nowowiejskich. Ze swojego blokowiska Karwowski udaje się do kamienicy w śródmieściu, zapewne w całości należącej przed wojną do tej rodziny. Witany jest przez gosposię, która pyta: „kogo zapowiedzieć?". Przy kolacji widz odkrywa, że wielopokoleniowy ród Nowowiejskich stanowi oddzielny świat, do którego Karwowski nie ma i nie będzie miał dostępu. Przez swoje koneksje wiąże on ze sobą przeszłość i przyszłość, Wschód z Zachodem. Patriarcha rodu opowiada o współpracy z Eugeniuszem Kwiatkowskim przy budowie Gdyni, o braciach inżynierach rozlokowanych na kluczowych w kraju pozycjach politycznych (ministerstwa) i naukowych (AGH), ale i w szwedzkiej firmie budowlanej.

Nowowiejska czerpać może ze wsparcia rodziny, która z łatwością przekracza granice pomiędzy Wschodem i Zachodem. Socjalizm i modernizacyjny projekt epoki Gierka, który dla inżyniera jest całym życiem i szansą na cywilizacyjny awans, dla niej stanowi jedynie epizod. Pomimo wiedzy, że za Nowowiejską stoi wpływowa profesorsko-inżynierska rodzina, Karwowski nadal rozważa jej przewagi z punktu widzenia wykształcenia i młodości. „Serial dotyka problemu prawdziwej władzy w Polsce", twierdzi Zarycki.

■ ■ ■

Późniejsze próby eksploatowania sukcesu „Czterdziestolatka" zakończyły się dla duetu Gruza-Toeplitz porażką. Kręcony w latach 90. „Czterdziestolatek. 20 lat później", który zderzał rodzinę Karwowskich z transformacją ustrojową, nie zdobył sympatii widzów. Sukces dzieła z 1975 r. nie polegał na dokładnym oddaniu charakteru epoki Gierka, ale na uchwyceniu zmian, jakie dokonywały się w jej trakcie: odejścia od socjalistycznych ideałów równości z negatywnymi i pozytywnymi konsekwencjami, czy ujawnienia ukrytych mechanizmów władzy, przekraczających polityczne podziały. Lekki, komediowy serial, z galerią różnorodnych postaci, potrafił skłonić już kilka pokoleń widzów do głębokich refleksji, dlatego zostanie z nami jeszcze długo.

© JAKUB SZUMSKI

REKLAMA

Świąteczny
PORADNIK PREZENTOWY

KINGSBRIDGE W OBLICZU REWOLUCJI PRZEMYSŁOWEJ I WOJEN NAPOLEOŃSKICH.

HISTORIA NAJWIĘKSZEJ NAGONKI W DZIEJACH SIEDEMNASTOWIECZNEJ ANGLII.

NIESZCZĘŚLIWE MIŁOŚCI, RODZINNE SEKRETY, TRAGICZNA ZBRODNIA SPRZED LAT.

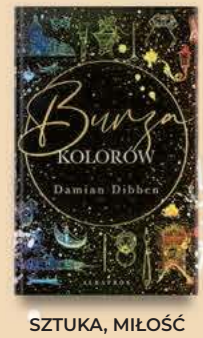

SZTUKA, MIŁOŚĆ I TAJEMNICZY SPISEK W RENESANSOWEJ WENECJI.

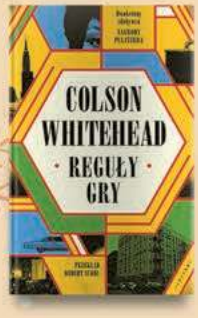

NOWOJORSKA SAGA RODZINNA – BARWNY PORTRET HARLEMU W BURZLIWYCH CZASACH.

POWIEŚĆ LAUREATKI PULITZERA, PODRÓŻ PRZEZ BOGACTWO KULTUR NOWEGO ŚWIATA.

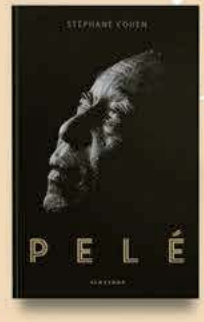

BIOGRAFIA LEGENDY SPORTU, PIERWSZEJ GLOBALNEJ GWIAZDY FUTBOLU.

WŁOCHY OD KUCHNI: POTRAWY, PRODUKTY, ZWYCZAJE, KULTURA, SZTUKA I... RADOŚĆ ŻYCIA.

PRAWDZIWY POWIEŚCIOWY LABIRYNT: HIPNOTYZUJĄCA ZAGADKA KRYMINALNA.

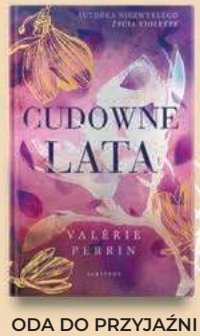

ODA DO PRZYJAŹNI I SZCZĘŚLIWYCH LAT DZIECIŃSTWA.

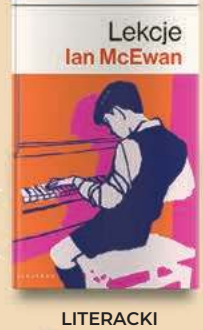

LITERACKI MAJSTERSZTYK LAUREATA NAGRODY BOOKERA.

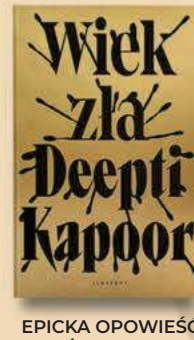

EPICKA OPOWIEŚĆ O POTĘŻNEJ INDYJSKIEJ RODZINIE MAFIJNEJ.

WYDAWNICTWO ALBATROS

Muzeum Narodowe w Warszawie

Bruno Barbey

1/12/2023–3/03/2024

Zawsze w ruchu
Always on the Move

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MECENASI MUZEUM

PGE

ORLEN

PARTNER STRATEGICZNY MUZEUM

PZU

PARTNERZY MUZEUM

TOTALIZATOR SPORTOWY

KPMG

PKP INTERCITY

WSPÓŁPRACA

AkzoNobel

PATRONI MEDIALNI

TYGODNIK POWSZECHNY

FOTOGRAFIA

fotopolis

chillizet

NATIONAL GEOGRAPHIC POLSKA

Włochy, Wenecja, 1962 © Bruno Barbey / Magnum Photos

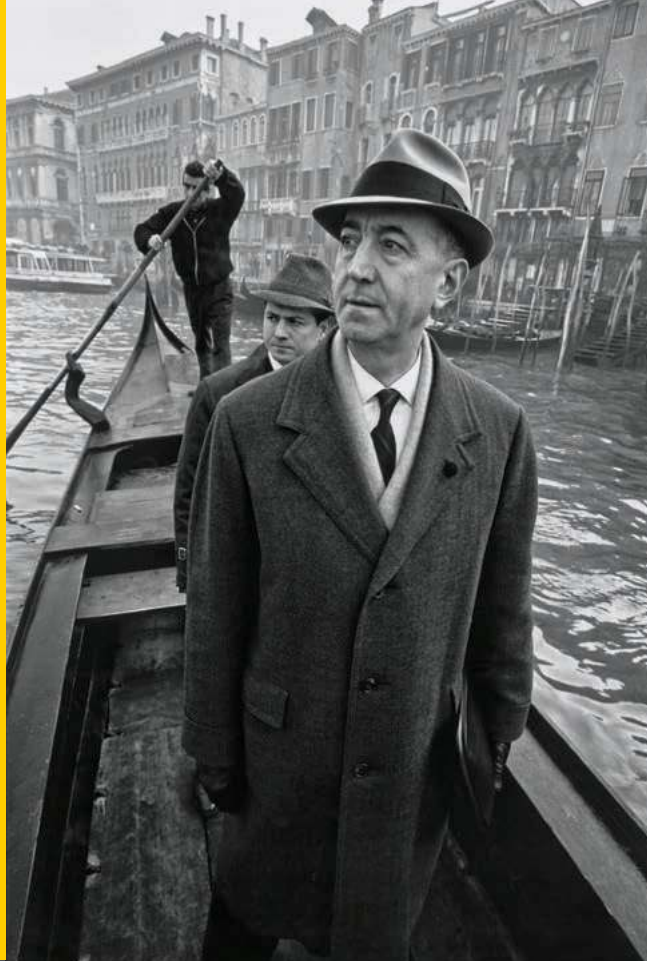

REKLAMA x2

Specjalna oferta dla czytelników „Tygodnika Powszechnego” *

Potrzebujemy takich tekstów – czytelnych, ciekawych i, powiedzmy sobie szczerze, smacznych. Ze swojej strony jestem wdzięczna Pawłowi również (ale nie tylko!) za przepis *patate alla pizzaiola* (ziemniaki alla pizzaiola), który uratował mi niejeden rodzinny obiad.

TESSA CAPPPONI-BORAWSKA
fragment laudacji z okazji przyznania Pawłowi Bravo Nagrody Literackiej im. Leopolda Staffa
(Warszawa, 14 października 2023)

Paweł Bravo laureatem Nagrody Literackiej im. Leopolda Staffa

* Dodatkowy rabat -15% z kodem Bravo2023
na stronie wydawnictwa Wysoki Zamek www.wysokizamek.com.pl
Kod promocyjny ważny do 31 stycznia 2024 roku

WYSOKI ZAMEK WZ

TOMASZ

Stawiszyński: *Ewa była wolna*

Ewa była wolna. To pierwsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy. A właśnie takie pierwsze myśli, za którymi się naturalnie, szczerze podąża – nawet za cenę jakiejś chwilowej przesady czy egzaltacji – to jakości, które Ewa, mam wrażenie, bardzo sobie ceniła. W ludziach, mediach, polityce, życiu. Zresztą nie stawiała pomiędzy tymi sferami jasnych granic. Autentyczność, spontaniczność charakteryzowały wszystko, co robiła. Niezbyt dbała o formy, rytuały i konwenanse. I nie dbała też o środowiskowe aprobaty i gwarancje bezpieczeństwa. Nie kierowała się stadnym interesem, prywatnym zyskiem albo podszytą pragmatyzmem poprawnością, tylko wartościami, które sama uznawała za najważniejsze. A to jest – moim przynajmniej zdaniem – jedna z najwyższych form wolności.

I wcale nie dlatego, że była – by użyć modnego frazesu – szczególnie „uprzywilejowana". Nic z tych rzeczy. Kiedy w 2015 r. w bezprawny sposób usunięto ją ze stanowiska dyrektorki programowej radia RDC (kilka lat później wygrała proces w sądzie pracy), nie miała w odwodzie żadnej innej posady. Musiała zacząć od nowa. I zaczęła. Przeniosła się do Berlina, napisała świetny zbiór reportaży „Deutsche nasz", a potem „Pieprzyć wstyd", pasjonującą historię rewolucji seksualnej na Zachodzie. Ostatecznie wyszło to jej (i nam, czytelnikom jej książek i tekstów) wyłącznie na dobre. Ale przecież w momencie, w którym zaprotestowała przeciwko arbitralnemu zwolnieniu Elizy Michalik przez ówczesną prezeskę RDC – co z kolei stało się później bezpośrednim pretekstem do jej zwolnienia – nie miała pojęcia, że tak to się ułoży. Mimo to postawiła sprawę na ostrzu noża. Mogła wszystko stracić, a nie wiedziała jeszcze, co zyska, nie było planu B. Grała – nie po raz pierwszy w swoim życiu – na jedną kartę. Jaką? Powiedziałbym, że na kartę niezwykle dziś rzadką, zwłaszcza w polskim uniwersum medialnym. Kartę przyzwoitości i integralności wewnętrznej. Szefowa, która w obronie pracownika jest w stanie zaryzykować własne apanaże, dobrą pensję, względnie (przynajmniej do czasu kolejnych wyborów) stabilne stanowisko, władzę? To się praktycznie nie zdarza, proszę mi wierzyć. A Ewa zrobiła to bez wahania, naturalnie, spontanicznie, nawet się nie zastanawiając. W swoim stylu.

Ewa po prostu była wolna. A wolni ludzie nie chodzą wydeptanymi ścieżkami, wybierają raczej szlaki, których nie znajdziesz na powszechnie używanych mapach. Owszem, miała swoje, przeważnie ultrawyraziste poglądy. Ale jednocześnie rozumiała – i nie widziała w tym żadnego problemu – że ktoś w tych samych sprawach może myśleć coś zupełnie innego, choćby i o sto osiemdziesiąt stopni. Więcej, to właśnie – różnica, dysonans – najbardziej ją ciekawiło i przyciągało. Kiedy wybierała ludzi, z którymi chciała pracować w TOK FM czy RDC, kiedy tworzyła listę rozmówców do „Biało-czarnej" – jednej z najważniejszych książek o współczesnej Polsce, która przeszła bez echa, bo zamiast wzmacniać totemiczną polaryzację, próbowała ją dekonstruować – zawsze szukała wyzwań, a nie poklepywania po plecach i potwierdzania tego, co w danej bańce uchodzi za dogmat.

Dla mnie Ewa była osobą – nie mam wątpliwości – jedną z najważniejszych. Gdyby nie ona, nie trafiłbym w 2013 r. do radia, a moje życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Myślę, że tylko Ewa mogła się zdobyć na coś takiego: wymyślić audycję trwającą bite cztery godziny zegarowe (nie licząc informacji), nadawaną w niedzielę od 10.00 do 14.00, poświęconą filozofii, a na dodatek powierzyć ją mało znanemu autorowi świeżo wówczas wydanej, nie najgorzej się wprawdzie sprzedającej, ale jednak niszowej i prowokacyjnej książki pod tytułem „Potyczki z Freudem". Cóż, audycja, ku mojemu ogromnemu zdziwieniu (okupione to było bowiem strasznymi nerwami i tremą), zyskała w niedługim czasie spore grono odbiorców – ale to już temat na inną historię.

Tutaj przytoczę tylko jedno wspomnienie, które zawsze przychodzi mi do głowy podczas różnych dyskusji, zwłaszcza tych najbardziej ożywionych, kiedy pojedynek idei niepostrzeżenie przeradza się w zacietrzewioną walkę. Otóż rozmawialiśmy raz z Ewą o różnych naszych specyficznych zainteresowaniach – literackich, metafizycznych – przy czym niekoniecznie takich, do których byśmy się chcieli od razu publicznie przyznawać. Co powiedziała mi Ewa – do ujawniania tego nie czuję się upoważniony. Ja w każdym razie żywo dzieliłem się z nią moim wieloletnim zainteresowaniem astrologią. Nie jako wiedzą o świecie, ale jako złożoną, subtelną formą – jak to nazywał C.G. Jung – protopsychologii, języka, z którego później wyrosła większa część pojęć używanych dziś do opisu doświadczenia wewnętrznego. No więc perorowałem o astrologii i różnych jej dawnych i współczesnych wersjach oraz interpretacjach, o tym, co na jej temat uważał Jung, a co James Hillman, aż tu nagle Ewa zapytała prosto z mostu: „Słuchaj, ale czy to działa, czy nie działa?". Ja zaś na to – autentycznie zmieszany – zacząłem coś naprędce wywodzić, że przecież teoretycznie nie może działać, a w każdym razie nie mieści się to w naukowym światopoglądzie. „A dajże spokój – przerwała mi Ewa z wyraźnym zniecierpliwieniem – pieprzyć światopogląd! Pytam, czy działa, czy nie działa".

Przyznam, że wpłynęło to na mnie niczym koan zen. Ewa była wolna i trochę tej wolności mi wtedy dała. Myślę zresztą, że dała jej trochę nam wszystkim, którzy się z nią kiedykolwiek zetknęliśmy – bezpośrednio albo za pośrednictwem tych wspaniałych rzeczy i instytucji, które stworzyła. I które cały czas są. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Sprawdź na **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

WYPRAWA ŻYCIE

JAN MELA:

Czasem dostaję pytania: „Panie Jaśku, kiedy kolejna wielka podróż?”. Wyprawa? Pewnie! Moja codzienna ekspedycja to ta do Biedry po zakupy, a potem z pieluchami na śmietnik. I bardzo ją lubię.

EWELINA BURDA: Przychodzę z przedświątecznymi odwiedzinami i chcę zapytać: co u Ciebie?

JAN MELA: To zaraz może zrobić się nudno, bo dziś dzieją się u mnie dużo mniej spektakularne rzeczy niż kiedyś.

Poznaliśmy Cię jako nastolatka, który dwa lata po wypadku w stacji transformatorowej, przez który stracił nogę i rękę, zdobył dwa bieguny Ziemi.

Nastolatkiem już na pewno nie jestem. Niedawno w Katowicach podszedł do mnie jeden człowiek, popatrzył i ze szczerym zdumieniem powiedział: „Jezu, to ty jesteś dorosły?". I na to wychodzi, jestem w połowie drogi między trzydziestką a czterdziestką.

Po biegunach były górskie wyprawy: Kilimandżaro, Elbrus, wspinaczka na El Capitan, później maraton. A ostatnio nazwałeś się na Instagramie „nadgryzionym przez los niedoszłym celebrytą".

Dziś jest u mnie raczej spokojnie. I wcale tego nie żałuję, przeciwnie. Dalej czasem gadam ze sceny rzeczy, które, mam nadzieję, zadziałają na kogoś tak jak słowa, które ja usłyszałem od mądrych, motywujących ludzi jako nastolatek. Po latach udało mi się to przekształcić w zawód, bo prowadzę szkolenia: wyjdę na scenę, podciągnę nogawkę, pomacham zdjętą na chwilę protezą. Trochę poważnie, trochę na wesoło. Działam między biznesem a organizacjami pozarządowymi, a przez ponad 11 lat prowadziłem Fundację „Poza Horyzonty", która pomagała ludziom po amputacjach.

I w tak zwanym międzyczasie założyłeś rodzinę.

To najważniejsze. Mam w domu trójkę maluchów: jest Jadzia, Kazio i najmłodsza Zosia. I staram się być mężem i tatą obecnym. Na co dzień, zwyczajnie. Już bez tego cugu, w którym byłem kiedyś: ciągłego przekraczania, zdobywania, udowadniania.

Co chciałeś wtedy udowodnić?

Że nie ma rzeczy niemożliwych, przynajmniej dla mnie. Rosła taka narracja wokół osób z niepełnosprawnościami: to były czasy siłaczy, herosów, pokonujących wszystkie bariery. I myślę, że tak trochę jest z każdym tematem zepchniętym na margines, że w pewnym momencie wahadło odbija.

To znaczy?

Ono przez długie lata było wychylone w jedną stronę: osoby z niepełnosprawnościami pokazywało się jako takich, przepraszam za słowa, niezdarnych ciapków. Całkowicie niesamodzielnych, zależnych. Cała narracja bazowała na mechaniźmie litości: popatrz, jaki biedny, weź mu pomóż. Mnie to wściekało, więc mocno poszedłem w tę drugą stronę, też skrajną. Pokazywania, że ktoś w pełni sprawny, kto ma wszystkie kończyny, nie wejdzie na górę, a ja wejdę. Będę najmłodszy, najszybszy i cały naj.

Jeden chłopak, którego wspierała nasza fundacja, stracił w wypadku nogę. I zaczął komuś opowiadać o tym, co teraz u niego. Usłyszał pytanie: a jaki sport uprawiasz? Ten zdziwiony zapytał: a muszę jakiś uprawiać? I jego rozmówca wtedy powiedział: bo przecież jak się słyszy o kimś bez nogi, to on zawsze biega i ma wybitne osiągnięcia.

Jak chcesz biegać, to biegaj. Masz przykłady tego, że można. Ale to nie znaczy, że osoba z niepełnosprawnością równa się paraolimpijczyk czy artysta, który maluje ustami.

Ta narracja się poprawiła?

Poprawia się. Bo to wahadło, jak już się tak solidnie pobujało, to coraz częściej zatrzymuje się na tym spokojnym środku: gdzie jest zwykłe życie, codzienna intymność, rodzina.

I tak jak kiedyś starałem się odczarować wizerunek niepełnosprawnego ciapka, tak chciałem pożegnać wizerunek niepełnosprawnego herosa. We mnie, jak chyba w każdym człowieku, następowała ewolucja.

Opowiesz o niej?

Czułem, że czas płynie i że jeśli faktycznie marzę o tym, o czym od lat mówię: o miłości, rodzinie, ojcostwie, to niespecjalnie się do tego zbliżam. A to było już od lat moje marzenie: życie zwykłe, mniej spektakularne, choć oczywiście z osobistymi wyzwaniami.

I dziś jak mam jakieś spotkanie, to dalej zdarzają się pytania: „No to panie Jaśku, czy teraz kolejna podróż?". „Może jakiś powrót na biegun?". Wyprawa? Pewnie! Moja codzienna ekspedycja to ta do Biedry po zakupy i z pieluchami na śmietnik.

I dobrze się na tej wyprawie czujesz?

Bardzo ją lubię.

A poczułeś kiedyś albo usłyszałeś, że ze względu na niepełnosprawność to nie dla Ciebie? Że się nie uda?

Uważam, że najistotniejszy jest przekaz z twojego najbliższego otoczenia. A moje zawsze mi dawało takie poczucie, że jestem po prostu facetem, a niepełnosprawność jest jedną z moich cech, to nie cały ja. No, nie mam ręki, nie mam nogi, ale tak samo nie mam myślenia strategicznego ani skończonych studiów. Różne są wymiary niepełnosprawności. Ale muszę podkreślić, że jestem tym, kim jestem, dzięki spotkanym ludziom.

To teraz zapytam o miłość: jak się poznaliście?

Moja żona Magda jest z Krakowa. Kilka lat temu wyjechała na misje: dwa lata spędziła na Kubie, dwa w Argentynie. Jak wróciła do Polski, to zaczęła szukać roboty. A że była to fajna dziewczyna, to ją zatrudniliśmy w fundacji.

Czyli romans w pracy?

Trochę tak żartuję. Jak coś między nami zaczęło iskrzyć poważnie, to nasze drogi zawodowe się rozeszły. Ale za jakiś czas uklęknąłem na pomoście z pierścionkiem. No i tak sobie jesteśmy. I robi się nas coraz więcej.

Teraz już piątka.

Jak dowiedzieliśmy się, że Magda jest w pierwszej ciąży, to stwierdziliśmy, że jeszcze mamy chwilę na jakąś wspólną szaloną podróż bez dzieci.

I gdzie wylądowaliście?

Polecieliśmy tam, gdzie jeszcze nie byliśmy ani ja, ani ona: do Patagonii. Trzy tygodnie autostopem, Ziemia Ognista, spanie w namiocie, treking na lodowcu. Chyba trochę też po to, żeby móc córce powiedzieć, jak już się urodzi: w takim niezwykłym miejscu już byłaś. ↦

Jan Mela z rybą autorstwa Ewy i Jacka Budzowskich. Kraków, 13 grudnia 2023 r.

GRAŻYNA MAKARA

I jak Ci idzie w tym ojcostwie?

Staram się nie mędrkować na temat wychowania, bo to są maluchy i bobasy. Są już oczywiście pierwsze dramaty, kryzysy, bunty dwulatka czy trzylatka, ale jesteśmy na początku. Mogę tylko zakładać, jakim będę ojcem, jak się zachowam, kiedy córki czy syn przyjdą do mnie z informacją, że jadą w wysokie góry czy do wakacyjnej pracy za granicę.

Pewnie, że chciałbym się tu odwołać do wzorca, który miałem. Moi rodzice po wypadku nie ulegli pokusie, żeby zamknąć mnie pod kloszem. A niepełnosprawność, niestety, często staje się takim nieuprawnionym pretekstem do pełnego decydowania za kogoś.

Masz teraz dla swoich rodziców więcej wyrozumiałości?

Na pewno. Doceniam przestrzeń do podejmowania decyzji, którą mi dali. Żebym zaryzykował. Kiedy w głowie Marka Kamińskiego i jego przyjaciół powstał pomysł na wyprawę na biegun, on oczywiście najpierw skontaktował się z moimi rodzicami. A oni odesłali go do mnie: zapytaj Jaśka, niech to będzie jego decyzja. My dajemy zielone światło.

Jak mówisz o tych relacjach, brzmi to momentami aż za pięknie.

Na pewno droga do tego miejsca, z którego dziś mówię, nie zawsze była piękna. To nie będzie żadne odkrycie, ale chcę to powiedzieć: każdy z nas w dużej mierze dzieli się tym, w czym wyrósł, nie? Oboje rodzice – mówię o tym dlatego, że oni sami o tym mówią głośno – pochodzą z rodzin przemocowo-alkoholowych. I jak nie jesteś nauczony, nauczona miłości za dziecka, to da się to nadrobić, ale to bardzo ciężka rehabilitacja serca. A z drugiej strony wierzę, że każdy rodzic próbuje dzieciom dać to, czego mu brakowało.

Tobie co chcieli dać?

Moja mama żyła w rodzinie bardzo mocno kontrolującej. Miała spełniać oczekiwania, być grzeczną dziewczynką, której niepotrzebna jest wolna wola. Bo na co to komu? I myślę, że dlatego bardzo chciała dać swoim dzieciom dużo wolności, przestrzeni. Ale każda przesada jest zła. Bo paradoksalnie to granice dają nam poczucie bezpieczeństwa. I miałem momenty, kiedy myślałem, że ci rodzice może się o nas nie troszczą, mają nas gdzieś, to, gdzie jesteśmy i co robimy.

A tata?

Miał surowy sposób wychowywania. Ludzie, którzy oglądali film „Mój biegun" na kanwie naszej historii rodzinnej, gdzie jest parę scen pokazujących trudną relację między nami, pytali: czy mój tata rzeczywiście był taki okropny jak w filmie? Odpowiadałem: i tak, i nie. Bo czy był okropny? No moim zdaniem nie. A czy było tak jak w filmie? Tak. I bywało też gorzej.

Co było najtrudniejsze?

Długo wydawało mi się, że on oczekuje ode mnie tego, żebym zawsze sobie dawał radę. Był twardzielem, kozakiem. Także po wypadku. I tata wtedy rzucił robotę, żeby zająć się moją rehabilitacją, dopilnowaniem tego.

I co się wtedy działo między Wami?

To było dla mnie wtedy straszne, wiesz? Że ten gościu, do którego żywię raczej negatywne uczucia, zostanie moim rehabilitantem, będziemy spędzać razem kupę czasu. Blisko, ciągle. I sądziłem, że to skończy się katastrofą. A to jakoś stopniowo pokazywało, że nie da się funkcjonować w relacji tak tylko „po powierzchni". Dom? Najlepiej wrócić tam jak najpóźniej. Okropną rzeczą były dla mnie wspólne posiłki, swój pokój traktowałem jak celę: najchętniej dostawałbym tacę z jedzeniem pod drzwi, a później zostawiał tam tylko puste naczynia. No i oczywiście nie zadziało się tak, że pewnego dnia wstaliśmy i porozmawialiśmy, wyjaśniając wszystko. To był przymus. Nie było magicznie tak, że w którymś momencie stwierdziłem: po co się wstydzić, jak można się nie wstydzić. Padło wiele trudnych słów. I przełamujące było, gdy zaczęliśmy rozmawiać o jego życiu. O jego domu, rodzicach, o tym, jakim był chłopcem, jak sobie z tym radził i jak sobie nie radził. Z akceptacją moich rodziców było w zasadzie podobnie jak z akceptacją samej niepełnosprawności.

To znaczy?

Byłem przygnieciony czymś, czego nie znałem, czego nawet nie miałem szans się wcześniej nauczyć. I to poczucie wstydu i konieczność udawania, ukrywania się były tak dojmujące, że dłużej nie byłem w stanie tak żyć. I jakoś się z tego wygrzebywałem. Czasem życie musi nas postawić pod ścianą, przyprzeć do muru, żeby zmusić do podjęcia zmiany. Na lekko się nie da.

Dziś z rodzicami mamy bardzo dobre relacje, a ja pragmatycznie żartuję: szkoda, że nie mieszkają bliżej, bo by się dziadków trochę wykorzystało.

Twój dom rodzinny jest na przedmieściach Malborka.

Kiedy byłem nastolatkiem, to każde wyjście z niego było... Starsze panie w oknach, przy płotach. Każde spojrzenie na mój pusty rękaw, na za luźno układającą się nogawkę... Ale jak wyjdziesz piąty, dziesiąty raz, robi się lepiej. W końcu się napatrzą. Gdybym dziś spotkał tych ludzi, to nie miałbym żalu: patrzyli, bo byli ciekawi, nikogo takiego nie spotkali, nikt im o niepełnosprawności nie opowiedział tak, jak trzeba.

A Ty co byś im powiedział?

Niewiele, bo uważam, że jedyna prawdziwa forma integracji polega na przebywaniu razem. Możemy sobie czytać o tym czy słyszeć hasła, że wszyscy jesteśmy równi i nikogo nie można wyszydzać, ale bez kontaktu bezpośredniego ciężko to przełożyć na zachowania.

Jest też trochę tak, że jeśli niepełnosprawność jest taka zauważalna, to my, osoby z niepełnosprawnościami, musimy niejako cały czas występować w tej roli – OzN. A nie każdy chce i ma siłę na to, żeby być codzienną kampanią społeczną.

Dziś też czasem patrzą?

Tak. I to jest normalne. Bo zdaję sobie sprawę, że jak latem wsiadam w krótkich spodenkach do pociągu, to zapewne większość współpasażerów nigdy nie widziało na żywo kogoś z protezą.

Tak samo jak chodzę po córkę do przedszkola. Na początku dzieciaki przybiegały, dopytywały, chciały dotknąć. Przedszkolanki przepraszały za nie, ale ja się wcale nie gniewałem. Teraz sztuczna noga jest dla tej grupy najnormalniejsza na świecie. No, może jeszcze trochę przyciąga uwagę, bo ma wężowy wzór.

Masz momenty, kiedy to nieoswojenie wraca?

Zawsze żałuję, że to nie działa raz na całe życie: oswoiłem i mam z tym spokój. To lata ciągłych gór i dołków. Teraz nie mam cięższych momentów ze swoim ciałem, ale są chwile, że od tej strony „technicznej" się wkurzę.

Na przykład kiedy?

Lubię majsterkować. Jak mam coś do zlutowania, to taśmą przyczepiam sobie, o tutaj, zwój cyny. W ręce trzymam lutownicę i jakoś idzie. Czasem wolniej, mozolniej. I wtedy przychodzi ta myśl: no złapałbym to po prostu w dwie ręce! Ale jak nie ma, to nie ma, trzeba kombinować.

A co tam sobie majsterkujesz?

Głównie bawię się w stolarkę. Zrobiłem kurs zawodowy na stolarza, bardzo lubię pracę w drewnie. Jestem też uzależniony od targu staroci pod krakowską Halą Targową. Wynajduję tam różne rzeczy, znoszę to do domu i przerabiam.

Co przerabiasz?

Ulubione są stare radia: przerabiam je na dekoracje, coś na kształt instalacji artystycznych, lampki. Ostatnio z żoną liczyliśmy: ile my mamy tych lampek-starych radyjek. Naliczyliśmy kilkanaście. To mi daje dużo zabawy, radości. Ale czasem się boję o zęby, bo jak się nie ma ręki, to one służą do dużo większej ilości rzeczy.

W czym Ci pomagają?

Często w nich coś po prostu trzymam, jak dłubię w warsztacie. Zabawny jest moment, jak rozpinam któremuś z dzieciaków kurtkę zimową, to w zęby chwytam kołnierzyk, a ręką ciągnę suwak w dół. Najstarsza córa śmieje się wtedy, że zjadam jej kurteczkę. A oni naśladują czynności, które robię „po swojemu". I jak Jadzia zdejmuje kurtkę swojemu bratu, to robi to w taki sam sposób jak ja. Jak wytłumaczyć kilkulatce, że tak się nie robi, że można łatwiej? Bo jak to nie? – odpowie. Przecież mój tata właśnie tak robi.

Ale powiedz: miewasz jakieś tęsknoty za czymś szalonym?

Mam nadzieję, że będziemy mieć odwagę, żeby reaktywować trochę takiego codziennego szaleństwa, jak dzieciaki podrosną, zrobić fajną wyprawę, ale wspólnie. Mam w sobie naprawdę ogromną wdzięczność, że mogłem trochę poszaleć. Nie miałem nudnego życia, to na pewno. Boże, to brzmi jakbym je miał już kończyć.

GRAŻYNA MAKARA

JAN MELA (ur. 1988) jest działaczem na rzecz osób z niepełnosprawnościami. Najmłodszy w historii zdobywca dwóch biegunów Ziemi w jednym roku (razem z Markiem Kamińskim w 2004 r.) i pierwsza osoba z niepełnosprawnością, która tego dokonała. W 2013 r. na podstawie jego historii powstał film fabularny „Mój biegun". Przez kilkanaście lat prowadził Fundację „Poza Horyzonty". Mieszka w Krakowie.

Typowa rozmowa trzydziestoparolatków. Najwyższy czas na podsumowania.

To jeszcze powienienem teraz dodać: „A to, co mam, czyli wszystkie moje piętnaście odnowionych radyjek, zapisuję córce Jadwidze".

Mogę Cię zapytać o tatuaż na nadgarstku?

No, pewnie. Tak przedświątecznie to można powiedzieć, że to jest ryba po grecku.

Czyli ichthys.

Tak. I już mówię bez głupich żartów. To oczywisty symbol. Jestem wierzący, nigdy tego nie ukrywałem, raz więcej, a raz mniej o tym mówiłem. I za ważne uważam, żeby nie wstydzić się tego, kim się jest. Choć długo mi się to wszystko jakoś nie kleiło.

To znaczy?

Miałem nastoletnie lata buntu, także wobec wiary, Boga. I, jak dziś myślę, to wynikało też z tego, co słyszałem: o grzechu, karze. I pytałem siebie: co ten trzynastoletni chłopiec zrobił złego, żeby tak od razu: pożar domu, śmierć brata, wypadek i niepełnosprawność? Święty nie byłem, ale że aż tak? Czym tak bardzo zasłużyliśmy na taką karę za grzechy? I ten nasz los tak postrzegałem: jako karę.

Miałem jednak dużo szczęścia do fajnych, mądrych duchownych, którzy mi uświadomili, że to nie tak działa. Kiedyś usłyszałem takie zdanie, ono było akurat w kontekście rodzicielstwa: że te trudne doświadczenia, nawet tragedie, są trochę jak wyzwania dane przez ojca. Znowu żartując: jak w tych memach, gdzie ojciec wpada rano w sobotę do pokoju i daje ci „zadanie bojowe". I możesz skrzywić się i zamruczeć pod nosem: kuźwa, dlaszego ja?

Albo?

A może on pomyślał tak: mógłbym to zadanie dać komuś innemu, ale czy on da sobie radę? Tobie ufam, wierzę, że sobie poradzisz. I może będzie trudne, ale ogarniesz. A może jeszcze coś dobrego z tego wyciągniesz? Wtedy ten ciężar zadania jest już inny, co nie?

Jest jeszcze takie jedno zdanie, które kiedyś usłyszałem, a jest ważne dla mnie w kontekście wiary.

Powiedz.

Że trudne doświadczenia zmuszają nas do myślenia i zadawania pytań, a te często w naturalny sposób prowadzą nas do Boga. Nie każdego i nie zawsze – każdy ma swoją drogę. Ale mnie tak jakoś poprowadziły.

To skoro rybę po grecku już masz, to czekasz na święta?

Bardzo lubię ten czas. Z roku na roku jest coraz bardziej gęsty, jeździmy w odwiedziny, w naszych rodzinach rodzą się kolejne dzieci. Jest nas dużo, wesoło.

Pomyślałam, że skoro majsterkujesz, to może robicie jakąś rodzinną szopkę?

Dobry pomysł, ale chyba jeszcze nie w tym roku. Może jak najstarsza córa podrośnie, to zostanie taką moją pomocnicą? Oczywiście niech robi swoje. Ale kurde, trochę ojcu w stolarce chyba pomoże, jak będę miał dla niej takie bojowe zadanie?

©℗ Rozmawiała EWELINA BURDA

Dziękujemy

W ramach odpisu półtora procenta podatku w 2023 roku wsparli Państwo Fundację Tygodnika Powszechnego kwotą 436 956,40 zł.

Dzięki Wam możemy stać na straży niezależności dziennikarek i dziennikarzy oraz dbać o jakość pracy całego zespołu „Tygodnika Powszechnego". W tym roku koncentrowaliśmy się szczególnie na rozwoju serwisu internetowego pisma, który od sierpnia jest bardziej dostępny i przyjazny dla naszych Czytelniczek i Czytelników. Budujemy system CMS „rE-medium", który ułatwi pracę redakcji i będzie udostępniany innym wydawcom. Dzięki Waszemu wsparciu powstają kolejne dodatki i wydania specjalne – najnowsze, podwójne wydanie „Kim jest Jezus" jest obecnie w sprzedaży. Możemy również kontynuować organizację innych przedsięwzięć kulturalnych – festiwali Conrad i Copernicus, oraz akcji społecznej „Lekcje czytania".
Rozwijamy „Podkast Tygodnika Powszechnego", by dostarczyć Wam jeszcze więcej ciekawych i zaangażowanych treści.

Dziękujemy za Wasze ogromne wsparcie.

Życzymy dobrych Świąt Bożego Narodzenia i spokoju w nadchodzącym roku 2024.

Fundacja Tygodnika Powszechnego

naprawdę

Fundacja Tygodnika Powszechnego

TYGODNIK POWSZECHNY

Czytaj więcej o naszych działaniach: **powszech.net/fundacja**

FUNDACJA UNIWERSYTET DZIECI

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY

„TP" 52–53/2023

Optymizm mimo wszystko

RENATA RAUSIŃSKA, DYREKTORKA ZSP NR 16 W KRAKOWIE:

Sukces odnosimy wtedy, gdy dziecko, które opuszcza szkołę, wie, co chce w życiu robić. Świadomie wybiera dalszą ścieżkę edukacji, którą potem konsekwentnie podąża. A przede wszystkim – umie budować pogłębione i wartościowe relacje społeczne.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Jest Pani dyrektorką jednej ze szkół, która korzysta ze wsparcia Fundacji Uniwersytet Dzieci.

RENATA RAUSIŃSKA: Z Fundacją współpracujemy już drugi rok. Do takich dużych projektów, jak ten proponowany przez nich, zazwyczaj odnoszę się z dużą rezerwą – w tym wypadku jest jednak inaczej, szczególnie ze względu na projekt „Dziecko z pasją".

Na czym on polega?

Przede wszystkim na współpracy Uniwersytetu z nauczycielami – zaangażowało się w tę akcję aż 11 osób, czyli spory odsetek pedagogów pracujących w mojej szkole. To głównie nauczycielki z edukacji wczesnoszkolnej, ale też nauczycielki polskiego i biologii. Nauczyciele biorący udział w projekcie mają swoje spotkania, konferencje, otrzymują także scenariusze lekcji, prezentacje i inne materiały do wykorzystania. Są one tak ciekawe i wartościowe, że panie od biologii zrezygnowały z regularnych ćwiczeń. Korzystają także nauczyciele niezwiązani bezpośrednio z Uniwersytetem, bo informacje o jakości tych materiałów rozpowszechniają się również pocztą pantoflową.

A inne obszary współpracy?

W ramach działań Uniwersytetu dyrektorzy i wicedyrektorzy z całej Polski mogą się lepiej komunikować i współdziałać. Spotykamy się on-line i na żywo na wizytach studyjnych. Bardzo je sobie cenię, bo w ten sposób możemy podpatrywać swoją pracę i dzielić się doświadczeniami. Przy okazji dyskutujemy o wspólnych problemach, podrzucamy sobie wzajemnie rozwiązania. Niedawno z moją wicedyrektorką byłyśmy z wizytą u naszych mentorek w Gdańsku. Z mojej perspektywy wizyty studyjne są niezwykle ważne – dzięki nim stworzyłam bezcenną sieć kontaktów, z której korzystam przy rozwiązywaniu codziennych problemów.

MATERIAŁ PRASOWY PARTNERA

RENATA RAUSIŃSKA
dyrektorka ZSP nr 16 w Krakowie

Wyzwania, z jakimi mierzy się dzisiejsza szkoła?

Wielkim wyzwaniem, z którym wszystkie polskie szkoły muszą się dziś mierzyć, jest rosnąca liczba dzieci z Ukrainy i ich integracja z resztą środowiska szkolnego. Oczywiście przyjmujemy je z otwartymi ramionami – w mojej szkole jest ich już ponad 130. Wymaga to jednak od nas olbrzymiej pracy, na którą nie byliśmy przygotowani. Rozwiązania systemowe to jedno, ale często mierzymy się też z indywidualnymi problemami – w tym celu musimy rozwijać kompetencje naszych pedagogów. I tu z pomocą przychodzi Uniwersytet Dzieci, oferujący liczne pomoce naukowe czy szkolenia.

W czym jeszcze pomaga Fundacja?

Podsuwają pomysły na urozmaicanie zajęć lekcyjnych – na przykład poprzez wprowadzenie większej liczby eksperymentów. W tym celu udostępniają całą masę materiałów gotowych do użycia, jak również inspiracji dla nauczycieli. Szczególnie w tych obszarach, gdzie podstawa programowa wydaje się niewystarczająca. Dotyczy to przede wszystkim przedmiotów ścisłych i przyrodniczych – trochę żałuję, że oferta dla przedmiotów humanistycznych jest mniejsza.

Dużo dziś mówi się o wpływie pandemii na poziom edukacji.

Minęło już trochę czasu od lockdownów, więc możemy lepiej ocenić ich skutki – a są one zdecydowanie negatywne. Nie chodzi tu wyłącznie o samą edukację, ale także o emocjonalność dzieci, ich integrację czy budowanie relacji społecznych. Moja szkoła jest ogólnodostępna, to znaczy, że nie mam oddziałów integracyjnych. Dzieci, które na podstawie rozmaitych orzeczeń miały specjalne potrzeby, przed pandemią było stosunkowo niewiele – raczej pojedyncze przypadki. Teraz mam przed sobą gruby segregator pełen nowych orzeczeń. Do tego zatrudniam aż 6 nauczycieli wspomagających, a wciąż mam 4 wakaty, bo nie mogę znaleźć osób odpowiednio wykwalifikowanych do tej pracy. Osobne dwa wielkie segregatory to opinie dotyczące dzieci, które powinny mieć trening umiejętności społecznych, zajęcia korekcyjno-kompensacyjne, rewalidację, terapię psychologiczną itd. Ten gwałtowny wzrost jest właśnie bezpośrednim skutkiem pandemii – wystarczy porównać analogiczną dokumentację z 2019 roku, stanowi skromny procent tej obecnej.

A co z rozwijaniem u dzieci tzw. kompetencji przyszłości, czyli umiejętności, które pomogą im odnaleźć się w dynamicznie zmieniającym się świecie?

Gdzie tylko to możliwe, kładziemy nacisk na rozwijanie zdolności samodzielnego poszukiwania informacji. Niestety, nie zawsze idzie to w parze z realizacją podstawy programowej i rozwijaniem tych kompetencji, które są w niej zakładane. Dlatego pilnie potrzebne są w tej kwestii zmiany – powinniśmy odejść od poszerzania wiedzy na rzecz rozwijania umiejętności. Dziś do wiedzy mamy powszechny dostęp, choćby poprzez

telefon. Problem w tym, że młodzi ludzie nie do końca potrafią z tego korzystać.

Chodzi o docieranie do informacji?

Nie tylko – także o odczytywanie ich ze zrozumieniem, a także umiejętne, praktyczne wykorzystywanie. W tym aspekcie jest dużo do zrobienia.

Uniwersytet Dzieci dba także o nauczycieli – ich rozwój, ale też emocjonalność.

W tej kwestii też nie dzieje się dobrze. Jestem dyrektorką od 2015 roku. Gdy zaczynałam, mogłam swobodnie przebierać w nadsyłanych CV – wybór był ogromny. Dziś, aby znaleźć nauczyciela edukacji przedszkolnej, muszę poświęcić kilka miesięcy na poszukiwania, a pojawiające się z rzadka kandydatury pozostawiają wiele do życzenia. Z kolei ci, którzy już pracują, coraz częściej zmagają się z wypaleniem zawodowym.

Dlaczego?

Powodów jest wiele. Po pierwsze, roszczeniowa ingerencja rodziców, którzy mają wobec nauczycieli wielkie oczekiwania, jednocześnie stawiając im wiele zarzutów, często w obszarach, w których nie mają żadnych kompetencji. Nauczyciele, szczególnie ci doświadczeni i z dużym stażem pracy, czują się nękani. Zwłaszcza że praktycznie nikt nie docenia ich pracy – serca i wysiłku, który w nią wkładają. To wszystko, siłą rzeczy, podcina skrzydła. Wynagrodzenia też nie działają motywująco. Gdy do pracy przychodzi młoda osoba, zaraz po studiach, pełna entuzjazmu i dostaje wynagrodzenie niższe niż pani sprzątająca, to jest to poważny problem. Nie umniejszając niczyjej pracy – bycie nauczycielem wymaga studiów i wiąże się z dużą odpowiedzialnością, nie tylko za rozwój dzieci, ale również za ich zdrowie i życie.

To wszystko przekłada się na coraz mniejszą liczbę osób chętnych do pracy w tym zawodzie. Ostatnio z wielkim trudem udało mi się znaleźć matematyka, a na stanowisko anglistek przyjęłam dwie panie z Ukrainy. Absolutnie nie mam żadnych zastrzeżeń do ich pracy, ale wiąże się to z wieloma problemami natury administracyjnej. Co więcej, z racji tego, że nie mają jeszcze nostryfikowanych dyplomów, muszą pracować za najniższe możliwe wynagrodzenie – mimo że w Ukrainie pracowały jako wysoko wykwalifikowane nauczycielki z długim stażem. To dobrze pokazuje, jak wygląda rynek pracy w tym zawodzie. Wciąż pojawia się wiele dobrych osób, spełniających podstawowe warunki, ale brakuje tych świetnych, całym sercem oddanych swojej pracy. Niestety, ten trend się utrzymuje i na razie nie dostrzegam sygnałów, żeby się miał w najbliższym czasie odmienić.

Mało optymistycznie...

Nie lubię narzekania dla samego narzekania – krytyczne uwagi, które formułuję przy różnych okazjach, zawsze obliczone są na zmianę świadomości – próbę naprawy sytuacji. Mam za sobą już 25 lat pracy w zawodzie. Zaczynałam, gdy była jeszcze 8-klasowa podstawówka, potem nastały gimnazja, teraz znowu wróciliśmy do starego modelu. Krytykowaliśmy te zmiany, bo wprowadzały niepotrzebny zamęt. Niemniej za każdym razem udawało się nam dostosować – gdyby nie optymizm, pewnie nie dalibyśmy sobie rady. Jak będzie tym razem – czas pokaże. Obszar edukacji jest szczególnie delikatny i powinien być traktowany z wyczuciem. Nie chcę wchodzić na tematy polityczne, ale mam wrażenie – jest ono również powszechne wśród innych nauczycieli – że zmiany wprowadzane w ostatnich latach i dekadach nie były niestety do końca przemyślane, a odpowiedzialność za ich doprecyzowanie i szczegółowe wdrażanie przerzucono na barki pedagogów. Takich zmian nie można testować na żywym organizmie. Nie chciałabym jednak kończyć pesymistycznie...

To na koniec o tym, co najważniejsze – czym jest sukces edukacyjny?

Sukces odnosimy wtedy, gdy dziecko, które opuszcza szkołę, wie, co chce w życiu robić, i śmiało przez nie kroczy. Do tego świadomie wybiera dalszą ścieżkę edukacji, którą potem konsekwentnie podąża. Wie, jaki cel chce osiągnąć, umie rozeznać się na rynku pracy. A przede wszystkim – umie budować pogłębione i wartościowe relacje społeczne. To dziś poważny problem wśród młodych ludzi, którzy być może posiadają olbrzymią wiedzę i kompetencje zawodowe, ale nie potrafią odnaleźć się wśród ludzi. Sukces edukacyjny to złożone pojęcie – nie zawsze należy go mierzyć osiągnięciami zawodowymi. Zależy nam, aby młodzi ludzie potrafili odnaleźć się w życiu, znaleźć spełnienie, żeby odkryli to, co sprawia im radość i daje satysfakcję. Cieszą nas dobre oceny i czerwone paski na świadectwach, ale nie ma jednego przepisu na sukces – ani w edukacji, ani w życiu.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

150 011 uczniów korzysta w tym roku z projektów edukacyjnych

4 800 pytań dzieci znalazło odpowiedź - w formie zajęć dla dzieci i scenariuszy lekcji

500 scenariuszy lekcji udostępniamy bezpłatnie na naszej platformie

2 171 wychowawców realizuje od września 2023 projekt „Ja w świecie emocji"

909 bezpłatnych filmów edukacyjnych opublikowaliśmy na platformie YouTube

#GivingTuesday / #DzieńDobroczynności

Zarządzanie emocjami

MONIKA ZWIERKO-ODACHOWSKA

Lekcje proponowane przez Uniwersytet Dzieci pokazują uczniom szkół podstawowych, jak nazywać emocje, rozpoznawać je u siebie i innych, uczą także technik, które wspierają radzenie sobie z trudnymi przeżyciami.

ARCHIWUM FUD X3

Sobotnie warsztaty na Uniwersytecie Dzieci.

Kolejne wojny, samotność, odrzucenie, kryzys rodziny, wyzwania rówieśnicze, presja otoczenia – to wszystko towarzyszy młodym ludziom na co dzień. Ich kruche psychiki narażone są na złamanie. Na szczęście dziś coraz więcej uwagi poświęca się kryzysowi zdrowia psychicznego, dostrzega się brak systemowej pomocy dzieciom i młodzieży, a temat zapaści psychiatrii dziecięcej przebija się do debaty publicznej. Cieszą także próby szukania rozwiązań, które wesprą młodych w ich wchodzeniu w dorosłość.

Rozwój inteligencji emocjonalnej – zdolność dostrzegania emocji, rozpoznawania ich i radzenia sobie z nimi, wtedy gdy to jest niezbędne – to szansa na zachowanie zdrowia psychicznego. Szczęśliwie obecnie nie jest wstydem przyznać się do przeżywania jakichś emocji – smutku, żalu, tęsknoty... Czy nasi dziadkowie albo rodzice okazywali podobne emocje? Czy stwarzali nam przestrzeń do przeżywania i okazywania różnych stanów?

Jedną z możliwości wspierania młodych ludzi, z której z powodzeniem korzystają nauczyciele w całej Polsce, są scenariusze lekcji z wychowawcą, potocznie nazywanych godzinami wychowawczymi – przygotowywane przez metodyków Uniwersytetu Dzieci oraz psychologów i pedagogów z największych ośrodków akademickich w Polsce. Lekcje proponowane przez Uniwersytet Dzieci pokazują uczniom szkół podstawowych, jak nazywać emocje, rozpoznawać je u siebie i innych, uczą także technik, które wspierają radzenie sobie z trudnymi przeżyciami.

Krótko mówiąc, Uniwersytet Dzieci, mając na uwadze współczesne problemy dzieci i młodzieży, jednocześnie współpracując z szerokim gronem specjalistów – pedagogów, psychologów, akademików i praktyków – prezentuje materiały z zakresu

zarządzania emocjami najmłodszych. Przygotowaliśmy dla różnych grup wiekowych (klas 1, klas 2-3, klas 4, a także dla klas 5-8) propozycje, które można wprowadzać z różną częstotliwością. Najbardziej kompleksowy jest roczny program, w ramach którego uczniowie szkół podstawowych rozpoznają emocje w sobie i u innych, poznają techniki radzenia sobie ze złością, strachem albo smutkiem, ale także budują relacje z innymi i uczą się dbać o swoje granice, poznają swoje mocne strony, pracują w zespołach, indywidualnie, dyskutują, analizują przypadki i odgrywają role.

Zarządzanie emocjami to obszar, który w ramach podstawowej edukacji nie jest w ogóle realizowany i nie jest przypisany do żadnego konkretnego przedmiotu dla uczniów objętych obowiązkiem szkolnym. Ta jedna z najistotniejszych w życiu kompetencji nie jest rozwijana w systematycznym rytmie – powszechnie dostępnym dla wszystkich uczniów w całym kraju. Uniwersytet Dzieci jako jedna z nielicznych organizacji tworząca rozwiązania edukacyjne w ramach edukacji nieformalnej proponuje jako stały element programu warsztaty kompetencyjne poświęcone poznawaniu emocji. Program na godziny wychowawcze jest ewenementem w skali kraju, z uwagi na to, że do tego przedmiotu nie istnieją założenia podstawy programowej, tym bardziej nie powstał żaden całościowy program zajęć z odpowiednimi podręcznikami czy zeszytami ćwiczeń dla uczniów. Tylko w tym roku szkolnym ponad 3400 nauczycieli z klasami w całej Polsce korzysta z lekcji o emocjach, czyli ok. 70 000 uczniów odbywa zajęcia na temat radości, smutku, żalu, złości czy rozczarowania. Marzeniem pracowników Uniwersytetu Dzieci jest przedmiot szkolny, prowadzony w rytmie choćby podobnym do doradztwa zawodowego czy przygotowania do życia w rodzinie – może na początek 10 godzin rocznie poświęconych *psyche* – jako profilaktyka zdrowia psychicznego, lekcja empatii, zrozumienia siebie i innych. Wierzymy, że nasze marzenia się spełnią!

© MONIKA ZWIERKO-ODACHOWSKA

Cieszymy się, że możemy podzielić się wspaniałą informacją – Fundacja Uniwersytet Dzieci została laureatem XIX edycji konkursu Popularyzator Nauki organizowanego przez serwis Nauka w Polsce, którego wydawcą jest Fundacja Polskiej Agencji Prasowej.

Do tegorocznej edycji konkursu wpłynęło około 100 zgłoszeń w pięciu kategoriach: ANIMATOR, NAUKOWIEC, INSTYTUCJA, ZESPÓŁ i MEDIA.

Z dumą informujemy, iż kapituła, w skład której weszli przedstawiciele środowiska naukowego, popularyzatorzy nauki i przedstawiciele portalu Nauka w Polsce, w kategorii **INSTYTUCJA** jako laureata wskazała naszą Fundację.

„Są jednymi z tych, którzy rozpoczęli boom na popularyzację nauki. Pracują z najtrudniejszym odbiorcą: dziećmi, zapewniając im żywy kontakt z nauką. Z ich projektów skorzystały już tysiące dzieci. Przygotowali też ponad 500 scenariuszy lekcji, z których bezpłatnie mogą skorzystać nauczyciele" – napisało w uzasadnieniu jury.

Nagrodę w imieniu Fundacji odebrały: prezeska Bogusława Łuka, dyrektorka Agnieszka Kulus-Klepacka oraz dyrektorka Joanna Gulczyńska.

Więcej informacji o plebiscycie na stronie organizatora: **www.naukawpolsce.pl**

Uniwersytet Dzieci

www.uniwersytetdzieci.pl

Opinie nauczycieli

„Genialny scenariusz, temat rozwinął się na dwie lekcje. Okazało się, że wiele dobrych wspomnień i przeżyć mamy wspólnych. Dużo dobrego dzieje się w naszej grupie klasowej, realizacja tego scenariusza wzmocniła więzi w klasie, wskazała moc dobrych, drobnych gestów i chwil".

p. Jolanta po realizacji scenariusza lekcji „Jak dbać o dobry nastrój?"

„Mówienie o swoich uczuciach nie jest proste, przekonali się o tym moi uczniowie (...). Wykorzystałam te zajęcia jako wstęp do omówienia sytuacji mającej miejsce ostatnio wśród moich uczniów. Spełniły one moje oczekiwania, uczniowie otworzyli się, powiedzieli o swoich uczuciach i nawet zrozumieli uczucia innych".

p. Marzena po realizacji scenariusza lekcji „Jak mówić o tym, co czuję?"

„Lekcja o empatii była w mojej klasie bardzo potrzebna. Dzieci na początku bagatelizowały istotę tego zjawiska. Dzięki ćwiczeniom zdały sobie sprawę, że bez empatii nie ma współpracy oraz dobrych relacji. Z ciekawością przyjęły wykład oraz informację o neuronach lustrzanych".

p. Beata po realizacji scenariusza lekcji „Czym jest empatia?"

„To bardzo ciekawa i wiele wnosząca lekcja. Uczniowie początkowo myślący stereotypami zaczynają inaczej odbierać działania wielu kolegów i koleżanek, gdy zaczynają rozumieć, czym jest wrażliwość. Niektóre zachowania do tej pory nie były odbierane jako przejaw wrażliwości. W naszej klasie jest wiele wrażliwych osób".

p. Olga po realizacji scenariusza lekcji „Czy każdy może być wrażliwy?"

Więcej scenariuszy lekcji, a także informacji o działalności Fundacji na stronie **www.uniwersytetdzieci.pl**

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 52-53/2023
REDAKCJA: Michał Sowiński | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
FOTOEDYCJA: Jacek Taran | SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran
OKŁADKA: Materiały prasowe

ŻYWE KAMIENIE WAWELU

BEATA KWIATKOWSKA-KOPKA, KIEROWNICZKA DZIAŁU LAPIDARIUM I REZERWATÓW:
Nie ma jednej, prawdziwej historii Wawelu. Każdy buduje ją sobie z fragmentów, więc siłą rzeczy mamy do czynienia z subiektywnymi opowieściami.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Kolekcja kamiennych rzeźb i detali architektonicznych ma na Wawelu długą tradycję.

BEATA KWIATKOWSKA-KOPKA: W 2014 roku otwarliśmy część ekspozycji „Wawel Podziemny. Lapidarium" w obrębie wystawy „Wawel Zaginiony". Okazało się, iż mamy na tyle dużo obiektów, że możemy z nich ułożyć niejedną opowieść. Dlatego już za chwilę otwieramy jej kolejną część, gdzie wszystko, co pokazujemy w tych salach, będzie miało swoją kontynuację.

O tamtej części opowiemy osobno w specjalnie poświęconym temu serwisie internetowym. Przypomnijmy, co już teraz można oglądać.

Pierwsza sala poświęcona jest opowieści o rekonstrukcji dziedzińca arkadowego. Gdy 1905 roku Austriacy wycofali się z Wawelu, rozpoczęła się wielka dyskusja na poziomie doktrynalnym – później oczywiście przełożona na praktykę konserwatorską. Chodziło o to, jak restaurować Wawel i inne zabytkowe obiekty. Była to gorąca debata pomiędzy gronem lokalnych konserwatorów, na czele z profesorem Stanisławem Tomkowiczem, a przedstawicielem władz austriackich, czyli Maxem Dvořákiem, uczniem Aloisa Riegla. Przedstawiciele pierwszej opcji chcieli przywrócić dawną, renesansową urodę dziedzińca arkadowego, usuwając wszystkie obmurowania. *De facto* chodziło im o rekonstrukcję oryginalnej formy Wawelu. Dvořák z kolei uważał takie myślenie za anachroniczne, bo zgodnie z obowiązującą ówcześnie doktryną konserwatorzy nie mieli prawa usuwać kolejnych nawarstwień historycznych – niezależnie od swoich sympatii czy antypatii. Jego zdaniem wszelkie artefakty powinno się zabezpieczać i przedłużać ich żywot, a nie przywracać im dawną formę.

Wygrała opcja rekonstruktorów.

MATERIAŁY ZAMKU KRÓLEWSKIEGO NA WAWELU x5

Elementy kolumny międzyokiennej, XVI w.

Detale architektoniczne pochodzące z galerii krużgankowych, XVI w.

Anastyloza obramienia okiennego i kolumna międzyokienna, XVI w.

Tak, postanowiono przywrócić renesansowy charakter Wawelu. Rozpoczęły się prace pod kierunkiem Zygmunta Hendla. Szybko okazało się jednak, że większości detali architektonicznych była w fatalnym stanie, trzeba było więc zastąpić je kopiami. Oryginalne fragmenty będzie można podziwiać na podziemnej wystawie, między innymi elementy kolumny II piętra krużganków: bazę, przewiązkę, kapitel i nasadnik w kształcie dzbanuszka – konstrukcja bardzo charakterystyczna właśnie dla Wawelu. Nasze lapidarium to nie tylko wystawa o kamieniach, które udało się uratować przed niszczącym działaniem czasu, ale także o ludziach, którym Wawel zawdzięcza swój dzisiejszy kształt.

Czyli komu jeszcze?

Przede wszystkim Tomaszowi Prylińskiemu, autorowi projektu odnowienia zamku królewskiego, który w latach 1880-1882 przeprowadził w części północnej i wschodniej wykopaliska – biorąc pod uwagę dzisiejsze standardy, nie nazwałabym ich badaniami archeologicznymi... Niemniej udało mu się odkopać pokaźny zbiór detali architektonicznych, zwanych podówczas „ułomkami". Posłużyły mu one do rekonstrukcji wspaniałej szaty dekoracyjnej rezydencji królów polskich.

Do jakiego stopnia udało mu się zrealizować ten projekt?

Wykopał przeszło 400 fragmentów, które pieczołowicie zinwentaryzował, po czym złożył je w szopie, kiepsko zabezpieczone, zarówno przed warunkami meteorologicznymi, jak i wandalami oraz złodziejami.

Losy tej kolekcji, w dużej mierze dziś rozproszonej i zagubionej, to temat na osobną, burzliwą historię. Trzeba pamiętać, że do 1905 roku na Wawelu stacjonowały wojska austriackie, które, delikatnie mówiąc, niezbyt dbały o to miejsce. Później, między 1905 a 1939 rokiem dzięki pracom Hendla, później także wybitnego architekta i konserwatora zabytków Adolfa Szyszko-Bohusza, kolekcja wzbogaciła się o wiele nowych elementów.

O czym jeszcze opowiada wystawa Lapidarium?

Każdy kamień, który tu pokazujemy, ma swoją historię. W ciągu tych kilkudziesięciu lat inwentaryzacji i badań poszczególnych fragmentów udało nam się niekiedy zrekonstruować większe całości. Na przykład jeśli chodzi o okna, najwięcej mamy elementów obramowania wewnętrznego – lasek, czyli części pionowych, i ślemion, czyli części poziomych. To dlatego, że Austriacy, zmniejszając otwory okienne, po prostu wyłamywali je w całości. A my dziś próbujemy je na nowo ułożyć.

Jak puzzle?

Jestem archeologiem i moja praca polega na scalaniu obrazów przeszłości z okruchów. Zbigniew Herbert mówił, że ruina powinna

MATERIAŁ PARTNERA

Tzw. cegiełki wawelskie

Wnętrza renesansowych piwnic pod wschodnim skrzydłem pałacu

ewokować – bardzo to pasuje do naszej misji, bo pokazujemy fragmenty, ale przede wszystkim pozwalamy zwiedzającym uruchomić wyobraźnię. Dziś można oczywiście posługiwać się różnymi technikami multimedialnymi, ale robimy to powściągliwie. Cały czas też podkreślamy, że materialna spuścizna przeszłości miała swój aspekt niematerialny. Wiedzieli to już starożytni, choćby Konstantyn Wielki, który przewoził z Rzymu do Konstantynopola fragmenty świątyń. Kolejni władcy na przestrzeni wieków kontynuowali tę tradycję.

A u schyłku XVIII wieku, wraz z nastaniem estetyki romantyzmu, wszelkie ruiny i okruchy przeszłości znalazły się w centrum zainteresowań.

Wszystkie fragmenty da się w ten sposób zidentyfikować?

W drugiej sali wystawy mamy ciekawy obiekt. W trakcie prac archeologicznych na dolnym tarasie ogrodów królewskich odsłonięto fundamenty budowli, która do dziś co do swojej funkcji nie została określona. Na koronach murów leżała olbrzymia liczba fragmentów, które po zinwentaryzowaniu ułożyły nam się w zespoły archiwolt i płycin. Postanowiliśmy je tu pokazać jako *lapides viventes*, żywe kamienie – drobne ułomki, mogące stworzyć ciekawą całość.

Dużo historii w każdym kamieniu.

Na zebrane na wystawie fragmenty można patrzeć na różne sposoby. Podstawowy opis zawarty na karcie detalu, czyli materiał, technika, datowanie, a potem próba złożenia tego w całość i wpasowania w jakiś kontekst to jedno. My zachęcamy, żeby spojrzeć na te fragmenty szerzej, bo przecież każde dzieło architektoniczne swój charakter ma wpisany właśnie w detale.

Każda sala ma też inny tytuł.

Jedna dotyczy historii restauracji detali, inna poświęcona jest Szyszko-Bohuszowi, który był wielkim kreacjonistą – miał z tego powodu wielu zwolenników, ale i przeciwników.

Co to znaczy?

Pozwalał sobie na projektowanie wielu elementów według własnej wizji, oczywiście z zachowaniem historycznego charakteru miejsca. Na nowej wystawie pokażemy jeden z portali stworzony przez niego.

Dlaczego podziemia?

Bo to najbardziej autentyczna część Wawelu. Piwnice pod wschodnim skrzydłem pałacu zachowały swój oryginalny, XVI-wieczny charakter. Tam też przetrwały resztki dawniejszego, jeszcze gotyckiego zamku – tam będziemy opowiadać o baszcie Jordance czy o fragmencie skrzydła południowego, który zachował się pod dziedzińcem. Będzie to opowieść o architekturze rezydencji i jej dekoracji.

Część lapidarium była niszczona w przerażający sposób.

Austriacy, a później Niemcy wykorzystywali te kamienie do utwardzania nawierzchni i wzmacniania fundamentów. Na wystawie pokazujemy ścianę, w której widać wiele takich fragmentów, niektóre z nich pochodzą na przykład z Kaplicy Zygmuntowskiej. Trudno wytłumaczyć to tylko ignorancją czy pragmatyzmem – musiała być w tym nienawiść do polskiej kultury.

Z Pani opowieści wynika, że istnieje więcej niż jeden Wawel.

Nie ma jednej, prawdziwej historii Wawelu. Każdy buduje ją sobie z fragmentów, więc siłą rzeczy mamy do czynienia z subiektywnymi opowieściami. Dlatego zależy nam, żeby pokazywać jak najwięcej jego warstw, żeby zwiedzający mogli zobaczyć pełną historię tego miejsca. Nowa wystawa będzie składać się z sześciu sal, a każda z nich będzie poświęcona innemu wątkowi. Detale architektoniczne najczęściej na wystawach pojawiają się jako dodatek, a tu będą stanowić główny wątek ekspozycji. Zawsze można znaleźć kontekst, dzięki któremu kawałek obrobionego kamienia, zazwyczaj obojętnie omijany przez zwiedzających, stanie się fragmentem fascynującej opowieści o przeszłości.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

MAŁGORZATA TOKARZ

DR BEATA KWIATKOWSKA-KOPKA – *kustosz dyplomowany, kierownik Działu Archeologii i Rezerwatów Wawelu.*

ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Dofinansowane ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano z Narodowego Funduszu Rewaloryzacji Zabytków Krakowa

Partnerzy Zamku i Wystawy
Bank Polski
Partner strategiczny Zamku Królewskiego na Wawelu

TOTALIZATOR SPORTOWY
Partner Zamku Królewskiego na Wawelu

PGE Polska Grupa Energetyczna
Mecenas Edukacji i Partner wystawy Wawel. Podziemny. Lapidarium

BGK
Partner wystawy Wawel. Podziemny. Lapidarium

PKP INTERCITY
Partner wystawy Wawel. Podziemny. Lapidarium

ams
Partner promocyjny

Kulturalny Biznes
Mecenas Zamku Królewskiego na Wawelu

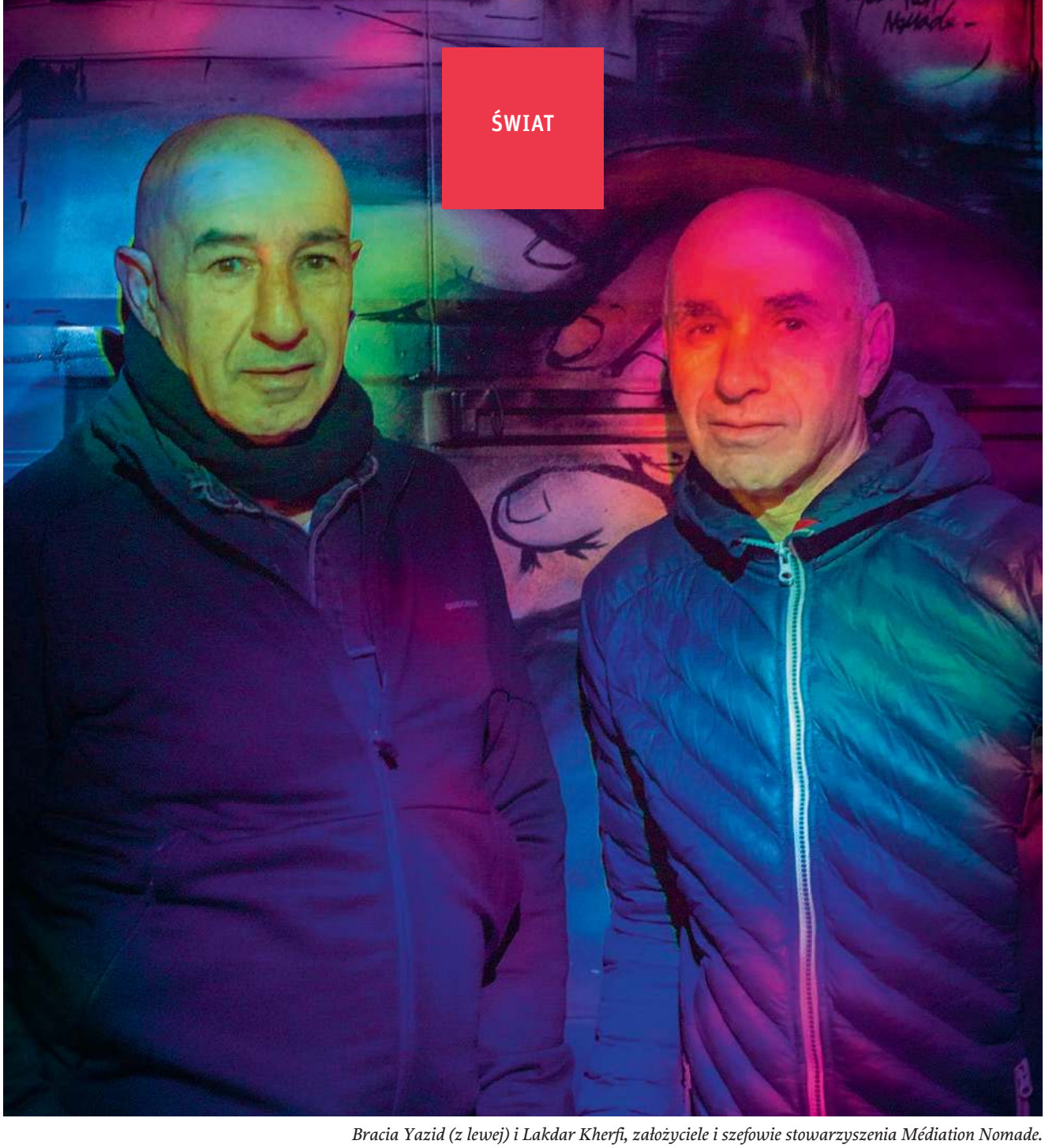

Bracia Yazid (z lewej) i Lakdar Kherfi, założyciele i szefowie stowarzyszenia Médiation Nomade. Miejscowość Bagnolet w aglomeracji paryskiej, listopad 2023 r.

NOCNI ŁOWCY

Zanim połączyła ich misja, jeden siedział za rozboje, a drugi był animatorem na blokowiskach. W losach braci Kherfi odbijają się dole i niedole francuskich przedmieść.

TEKST SZYMON ŁUCYK | ZDJĘCIA IDHIR BAHA DLA „TP”

Furgonetka Yazida Kherfiego wykorzystywana do wyjazdów na mediacje i spotkania z mieszkańcami. Bagnolet, 8 listopada 2023 r.

Jakże oni do siebie podobni! – chce się zawołać. Ale nie są bliźniakami: Yazid urodził się 10 miesięcy przed Lakdarem.

Ten drugi wspomina do dziś epizod sprzed wielu lat, gdy dzięki ich fizycznemu podobieństwu jego starszy brat wymknął się z rąk policji.

– Kiedy młody Yazid, poszukiwany przez żandarmów za rozbój, schronił się na południu Francji, uratowałem go, dając mu mój paszport. W ten sposób na moich papierach dostał się do Algierii – uśmiecha się Lakdar, który dziś ma 64 lata.

Przez długie lata każdy z braci, pochodzących z rodziny o algierskich korzeniach, chodził własnymi ścieżkami.

Yazid – był wielokrotnym przestępcą. Lakdar – społecznym animatorem.

Ich drogi spotkały się na dobre dopiero 11 lat temu, gdy obaj założyli stowarzyszenie Médiation Nomade. W nietypowy sposób zajmuje się zapobieganiem przestępczości wśród młodych ludzi w tzw. trudnych dzielnicach.

Yazid jedzie na akcję

Kilka razy w miesiącu kolorowy *camping car* zatrzymuje się wieczorem na blokowisku, a pracownicy i wolontariusze Médiation Nomade ruszają na swoje nocne łowy.

Wypatrują grupek młodzieży przesiadujących przed blokami lub na klatkach schodowych budynków.

– Chcę ich namówić do rozmowy, wysłuchać, poznać ich problemy – wyjaśnia Yazid w rozmowie z „Tygodnikiem". – Wieczorami młodzi w trudnych dzielnicach zostają całkiem sami. Wszystkie miejsca w okolicy są zamknięte, z wyjątkiem posterunków policji. Dlatego, gdy jest już ciemno, jadę tam moją ciężarówką. Wierzę, że słowo jest silniejsze niż przemoc.

Jego kolorową furgonetkę przecina graffiti z portretem Martina Luthera Kinga i dewizą amerykańskiego pastora: „Musimy nauczyć się żyć wspólnie jak bracia, inaczej wspólnie zginiemy jak głupcy".

Jest jesienny wieczór, a samochód Yazida gości dziś w dzielnicy Cachin w Romainville, na wschodnich przedmieściach Paryża, administracyjnie położonych już w departamencie Seine-Saint-Denis. To region znany z dużego ubóstwa i równie wysokiej przestępczości.

Niewysoki i ruchliwy Yazid Kherfi, dziś kierowca i animator w jednej osobie, walczy z silnym wiatrem i deszczem. Razem ze swoim pomocnikiem Youvem wyciągają z furgonetki stoły, rozkładają wiatę, gry planszowe, chipsy. Nalewa nocnym gościom arabską słodką herbatę z miętą. Z głośników leci francuski hip hop i przebój grupy Daft Punk „Get Lucky".

Animatorom z Médiation Nomade towarzyszą pracownicy tutejszego merostwa, które współorganizuje tę nocną akcję.

Powoli przy stolikach robi się gwarniej i tłoczniej. Najpierw przybywają starsi mieszkańcy, zaintrygowani głośną muzyką. Rozgrzewają się herbatą, dyskutują, dzielą się swoimi codziennymi troskami.

W pewnej odległości od ciężarówki, pod dachem biblioteki, stoją grupkami czarnoskórzy nastolatkowie w ciemnych kurtkach i kapturach. Youv, też o hebanowej skórze, zbliża się do nich. Zagaduje, zaprasza do stołów. Tamci nie kwapią się jednak, by podejść. Mija sporo czasu, zanim niektórzy z nich dołączą do grupy pod wiatą.

Jak wszędzie

Wokół nas rozciągają się podobne do siebie, wręcz banalne bloki z wielkiej płyty. Nad okolicą góruje 14-piętrowy wieżowiec.

↦

↦ Dwudziestolatek – nazwijmy go Pierre (imię na jego prośbę zmienione) – zna tę dzielnicę od urodzenia.

– Tu jest zwykle spokój. Jak wszędzie, również tu są drobni dilerzy narkotyków, mają tu swoje punkty „handlowe" na klatkach schodowych. Tacy młodzi, 16, góra 18 lat, żadnych twardych dragów – mówi. I od razu dorzuca: – Na co dzień to wcale nie przeszkadza mieszkańcom. Mało tego – twierdzi, wskazując ręką najwyższy wieżowiec. – Kiedy tam się zepsuła winda, to ci sami dilerzy pomagali starszym paniom wnieść zakupy na górę.

Pierre nie poważa zbytnio, delikatnie mówiąc, tutejszej policji: – Patrole pojawiają się raczej po to, żeby zatruwać życie młodym, niż żeby rozbić handel. Policjanci kontrolują dokumenty. Mają problem z innym kolorem skóry. No tak, niektórzy robią dobrze swoją robotę. Sprawdzą dowód osobisty, *merci, au revoir*, i po sprawie. Inni obrażają, zaczepiają, popychają bez powodu. Nie dziwię się, że potem młodzi mają dość.

W Romainville, jak w setkach innych francuskich miast, w czerwcu i lipcu tego roku doszło do gwałtownych zamieszek: młodzieżowe grupy zdemolowały wejście do ratusza, porozbijały witryny sklepów i bankomaty. Rozruchy były reakcją na śmierć w Nanterre 17-letniego Nahela, który zginął od policyjnej kuli po tym, jak nie chciał poddać się kontroli drogowej i próbował odjechać.

Ziomów żal

Przed furgonetką uwija się czarnoskóry Youv. Przerasta o głowę Yazida, mówi głośno, gestykuluje jak raper na scenie.

Jak się okazuje, w Médiation Nomade kształci się na mediatora społecznego, aby pracować z trudną młodzieżą. Wszystko to brzmi dość banalnie, ale pozory mylą.

Youv ma 45 lat, z czego połowę życia spędził w więzieniu za wielokrotne napady z bronią w ręku. Po raz pierwszy siedział za kradzież samochodu, kiedy miał 14 lat.

– Co mnie uratowało? Instynkt przetrwania. W celi zacząłem pisać kronikę na Facebooku, zaprojektowałem swoją markę ciuchów. Reszta z moich dawnych ziomów z bandy albo nie żyje, albo jest w psychiatryku. Tylko ja jestem na wolności – mówi.

Gdy kilka lat temu po raz ostatni wyszedł z więzienia, założył własne stowarzyszenie. Zaczął chodzić po szkołach, opowiadać o swoim życiu za kratami, przestrzegać przed stereotypem „zajebistego" rzekomo życia bandyty. – Nie chcę, żeby młodzi przeszli przez to samo, co ja – mówi. Dziś jest ojcem trójki dzieci.

Youv pochodzi z Mantes-la-Jolie, tej samej miejscowości co Yazid. Rok temu szef Médiation Nomade skontaktował się z nim, zaproponował szkolenie w jego stowarzyszeniu. – Mam do Youva pełne zaufanie. Jestem pewny, że nie wróci już do dawnego życia. Widzę, że on sprawdza się lepiej w pracy z młodymi niż wielu innych, choćby mieli najlepsze dyplomy – twierdzi Yazid.

Dlaczego wyciągnął rękę do Youva? Kluczem jest jego poprzednie życie.

Korzenie

Bracia Yazid i Lakdar Kherfi dorastali w wielodzietnej rodzinie (mieli jeszcze pięcioro rodzeństwa) na gigantycznym osiedlu Le Val Fourré w podparyskiej miejscowości Mantes-la-Jolie, w ubogiej rodzinie imigrantów z Algierii.

Historia tego osiedla, powstałego w latach 60. i 70. XX w., jest typowa dla rozwoju francuskich miast. Wielkie zakłady przemysłowe z branży motoryzacyjnej, jak Renault i Peugeot, sprowadzały wtedy masowo tanią siłę roboczą z krajów Afryki. W pobliżu zakładów budowano mieszkania socjalne, przeznaczone głównie dla pracowników fabryk.

Na początku obok klasy ludowej – i tej francuskiej, i tej napływowej – mieszkała rodzima klasa średnia. Z czasem biała ludność emigrowała do osiedli uważanych za lepsze. Już od lat 90. w Le Val Fourré zaczęli przeważać imigranci z Maghrebu czy Senegalu, a także z Portugalii (ten biedny wówczas kraj „eksportował" tanich pracowników po Europie).

Potem dzielnica ubożała coraz bardziej, bo w okolicy zamykano fabryki. Rozkwitały przestępczość, gangi, handel narkotykami.

Podobny proces zachodził wtedy na wielu blokowiskach – to korzenie problemów, z którymi zmaga się dzisiaj Francja.

Wstyd

Lakdar wspomina: – Gdy byliśmy dziećmi, drobne kradzieże to było coś banalnego. Również nie byłem święty,

trochę podkradałem. Czasem mleko czy masło dla rodziny, bo było biednie. Nasz ojciec, jak wielu innych, pracował w fabryce, a matka zajmowała się naszą gromadką i domem. Myśmy się wychowywali pod blokiem.

W opowieści Yazida o dzieciństwie wraca słowo „wstyd". Z powodu biedy, ale także imigranckiego pochodzenia. W swojej książce „Cudem ocalony" – napisanej razem z socjolożką Véronique Le Goaziou – wspominał: „Często wstydziłem się własnej matki, kiedy przychodziła po nas do szkoły, bo miała arabskie ubrania, hennę na rękach i tatuaż na czole. Byłem też zakłopotany jej koślawym francuskim".

Dziś czuje się na równi Francuzem i Algierczykiem. Inaczej niż Lakdar – dla niego algierskie korzenie są mniej ważne.

Lakdar przeprowadził się na mieszczańskie przedmieścia Paryża, czasem jednak odwiedza swoją dawną dzielnicę.

– Dzisiejsze Le Val Fourré bardzo się zmieniło. Podzieliło się na małe wspólnoty, z których każda żyje osobno: Turcy sobie, Senegalczycy sobie, i tak dalej – mówi młodszy z braci. – W grupie każdy czuje się mocniejszy, rozumiem to. A mnie marzy się Francja, gdzie nie będzie się ciągle mówić o kolorze skóry

U góry: gotowanie herbaty podczas jednego z działań mediacyjnych stowarzyszenia Médiation Nomade. Bagnolet, listopad 2023 r.

i pochodzeniu. Przecież gdybym chciał mieszkać z Algierczykami, przeprowadziłbym się do Algierii.

Zjawisko, o którym opowiada Lakdar, francuscy socjolodzy nazywają komunitaryzmem: to umacnianie się w społeczeństwie podziałów na grupy etniczne czy religijne. Tendencja ta – jak wskazują jej krytycy – od dwóch-trzech dekad osłabia od wewnątrz francuskie państwo.

Strona ciemna, strona jasna

W dzieciństwie bracia trzymali się razem, ale potem ich drogi się rozeszły. Lakdar w szkole dobrze się uczył, zdał maturę. – Od początku wiele nas różniło, Yazid był fizycznie silniejszy, mnie po urodzeniu przez dwa lata umieszczono w szpitalu przez kłopoty zdrowotne. On postawił na ulicę, a ja na szkołę i sport – mówi Lakdar.

Uprawiał sztuki walki i biegi, i wcześnie został animatorem w dzielnicy. – Jako dwudziestolatek razem ze starszym bratem Madanim i młodszą siostrą Yasminą założyliśmy w naszej dzielnicy stowarzyszenie, żeby pomagać mieszkańcom – wspomina. – Yazida nie było z nami, bo narobił już sporo głupstw, że tak powiem. Kumplowałem się wtedy ze sportowcami, a on z chuliganami. I tak, kto z kim przestaje... – urywa Lakdar.

Jak mówi, w każdej dzielnicy są dwie strony: – Znałem dobrze stronę jasną, to sport, muzyka, stowarzyszenia, trzymałem się daleko od strefy ciemności, od gangów, dilerów.

Yazid wspomina tamten czas zgoła inaczej: – Już w szkole nauczyciele powtarzali, że mi się nie uda. Od wszystkich słyszałem, że jestem do niczego. Dobrze czułem się tylko w środowisku dzielnicowych gangsterów. Tylko oni wyciągnęli do mnie rękę, kiedy byłem w potrzebie. Chciałem być kimś, więc dołączyłem do bandy.

Zaczęło się od ulicznych burd, potem były kradzieże i napady. Przestępcą został w wieku piętnastu lat, a skończył z tym po trzydziestce. W tym czasie cztery lata spędził w więzieniu za napady z bronią i kradzieże.

Co zawróciło go z tej drogi? Yazid: – Zdarzyły się dwie ważne rzeczy: straciłem najlepszego przyjaciela z rąk żandarmów. Po tym, jak zrobiliśmy razem skok. I drugie: kiedy miałem prawie 30 lat, władze chciały mnie deportować do Algierii jako przestępcę. Wtedy wielu obcych ludzi, oprócz mojej rodziny, broniło mnie. Byłem zaskoczony, że to zrobili.

To wtedy bracia pogodzili się. Na prośbę Lakdara i członków jego stowarzyszenia ówczesny mer Mantes-la-Jolie ujął się za Yazidem. Sprzeciwił się, by wymierzyć mu podwójną karę: i więzienie, i deportacja.

–To był dla mnie przełom – powtarza Yazid. – Żeby się zrewanżować, obiecałem merowi, że się zmienię. Dziś jestem tym samym człowiekiem, co kiedyś, z jedną różnicą: jestem uczciwy.

Połączeni

Po wyjściu z więzienia Yazid znalazł pracę w centrum dla młodzieży. Z biegiem lat doceniono go i został dyrektorem tego ośrodka. Później skończył studia z pedagogiki na uniwersytecie w Nanterre. Dzisiaj na tej uczelni prowadzi zajęcia z prewencji kryminalnej.

– Tylko ja rozrabiałem w mojej rodzinie, a dziś mam najwięcej dyplomów z wszystkich moich bliskich – uśmiecha się Yazid.

Przez wiele lat administracja więzienna zapraszała go do zakładów karnych jako prelegenta: – Opowiadałem więźniom moje życie. To do nich trafiało, bo wiem, o czym mówię, sam to wszystko przeżyłem. Powtarzałem: powróćcie do najprostszych rzeczy. Najważniejsze w życiu jest bycie na wolności i zdrowie. Rodzina. Mam żonę i trójkę dzieci. To się liczy, a nie ferrari czy dom z basenem. Większość więźniów chce mieć normalne życie.

To Yazid wpadł na pomysł powołania Médiation Nomade, kupił furgonetkę i zaproponował pracę Lakdarowi. ↦

W stowarzyszeniu podzielili się obowiązkami.

– Wcześniej przez trzydzieści lat zajmowałem się wnioskami o subwencje, wymyślałem projekty, kierowałem nimi. Byłem szefem projektów, do tego jestem stworzony. W stowarzyszeniu byłem głównym mechanikiem, ale to Yazid stał na mostku kapitańskim. On prezydent, ja premier – żartuje Lakdar, który niedawno przeszedł na emeryturę, choć ciągle wspiera akcje brata.

Polityka starszych braci

Yazid podkreśla, że władze potrzebują takich stowarzyszeń jak Médiation Nomade, bo nie radzą sobie z problemami przedmieść.

– Nasze akcje mają konkretne efekty. Kilkanaście miast skopiowało nasz pomysł nocnych objazdów. Dzięki naszym interwencjom na innych przedmieściach zaczęto otwierać do późnych godzin domy młodzieży – wylicza.

Jego przejście na „jasną stronę mocy" można wiązać z tzw. polityką starszych braci (*grands frères*), którą w minionych dekadach stosowano na wielu francuskich osiedlach. Polegała ona na zatrudnianiu w charakterze osiedlowych mediatorów młodych mężczyzn, często z rodzin z korzeniami arabskimi czy afrykańskimi. Byli wśród nich skruszeni przestępcy, jak Yazid. Upatrywano w nich męskie autorytety dla młodych chłopców z rozbitych rodzin.

Z czasem okazało się, że polityka *grands frères* miała swoje słabości i zaczęto od niej odchodzić. Przełomem był rok 2005, gdy w podparyskim departamencie Seine-Saint-Denis doszło do gwałtownych starć grup młodzieżowych z policją. Zarzucono wtedy niektórym samorządom, że rekrutowały czynnych przestępców pod pozorem szukania pokoju społecznego.

Jak uniknąć nowych zamieszek

W rozmowach z braćmi wracamy do zamieszek po śmierci Nahela – najbardziej gwałtownych starć tego typu we Francji od 18 lat. Co zrobić, by się nie powtórzyły?

Według francuskiego rządu priorytetem powinno być przywrócenie porządku. Cztery miesiące po rozruchach, w końcu października, premier Elisabeth Borne przedstawiła założenia nowego programu dla przedmieść, nazwanego „antyzamieszkowym". Znalazła się w nim propozycja zaostrzenia kar dla młodych przestępców, łącznie z przymusowymi obozami reedukacji prowadzonymi przez wojskowych, a także powołanie mobilnych ekip złożonych z policjantów, prawników i pracowników socjalnych.

YOUV

CZŁONEK STOWARZYSZENIA MÉDIATION NOMADE:

Reszta moich dawnych ziomów z bandy nie żyje albo jest w psychiatryku. Tylko ja jestem na wolności.

Premier Borne ogłosiła, że rodzice uchylający się od obowiązków wychowawczych będą mogli być karani, np. pracą na cele społeczne.

Oprócz środków natury represyjnej rząd zaproponował też – jako drugą, socjalną „nogę" programu – szereg działań na rzecz tzw. dzielnic priorytetowych. Są wśród nich wsparcie dla edukacji, walka z ubóstwem (ogółem 300 mln euro, w tym połowa dla trudnych przedmieść), otwarcie w najbliższym czasie 60 przychodni i 100 żłobków na tych terenach.

Lakdar podchodzi z rezerwą do tych społecznych obietnic: – Oczywiście popieram pomoc dla stowarzyszeń czy edukacji, to ważne rzeczy. Sęk w tym, że od 40 lat każdy rząd ogłasza kolejny plan wsparcia dla dzielnic, ale większych efektów nie widać. Problemy przedmieść to bestia, która drzemie. Nie można rozwiązać ich tylko przez wzmocnienie środków bezpieczeństwa.

Przeciw nienawiści

Yazid uważa, że ostatnie zamieszki pokazały skrajną frustrację części młodzieży, o czym ma świadczyć demolowanie przez nią swoich własnych dzielnic – w tym sklepów, merostw, poczt, bibliotek.

– Młodzi z przedmieść nie widzą dla siebie żadnej przyszłości, więc niszczą wszystko wokół siebie. To autodestrukcja – ocenia. – Czy chcemy wciąż mnożyć kamery monitoringu i liczbę policjantów, czy wreszcie zainwestować pieniądze w działania zapobiegawcze?

Bracia Kherfi zgadzają się, że klucz leży w poprawieniu relacji między młodymi a policją. Lakdar zauważa przy tym, że wysyłani do podparyskich departamentów policjanci często pochodzą z odległej prowincji i nie znają „kodu" przedmieść. Postuluje, że powinni być oni lepiej szkoleni do nawiązywania kontaktów z mieszkańcami dzielnic.

Innego zdania jest policja: dla niej głównym problemem przedmieść jest rosnąca wciąż – co najmniej od dekady – nienawiść części jej mieszkańców do mundurowych. Tak twierdzi na przykład komisarz policji David Le Bars, autor wydanej cztery lata temu książki „Nienawiść w oczach".

Le Bars spędził wiele lat w brygadzie antynarkotykowej. Pisze, że chociaż – wbrew stereotypom – we Francji „nie ma stref wzbronionych (dla policji), to jest coraz więcej dzielnic, gdzie funkcjonariusze mogą wejść tylko w pełnym uzbrojeniu i w dużej sile".

■■■

Czy w tym klimacie wzajemnej wrogości można się spodziewać poprawy relacji między siłami porządku a młodymi ludźmi z przedmieść? Nic pewnego.

Yazid Kherfi ubolewa: – Zależy mi na współpracy z policją, wiele razy zapraszałem policjantów na nasze nocne mediacje. Bez efektu. Oni nie widzą sensu w rozmawianiu z młodymi.

Yazid nie zraża się takimi niepowodzeniami. Powtarza, że nigdy nie znosił banalnej pracy. Ani kiedy był w gangu, ani teraz.

– Nie potrafię siedzieć w biurze, potrzebuję adrenaliny. Ciekaw jestem, co się jeszcze zdarzy tej nocy. I kogo tym razem spotkam pod blokiem.

© SZYMON ŁUCYK

REKLAMA

POLIN

Muzeum Historii Żydów Polskich

WOKÓŁ NAS MORZE OGNIA

ul. Anielewicza 6
00-157 Warszawa

Wystawa w ramach programu „Nie bądź obojętny. 80. rocznica powstania w getcie warszawskim"

WYSTAWA CZASOWA

WOKÓŁ NAS MORZE OGNIA

Losy żydowskich cywilów podczas powstania w getcie warszawskim

polin.pl

18.04.2023-08.01.2024

ORGANIZATOR
POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

WSPÓŁORGANIZATORZY
STOWARZYSZENIE ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W POLSCE
Centrum Badań nad Zagładą Żydów Polski Centrum Dokumentacji Holocaustu Research

PATRON HONOROWY
Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda

WYSTAWA POWSTAŁA DZIĘKI WSPARCIU
Jankilevitsch Foundation
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Dofinansowane ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
THE DAVID BERG FOUNDATION
Fundacja Kronenberga
cfi handlowy
HENRICH BÖLL STIFTUNG WARSZAWA
KONRAD ADENAUER STIFTUNG
Program działań artystycznych finansowany jest przez Islandię, Lichtenstein i Norwegię w ramach Funduszu EOG oraz przez budżet krajowy
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Niemiecki Komitet Wspierania Muzeum POLIN

PARTNERZY
ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY
Niemiecki Komitet Wspierania Muzeum POLIN

PARTNERZY MEDIALNI
zwierciadło sens VOGUE wyborcza.pl VIVA! ams Newsweek HISTORIA KMAG Multikino onet

Ośrodek dla uchodźców w Hörste, listopad 2023 r.

Wszystkie drogi prowadzą do Niemiec

TEKST I ZDJĘCIA ŁUKASZ GRAJEWSKI Z HÖRSTE I LIPSKA

Republika Federalna coraz gorzej radzi sobie z imigracją. Wraz z rosnącą liczbą przybyszów narasta społeczny opór. Autor „Tygodnika" odwiedził ośrodek dla azylantów i rozmawiał z nowoprzybyłymi.

Na hotelowym balkonie w maleńkim niemieckim miasteczku Hörste wywieszono płachtę z napisem „*Herzlich Willkommen*" (Serdecznie witamy).

Hörste to miejscowość wypoczynkowa. Położona jest na północnym zachodzie Niemiec, ok. 100 km od Dortmundu. Wokół rozpościera się urokliwa, pagórkowata i mocno zalesiona sceneria. Gdy u progu tej zimy mieszkańców zaskakują obfite opady śniegu, robi się naprawdę bajkowo. Z pewnością wielu Niemców chciałoby tu przyjechać na zimowy odpoczynek, szczególnie że tutejszy hotel leży już poza terenem zabudowanym.

Jednak ok. trzystu miejsc noclegowych, które po remoncie oferuje budynek hotelu w Hörste, nie można znaleźć na portalu rezerwacyjnym Booking.com – od kilku miesięcy wynajmują go władze landowe Nadrenii Północnej-Westfalii.

To największy niemiecki kraj związkowy, do którego najliczniej przybywają imigranci i uchodźcy z całego świata. W 2023 r. nowych przybyszów jest już tak wielu, że nie ma ich gdzie pomieścić. Dlatego każdy nieczynny hotel, hala lub stare koszary wojskowe są na wagę złota, bo można je szybko przerobić na ośrodki dla ludzi aplikujących o status azylantów.

Hotel w Hörste od listopada 2023 r. pełni właśnie taką funkcję.

Z Kamiszli do Hörste

Jeszcze przed przyjazdem pierwszych gości budynek został otoczony metalowym płotem. Żeby wyjść poza teren ośrodka dla azylantów i porozmawiać ze mną, Abdel Sahker wraz z dwójką nastoletnich synów najpierw muszą zgłosić się do budki strażniczej.

Mężczyzna nie jest zadowolony z miejsca, do którego trafili. W końcu nie przyjechali do Niemiec na zimowy urlop. – Jeśli chcemy dotrzeć stąd do większego miasta, najpierw trzeba przejść pieszo dwa kilometry i dopiero później złapać autobus – mówi „Tygodnikowi".

Choć w dzień naszej rozmowy panuje już mróz, to Hawal, starszy z synów, ma na nogach tylko klapki. Niedopasowane do niskich temperatur i śniegu obuwie,

sandały lub buty sportowe, to znak rozpoznawczy niemal wszystkich nowych mieszkańców ośrodka w Hörste.

Abdel Sahker wraz z rodziną przybyli do Niemiec trzy miesiące temu. On, żona i czworo dzieci zostawili całe swoje dotychczasowe życie w rodzinnym Al-Kamiszli. Miasto leży na północnym wschodzie Syrii, niedaleko granicy z Turcją. Dziś to część faktycznego parapaństwa, autonomii, którą syryjscy Kurdowie wykroili sobie zbrojnie z syryjskiego państwa w toku trwającej od 2011 r. wojny.

Obecnie konfliktów zbrojnych jest na świecie tak dużo, że opinia publiczna niemal nie dostrzega, że również na granicy syryjsko-tureckiej wciąż trwa konflikt zbrojny. Turcja nie akceptuje kurdyjskiego parapaństwa u swoich południowych granic i armia turecka regularnie bombarduje kurdyjskie miasta.

W lesie

Do jednego z ataków rakietowego doszło na początku października 2023 r. To właśnie wtedy Abdel Sahker, który przepracował jako nauczyciel edukacji wczesnoszkolnej 27 lat, sprzedał cały swój dobytek. Za uzyskane pieniądze opłacił przemytników.

– Moi synowie niedługo osiągną wiek, w którym mogliby zostać wcieleni do wojska – tłumaczy swoją decyzję.

Wiele lat zwlekał z jej podjęciem, licząc na poprawę sytuacji w Syrii, w regionie zamieszkanym przez Kurdów. Ale perspektyw zakończenia konfliktu jak nie było, tak nie ma. Dlatego, jak tłumaczy, w poszukiwaniu nowych perspektyw dla swojej rodziny ruszył do Niemiec.

Czy znalazł to, czego szukał? Bezpieczeństwo na pewno. A perspektywy? Po tym, jak wraz z rodziną złożył tutaj wniosek o azyl, musi się przede wszystkim uzbroić w cierpliwość. Czekając na rozpatrzenie wniosku, nie może podjąć pracy. Dzieci nie mogą pójść do szkoły, co jest szczególnie trudne dla ich ojca-nauczyciela. W ośrodku nie ma internetu, rodzina nie ma dostępu do kursów językowych.

Na ten moment znajdują się w lesie, dosłownie i w przenośni.

W takich warunkach ponad setka osób z piętnastu różnych krajów spędzi przynajmniej osiem miesięcy. Choć zapewne dłużej. Osiem miesięcy czekało się na decyzję niemieckich urzędów w sprawie azylu w 2022 r. W roku 2023, ponieważ wniosków jest dużo więcej, czas oczekiwania jeszcze się wydłużył.

Co robić z czasem? – Nie możemy nawet sami sobie gotować, a jedzenie ze stołówki jest bardzo niedobre – mówi Abdel.

Ktoś mógłby powiedzieć, że brzmi to niewdzięcznie. Ale gdy przez cały dzień nie ma zupełnie nic do roboty, to właśnie posiłki, ich jakość, stają się centralnym tematem rozmów mieszkańców.

Uchodźcy tak, ale nie obok nas

Abdel Sahker wolałby zostać w Bielefeld – mieście, do którego trafił zaraz po złożeniu wniosku o azyl, a jeszcze przed decyzją niemieckich urzędników, żeby skierować jego rodzinę do Hörste.

To właśnie w Bielefeld „Tygodnik" po raz pierwszy rozmawiał z Abdelem i jego rodziną. Ośrodki dla uchodźców w większych miastach mają tę zaletę, że w łatwy sposób można tam dotrzeć do innych imigrantów z danego kraju, którzy przybyli wcześniej i zdążyli się zadomowić. Są organizacje, są sklepy z produktami spożywczymi z całego świata.

Natomiast zaczyna brakować otwartości na nowych przybyszów.

Ośrodek w Bielefeld znajduje się w kompleksie budynków, w którym niegdyś mieszkali brytyjscy żołnierze stacjonujący w tej części Niemiec po II wojnie światowej. Kompleks leży bezpośrednio przy Dzielnicy Muzyków. To willowa część miasta, którą zamieszkują zamożne elity miasta. I to właśnie mieszkańcy tej dzielnicy wywalczyli u władz miejskich, żeby tutejszy ośrodek dla azylantów zamknąć wraz z końcem stycznia 2024 r. Przeszkadzał im hałas, liczne dzieci biegające po ulicach, śmieci.

Dzielnica Muzyków to z pewnością nie jest miejsce, w którym ludzie głosują na populistyczną i programowo antyimigrancką Alternatywę dla Niemiec (AfD). Pewnie jej mieszkańcy wybierają raczej Zielonych (ci są popularni w miejskiej klasie średniej), może liberałów czy chadeków. Przeciwko kolejnym napływającym do kraju imigrantom zapewne nic nie mają – w teorii.

To nie jest odosobniona historia. Protesty przeciwko nowym ośrodkom dla azylantów odbywają się dziś na terenie całych Niemiec. Na wschodzie kraju, politycznie coraz bardziej zdominowanym przez radykałów z AfD, nierzadko przybierają formę agresywnych i otwarcie ksenofobicznych demonstracji. Na zachodzie to częściej pisane eleganckim językiem petycje i zawiązujące się inicjatywy sąsiedzkie, które jednak sprowadzają się do tego samego celu: żeby kandydatów do azylu przenieść jak najdalej od ich domostw.

Nie damy już rady

Narastające protesty to odzwierciedlenie wielkiego pesymizmu niemieckiego społeczeństwa w kwestii imigracji. Aż 64 proc. respondentów biorących udziału w badaniu DeutschlandTrend uważa, że imigracja to źródło problemów dla kraju. Aż 84 proc. pytanych przez magazyn „Der Spiegel" twierdzi, że do Niemiec przyjeżdża za dużo ludzi.

Ile dokładnie wynosi to „za dużo"?

Do końca roku 2023 liczba wniosków o azyl sięgnie z pewnością poziomu ok. 350 tysięcy. Przy czym ta liczba nie uwzględnia Ukraińców, którzy dzięki wspólnym unijnym ułatwieniom otrzymują automatycznie status ochronny. Od początku rosyjskiej inwazji na pełną skalę, rozpoczętej 24 lutego 2022 r., przybyło ich do Niemiec ponad milion.

Łącznie daje to ogromną liczbę nowoprzybyłych. Zjawisko to można porównać już do roku 2015 oraz 2016, kiedy to miliony Syryjczyków ruszyły w kierunku Europy, a ponad milion z nich trafiło ostatecznie do Niemiec.

W tamtym momencie niemieckie społeczeństwo wykazało się bezprecedensową chęcią pomocy. Jednak dziś to już przeszłość. Słowa „*Wir schaffen das*" (Damy radę), wypowiedziane wtedy przez kanclerz Angelę Merkel, dziś zastąpiło twarde sformułowanie obecnego kanclerza Olafa Scholza: „Musimy deportować więcej i szybciej".

Odyseja Mohammeda

– Docieramy tutaj połamani. Tracimy rodzinę, zdrowie, duszę – opowiada 30-letni Mohammed, który do Niemiec dotarł również z Syrii.

Kolejny rozmówca „Tygodnika", z którym spotkałem się w Lipsku, jest przykładem ogromnie złożonych historii, którym muszą przyjrzeć się niemieccy urzędnicy decydujący o przyznaniu azylu.

Mohammed jest ismailitą, członkiem islamskiej mniejszości wywodzącej się od szyitów. To właśnie tożsamość religijna ma decydujące znaczenie dla uznania ↦

↦ ewentualnych prześladowań. A ich zagrożenie trzeba udowodnić, aby uzyskać status ochronny.

Ismailici, którzy przed wybuchem syryjskiej wojny zamieszkiwali centrum tego kraju, są wrogo postrzegani przez sunnitów, stanowiących w Syrii większość. Na przestrzeni ostatnich lat byli zwalczani przez reżim prezydenta-dyktatora Baszara al-Asada i zabijani także przez dżihadystów z Państwa Islamskiego, które wbrew obiegowej opinii nie zostało całkowicie zniszczone. Członkowie tej skrajnie islamistycznej organizacji wciąż działają na terenie Syrii i zabijają „innowierców".

– Jakby się dowiedzieli, że jestem ismailitą, to odcięliby mi głowę – twierdzi Mohammed w rozmowie z „Tygodnikiem".

Dla niego pozostanie w rodzinnym mieście, położonym w dystrykcie Hama, wiązałoby się – jak twierdzi – z życiem w poczuciu ciągłego zagrożenia. Dlatego ruszył w drogę.

W międzyczasie miał tej decyzji wielokrotnie żałować. W Aleppo dotarł do tej części miasta, którą kontrolowała Wolna Armia Syryjska, opozycyjna wobec Asada, i został tam, jak twierdzi, uwięziony. Następnie miał przeskakiwać przez kilkumetrowy mur na granicy syryjsko-tureckiej i czołgać się przez tunel wykopany przez innych śmiałków pod kolejnym granicznym zabezpieczeniem. Dotarł do nadmorskiego Mersin w Turcji, gdzie musiał miesiącami zarabiać na sfinansowanie kolejnego etapu podróży. Dalsze miesiące spędził w Stambule.

Dalej miał przeprawić się przez rzekę Ewros na granicy turecko-greckiej, by następnie przez piętnaście dni lasami i poboczami iść w kierunku Salonik. W końcu trafił do Aten. Gdy z powodu chorób, których nabawił się podczas podróży, nie był już w stanie kontynuować podróży, jego rodzice w Syrii zdecydowali się sprzedać mieszkanie i przesłać mu równowartość kilku tysięcy euro.

Mohammed opowiada, że za tę gotówkę kupił od przemytników fałszywy dokument tożsamości, który umożliwił mu dotarcie samolotem do Frankfurtu nad Menem. Stamtąd trafił do Lipska, gdzie czekali na niego przyjaciele z rodzinnego miasta, którzy do Niemiec dotarli wiele lat wcześniej.

Abdel Sahker z synami w ośrodku w Hörste, listopad 2023 r.

Kwestia (także) kulturowa

Mohammedowi udało się przetrwać tę podróż, przejść przez proces biurokratyczny i szybko stanąć na nogi. Urząd przyznał mu ochronę, co wiąże się też z możliwością podjęcia pracy. Z tej szansy postanowił od razu skorzystać – zatrudnił się w restauracji z arabskim jedzeniem w Lipsku, we wschodnich Niemczech.

Mohammed jest przykładem, który jest Niemcom obecnie bardzo potrzebny: dowodem, że imigranci z Syrii mogą się odnaleźć w nowej rzeczywistości, nauczyć się języka i podjąć pracę.

Tyle że w tej opowieści nie da się pominąć jednej okoliczności: 30-letni Mohammed miał na to większe szanse od innych. Pochodzi bowiem z obecnie biednego wprawdzie, ale za to znanego i dumnego rodu, posiadającego – rzec można – bardzo szczególny kapitał kulturowy. W jego rodzinie w poprzednich pokoleniach znajdziemy poetę, ambasadora i opozycjonistów. Jego nazwisko jest znane w Syrii, dlatego też na jego prośbę nie publikujemy go w „Tygodniku". Wciąż żyją tam jego rodzice i dwie siostry.

To dzięki wykształconej rodzinie mężczyzna jeszcze w Syrii nauczył się angielskiego i studiował. A także, co równie ważne, został wychowany w atmosferze świeckiej, wręcz oświeceniowej. Dzięki temu jest mu o wiele łatwiej odnaleźć się na Zachodzie niż statystycznym przybyszom z Bliskiego Wschodu.

Co drugi wniosek odrzucony

Mohammedowi już przyznano ochronę. Wydaje się, że Abdel Sahker wraz z rodziną mają duże szanse na azyl. Muszą tylko przetrzymać kolejne miesiące nudy, które czekają ich w ośrodku w Hörste.

Wiele rozmów, które „Tygodnik" przeprowadził w niemieckich ośrodkach dla kandydatów do azylu, wskazuje, jak wielu przybyszy nie ma na to szans. Przykładowo, romska rodzina z Macedonii Północnej raczej na pewno nie dostanie azylu. Także starsze małżeństwo z Albanii nie ma co na to liczyć. Młoda para z Algierii. Mężczyzna z Maroka. Kilku młodych Tadżyków.

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia TOK FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

Sala dla dzieci w ośrodku dla uchodźców w Hörste, listopad 2023 r.

Wgląd w statystyki Federalnego Urzędu ds. Migracji i Uchodźców jasno wskazuje, że w przypadku obywateli tych wszystkich krajów do nadania statusu azylanta dochodzi w przypadku tylko kilku procent wnioskujących. Ogółem w 2022 r. co druga osoba składająca wniosek o azyl otrzymywała decyzję odmowną.

I to zdaje się najbardziej drażnić dziś niemieckie społeczeństwo. Bo odmowa udzielenia azylu – czyli uznania danej osoby za uprawnioną do ochrony przed prześladowaniem czy wojną – tak naprawdę niczego nie kończy. A już na pewno nie kończy niezbędnych wydatków z publicznych pieniędzy.

Z powodu biurokratycznych zatorów ludzie, których wnioski o azyl odrzucono, i tak pozostają w ośrodkach, w których trzeba zapewnić im przynajmniej podstawowe warunki bytowe. Odrzucenie wniosku oznacza też brak możliwości podjęcia legalnej pracy.

Koszty idą w miliardy

W zasadzie taki człowiek powinien spakować się i wyjechać. W praktyce setki tysięcy niedoszłych azylantów korzystają albo z nadanego im tzw. pobytu tolerowanego, albo przemykają się przez sito ślamazarnych procedur dotyczących deportacji.

Wbrew stanowczym zapowiedziom kanclerza Scholza nie wydaje się bowiem, żeby coś miało się w tej kwestii zmienić – zaostrzeniu przepisów dotyczących deportacji sprzeciwiają się koalicjanci z Partii Zielonych.

Dlatego w kontekście nowych przybyszów coraz mniej mówi się o ubogaceniu i szansach dla Niemiec, a coraz więcej o kosztach.

Nadrenia Północna-Westfalia wyda w 2023 r. na wszelkie potrzeby związane z osobami składającymi wnioski o azyl ponad pół miliarda euro. A jest to tylko jeden z szesnastu niemieckich krajów związkowych.

Miliardy, które pochłania aparat zarządzający imigracją, kole w oko o wiele bardziej dzisiaj, gdy niemiecka gospodarka wchodzi w okres recesji, a rządzący politycy zapowiadają na rok 2024 znaczne podwyżki kosztów życia.

Padają zasadne pytania o sensowność systemu, który oficjalnie uznanym uchodźcom przyznaje znaczne zasiłki.

O ile w Polsce nie słychać w ogóle o problemie niepracujących Ukraińców, o tyle w Niemczech tylko 19 proc. z ponad milionowej ukraińskiej społeczności podjęło pracę. Reszta korzysta z niemieckich zasiłków.

Przy czym trudno oskarżać całą tę grupę narodową o lenistwo. To raczej niemiecki system i niemiecki rynek pracy, obwarowany przeróżnymi barierami, powodują, że tak mało ludzi pracuje.

O wdzięczności oraz o planach

W niemieckim społeczeństwie, w którym etos pracy jest bardzo ważny, problemy z jej podjęciem są często odbierane jako brak wdzięczności wobec nakładu wysiłków i pieniędzy, które Niemcy przeznaczają na uchodźców.

Ci przekonują, że tak nie jest. – Niemcy wspierają nas, wspierają kobiety i dzieci. Jak mógłbym nie szanować tego kraju? – pyta retorycznie Mohammed.

Również Abdel Sahker, pomimo trudności związanych z pobytem w ośrodku na odludziu, pytany o stosunek do Niemiec nie pozwala sobie na wątpliwości: – Wybraliśmy Niemcy, bo to bezpieczny i demokratyczny kraj. Czekamy na pozwolenie na pobyt stały. A jeśli Bóg da, to też na kursy niemieckiego i na szkołę dla dzieci. Jesteśmy Niemcom bardzo wdzięczni – podkreśla Syryjczyk.

Jego młodszy syn Jwal snuje nieśmiałe plany związane z przyszłością w Niemczech. Chciałby zapisać się do klubu futbolowego i w przyszłości zostać piłkarzem. ©

Siwi nomadzi ciągną przez Australię

AGNIESZKA BURTON Z AUSTRALII

Dla nich emerytura to wyczekiwany czas wolności i przygody. Ruszają w trasę kamperami lub z przyczepami. Są zjawiskiem typowym dla tego kraju-kontynentu.

NAZYWAJĄ ICH SIWYMI NOMADAMI, *grey nomads*. Są ich dwa rodzaje: jedni mają domy w miastach i zostają włóczykijami na jakiś czas. Inni podróżują przez lata, a ich jedynym miejscem zamieszkania jest dom na kołach.

Choć termin „siwi nomadzi" pojawił się w Australii w 1997 r. (telewizja ABC pokazała wtedy dokument pod takim tytułem), podróże takie zaczęły się w latach 20. XX stulecia wraz z pojawieniem się motorhome'ów (połączenie słów „motor" i „dom"). Te pierwsze konstruowano samodzielnie, na bazie takich aut jak buick, ford czy chevrolet.

Liczba siwych nomadów wzrosła w latach 70. i 80. XX w. Dziś są zjawiskiem większym niż amerykańskie *snowbirds* (to Amerykanie, głównie emeryci, migrujący zimą z chłodnych rejonów USA do cieplejszych). W 2014 r. profesorka Jenny Onyx z Sydney szacowała, że co roku w trasę wyruszają ich dziesiątki tysięcy.

Dlaczego właśnie tu, dlaczego Australia? Bo tu można jechać i jechać, dniami i tygodniami, a każda część kontynentu to inne krajobrazy. Bo panuje tu odpowiedni klimat: od tropikalnego przez pustynny po umiarkowanie ciepły (prócz wyższych partii gór nie ma tu mrozu ani śniegu). Dodatkowym atutem jest fakt, że kraj jest w miarę bezpieczny, a pola kempingowe mają zwykle wysoki standard.

No i ludzie żyją dziś dłużej i zdrowiej, zmienia się podejście do starości. Dla wielu *Aussies* emerytura to wyczekiwany czas wolności i przygody. Na przyczepach wypisują hasła-deklaracje: „Właśnie wydaję spadek moich dzieci", „Kryjówka babci i dziadka", „Ekspedycja, nie demencja", „Wiek to stan umysłu", „Ekstremalnie niebezpieczni emeryci".

OD 20 LAT | Anne i Bob zatrzymali się w Melbourne na krótki czas, by odwiedzić wnuczkę. Ona ma 74 lata, krótkie siwe włosy, szorty, buty trekingowe, mówi szybko i rzeczowo. On, 75 lat, wysoki i cichy, czasem wtrąci coś nosowym australijskim akcentem.

Anne: – Mieliśmy po pięćdziesiąt kilka lat, nie chcieliśmy siedzieć i czekać na starość. Pracowałam jako księgowa, Bob przy budowie dróg. Dwójka dzieci była już dorosła, wnuków jeszcze nie było. Sprzedaliśmy dom, kupiliśmy przyczepę kempingową. Myśleliśmy, że jedziemy na góra pięć lat. A za chwilę stuknie dwadzieścia, odkąd ona jest naszym domem.

– Unikamy miejsc płatnych i głośnych, zatrzymujemy się na darmowych „kempingach wolności" – dodaje Anne. – Szukamy ich w sieci albo w tym atlasie – wyciąga z plecaka „Camps Australia". Wszystko tu zaznaczono: pola kempingowe w parkach narodowych, postoje przy farmach i pubach. Punkty z wodą i takie, gdzie można opróżnić toaletę w przyczepie. Najlepsze darmowe miejscówki przy bezludnych plażach Anne podkreśliła, z dopiskami: „fantastyczne!", „dobre na przystanek", „wspaniałe i jest woda pitna!".

– Samowystarczalność to podstawa, nie lubię wyrzucać pieniędzy – śmieje się Anne. – Nigdy nie kupiliśmy nowej przyczepy. Tę, którą mamy teraz, kupiliśmy w dobrym stanie, używaną, za 60 tysięcy. Mamy pełen wypas: antenę satelitarną, aby Bob mógł oglądać telewizję nawet w najgłębszym interiorze, dużą lodówkę i zamrażarkę, aby mieć zapasy, gdy jesteśmy daleko od cywilizacji. Panele słoneczne, baterie, generator, 190-litrowy zbiornik na wodę, łazienkę z prysznicem. Nie mamy tylko zmywarki, bo po co? Dokupiliśmy małą pralkę, wkurzało mnie, gdy na Outbacku [tereny środkowej Australii – red.] przez czerwony pył na drogach wszystkie ciuchy miały pomarańczowe zacieki.

UCIEKAJCIE, POŻAR BUSZU! | Anne obliczyła, że życie nomady może być tańsze niż mieszkanie w mieście. – Na „kempingach wolności" jedyne koszty to gaz i jedzenie. Najdroższa jest benzyna. Ale dopóki mamy siły, będziemy pracować.

Bo Anne i Bob, choć są emerytami, dorabiają. – Wielu siwych nomadów pracuje po drodze – wyjaśnia Bob.

– Roboty dla emerytów jest pełno, wystarczy zajrzeć na strony internetowe typu „Work Around Australia" – dodaje Anne. – Po covidzie, gdy zabrakło młodych Europejczyków, którzy wcześniej przyjeżdżali na wizę „zwiedzaj i pracuj", pracodawcy nawet do nas dzwonili: „Gdzie jesteście, potrzebujemy was". Zwykle zarządzamy polami kempingowymi. Przez pół roku pilnowaliśmy cudzych domów w Tasmanii, przez dziewięć miesięcy w Broome prowadziłam hotel, pracowaliśmy też w miasteczku poszukiwaczy opali.

– Lepiej opowiedz o *newbies* – mruczy Bob.

– W czasie lockdownów Australijczycy nie mogli latać za granicę – podejmuje Anne. – Wielu seniorów dołączyło, nazywamy ich „świeżakami", bo mają świecące nowością przyczepy, których nie potrafią parkować. No ale my na początku też tacy byliśmy.

Odkąd Bob ma problem ze stawem biodrowym, musieli zwolnić. – Mieszkaliśmy wtedy nad Zatoką Karpentaria, w małym miasteczku, 150 osób – wspomina Anne. – Nagle przybiega sprzątaczka pola kempingowego, na którym pracowaliśmy, Filipinka i krzyczy: „Bob, Bob!". Biegnę, a on skręca się z bólu. Zadzwoniliśmy po latającego doktora, zabrali go do szpitala. Odtąd nie jeździmy po pustyni, tam jest totalna pustka, nie działa telefon ani internet. Co bym zrobiła, gdyby tam znów wyskoczyło biodro Boba?

– Ale powiem ci, że gdy jestem w trasie, niczego się nie boję – podkreśla dumnie Anne. – Miałam niezłego pietra tylko raz, zatrzymaliśmy się niedaleko starego wielorybniczego miasta Eden, to południowe wybrzeże. Nagle dzwoni do nas straż: „Uciekajcie, pożar buszu idzie w waszą stronę". Jechaliśmy pięć kilometrów przez

ARCHIWUM PRYWATNE x2

Nomadzi podczas happy hours w miasteczku Emerald, w północno-wschodniej Australii. Poniżej: „Bestia" – mobilny dom Jane.

eukaliptusową puszczę, wkoło dym, a ryk taki, jakby pociąg towarowy walił prosto na nas. Bob nic nie widział prócz białej linii na asfalcie. Jakoś się wydostaliśmy.

– A Ceduna pamiętasz, a Port Augusta? – rzuca Bob.

– Ach, tam musieliśmy być ostrożni – przypomina sobie Anne. – Pole kempingowe ogrodzone drutem kolczastym, brama z szyfrem, bo dzieci aborygeńskie kradną. Wiesz, nie jestem taka jak inni siwi nomadzi, którzy boją się Aborygenów. Bo ich nie znają, nie uczyli się o Pierwszych Narodach w szkole. Jednak zdradzę ci, wkurzają mnie te pozwolenia, o które trzeba się starać, by przejechać przez wiele aborygeńskich osad. Przecież to też mój kraj.

„WILLA WERONIKA" | Sandra, lat 73, szczupła i zadbana, ma trójkę dzieci i piątkę wnuków. Opowiada, że wcześniej była dziewczyną z dużego miasta i nigdy nie spała na kempingach. Pracowała w call center, opiekowała się matką, która mieszkała na osiedlu dla seniorów. Gdy mama zmarła, Sandra i jej mąż David mieli po sześćdziesiąt kilka lat. Przeszli na emeryturę. Wnuków jeszcze nie było, więc postanowili spróbować australijskiego *living the dream*. Za spadek po matce kupili przyczepę i nazwali ją „Connie".

Sandra wspomina rozmarzona, jak wstawała o świcie, siadała z kawą pod markizą, patrzyła na ludzi, którzy krzątali się, wyprowadzali psy, potem smażyła jajka na bekonie i szła na basen na polu kempingowym. Wołała do męża: „Choć popływać". Ale on: „Nie ma mowy, już nie ta figura". „Akurat wszyscy będą ciebie oglądać" – parskała.

– Wspólne jeżdżenie jeszcze bardziej nas zbliża – mówi Sandra. – Jesteśmy razem prawie pół wieku. W domu w mieście ja na dole, a on na górze ogląda TV. Za to w przyczepie jesteśmy skazani na siebie. Sprzeczki są, rzecz jasna, ale prawie wszystko w podróży robimy razem, jest mniej stresu, więcej wolności.

Po kilku wypadach sprzedali „Connie", kupili wygodniejszą „Willę Weronikę". Teraz mają dziewięciometrową „Jayco Srebrną Linię". Sandra pokazuje zdjęcia: – Zobacz, jakie duże łóżko, a tu kanapa, tyle miejsca, tam kuchnia, zmywarka, mikrofala, frytownica, w której przygotowuję ryby, kurczaki i ziemniaki, a tu grill, tu maszyna do kawy, w suficie klimatyzacja i ogrzewanie, naciskasz guzik, wysuwa się markiza.

SZCZĘŚLIWE GODZINY | Sandra nazywa się siwą nomadką „w wersji lajtowej", bo najdłuższy wypad trwał pięć i pół tygodnia. Nie chciałaby podróżować przez lata, jak wielu jej znajomych. Ma osteoartretyzm, biodro w nocy dokucza. No i musi wracać do miasta, w każdą środę opiekuje się wnuczką. Gdy wyjeżdżali na północ, córka trochę protestowała: „I co ja zrobię z czwórką dzieci?". Ale znalazła opiekunkę.

Sandra nazywa się też nomadką w „wersji ekskluzywnej", bo zawsze zatrzymują się na płatnych polach namiotowych, gdzie nie ma węży, nie powinno być trujących pająków, jest prąd i woda pitna.

Na kempingach łatwo poznać ludzi. Nomadzi zagadują, podchodzą: „Kurczę, fajną masz tę suszarkę do ubrań!". Albo: „Gdzie kupiłaś ten pojemnik termiczny do piwa?". I jest taki zwyczaj na drogach, że zawsze machają do siebie, gdy jedna przyczepa wymija drugą.

– Tu gramy w kręgle na trawie z przyjaciółmi – Sandra pokazuje zdjęcia. – Mają po sześćdziesiąt parę lat i prowadzą biznes, do motorhome'a pakują laptopy i drukarkę oraz dwa psy. O tak, masa siwych nomadów podróżuje z psami, widziałam też ptaki w klatkach, oswojonego szczura... A tu, zobacz, siedzimy na *happy hours*, szczęśliwych godzinach.

Szczęśliwe godziny są codziennie od ok. 16.30 do 20, gdy zaczynają atakować komary. Wtedy seniorzy, obowiązkowo z butelką wina czy zimnego piwa, siedzą przy kempingowych stołach zastawionych przekąskami, w mniejszych lub większych grupach. Podczas *happy hours* rozmowy wyglądają podobnie: ↦

↦ „Skąd jesteś?”, „Dokąd jedziesz?”, „Długo w drodze?”.

WIELKA PĘTLA | Bev i Maurice mieli po sześćdziesiąt pięć lat, gdy przeszli na emeryturę. „I co dalej? Siedzieć w domu w Melbourne i czekać na weekendy, by odwiedzić wnuki? To ma być życie?”. Sprzedali dom, kupili przyczepę. Pożegnanie z dziećmi i piątką wnucząt było trudne, ale wierzyli, że nadszedł ich czas, na który pracowali ciężko tyle lat. Maurice był rzeźnikiem, potem miał firmę ogrodniczą, Bev pracowała w call center.

Pojechali w podróż dookoła Australii, którą nazywają tu Wielką Pętlą. Nie było ich dziewięć miesięcy. Zatrzymywali się na „kempingach wolności”, socjalizowali podczas „szczęśliwych godzin”, pływali w turkusowych ciepłych wodach, zwiedzali. Aż któregoś dnia Maurice zapytał: „A co zrobimy, gdy się zestarzejemy i nie będziemy mogli wchodzić po schodach do przyczepy?”. Zaczęli więc szukać nowego domu, takiego z drewna i cegły. Na subtropikalnym Słonecznym Wybrzeżu znaleźli niezwykłe osiedle dla seniorów. Trawniki, po których skaczą kangury, przestrzeń, a domy mają garaże projektowane dla przyczep.

– Każdy mieszkaniec naszej RV Homebase to *grey nomad* – śmieje się Bev, opalona 74-latka. – Mamy tu też szczęśliwe godziny, aż zbyt często. Są tu trzy specjalnie zaprojektowane miejsca spotkań.

Bev i Maurice zrobili już ponad 20 dłuższych wypadów, często bez żadnych planów. Ot, wyjeżdżają z garażu: „Gdzie teraz, w prawo, w lewo?”. Planują tylko, gdy jadą do Melbourne odwiedzić rodzinę.

A pieniądze? Dostają emeryturę państwową i dodatkową, kapitałową (pracownicy mają dostęp do niej po osiągnięciu wieku emerytalnego, który w Australii to ok. 65 lat). – Życie w drodze jest tanie – uważa Bev. – Płacisz jedynie za jedzenie, benzynę i utrzymanie auta, ubezpieczenie i rejestrację przyczepy. Wielu siwych nomadów, aby mieć na podróżowanie, wynajmuje swoje domy w miastach. Ale ja nie zniosłabym remontów po lokatorach.

Gdy pytam, czy podróżując dowiadują się czegoś o Tradycyjnych Właścicielach, Bev trochę się irytuje: – To smutne, że Rdzenni zamykają swoje „kulturalnie wrażliwe” miejsca. Jeszcze niedawno wdrapywaliśmy się na monolit Uluru, fantastyczna przygoda, a teraz musieliśmy obchodzić górę dookoła, podczas gdy dzieci aborygeńskie wchodziły tam i śmiały się z nas. To przygnębiające, bo też jesteśmy Australijczykami.

SANDRA I DAVE *uważają, że wspólne jeżdżenie jeszcze bardziej ich zbliża: „W podróży jest mniej stresu, więcej wolności”.*

ARCHIWUM PRYWATNE x2

BEV I MAURICE *przeszli na emeryturę, sprzedali dom, kupili przyczepę. Uznali, że nadszedł czas, na który pracowali tyle lat.*

SINGIELKA | „Mój następny mąż będzie normalny”, „Bądź niezależna, unikaj facetów” – również takie hasła można zobaczyć na drogach. Coraz więcej tu bowiem siwych singielek, podróżujących samotnie. Może dlatego, że kobiety żyją dłużej, a po śmierci partnera nie chcą się wiązać? A może dlatego, że tak jak u Jan mąż stwierdził któregoś dnia, że chce się rozstać. Zostawiła mu dom, zabrała oszczędności, przyczepę, pickupa toyotę hilux i ruszyła w świat.

Jan ma 70 lat, piękny uśmiech, białe włosy ściągnięte w kucyk, dżinsy ogrodniczki, a na ramieniu tatuaż turkusowego motyla. – To auto nazywam „bestią”, jest tak wielkie – opowiada. – Gdy podróżowałam z mężem, on zawsze siedział za kółkiem i tylko mnie krytykował. Wszyscy znajomi mówili: „Jesteś za stara”, „Jesteś zbyt słabego zdrowia”, „Nie przetrwasz”. Nie było nikogo pozytywnego. Pomyślałam: „Pieprzyć ich! Dam radę”.

– Noc przed wyjazdem nie mogłam spać, z nerwów wymiotowałam – wspomina Jan. – Miałam plan: pojadę autostradą na północ, a jeśli po dwóch godzinach okaże się, że nie daję rady, wracam do miasta. Cholernie się bałam, ale dojechałam na pierwszy postój, tam siwi nomadzi podeszli, żeby pomóc mi zaparkować, odczepić przyczepę. Wyciągnęłam moją instrukcję, bo cały proces rozpisałam krok po kroku i udało się. Poradzili, żebym kupiła gadżet ułatwiający przyczepianie i odczepianie przyczepy z haka, tak zwany „ratunek dla małżeństw”. Dla mojego małżeństwa było już za późno, ale gadżet kupiłam, rzeczywiście sprawdza się. Na pewno chroni wiele par od kłótni podczas parkowania.

Potem już poszło. Jechała i nigdzie się nie spieszyła, spała na darmowych kempingach, nabrała sił. Nie szukała na siłę towarzystwa. – Zmuszam się, by wyjść do ludzi – przyznaje. – Nie cierpię „szczęśliwych godzin”. Pełno tam zrzędliwych facetów, którzy traktują kobiety jak głupsze, a gdy dowiedzą się, że jestem wykształcona i pracowałam na wysokich stanowiskach w aborygeńskich szkołach, stają się protekcjonalni.

JESZCZE PIĘĆ LAT | Co najbardziej podoba się jej w podróżowaniu solo? Jan: – Wolność. I że nie muszę gotować i sprzątać. Od kobiet mojej generacji oczekiwano, że będą prowadzić dom, opiekować się mężem i dziećmi, a także pracować zawodowo i zarabiać. A teraz ulga, nigdy nie będę sprzątać po facecie, a przygotowywanie posiłków dla mnie samej to szybka sprawa: trochę tofu, sałaty. Jeśli kiedyś będę gotowa, aby kogoś poznać, pewnie będzie to tylko wędrowny seks – uśmiecha się.

– Pewnie zostało mi pięć lat takiego podróżowania – oblicza Jan. – Jak ma się 75 lat, wiotczeją mięśnie, brakuje sił. Ale wiesz, w mediach społecznościowych jest coraz więcej grup dla samotnie podróżujących kobiet. Umawiam się po drodze z innymi siwymi nomadkami. Wiele tych kobiet ma tylko swoje domki na kółkach. W Australii jest teraz wielki kryzys mieszkaniowy, wynajem jest drogi, wielu na to nie stać. Po drodze widziałam na bezpłatnych kempingach coraz więcej bezdomnych, matki z maluchami w namiotach, ich ojcowie pracują w oddalonych miasteczkach. Jechałam i oddawałam im swoje rzeczy: toster, czajnik, garnki...

© AGNIESZKA BURTON

REPR. ANNA MAJEWSKA

Wioska Wahat al-Salam-Neve Szalom, „Oaza Pokoju", obraz Slimana Mansoura

Ich test generalny

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Utopijna palestyńsko-izraelska wioska Wahat al-Salam-Neve Szalom wiarę w pokój miała wpisaną w swój statut. Dziś marzenie o nim przetrwało, ale mieszkańcy zbierają je z popiołów. Rozmawialiśmy z nimi.

Wiesz, co mnie załamało? Moment, gdy przytuliłem moje dziecko, a zaraz potem poczułem winę, że ono przeżyło, a tamte dzieci nie. Żaden rodzic nie powinien przez to przechodzić – mówi mi 36-letni Maajan Schwartz, twórca filmów dokumentalnych.

Maajan

Więcej o tamtym dniu, 7 października, gdy Hamas zaatakował, mordując całe kibuce, w następstwie czego Izrael odpowiedział krwawo w Gazie, Maajan oczywiście opowie. Ale będzie się wahał, cofał do poprzednich słów, podważał własne myśli. Na koniec przyzna, że to dlatego, iż jest kompletnie załamany.

W Wahat al-Salam-Neve Szalom (dalej w skrócie: WAS-NS), palestyńsko-izraelskiej wsi położonej nieopodal Latrun pod Jerozolimą, Maajan się urodził. Dorastał w pierwszym pokoleniu dzieci w eksperymentalnych warunkach dwunarodowej społeczności, która miała wychować do koegzystencji mimo różnic narodowych, religijnych czy ideowych. Rok temu, po latach nieobecności, w czasie których studiował, a potem mieszkał w Tel Awiwie, wrócił do wioski z żoną i dwójką małych dzieci.

Tam go wówczas odwiedziłam. Maajan był wtedy po premierze „Dzieci pokoju": debiutanckiego filmu o realiach WAS-NS. Film był jego osobistym rozliczeniem z dzieciństwem. Pod koniec października 2023 r. otrzymał Grand Prix na warszawskim festiwalu „Kamera Dawida".

Ale wcześniej zawalił się świat, o którym ten film opowiada. – 7 października byłem z żoną i dziećmi w domu. W pobliskiej bazie nieustająco wyły syreny. Czytałem o wydarzeniach na południu, znam ten region, bo tam studiowałem. Zamknąłem się i płakałem w pokoju, by nie denerwować rodziny. Później dowiadywałem się o kolejnych zabitych, porwanych, wśród których było wielu znajomych – mówi reżyser, gdy rozmawiamy przez komunikator.

Maajan: – Tego dnia rzeczywistość przybrała przerażające oblicze, jakiego dotąd nie doświadczyliśmy. Odtąd czuję, jakbym siedział na skrzyżowaniu pośrodku naszej wsi, w punkcie między Żydami i Palestyńczykami, i przyjmował podwójną ilość bólu i smutku. I nie siedzę tam sam: większość z nas w wiosce jest porażona strumieniem informacji z obu stron, które prowadzą nas do ekstremalnego emocjonalnego przeciążenia. Skala przemocy, o jakiej słyszymy i jakiej pośrednio doświadczamy, jest tak ogromna, że rozwinęliśmy w sobie jakiś rodzaj apatii wobec cierpienia po drugiej stronie. Tylko tak jesteśmy to w stanie przeżyć.

Paradoksalnie, zauważa Maajan, wokół nic się nie zmieniło. Ani status konfliktu – bo pokoju jak nie było, tak nie ma. Pokój nie umarł 7 października, on był duszony od dekad przez polityczną taktykę. Nie zmienił się też Hamas, bo przecież nigdy nie ukrywał, jakie są jego cele. Nie zmieniła się izraelska taktyka bombardowań w Gazie.

Maajan: – Jest w nas dużo emocji, nieumiejętności przełknięcia tego ogromu przemocy po obu stronach. Ta przemoc utwierdziła każdą ze stron w przekonaniu, że ci drudzy nie są gotowi na pokój. Że trzeba ich do tego zmuszać, a to rodzi kolejną przemoc, a ona następną. Rozmawiam z kolegą Palestyńczykiem i słyszę: w sumie dobrze, że zdarzył się ten atak, bo teraz wszyscy mówią o okupacji. A ja na to: ale co ci po tej przemocy, skoro w zamian twoi ludzie doświadczą jej dziesięć razy więcej? A przecież pokój potrzebuje dwóch stron. Palestyńczycy potrzebują do pokoju Izraelczyków i odwrotnie.

Samah

W wiosce nie przerwano praktykowania pokoju. Choć wszystkich to teraz więcej kosztuje.

Samah Salaime jest Palestynką, mieszkanką WAS-NS, aktywistką pokojową i feministyczną, a w wiosce jej rzeczniczką prasową. Sytuacja Palestyńczyków jest tu szczególna: z jednej strony identyfikują się z izraelską populacją, z drugiej wielu z nich ma rodziny w Gazie. – Oczywiście wciąż wierzymy w pokój, choć to wyjątkowo trudna sytuacja. Ale jest to też test dla nas – mówi Samah.

Od wybuchu wojny zarząd wioski zorganizował sześć spotkań dla wspólnoty. Można było zabrać głos, podzielić się emocjami, otrzymać wsparcie. – Albo po prostu przyjść i się przytulić – mówi Samah. Z początku mieszkańcom trudno było się porozumieć, poziom stresu był zbyt wysoki. Ale nikt nie miał oczekiwań, że wspólnie wypracują jakiś konsensus. ↦

↦ Samah: – W naszej wsi wierzymy, że nie musimy zgadzać się we wszystkim. Można żyć spokojnie i razem, nie tłumiąc różnic. To nas wyróżnia. Można też skupić się na tym, co nas łączy: wartościach, zamiłowaniu do człowieczeństwa, pokoju, szacunku, sprawiedliwości i demokracji. I to wbrew pozorom jest proste. Dwa miesiące temu poczułam, że musimy skupić się na ludziach, Arabach i Żydach, Palestyńczykach i Izraelczykach, oraz na tym, na co cierpią. Wszyscy jesteśmy przeciw przemocy.

Od mojej ubiegłorocznej wizyty w wiosce tylko na pozór niewiele się zmieniło. Władze robią wiele, by zapewnić mieszkańcom możliwość bezpiecznej dyskusji. Jakkolwiek trudna by nie była.

Samah: – Zaraz po ataku Hamasu doznaliśmy zbiorowej traumy. Wszyscy: i Żydzi, i Palestyńczycy. Wśród okrutnych obrazów i głosów, które do nas docierały, słyszeliśmy też deklaracje skrajnie prawicowych aktywistów, że będą atakować Palestyńczyków. Zaczęliśmy więc zamykać drzwi naszych domów, choć dotąd zostawialiśmy je otwarte, a także bramę wjazdową do wsi. Dotąd prawie zawsze była otwarta. Powołaliśmy nocne patrole, które mają nas chronić przed ewentualnymi atakami. Boimy się.

Samah mówi o innym zagrożeniu, które dotyczy Palestyńczyków chcących wyrazić swoją opinię o wojnie. Izrael wprowadził kontrolę mediów społecznościowych i monitoruje wpisy uznane za zagrażające. – Praktycznie nie możesz o tym rozmawiać. Zdarzało się, że za opinie czy wpisy w mediach społecznościowych wyrzucano z pracy. Próbuje się nam zamknąć usta i to niewątpliwie jest zagrożenie dla demokracji – uważa Samah.

SAMAH SALAIME *jest Palestynką aktywistką feministyczną, rzeczniczką wioski.*

ARIELA BAIREY BEN ISHAI *uważa, że cierpienie łączy wielu ludzi z obu stron.*

BOB MARK *demonstrował w Tel Awiwie przeciw wojnie w Gazie.*

ANNA MAJEWSKA x4

MAAJAN SCHWARTZ *uważa, że Palestyńczycy potrzebują do pokoju Izraelczyków i odwrotnie.*

Bob

Boba Marka, jednego ze starszych mieszkańców wsi, pamiętam dobrze z zeszłego roku. Poświęcony idei dialogu, spędzał dni na działaniach edukacyjnych i oprowadzaniu po wsi wycieczek ze świata, przekonując pewny swego, że takie dwunarodowe życie jest możliwe.

Na początku grudnia rozmawiam już z innym Bobem. Na jego twarzy widać zmęczenie i zniechęcenie. Pytam, jak się czuje. – To pewnie najtrudniejsze pytanie, jakie mi zadasz – słyszę. – Jestem nieszczęśliwy. Zrozpaczony. Właśnie po dwóch miesiącach przerwy wróciłem do pracy. Uczę edukacji wielokulturowej na dwóch uczelniach. Ale prócz tego, że nie mogę się doczekać spotkania z uczniami, jestem przerażony, bo nie wiem, jak mam z nimi o tym wszystkim rozmawiać.

Na jego biurku leży książka o psach. Bob uśmiecha się, że lektura o „geniuszu psów" to jedyna rzecz, która go ratuje: – Ale nawet wówczas, gdy popadam w taki eskapizm, dociera do mnie okrucieństwo rzeczywistości: kilkanaście tysięcy zabitych Palestyńczyków, w tym sześć tysięcy dzieci. Sama myśl o tym, że ludzie po naszej stronie granicy mogą z tym spać spokojnie, znajdować uzasadnienie dla tej wojny, jest moim dramatem. Że w Gazie przebywają nasi zakładnicy, a my ją bombardujemy. Rozumiem próbę stworzenia rzeczywistości, w której mieszkańcy Gazy będą mieć nadzieję na zmianę przywództwa i lepsze życie. Ale co lepsze przywództwo zmieni, jeśli będą się wychowywać bez matek i ojców?

Dwa tygodnie temu Bob wybrał się do Tel Awiwu, by demonstrować dezaprobatę dla wojny w Gazie i pokazać Palestyńczykom, że są Żydzi, którzy tej wojny nie chcą: – To było frustrujące doświadczenie. Mały cichy protest. Pierwsza i ostatnia taka demonstracja, na jaką zezwolono. Silna obstawa policji i kontrmanifestacja, liczniejsza niż my.

Na transparencie napisał: „Nie dla wojny, tak dla pokoju". Ale nie jest pewien, czy ktoś z przechodniów nawet rzucił na niego okiem.

Ariela

Kolorowe okulary niby te same. Niby ta sama energia i spokój. Ale Ariela Bairey Ben Ishai – wykładowczyni uniwersytecka, jedna z pionierek wsi odpowiedzialna za edukację – wydaje się drobniejsza niż przed rokiem. Pytam, jak czuje się z myślą, że na mapie propokojowego Izraela zostali dziś niemal sami.

– Bez przesady – ripostuje. – Gdybyśmy byli ostatnim miejscem, w którym ludzie wierzą w pokój, nie byłoby sensu tu żyć. Na szczęście nie jesteśmy jedyni. Są też inne miejsca i organizacje, gdzie Palestyńczycy współpracują z Izraelczykami. Na mojej uczelni mamy seminaria dla personelu, który prowadzi zajęcia w arabsko-żydowskich grupach. Gdy ktoś uczył np. biologii, dotąd nie musiał odnosić się do faktu, że w grupie są dwa narody. Teraz trzeba różne wrażliwości brać pod uwagę nawet podczas zajęć z biologii.

Wieś pomaga ewakuowanym, którzy nie mogą wrócić do domów, bo te są zniszczone. Ariela: – Tu w wiosce mam bliskie osoby, które straciły krewnych w Gazie. Znajomą Palestynkę, która straciła tam ok. 45 krewnych w wyniku zniszczeń i bombardowań.

Ariela: – Mam za sobą wiele pogrzebów. W masakrze 7 października straciłam wielu przyjaciół i uczniów. Przez 20 lat uczyłam w college'u Sapir blisko granicy z Gazą. Wielu znajomych mieszkało w zaatakowanych kibucach: Be'eri, Kfar Aza, Nir Am. Skala zniszczenia tych naszych społeczności jest niepojęta.

Mimo to Ariela przekonuje, że jest jakaś nadzieja. Np. w największych mieszanych społecznościach w Izraelu (jak Ramle, Lod, Jerozolima, Akko czy Hajfa) nie doszło do starć, izraelscy Arabowie

nie dołączyli do Hamasu. – Ból i cierpienie połączyły nas – mówi Ariela.

Pytam, jak się prowadzi rozmowy w tej sytuacji. Ariela: – Na uniwersytecie najpierw spotkaliśmy się z grupą jednonarodową, palestyńską. Pomysł był taki, by najpierw przebadać nasze uczucia i wspólnie je przetworzyć, bez lęku, jak poczuje się druga strona, gdy usłyszy, że boisz się lub czujesz nieufność.

– Wartość oddzielnej pracy polega też na tym – tłumaczy Ariela – że gdy słyszysz innych ludzi z własnej społeczności w grupie narodowej, widzisz, że ludzie różnie reagują. Niektórzy mówią o znajomych z drugiej strony, z którymi rozmawiali. Ktoś mówi o wywiadzie z synem, którego ojciec zginął w Be'eri, a który mówi: opłakuję ojca, ale jestem przeciw zemście.

– Wojna nigdy nie jest drogą – uważa Ariela. – Zachęcam: słuchaj drugiej osoby nie po to, by potem udowodnić jej, że się myli. Bo może być tak, że oboje macie rację. To trudne, gdy są popełniane zbrodnie wojenne, ale konieczne.

Co dalej

Ariela: – Może się zdarzyć, że dojście do pokoju zajmie nam więcej czasu. Albo że, jak pisał David Grossman w „Haaretzu", będziemy musieli żyć wiecznie w stanie wojny, że w tej chwili nie ma nadziei na pokój. Ale wierzymy, że musi istnieć sposób, by to rozwiązać. Może będzie musiała pojawić się jakaś zewnętrzna siła, która zmusi nas do pojednania.

Maajan: – Jako lewicowy Żyd czuję się zdradzony przez postępową lewicę na świecie. Od dekad walczyliśmy tu z okupacją. 7 października Hamas wymordował najlepszych z nas. Większość ludzi w kibucach przy granicy z Gazą to byli przecież lewicowcy, wielu działało dla pokoju. Najbardziej wstrząsnęła mną historia Vivian Silver, którą znaliśmy. Była założycielką organizacji na rzecz pokoju, woziła dzieci chore na raka z Gazy do izraelskich szpitali. Po ataku mówiono, że została porwana, bo nie znaleziono jej ciała. W końcu okazało się, że Hamas spalił jej dom, a ona była w środku.

– W pierwszych dniach po ataku Hamasu nie słyszałem oburzenia lewicy z Zachodu – mówi Maajan. – Od razu był krzyk, żebyśmy nie podejmowali tej wojny. Potem Izrael wszedł na swoją standardową ścieżkę, zgodną ze swoim smutnym dziedzictwem. Bo ja ciągle mierzę się z tym, że konflikt z Palestyną to część naszego dziedzictwa. Ale wtedy to bolało, usprawiedliwianie tego, co zrobił Hamas, izraelską okupacją. W takim ujęciu życie i śmierć Vivian Silver nie miały znaczenia.

– Jesteśmy w trudnym momencie, gdy cały świat nawołuje do powrotu do rozmów o dwupaństwowym rozwiązaniu pokojowym, a my, narody palestyński i żydowski, jesteśmy już zupełnie gdzie indziej – dodaje reżyser. – Mówi się: kto wie, przy odpowiednich liderach, zewnętrznym wsparciu, we właściwym czasie i okolicznościach może jednak się uda? A my z różnych powodów odpuściliśmy ten pomysł i dziś nie wiemy, dokąd nas to zaprowadzi.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

REKLAMA

Dzieci bohaterów

WOJCIECH JAGIELSKI

Oni zapisują się w pamięci świata jako bojownicy o wolność i sprawiedliwość, którzy nie wyrzekli się ideałów w godzinie próby. Wysoką cenę płacą za to jednak ich bliscy.

Kiedy na początku listopada 2023 r. przebywająca w teherańskim więzieniu Narges Mohammadi postanowiła podjąć głodówkę i nie przyjmować leków na serce, ogłosiła to jej 16-letnia córka Kiana. Powiedziała, że matka prędzej umrze, niż zdradzi sprawę.

Kiana miała osiem lat, gdy jej matkę uwięziono za nieposłuszeństwo wobec muzułmańskich duchownych, którzy po obaleniu w 1979 r. monarchii przerobili Iran na jedyną w świecie republikę rządzoną przez kler. Narges Mohammadi, rocznik 1972, buntowała się przeciw tyranii ajatollahów. Sprzeciwiała się zwłaszcza karze śmierci, wymierzanej także za nieprawomyślność, jak również obowiązkowi noszenia hidżabu – zasłony na głowę dla kobiet, by nie wodziły mężczyzn na pokuszenie.

Dobrze poznała więzienia. Kilkanaście razy była aresztowana, pięć razy skazywana (łącznie na ponad 30 lat), a także na 154 biczów (tj. na karę chłosty). Nie wszystkie kary wyegzekwowano, niektóre skrócono, wypuszczano ją też z powodu słabego zdrowia. Ale gdy była już na wolności, zaraz robiła coś, za co zamykano ją ponownie; nierzadko podczas odsiadki dokładano też nowe kary. Tę ponad 10-letnią, którą wciąż odsiaduje, wymierzono jej w 2015 r. za „wywrotową działalność i propagandę".

Hidżab na zdrowie

Represje zniszczyły zdrowie Narges Mohammadi. Obok choroby serca cierpi na zaburzenia neurologiczne, które skutkują napadami padaczki, częściowym paraliżem i zatorem płucnym. Lekarze stwierdzili też niedrożność naczyń krwionośnych i nagromadzenie płynu w osierdziu. W 2022 r. przeszła w więzieniu operację serca.

W połowie listopada 2023 r. więzienny lekarz orzekł, że stan jej zdrowia się pogorszył i wymaga pilnej konsultacji u kardiologa poza więzieniem. Władze więzienne zgodziły się, ale pod warunkiem, że na wizytę u lekarza przywdzieje hidżab. Odmówiła.

W dniu, w którym przyznano jej Pokojowego Nobla za rok 2023, w teherańskim metrze patrol policji obyczajowej poturbował szesnastolatkę za to, że wyszła z domu bez hidżabu. Trzy tygodnie później, nie odzyskawszy przytomności, Armita umarła. Rok wcześniej na komisariacie w Teheranie zmarła inna dziewczyna, Mahsa, pobita przez policjantki z „obyczajówki".

Narges Mohammadi zza krat zarzuciła ajatollahom zabójstwo Armity i Mahsy, i zapowiedziała, że nigdy nie założy hidżabu. Dyrekcja więzienia oświadczyła więc, że bez chusty nie wypuści jej nawet do lekarza. Ona odparła, że zaczyna głodówkę i nie będzie więcej przyjmować leków. Po trzech dniach więzienne władze – bojąc się, że śmierć noblistki wywoła skandal i rozruchy – uległy i pozwoliły jej pojechać do kariologa bez hidżabu.

Odrzucone oferty

Również Nelson Mandela prosił córki, by ogłaszały jego słowa z więzienia. Odsiadywał dożywocie. W tamtych czasach w Republice Południowej Afryki taki wyrok oznaczał, że skazaniec naprawdę do śmierci zostanie za kratami. Była to kara za bunt przeciw apartheidowi, systemowi rasowej dyskryminacji wyniesionemu do rangi ustroju.

Jeden z listów ojca z więzienia Zindzi Mandela odczytała na wiecu w Jabulani, dzielnicy Soweto. Mandela napisał go w odpowiedzi na ofertę białego prezydenta, który ogłosił, że uwolni go i wszystkich jego towarzyszy, jak tylko wyrzeknie się walki zbrojnej. Wcześniej białe władze kusiły Mandelę obietnicą wolności, jeśli potępi wszystko, co robił i w co wierzył.

Odmawiał. Ale teraz miał siódmy krzyżyk na karku, chore oczy, przebytą gruźlicę, operowany nowotwór prostaty. Prezydent miał nadzieję, że Mandela ulegnie pokusie starości w cieple rodziny.

Ale ten znów odrzucił ofertę. „Tylko ludzie wolni mogą zawierać pakty. Więźniowie umów nie zawierają – pisał w liście, który czytała córka. – Moja wolność jest mi droga, ale jeszcze droższa jest mi wolność was wszystkich. Nie tylko ja cierpiałem przez te długie, samotne, stracone lata. Waszej wolności i mojej nie da się rozdzielić". Przekazując słowa ojca, Zindzi musiała rozumieć, że widywać go będzie jedynie w więzieniu.

Mówił o tym wprost w 1964 r., w obrończej mowie podczas procesu, w którym został skazany na dożywocie, a powtórzył w 1990 r., po uwolnieniu, i ponownie w 1994 r., gdy zaprzysięgano go na pierwszego czarnoskórego prezydenta RPA. Rok wcześniej wręczono mu Pokojowego Nobla za niezłomną walkę z niesprawiedliwością. „Oddałem swoje życie walce o lud Afryki, o ideał wolnego społeczeństwa, w którym wszyscy ludzie mieliby równe

FREDRIK VARFJELL / EAST NEWS

Kiana i Ali Rahmani, dzieci Narges Mohammadi, z Pokojową Nagrodą Nobla przyznaną ich matce. Oslo, 10 grudnia 2023 r.

prawa – mówił. – Jest to sprawa, o którą walczyłem i dla której pragnę żyć, ale jeśli będzie trzeba, gotów jestem oddać za nią życie".

Ojciec i synowie

Zanim skazano go na dożywocie – miał wtedy 46 lat – dochował się sześciorga dzieci. Wszystkie wychowały się bez ojca. Pierwsza żona, Evelyn, nie potrafiła zrozumieć jego oddania sprawie. Uważała, że postradał rozum. Błagała i groziła, by się opamiętał. W końcu kazała mu wybrać, co jest dla niego najważniejsze. A gdy nie potrafił dokonać wyboru, zabrała dzieci i wyprowadziła się z domu i jego życia.

Córka Makaziwe i dwaj synowie, Thembekile i Makgatho – dzieci z pierwszego małżeństwa – ciężko przeżyli rozpad rodziny i nigdy nie wyzbyli się uczucia porzucenia. Zwłaszcza Thembi, pierworodny. Zamknął się w sobie, opuścił w nauce, a w domu wkładał o wiele na niego za duże spodnie i marynarki ojca. Gdy dorósł, przeniósł się do Kapsztadu, gdzie otworzył własną knajpę, w której sprzedawał spod lady alkohol. W listach z więzienia Mandela pisał, że bardzo mu się nie podoba, że syn żyje z handlu wódką, i że chciałby się z nim rozmówić. Choć Thembi mieszkał niedaleko od wyspy skazańców, nigdy nie odwiedził ojca. Miał 24 lata, gdy zginął w wypadku. Władze nie dały Mandeli przepustki na pogrzeb.

Drugi z synów, Makgatho, przypominał ojca tylko z wyglądu. Brakowało mu jego silnej woli, za to zamartwiał się, że przysparza mu trosk. Gdy wyrzucono go ze szkoły i nie dopuszczono do matury, przestał jeździć na widzenia. Zaczął pić, coraz trudniej było mu znaleźć pracę, odeszła od niego żona. Bojąc się o syna, jego matka Evelyn ściągnęła go do siebie. Pomagał jej prowadzić sklep i zdawało się, że stanie na nogi.

Ale gdy Mandela wyszedł na wolność, koszmary Makgatho zaczęły się od nowa. Ojciec kazał mu wziąć się w garść, wytykał, że przynosi wstyd rodzinie. Makgatho nie przyjechał do Pretorii, gdy ojciec składał prezydencką przysięgę. Im bardziej starał się sprostać jego oczekiwaniom, tym bardziej się pogrążał. Gdy znów zaczął pić, Mandela oświadczył, że dopóki syn nie zerwie z alkoholem, nie mają sobie nic do powiedzenia. Nie wybaczył synowi słabości, nawet gdy ten, mając niewiele ponad 50 lat, chory na AIDS leżał na łożu śmierci.

Pod presją

Pierwszej żonie Mandela wyrzucał niezrozumienie dla jego pasji. Drugiej, imieniem Winnie, nie mógł z kolei darować, że zapragnęła ją z nim dzielić. Gdy został skazany na dożywocie, Winnie miała 28 lat, dwie córki, a przed sobą resztę życia, które miała spędzić samotnie w roli żony zniewolonego bohatera, najsławniejszego więźnia na świecie.

Mandela rozstał się z nią tuż po wyjściu na wolność. Szykował się do prezydentury, nauczał o wybaczaniu i zgodzie, gdy tymczasem Winnie wzywała do politycznej zemsty. Nie przebaczył jej tego nieposłuszeństwa i politycznych awantur, a także małżeńskich zdrad, jakich się dopuszczała, gdy on siedział. Miłosierny wobec wrogów, którzy zabrali mu jedną trzecią życia, okrzyknięty wzorem wybaczenia i pojednania, nie potrafił przebaczyć kobiecie.

Nieudane małżeństwa i rozbite rodziny stały się także losem dwóch córek z drugiego małżeństwa Mandeli, z Winnie. Wychowały się bez rodziców w szkołach z internatem, nieustannie czując presję najsławniejszego w kraju nazwiska. Starsza Zenani nie skończyła nawet 18 lat, kiedy wyszła za mąż za suazyjskiego księcia. Młodsza Zindzi jako 18-latka urodziła pierwsze dziecko. Potem urodziła jeszcze troje, każde z innego ojca. Obu rozpadły się małżeństwa. W sporach Nelsona z Winnie obie trzymały stronę matki. O ojcu zaś mawiały, że tak naprawdę nigdy nie dowiedziały się, jak to jest go mieć.

Wcielenie ojca

„Uosabia pani potęgę bezsilnych" – tak powiedział o Birmance Aung San Suu Kyi przewodniczący Komitetu Noblowskiego, ogłaszając w 1991 r., że jak mało kto zasługuje ona na Pokojową Nagrodę. Przyrównał ją do Mahatmy Gandhiego i Mandeli, który niedawno wyszedł z więzienia. ↦

Podczas lat spędzonych w areszcie domowym, w którym osadzili ją wojskowi tyrani ze stołecznego Rangunu, Mandela był dla niej natchnieniem i wzorem. Coś ich jednak różniło: Mandela sam wybrał politykę, natomiast panią Suu wybrała polityka.

Miała dwa lata, gdy straciła ojca – generała Aung Sana, narodowego bohatera, przywódcę ruchu wyzwoleńczego, który wywalczył dla Birmy niepodległość. W przeddzień odzyskania wolności został zastrzelony w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach podczas posiedzenia rządu, któremu przewodniczył. Śmierć uczyniła go jeszcze większym bohaterem, półbogiem. A gdy po długiej nieobecności Suu wróciła z obczyzny do kraju, Birmańczycy ujrzeli w niej dziedziczkę i wcielenie jej ojca.

Wcześniej wyjechała w świat jako nastolatka – najpierw do Indii z matką, potem do Anglii na studia. Tam poznała przyszłego męża. Brytyjczyk Michael Aris studiował historię i kulturę Tybetu i Himalajów, a po studiach wyjechał do Bhutanu, gdzie tamtejszy król powierzył mu rolę guwernera monarszych dzieci. Romans Birmanki i Brytyjczyka przetrwał próbę czasu i przestrzeni. Przez trzy lata tylko pisali do siebie listy: Michael z Himalajów, Suu z Nowego Jorku, dokąd wyjechała po studiach, by podjąć pracę w ONZ.

Ślub wzięli w Bhutanie (według buddyjskiego obrządku), a gdy Suu zaszła w ciążę, osiedli w Wielkiej Brytanii. Tam przyszedł na świat pierworodny Alexander. Cztery lata później urodziła drugiego syna, Kima. Michael podjął pracę wykładowcy w Oksfordzie. Odchowawszy dzieci, Suu też zamierzała się zająć karierą naukową. Gdy w sierpniu 1988 r. wybierała się do Rangunu, by zaopiekować się chorą matką, nie planowała długiej rozłąki z rodziną. Nawet gdyby matce się pogorszyło, mogła ją przecież zabrać do Anglii. Nie wiedziała, że do oksfordzkiego domu nie wróci już nigdy.

Przesłanie dla męża

W Birmie trwała właśnie rewolucja, wojskowy dyktator ustąpił, a studenci, urzędnicy, robotnicy, a nawet buddyjscy mnisi wyszli na ulicę, by żądać demokracji. Na wieść, że do kraju zjechała Aung San Suu Kyi, buntownicy, którym brakowało przywódcy, przyszli do niej prosić, by stanęła na ich czele. „Jako córka swojego ojca nie mogłam pozostać obojętna na to, jak się sprawy mają w mojej ojczyźnie" – powiedziała.

Ali Mohammadi jest dumny z rodziców. Inaczej córka Kiana: mówi, że skoro **zdecydowali się tak żyć, nie powinni mieć dzieci.**

Ale wojsko nie zamierzało ustępować. Jednego generała zastąpił następny, pochody opozycji rozpędzono, buntownicy trafili do więzień, a Suu do aresztu domowego. Uwięziona we własnym domu, stała się po Mandeli najgłośniejszym z więźniów końca XX stulecia.

W areszcie domowym upłynęło jej prawie 20 lat życia. Wiedziała, że jeśli ruszy się z Birmy, generałowie nie wpuszczą jej z powrotem. „Wyjedź, a będziesz wolna" – kusili. Odmawiała. Jak Mandela. Nie pojechała do Oslo, by odebrać Nobla, ani nigdy już do Wielkiej Brytanii, gdzie zostawiła synów i męża.

Odkąd wyjechała z Oksfordu, z mężem widziała się tylko pięć razy. Z synami jeszcze rzadziej. Alexander miał 14 lat, gdy wyjechała, Kim 11 lat. Mąż przyjeżdżał do niej do Rangunu, ilekroć generałowie mu pozwalali. Po raz ostatni w Boże Narodzenie 1995 r. Przez następne cztery lata odmawiano mu wizy. Ostatnią odmowę dostał w styczniu 1999 r., gdy lekarze orzekli, że ma raka. Chciał przyjechać do Rangunu, by umrzeć przy żonie, ale generałowie oznajmili, że w Birmie nie ma odpowiednich szpitali. Zaproponowali znów, by to ona wybrała się do Oksfordu. Nie zgodziła się, dwa miesiące później Michael umarł. Wiedząc, że go więcej nie zobaczy, w brytyjskiej ambasadzie w Rangunie nagrała dla niego film z ostatnim pożegnaniem. Przesyłka dotarła do Oksfordu dwa dni po śmierci Michaela.

Zdawała się przeczuwać swój los. „Czasem dręczy mnie strach, że z powodów od nas niezależnych zdarzy się coś, co nas rozdzieli w chwili, gdy będziemy ze sobą najszczęśliwsi" – pisała w jednym z listów, jakie w narzeczeńskich czasach słała z USA do Bhutanu.

20 lat po Mandeli również ona została uwolniona, a w 2016 r. jako premier objęła rządy. Pięć lat później wojsko dokonało kolejnego przewrotu, a ona, dobiegająca osiemdziesiątki, znów została aresztowana. Wojskowy trybunał skazał ją na 33 lata.

Dokonałam wyboru

Dzieci Mandeli przez kilka dekad mogły widzieć ojca tylko na widzeniach. Alexander i Kim, synowie Aung San Suu Kyi, nie widzieli matki przez 10 lat. Minęło już ponad osiem lat, od kiedy z wtrąconą do więzienia matką rozstały się dzieci Narges Mohammadi – Kiana i Ali, jej brat bliźniak. Ich ojciec, Taghi Rahmani, zabrał ich do Paryża, dokąd wcześniej udał się na wygnanie. Wcześniej za nieposłuszeństwo wobec islamskiej republiki odsiedział w więzieniu 14 lat.

Kiana i Ali chowali się jak półsieroty – raz w więzieniu przebywała matka, raz ojciec. Nie dość, że od ośmiu lat nie widzieli matki, to od półtora roku nawet z nią nie rozmawiali, bo jako dodatkową karę za jej hardość irańskie władze zabroniły jej rodzinie odwiedzin w więzieniu i telefonicznych rozmów.

„Porzucić własne dzieci to dla matki najcięższe wyzwanie i poświęcenie – mówiła Aung San Suu Kyi w jednym z wywiadów. – Ale nigdy nie zapominałam, że inni poświęcili więcej i więcej wycierpieli". Kim, jej młodszy syn, powiedział kiedyś o matce, że nie pokazuje po sobie cierpienia, nie użala się nad sobą. „Szkoda jej czasu na płacz" – mówił.

„Postanowiłam, że będę głosem wszystkich ciemiężonych rodaków, kobiet i dzieci – powiedziała Birmanka w wywiadzie dla telewizji CNN udzielonym z więzienia. – Takiego dokonałam wyboru, nawet jeśli oznacza to, że nie zobaczę moich dzieci. Z rozpaczy pęka mi serce, ale wiem, że świat bez wolności, równości i pokoju nie jest warty, by w nim żyć".

„Jako mąż i ojciec chciałbym, żeby była razem z nami – powiedział mąż Narges Mohammadi, sam wygnaniec i buntownik. – Ale jako jej towarzysz w walce o sprawę muszę ją wspierać".

Powiedział też, że ich syn Ali jest dumny z matki, z jej wyborów i z walki, jaką prowadzą oboje rodzice. Inaczej córka Kiana: ona mówi, że skoro rodzice zdecydowali się tak żyć i takim poświęcić sprawom, to nie powinni mieć dzieci. „Chcę do mamy – mówiła Kiana. – Chcę, żeby znów była z nami".

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

ELIZA

Kącka:
Lubię światło

Park Morskie Oko, prószy. Na sąsiedniej ławce starsza pani w cienkim palcie. Zimno się robi oczom. Miałam już iść, ale żal melancholii śniegu. Starsza wpatruje się w skarpę. Patrzymy na pałacyk Szustra. Ona: „Wygląda jak z »Wichrowych Wzgórz«, nie?". „Haha". „Naprawdę sobie wyobrażałam, że tu mieszka Heathcliff. To była kiedyś część ogrodu...". „Aha". „...i tam, o tam – wskazuje – biegałam po szkole. A Heathcliff czekał w domu, w tej wieżyczce. Jeszcze nam knajpy przy Puławskiej nie przeszkadzały w miłości". „Cudne". „Cudne jak cudne, rodzice mnie mieli za wariatkę". „Heh". „Mieszkaliśmy przy Belgijskiej. Po szkole musiałam zaliczyć okolicę". „Oznaczyć teren". „Już tu nie mieszkam. Siostra mnie wzięła do siebie, na Gagarina. Nigdy się tam nie odnalazłam". „Przeprowadzki po latach...". „Ten pałac należy do mnie – śmieje się. – Dlatego tu przychodzę". Milczę, uśmiechnięta. „Ma pani taki pałac?". „Tak, skarpę tuż przy ogrodzeniu lecznicy weterynaryjnej, gdzie pracował mój ojciec". „Rozumiemy się". „Owszem, mam tam ambonę widokową ze sterty kamieni". „Moją jest ta ławka. Mam nadzieję tu umrzeć. U siebie".

Autobus 168, dosiadam się do trzech starszych w pakamerze siedzeniowej. Pierwsza: „A ja wam mówię, że go rodzice nie kochali w dzieciństwie". Druga: „Eeee. Mnie tam nikt nie pokazywał uczucia, a nie mam gaśnicy". Trzecia: „Tylko w PiS-ie są ludzie zrównoważeni". Druga: „Eeee, tam niejeden ma gaśnicę w szafie". Pierwsza: „Dałam na mszę za niego". Druga: „Z jaką intencją?!". Pierwsza: „O uwolnienie od pokus". Druga: „Coby go nie nosiło. A nie mogą go przenieść?". Trzecia: „Do PiS-u?". Druga: „Wszystko jedno. Przenosiny pomagają ogólnie".

13 grudnia, Łazienki, już po zmierzchu. Mrok mimo pasażu latarni. Główna aleja jak tunel, w który napieram szybko ze słuchawkami w uszach, by przedostać się na drugą stronę. Na trasie niemal nikogo. Łowię kątem oka światła miasta, pogłosy wyraźnie radosne mimo ciemnej rocznicy. Pod latarnią stoi, ciężko dysząc, gość w stroju biegowym. Równam z nim. „Mamy święto, nie?" – zagaduje. „A mamy" – odpowiadam. „Ja to muszę wybiegać". „Ja wychodzić" – dopowiadam. Pauza, stoimy. Waha się. Mówi: „Ale wiesz, ja to biorę na rozum, bo nie czuję". „Czego?". „Że to już". Omiatam wzrokiem Pomarańczarnię i refleksy w jej kruchej fasadzie ze szkła. I niski, ostry masyw krzewów. „Ja żonie powiedziałem, że nie umiem wypłynąć. Ona świętuje, ja poszedłem biegać". „Łapię". „Ten kraj jest pod wodą, rozumiesz? Biegam, żeby złapać oddech". „Ano, ja dorobiłam się skrzeli pod czapką". Śmieje się. „Ototo. Ja się po prostu boję, że to wynurzenie jest, no, jak w dokumencie »National Geographic«". „?". „Oglądałem z synem odcinek o wielorybach. Dzisiaj, w dzień. I zobaczyłem nas na grzbiecie". „A nie w brzuchu?". „Haha, nie, na grzbiecie. Dziś wszyscy byliśmy nad powierzchnią. Wyłączyłem internet. Żona poszła w święto, ja w bieg, bo niepokój". „Niepokój?". Milczy chwilę: „Cały ten park jest pod wodą". Patrzę w aleję: „Jest". „Wiesz, to wynurzenie to tylko chwila". „Wiem". Pobiegł ku stawom.

Metro, obok matka z synkiem w wieku wczesnoszkolnym: „Ty mi powiedz, dlaczego masz czwórkę z religii. Zawsze szóstkę miałeś". „Ale tylko ja i Michał chodzimy...". „Średnia ci się psuje. Za co czwórka?". „Za adwent". „?". „Ksiądz chciał wiedzieć, z czym się kojarzy adwent. Powiedziałem, że z kalendarzem". „Kalendarzem?". „Adwentowym, z okienkami na czekoladki". „Boże". „No, a potem było pytanie, na kogo czekamy w adwencie. Powiedziałem, że na Tuska". „Jezu". „Ksiądz się zezłościł". „Ja myślę". „Kazał się zastanowić. Ja się zastanowiłem i powiedziałem, że Jezus umarł dawno, a w Polsce liczy się Tusk. I na niego czekamy. I mi obniżył do czwórki minus".

Pociąg do Katowic, krach ogrzewania. Zimno tak, że wkładam pilotkę. Gość naprzeciw śmieje się: „Może pani przejmie pociąg? Nadgonilibyśmy". „Na pilota?". „Pilotkę!". Pani spod okna: „Nie wydaje się państwu, że on się musi spóźnić?". Gość: „To już przesądzone". Ta spod okna: „Tym razem. Ale wie pan, ja jeżdżę codziennie". Jęk współczucia w przedziale. Ona: „Dziękuję. Muszą z czymś nawalić". Gość: „By trzymać klasę". Ona: „Nie, polską formę. Zapomniałabym, gdzie mieszkam, gdybym nie mieszkała w pociągach". Pan spod okna: „Telewizor nie wystarczy?". „Nie, nie wystarczy". Ja: „Aha". Ona: „Czekam na spóźnienia bez powodu". Gość: „Bo dreszczyk emocji?". Ona: „Nie, bo w nich jest Polska".

Tramwaj mokotowski, stoimy przy placu Unii. Staruszek w bardzo sfatygowanym, wyleniałym płaszczu do mnie: „O mój Boże, ile światełek". Ja, że owszem. Staruszek: „O mój Boże, one są takie luksusowe. Misie, zwierzątka". Tak, mijamy iluminacje lokalnego centrum handlowego, zimnawe jak puzzle z lodowca. „Jak byłem maluszkiem, to nic nie było. A teraz są lampki. Wieszałem, takie śliczne". „W domu". „Tak, w domu opieki. Ja tak sobie wolniutko kombinuję, co gdzie zaczepić, bo jestem bardzo głupi". Widzę, że przysłuchująca się nastolatka ma łzy w oczach. „Ja tak bardzo lubię światło, wie pani. Ja jestem głupi, ale światło to piękno. Bardzo czekam na drzewko". Uśmiecham się. „Mama mi mówiła, że diabeł nie lubi światła". „Aha". „Ja jestem głupi, ale jak można nie lubić. Diabeł by nie lubił misia? – wskazuje na iluminacje z placu Unii. – On się złości, bo mu tego odmawiają. I ja go rozumiem". Nachyla się ku mnie: „Wie pani, ja myślę, że on jest inteligentny, dlatego ma ze sobą problemy. Ja jestem głupi, to nie mam. Ale on by się zmienił, jakby był z nami, o tu, w tym tramwaju". ©

ROZMOWA NA ŚWIĘTA

JASNE TONY LEWANTU

WASSIM IBRAHIM, KOMPOZYTOR, MUZYK:

Jak mogła brzmieć muzyka pasterzy, gdy rodził się Jezus? Melodia Palestyny jest związana z tańcem. Radosna. Ale też ma trochę nostalgii. Niesie dobre, bliskie uczucia. I łatwo się ją gra na flecie.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI: Kawa jest z kardamonem!

WASSIM IBRAHIM: A kardamon jest prosto ze Wzgórz Golan. Kuzyn przywiózł mi niedawno całe dwa kilo. Już prawie zużyłem.

Niesamowicie pachnie.

Jak w domu.

Twój dom rodzinny jest w Damaszku. Jesteś druzem, ale Syria to przecież kolebka jednej z najstarszych gałęzi chrześcijaństwa. Chcę Cię więc najpierw zapytać o Boże Narodzenie, jakie pamiętasz z dzieciństwa.

Święta były dla mnie ważne. Sam nie jestem religijny, wychowałem się w wielokulturowej dzielnicy Damaszku. W naszej kamienicy było osiem mieszkań, nasz sąsiad, pan Jósef, był chrześcijaninem, byli też muzułmanie, druzowie, Ormianie, po drugiej stronie ulicy mieszkała Żydówka, później wyjechała z Syrii, jeszcze w latach 90. I w naszej okolicy w święta zawsze była choinka. W Syrii też jest ten zwyczaj, ostatnio nawet muzułmanie ubierają choinkę i wieszają światełka. Choinka była u pana Jósefa, do którego mówiłem „wujku". Chodziliśmy do niego na święta, na nasze święta on przychodził do nas. Tak było w Syrii przed wojną. Szczególnie na przełomie XX i XXI wieku, do 2010 r. Czas dobrych relacji między ludźmi, dobrej sytuacji finansowej. Złoty czas.

Ale nawet dziś do dzielnicy chrześcijańskiej w Damaszku przyjeżdżają w święta ludzie z całej Syrii. Podziwiają światełka, na ulicach słychać „Talż, talż" w wykonaniu Fairuz...

To takie bliskowschodnie „Jingle bells"...

Grają ją wszystkie sklepy! A ja dzięki kolędom miałem szansę wejść w świat muzyki chóralnej. Miałem kolegę, Hussama Brimo, nie żyje już od dwóch lat, katolika z Damaszku, który stworzył wielokulturowy chór. Prowadziliśmy go razem ponad 10 lat. Śpiewaliśmy muzykę świata, a co roku także kolędy w kościołach. Tak zetknąłem się bliżej z kulturą chrześcijaństwa, ale też z muzyką wielogłosową. Bo w muzyce Bliskiego Wschodu nie ma chóru, nie ma harmonii, nie ma polifonii. Jest jeden głos, śpiewa się i gra unisono. Więc od Bożego Narodzenia 2000 r. zaczęła się moja muzyczna przygoda z chórem.

A muzykę orientalną poznawałem, gdy pracowałem z grupą śpiewającą muzykę suficką – islamską, oraz gdy uczyłem się gry na oud. Miałem też później szansę pracować z Nourim Iskandarem, aramejskim kompozytorem i muzykologiem, który stworzył kompendium muzyki aramejskiej. On zebrał wszystkie melodie liturgiczne od chyba VI wieku do dziś. Zaproponował mi, żebym stworzył orkiestrację do jego melodii. Wtedy zacząłem się zajmować akademicko muzyką aramejską – i w ogóle bliskowschodnią, już jako kompozytor. Bo na akademii muzycznej w Damaszku uczyłem się Bacha i Mozarta.

Aramejczykom, którzy między XIII a VIII wiekiem p.n.e. tworzyli na terenie dzisiejszej Syrii swoje państwa-miasta, cały Bliski Wschód sprzed ekspansji Arabów zawdzięczał wspólny język. Po aramejsku prawie na pewno mówił Jezus z Nazaretu. Ale jeśli język, to czy muzykę również?

Na Bliskim Wschodzie mieszkało wtedy wiele ludów, a ich wspólna historia ma tysiące lat. Nie da się powiedzieć, co jest aramejskie, sumeryjskie, asyryjskie, żydowskie, arabskie. Wszystko się przenikało. Np. popularny do dziś utwór „Al-bulbul Nagha" ma arabski tekst o miłości, który powstał w Aleppo, ale do znanej tam od dawna melodii aramejskiego hymnu kościelnego z VII-VIII wieku. Taki gatunek nazywa się Kudud Halabija, od arabskiego kad, co znaczy „pasuje".

Swoją płytę zatytułowałem „Pieśni Lewantu", bo jestem przeciwny sztucznym podziałom, kategoriom, ideologiom, nacjonalizmom. Nikt nie może pretendować do własności tej muzyki. To muzyka regionu – nie islamu, nie Syryjczyków, nie Żydów, nie Turków, nie Aramejczyków. Należy do regionu, który ma minimum 12 tys. lat. Damaszek, gdzie się urodziłem, ma 9 tys. lat. Jak można mówić, że ta muzyka należy do któregoś z państw Bliskiego Wschodu, jeśli one mają mniej niż sto lat? Nie da się też powiedzieć, że to muzyka arabska, skoro Arabowie przyszli do Lewantu w VII w. Za to muzyka sufizmu, islamskich mistyków, jest po prostu genialna. A przecież są jeszcze wpływy Szlaku Jedwabnego z jednej strony, Afryki i Andaluzji z drugiej. Uznanie, że to muzyka Lewantu, całego Lewantu, jest po prostu *fair*. Gdy tak mówię, niczego nie udaję.

Zobacz, jak bardzo dawna jest kultura tego regionu. Jeden z najstarszych instrumentów muzycznych, jakie znamy, odnaleziono w mieście Ur w Iraku, dawnej Mezopotamii. To lira, zwana Lirą Królowej, ma 4,6 tysiąca lat. I wiesz, co jest niesamowite? Ona ma 11 strun.

Dlaczego to niesamowite?

Bo to znaczy, że oni mieli już wtedy system muzyczny. Pryma, kwarta, kwinta, siedem pierwszych strun to była gama, z mikrotonami. Nie wiedziano jeszcze wtedy, co to jest oktawa, kolejne struny były potrzebne zależnie od skali. A muzyka jest jak szczepionka na koronawirusa, nie da się stworzyć systemu muzycznego w dwa dni. Np. pierwotnie oud, który powstał w Persji 4-5 tysięcy lat temu, miał cztery struny, teraz ma sześć, a piątą strunę dodano dopiero w IX wieku, w czasach Abbasydów. Więc przed lirą, która ma jedenaście strun, musiało być przynajmniej tysiąc lat rozwoju tego instrumentu. A może więcej.

Czyli gdy w polskiej kolędzie śpiewamy o pasterzach, że „grają skocznie dzieciąteczku na lirze", coś jest na rzeczy, chociaż jej autorzy mieli pewnie na myśli lirę korbową. Spróbujmy sobie wyobrazić, jak brzmiała muzyka z czasów Jezusa. W 1. Księdze Kronik czytamy, że król Dawid wyznaczył do służby w świątyni ludzi, „którzy prorokowali dźwiękiem harf, cytr i cymbałów" oraz śpiewaków, wiadomo, że w świątyni i synagogach muzykowano na harfach, lirach, trąbach, rogach, cymbałach, fletach, dzwonach i bębnach. Ale co mogli grać pasterze w Betlejem?

Jeśli pasterze, to na pewno grali na *ney*, w dialekcie – *szababa*. To flet wydrążony z trzciny, ma 60-70 centymetrów, sześć otworów z przodu i jeden z tyłu, nie ma ustnika. To jeden z najstarszych instrumentów świata, ma ponad 5 tysięcy lat, w Libanie i Syrii używany jest do dziś. I może jeszcze grali na *daf* – to bęben ↦

JACEK TARAN

Wassim Ibrahim. Kraków, 12 grudnia 2023 r.

WASSIM IBRAHIM (ur. 1978 r. w Damaszku) jest kompozytorem muzyki współczesnej, wykonawcą muzyki orientalnej, wirtuozem oud, krakowianinem. Jego utwory wykonywane były m.in. w Wiedniu, Hamburgu, New Jersey, Damaszku, Petrze, Bejrucie, Warszawie i Krakowie. W 2019 r. uzyskał doktorat w dziedzinie kompozycji na Akademii Muzycznej w Krakowie, gdzie uczy o muzyce etnicznej. Założyciel i dyrygent Chóru w Kontakcie wykonującego muzykę świata w 17 językach, uhonorowanego tytułem Krakowskiego Ambasadora Wielokulturowości A.D. 2019. Współpracuje m.in. z Joachimem Menclem i Capellą Cracoviensis, dyrygował i wykonywał muzykę Karola Nepelskiego w spektaklu „Książę Niezłomny" na deskach Starego Teatru w Krakowie (reż. Małgorzata Warsicka). Od 2020 r. członek Związku Kompozytorów Polskich, od 2022 r. obywatel Polski. Wydał płytę „Pieśni Lewantu" (2023). Oficjalna strona: www.wassimibrahim.net

podobny do tamburynu, z dzwonkami po bokach. Bo przecież pasterze nie nosili ze sobą *oud* ani cymbałów – *kanun*. Za to każdy pasterz miał *ney* za paskiem i tak jest do dziś. Bo jeśli musisz siedzieć w górach z owcami przez wiele godzin, potrzebujesz rozrywki. Oni grali sobie na fletach, których mogli też używać do zapędzania owiec.

A jakie melodie grali? W muzyce Bliskiego Wschodu istnieje wzorzec melodii, *makam*, na których się improwizuje. Możemy na tej podstawie wyobrazić sobie tamtą muzykę?

W muzyce sumeryjskiej i babilońskiej pojawiały się już skale, a Aramejczycy faktycznie stworzyli początki systemu muzycznego – *makam*. Opiera się on na tetrachordach, czyli czterech kolejnych dźwiękach. Tu znowu widzimy związek z lirą czterostrunową. Każdy region Bliskiego Wschodu miał swoją charakterystyczną skalę. Pustynia, dolina, miasto – muzyka ma relację z naturą, klimatem, otoczeniem.

To Aramejczycy stworzyli najważniejsze podstawy muzyki dla całego Bliskiego Wschodu. Możemy powiedzieć, że muzyka świecka z czasów Jezusa miała korzenie w muzyce aramejskiej. Muzyka religijna grana w synagogach to były hebrajskie psalmy. Podobnie muzyka aramejska była później używana w islamie. Islam nie stworzył nowej muzyki, po prostu korzystał z tych samych fraz i wzorców melodii, ale z nową treścią.

I jeszcze jedno. Każdy *makam* ma relację z uczuciem. Jak w Grecji skale lidyjska, frygijska itp. Jedne wydają się smutne, inne taneczne, jeszcze inne nostalgiczne i tak dalej.

Więc jaka była charakterystyczna skala dla Palestyny tamtych czasów i jaki miała nastrój?

Makam bayati. To najbardziej charakterystyczna melodia Palestyny. Trochę jak europejskie d-moll, ale drugi dźwięk w skali jest o ćwierć tonu niższy. Często związana z tańcem. Radosna. Ale też ma trochę nostalgii. Niesie dobre, bliskie uczucia. To bardzo popularna skala w tradycji Lewantu, szczególnie w muzyce wsi, gór. Tej samej skali używa się w liturgii Kościoła syriackiego – on się wywodzi od Aramejczyków, którzy przyjęli chrześcijaństwo. To nie jest muzyka miejska, formalna. Jest tradycyjna, lekka, ma relację z ludem. I łatwo się ją gra na *ney* – zobacz, jak wszystko się łączy!

Powiedziałeś – „o ćwierć tonu". Opowiedz o mikrotonach, które dla europejskiego ucha są chyba jedną z najbardziej niezwykłych cech muzyki Bliskiego Wschodu. Naprawdę słyszysz kilka razy więcej dźwięków niż ja?

Tak! W europejskim systemie, tzw. temperowanym, najmniejsza odległość między dwoma dźwiękami to półton – jak między białym a czarnym klawiszem na pianinie. W porównaniu z systemem temperowanym mikroton to odległość mniejsza niż półton. W muzyce europejskiej w oktawie mieści się 12 dźwięków. W systemie arabskim – około 50.

Właśnie mikrotony dają intonację, charakter, barwę różnym *makamom*. Jedne są trochę wyższe, inne trochę niższe od europejskiego półtonu, a to zależy od regionu, z którego pochodzi dana muzyka. Dzięki temu nawet jeśli nie znam utworu, potrafię powiedzieć, czy pochodzi z Turcji, czy jest kurdyjski, czy gra go osoba z Egiptu, czy z Syrii. A czasem nawet z którego miasta – w skali *bayati* mikroton w Damaszku będzie trochę wyższy, a w Aleppo niższy.

Jak ta olbrzymia muzyczna wspólnota, od Mezopotamii po Egipt i dalej, po Maghreb, przetrwała tyle wieków?

Można jeszcze poszerzyć zasięg na Grecję, Bułgarię i na Bałkany. Tu wzajemne wpływy były na pewno wcześniej niż islam, bo przecież kultura grecka była obecna na Bliskim Wschodzie. Później oczywiście pomógł w tym islam, Imperium Osmańskie, ale też Bizancjum.

Bardzo ważnym dziedzictwem Wschodu jest też muzyka wschodniego chrześcijaństwa. Na początku w liturgii nie wolno było grać na instrumentach – bo tradycyjna muzyka aramejska to była muzyka pogan, kojarzyła się z tańcem, z cielesnością, granie podczas nabożeństw było wielkim grzechem, *haram*. Dlatego chrześcijańska muzyka bizantyjska, koptyjska, prawosławna to sam śpiew, do dziś, żeby używać instrumen-

tów w kościołach prawosławnych w Damaszku, potrzebujesz oficjalnego pozwolenia od biskupa. Z początku chrześcijanie korzystali z psalmów, mówi o tym nawet Nowy Testament.

Na przykład List do Kolosan: „Nauczajcie i napominajcie samych siebie przez psalmy, hymny, pieśni pełne ducha, pod wpływem łaski śpiewając Bogu”.

I były to sakralne melodie żydowskie lub świeckie – aramejskie. Dopiero później, od III-IV wieku, np. *Mar Afram* – święty Efrem i inni, komponują chrześcijańskie hymny i pieśni.

To Ty wybrałeś oud czy oud wybrał Ciebie?

Urodziłem się w muzykalnej rodzinie. Tata grał na *oud*, ten instrument, na którym teraz gram, należał do niego, przywiózł go z Bejrutu. Jest bardzo stary. To on mnie uczył, gdy jeszcze byłem za mały, żeby objąć instrument i musiałem trzymać go płasko. Profesjonalną naukę zacząłem od 15. roku życia. Ale wcześniej grałem na *ney*. Jak miałem cztery-pięć lat, znalazłem kawałek plastikowej rurki, wyciąłem otwory i zrobiłem flet. I on grał, chociaż miał pięć dziurek, zamiast sześciu. Zobaczył to mój tata i następnego dnia kupił mi pierwszy *ney*. Tata zmarł dwa lata temu, nie mogłem go pożegnać, od wyjazdu z Syrii nie widziałem się też z mamą.

Nie da się powiedzieć, co w muzyce Lewantu jest aramejskie, sumeryjskie, asyryjskie, żydowskie, arabskie. Wszystko się przenikało.
Nikt nie może pretendować do własności tej muzyki.

Przyjechałeś do Polski na studia w krakowskiej Akademii Muzycznej w 2013 r., gdy już trwała wojna.

Była straszna zima, minus 20 stopni. Nigdy do tamtej pory nie widziałem tyle śniegu.

Nie tylko komponujesz, prowadzisz wielokulturowy chór i uczysz o muzyce Lewantu, ale też koncertujesz na oud. W tym roku zagrałeś – ile koncertów?

Osiemdziesiąt w całej Polsce i za granicą. W sumie ponad sześćset.

Dlaczego Polacy i Europejczycy chcą słuchać muzyki Lewantu?

Polska przez ostatnie 10 lat, kiedy tu żyję, bardzo otwarła się na świat. Ludzie są spragnieni innych kultur, szczególnie szukają relacji z muzyką duchową, np. muzyką sufizmu. Tyle się mówi, że Polacy boją się migrantów z krajów arabskich, a prawda jest taka, że w całym kraju przyjmują muzykę, którą gram, z otwartymi ramionami. Wiele razy widziałem łzy w oczach słuchaczy.

Ostatnio często śpiewam „Uskudar”. Na pewno znasz tę pieśń z repertuaru Jordiego Savalla. Powstała w XI wieku. To niesamowita pieśń, jest obecna w tradycji arabskiej, greckiej, aramejskiej, kurdyjskiej i tureckiej. Pięć języków, jedna pieśń. A kiedy śpiewam ją w Polsce, trzy tysiące kilometrów od rodzinnego domu, czuję, że nie ma granic między ludźmi.

Mam obsesję na tym punkcie: że muzyka potrafi zmieniać na lepsze to, co na świecie agresywne, obrzydliwe, co dzieli. Bo pomaga rozumieć i poznawać. Muzyka nie jest moja, nasza lub wasza, jesteśmy w niej razem.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ KUŹMIŃSKI

JACEK TARAN

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

„TYGODNIK” Z NAGRODAMI!

W ciągu ostatnich tygodni NASI DZIENNIKARZE i AUTORZY byli wielokrotnie wyróżniani dziennikarskimi i literackimi laurami:

- **MAREK BIEŃCZYK** otrzymał Nagrodę Literacką im. Juliana Tuwima
- **PAWEŁ BRAVO** odebrał laur im. Leopolda Staffa
- **EWELINA BURDA** dostała Nagrodę im. Romana Czerneckiego
- **ANNA GOC** została uhonorowana Nagrodą im. Beaty Pawlak oraz Nagrodą im. Ryszarda Kapuścińskiego
- **URSZULA HONEK** otrzymała Nagrodę im. Kościelskich oraz Nagrodę Conrada
- **AGATA KAŹMIERSKA** I **WOJCIECH BRZEZIŃSKI** odebrali laur Grand Press Digital and Technology
- **MICHAŁ OKOŃSKI** – Grand Press w kategorii Publicystyka
- **PAWEŁ PIENIĄŻEK** dostał Nagrodę im. Witolda Pileckiego
- **WOJCIECH PIĘCIAK** odebrał ukraiński medal honorowy „Za uratowanie życia” – przyznany za organizowanie pomocy dla ukraińskich żołnierzy i cywilów
- **MATEUSZ POJNAR** otrzymał Nagrodę im. Edwarda Mincera
- **MARCIN ŻYŁA** został uhonorowany Nagrodą im. Sérgio Vieira de Mello

DZIĘKUJEMY I GRATULUJEMY!

MATERIAŁY PRASOWE

Agnieszka Gozdyra, Marek Rabij, Adam Leszczyński, Adam Traczyk. 7 grudnia 2023 r.

MEDIA BLISKO LUDZI

Kim powinien być dziś dziennikarz? Czym w dobie TikToka jest wiarygodność i gdzie przebiega granica wolności słowa? Jak media mogą odzyskać zaufanie odbiorców, pozostając wiarygodnym partnerem biznesowym? Tymi problemami zajęli się uczestnicy panelu o transparentności przekazu reklamowego podczas tegorocznej konferencji „Algorytmy zmiany" zorganizowanej przez Radę Reklamy.

Z pozoru oczywiste pytanie o definicję zawodu dziennikarza chyba najlepiej oddaje skalę zmian, jakich doświadczają w ostatnich latach media. Z jednej strony podlegają one silnej presji nowych środków przekazu, jakimi stały się serwisy społecznościowe czy komunikatory, z drugiej zaś odczuwają narastające trudności związane z finansowaniem bieżącej działalności. Stwierdzenie, że to nie jest dobry czas dla dziennikarstwa, również jest truizmem. W USA kończący się właśnie rok przejdzie do historii jako rekordowy pod względem liczby tytułów prasowych i internetowych, które musiały zakończyć działalność z uwagi na brak źródeł finansowania. Od roku 2005 z tamtejszego krajobrazu medialnego zniknęło ich łącznie aż 2900. Wraz z nimi – około 43 tysiące miejsc pracy w mediach. Polski rynek doświadczył i doświadcza tego samego, rzecz jasna w skali proporcjonalnej do jego wielkości. Kryzys daje jednak mediom również perspektywę, z której widać szanse, jakie tworzy to nowe, wymagające otoczenie. O tym właśnie dyskutowali podczas debaty „Transparentność i etyka przekazu" jej uczestnicy związani od lat z polskim rynkiem medialnym. W panelu udział wziął Adam Leszczyński, były dziennikarz „Gazety Wyborczej", obecnie związany z serwisem Oko.Press, Marek Rabij, wieloletni publicysta „Newsweek Polska", aktualnie pracujący w „Tygodniku Powszechnym", oraz Adam Traczyk z think tanku More in Common. Rozmowę prowadziła Agnieszka Gozdyra z Telewizji Polsat.

Podczas tej debaty musiało paść pytanie o tożsamość zawodu dziennikarza. Tym mianem określają się dziś zarówno osoby zatrudnione na etat w renomowanych, działających od dziesięcioleci redakcjach, jak i debiutanci pracujący na własną rękę i skutecznie wykorzystujący platformy mediów społecznościowych do zdobywania popularności. Uczestnicy debaty zgodzili się, że demokratyczny rodowód profesji dziennikarskiej jest nie do pogodzenia z padającymi od czasu do czasu postulatami zamknięcia drogi do tego zawodu osobom, które nie przejdą gruntownej merytorycznej weryfikacji środowiskowej, na wzór tej, która reguluje choćby dostęp do zawodów prawniczych. Równie nielogiczne – bo niemające pokrycia w rzeczywistości – byłoby oczekiwanie, że określenie „dziennikarz" miałoby być zastrzeżone dla osób pracujących dla rozpoznawalnych,

MAREREIAŁ PARTNERA

cenionych przez opinię publiczną redakcji i marek medialnych. W ten sposób poza nawias społeczności dziennikarskiej mogliby zostać wypchnięci np. cenieni twórcy cyfrowi, którzy podejmują w internecie ważne tematy i w dodatku robią to z poszanowaniem reguł sztuki dziennikarskiej – nierzadko w bardziej restrykcyjny sposób niż tzw. media klasyczne. Zdaniem uczestników debaty kluczową kwestią jest określenie celu przekazu. Dziennikarstwo to sztuka informowania, ale nie manipulacji. Każdy autor, który kieruje do opinii publicznej przekaz mający pomóc jej zrozumieć rzeczywistość z poszanowaniem dla faktów, zasługuje na miano dziennikarza. Autor może oczywiście mieć ideologiczne czy polityczne preferencje, ważne jednak, by nie krył ich przed odbiorcą. Równie istotna, zdaniem uczestników debaty, jest transparentność źródeł finansowania. Informacja o tym, kto i w jaki sposób łoży na działalność danego tytułu, wydaje się z punktu widzenia odbiorcy kluczowa przy ocenie wpływu, jaki sponsor może chcieć w zamian wywierać na linię redakcyjną.

Jednym z największych błędów, jakie przytrafiły się w ostatnich latach mediom, było przekonanie, że ich klientem nie jest widz, słuchacz lub czytelnik, lecz reklamodawca. Realia ekonomiczne długo to przekonanie uzasadniały, ale z chwilą, gdy odbiorcy zrozumieli, że stali się dla mediów jedynie środkiem w realizacji celu, jakim są lukratywne kontrakty reklamowe, media przestały być dla opinii publicznej towarem pierwszej potrzeby. Co gorsza, w oczach odbiorców przestały być także źródłem rzetelnej informacji. Dziś – jak podkreślał Adam Leszczyński, pracujący także jako wykładowca akademicki – młodzi odbiorcy wychowani na internecie mają trudności z odróżnieniem przekazu reklamowego od niesponsorowanej informacji medialnej. Nie widzą też nic niestosownego w braku tego rozróżnienia. To samo dotyczy faktów i opinii, które współczesne media nagminnie mieszają ze sobą albo wręcz przedstawiają te ostatnie jako te pierwsze.

Media wciąż mogą jednak odzyskać zaufanie swoich konsumentów. Przykładowo, rynek prasy, dotknięty głęboką recesją, nadal cieszy się olbrzymią, choć coraz trudniejszą do zmonetyzowania popularnością. Pomiędzy rokiem 2012 a 2022 średni dzienny czas przeznaczany w Polsce na lekturę wiadomości wzrósł z 56 do 72 minut. Odbiorcy mediów nadal ich chcą. Płacić gotowi są jednak tylko za coś, co uznają za użyteczne.

© AP

Więcej materiałów z konferencji na stronie: **radareklamy.pl/po-konferencji-reklamuje-etycznie-2023**

REKLAMA

Odwiedź naszą stronę i skorzystaj z Copy Advice™,
pierwszego w Polsce profesjonalnego narzędzia do diagnozy zgodności przekazów reklamowych z Kodeksem Etyki Reklamy.

NIE WCHODŹ NA REKLAMOWĄ MINĘ!

Wejdź na: radareklamy.pl/copy-advice

RADA REKLAMY

CESARSTWO JAK FENIKS

570 lat temu Turcy osmańscy sforsowali mury Konstantynopola. Istniejące od jedenastu wieków Cesarstwo Wschodniorzymskie zniknęło z map. Ale nie ze świata mitów i idei – te trwają do dziś, także w Rosji Putina.

MACIEJ MÜLLER

Prawdziwi i fałszywi świadkowie tego wydarzenia opowiadali potem sprzeczne jego wersje.

Był świt 29 maja 1453 r., gdy Giovanni Giustiniani Longo, dowódca obrony Konstantynopola, dostał – w zależności od opowiadającego – postrzał rykoszetem kuli armatniej, bełtem kuszy w pierś, kulą z rusznicy w ramię albo cięcie szablą od któregoś z janczarów. Tak czy inaczej: Genueńczyk upadł, gestem przywołał przyjaciół i poprosił, by zanieśli go na okręt.

To nie była pierwsza rana, którą Giustiniani odniósł podczas trwającego już prawie dwa miesiące oblężenia. Ale ta sprawiła, że załamał się nerwowo. Dotąd pilnował, aby jako wódz być stale widocznym dla podległych sobie żołnierzy. Wysokie morale było podstawą utrzymania pozycji: wszak było ich osiem tysięcy przeciw stu tysiącom.

Cesarz nie ucieka

Aby spełnić wolę dowódcy i przenieść rannego, Genueńczycy pobiegli do stacjonującego nieopodal cesarza Konstantyna XI. Walka toczyła się na przestrzeni między murem zewnętrznym a wewnętrznym. Wcześniej obrońcy postanowili zamknąć wszystkie bramy muru wewnętrznego, tak aby nikomu nie przyszło do głowy opuścić stanowiska i wycofać się do miasta.

Cesarz niechętnie wydał Genueńczykom klucz do bramy. Ale Giustinianiego nie udało się wynieść z pola walki niezauważenie. Przez otwarte raz wrota zaczęli cisnąć się do bardziej bezpiecznego, jak mogło się wydawać, miasta kolejni śmiertelnie zmęczeni – po trwającym już kilka godzin szturmie – obrońcy, Genueńczycy i Grecy.

Janczarzy zorientowali się, że obrona słabnie, zaatakowali ze zdwojonymi siłami, znów przystawiali do murów drabiny. Gdy na kilku basztach załopotały chorągwie Proroka, ktoś z obrońców krzyknął: „Miasto wzięte!". Rozpoczęła się paniczna ucieczka obrońców.

Na czele ostatniego wiernego oddziału cesarz ruszył naprzeciw janczarom. Jego ciała nigdy nie odnaleziono. Wprawdzie sułtanowi przyniesiono po bitwie obciętą głowę jakiegoś dostojnika, ale najpewniej nie była to głowa ostatniego z Paleologów.

Potem opowiadano, że cesarza zabrał anioł, zamienił w marmurowy pomnik i ukrył w jaskini, a któregoś dnia Konstantyn powróci, by wyzwolić Greków. W ten sposób cesarz bizantyjski dołączył – w roli legendarnego wyzwoliciela – do takich postaci jak prorok Eliasz, król Artur czy rycerze Bolesława Chrobrego śpiący pod Giewontem.

Sułtan każe przerwać grabież

Zwyczaje muzułmańskie dawały zwycięskiej armii prawo do złupienia zdobytego miasta. Po przełamaniu obrony na murach, w mieście zaczęła się rzeź mężczyzn, gwałty na kobietach i dzieciach, rabunek domów i kościołów. I branie jeńców: do niewoli trafili wszyscy, którzy przeżyli, czyli prawie 50 tys. ludzi.

Sułtan Mehmed II obiecał swoim żołnierzom trzy dni swobodnego rabunku. Ale kiedy wjechał do miasta i zorientował się w rozmiarze dokonywanych zniszczeń, dał im czas tylko do wieczora pierwszego dnia. Konstantynopol miał przecież zostać jego nową stolicą.

Podobno kiedy sułtan wszedł do kościoła Hagia Sofia – głównej świątyni stolicy Bizancjum – i zobaczył tam tureckiego żołnierza rozbijającego marmurową posadzkę, przeszył go mieczem. Wkrótce potem nakazał odprawienie w kościele pierwszych muzułmańskich modlitw. Odtąd Hagia Sofia miała być meczetem.

Flota nie nadpływa

Czy gdyby zbroja Giustinianiego wytrzymała uderzenie albo Konstantyn odmówił wydania klucza, Konstantynopol by przetrwał? Niewykluczone, że tak. Turcy też już mieli dość i szturm był na granicy załamania. Atakowała już trzecia fala wojsk sułtańskich, poszły w niej ostatnie odwody, w tym sułtańska gwardia, a obrona wciąż trwała. Armia turecka od dawna była na granicy buntu, sułtanowi sprzeciwiała się duża część dowódców, w tym wielki wezyr Halil Pasza (potem przypłacił to głową).

Mehmed musiałby zwinąć oblężenie, a realia jego systemu władzy były takie, że rozmiar klęski militarnej i politycznej z pewnością kosztowałby go i tron, i życie. Państwo tureckie pogrążyłoby się w wojnie domowej.

Czy możemy wobec tego zastanawiać się, jak wyglądałaby współczesna Republika Bizantyjska, obejmująca część ↦

BIBLIOTHÈQUE NATIONALE DE FRANCE / WIKIPEDIA.ORG

Upadek Konstantynopola na ilustracji Jeana Le Taverniera w XV-wiecznym dziele Bertrandona de la Broquière „Voyage d'Outre-Mer". Obraz przedstawia różne sceny z trwającego prawie dwa miesiące oblężenia, m.in. ostrzał artyleryjski, atak wieżami oblężniczymi, blokadę morską, przeniesienie statków tureckich przez ląd, budowę mostu pontonowego nad zatoką Złoty Róg.

↦ Anatolii i Bałkanów? I jak przebiegałaby historia Europy, gdyby przez kolejnych kilka wieków nie padał na nią cień śmiertelnego zagrożenia ze strony Osmanów?

Niestety nie. Niechybnie któryś z następców Mehmeda II podciągnąłby pod mury Konstantynopola jeszcze doskonalsze armaty, a od morza zagroził miastu jeszcze lepszą flotą. Ponadto oblężenie z 1453 r. dowiodło, że Bizancjum nie ma co liczyć na pomoc z Zachodu. Zarówno nadpływająca rzekomo wenecka flota, jak i mająca nadejść odsiecz węgierska okazały się mrzonkami obrońców.

Cesarstwo stoi nad przepaścią

Potężna, pełna energii i kolorów, wieloetniczna stolica światowego imperium, będąca wzorcem dla scenografów „Gry o tron" (Królewska Przystań) czy „Pierścieni władzy" (Númenor) – to Konstantynopol z czasów jego świetności w wieku VI albo jeszcze w wieku XI.

Ten oblegany przez Mehmeda był jego dalekim echem. Liczba ludności spadła z pół miliona do kilkudziesięciu tysięcy, wiele budowli – w tym stary pałac cesarski – leżało w ruinie. Oślepiające klejnotami złote relikwiarze, najcenniejsze ikony i inne ozdoby wywieźli barbarzyńcy z zachodu: uczestnicy czwartej krucjaty, którzy w 1204 r. zamiast wspomóc chwiejące się Królestwo Jerozolimskie, pomaszerowali na Konstantynopol i go zdobyli.

Wprawdzie po kilkudziesięciu latach Bizancjum odrodziło się i wyrzuciło łacińskich krzyżowców, ale było już cieniem samego siebie. Odzierane z kolejnych ziem azjatyckich przez prących na zachód Turków osmańskich tak podupadło, że cesarz musiał zastawić u Wenecjan klejnoty koronne. Tymczasem Turcy stanęli nad Bosforem, w 1356 r. opanowali Gallipoli, swój pierwszy przyczółek w Europie, a w 1360 r. zajęli bizantyjski Adrianopol, przekształcając go niebawem w swoją stolicę: Edirne. Resztka Cesarstwa, miasto Konstantynopol z przyległościami, znalazło się w okrążeniu.

Turcy zaciskają pętlę

Turcy parli na zachód. W 1389 r. rozgromili Serbów na Kosowym Polu, a w 1396 r. pobili międzynarodową krucjatę pod Nikopolis. W Europie mówiono, że są niepokonani. Istotnie: feudalne armie nie miały szans wobec przemyślanej sztuki walki Osmanów.

Niezdobyty wciąż Konstantynopol był im jak kamień w bucie. Sułtan Murad II stanął wprawdzie pod jego murami, ale musiał odstąpić. Starożytne fortyfikacje zbudowane za cesarza Teodozjusza II pozwoliły Bizantyjczykom jeszcze raz odeprzeć wroga.

Ale czuli zaciskającą się pętlę. Kolejni cesarze jeździli po dworach Europy, wzywając pomocy. Papież jej nie wykluczał, ale stawiał warunek: unia Kościołów. Mając turecki kindżał na gardle, cesarz Jan VIII przystał w 1439 r. na unię (zawartą we Florencji) sprowadzającą się do zwierzchnictwa papieskiego nad wschodnim chrześcijaństwem.

Jednak w domu czekała na niego opozycja w postaci kleru prawosławnego: duchowni pamiętali zbrodnie czwartej krucjaty. Niektórzy mawiali, że wolą zobaczyć turban sułtana niż tiarę papieża. Nowa krucjata istotnie ruszyła – pod dowództwem króla Polski i Węgier Władysława Jagiellończyka – ale Turcy pobili ją w 1444 r. pod Warną.

Kronikarze tworzą narrację

„W dniu, w którym Turcy przejęli Konstantynopol, słońce pociemniało" – napisał kronikarz gruziński. „Moje ręce się trzęsą, nawet kiedy piszę, dusza jest zdjęta strachem" – notował Eneasz Sylwiusz Piccolomini, przyszły papież Pius II. W Krakowie Jan Długosz zapisał: „Z dwu rąk chrześcijaństwa jedna została odcięta, z dwu oczu jedno wyłupione".

Czy zdobycie Konstantynopola było katastrofą dziejową? Z tym pytaniem idę do prof. Andrzeja Chwalby. – Dla ówczesnych Europejczyków upadek Konstantynopola nie był znaczącym symbolem. Fakt, że nim się stał, to efekt pracy dziejopisów, którzy potrzebowali wyraźnych cezur dla uporządkowania sobie dziejów świata – mówi historyk.

Jako wydarzenia graniczne kończące średniowiecze podręczniki wskazują wyprawę Kolumba (1492 r.) czy wystąpienie Lutra (1517 r.), ale najpopularniejszą cezurą jest upadek Bizancjum. – Z punktu widzenia historii Europy rok 1453 aż tak wiele nie znaczył – uważa prof. Chwalba. – Skutki polityczne zdobycia Konstantynopola były niewielkie. Z mapy nie znikało rozległe imperium, tylko mikroskopijne państwo. Do Europy Osmanowie weszli już o wiele wcześniej. Lata świetności Cesarstwo przeżywało dziewięć stuleci wcześniej, za cesarza Justyniana. Kontrolowało północne wybrzeże Afryki, cały Bliski Wschód, Italię, jak niegdyś Imperium Romanum. Ale względem wieku XV to zamierzchłe dzieje. To tak, jakbyśmy porównywali czasy Piłsudskiego i Mieszka I.

Jeszcze na długo przed ostatnim oblężeniem Konstantynopola niektóre państwa basenu Morza Śródziemnego uzurpowały sobie prawo do dziedzictwa po Imperium Rzymskim. Stefan Duszan, twórca przejściowej potęgi Serbii, w połowie XIV w. przyjął tytuł cesarza, powołał patriarchat niezależny od Kościoła bizantyjskiego i planował nawet... wyprawę na Konstantynopol. Może gdyby nie przedwczesna śmierć Stefana, powstałoby nad Bosforem imperium słowiańskie?

Sułtan czuje się cezarem

Po 1453 r. można mówić o wymazaniu z mapy Drugiego Rzymu, przynajmniej w jego wydaniu chrześcijańskim, ale na pewno nie o końcu bizantyjskiej cywilizacji.

Prof. Chwalba podkreśla, że Osmanowie byli politykami zdroworozsądkowymi i uważali, że bogactwo, które zastali, należy przyjąć i wykorzystać dla własnych potrzeb. – To myślenie bardzo trwałe: także tureckie władze republikańskie po I wojnie światowej dbały o starożytne greckie budowle, i to nie tylko ze względów wizerunkowych czy komercyjnych. Czuły się ich dziedzicami – dodaje historyk.

Wcześniej, przed upadkiem miasta, wielu uczonych i ludzi sztuki zbiegło na zachód. – Twórcy kultury bizantyjskiej zabrali swoje dziedzictwo i przenieśli je dalej. Wkroczyli na uniwersytety europejskie, zainspirowali badania nad kulturą grecką, dziedzictwem Platona, Arystotelesa – opisuje Chwalba. – Przed tym zasileniem intelektualnym kultura zachodnioeuropejska była znacznie uboższa.

Z kolei Mehmed II ani myślał odcinać się od dziedzictwa bizantyjskiego. Chwalba: – Nie jest przypadkiem, że przyjął tytuł cesarza rzymskiego. W swojej tytulaturze podkreślił dziedzictwo Imperium.

Mehmed od dziecka marzył, by wymieniano go jednym tchem z Aleksandrem Wielkim czy Cezarem. Geniuszu

militarnego dowiódł podczas oblężenia, wykorzystując po raz pierwszy w historii zmasowany atak artyleryjski czy przenosząc statki lądem. Wymazywanie tradycji grecko-rzymskiej byłoby zaprzeczeniem jego zamysłu politycznego i wizerunkowego. W swoim przekonaniu, i w oczach wielu jemu współczesnych, sułtan nie położył kresu Drugiemu Rzymowi, lecz stał się muzułmańskim następcą cezarów.

W tym kluczu prof. Chwalba patrzy też na dalszą ekspansję Osmanów. – Kiedy popatrzymy na mapę, odkryjemy, że postępowali w ślad za cesarzami rzymskimi i bizantyjskimi. Przejęli północną Afrykę, Bałkany i Półwysep Arabski. Po zajęciu Konstantynopola nastąpiła eksplozja energii Osmanów. W tym sensie można mówić o przełomie: ich parcie we wszystkich kierunkach było nieprawdopodobne.

Mehmed nie zabija Greków

Ludność zamieszkująca podbijane przez Turków ziemie niejednokrotnie odczuwała ulgę – wbrew temu, co chcieliby widzieć zachodni kronikarze, upatrujący w Turkach niemal diabłów. Na ogół nikogo nie zmuszano do przejścia na islam; wyznawanie chrześcijaństwa wiązało się jedynie z dodatkowym podatkiem (i tak niższym niż podatki z czasów bizantyjskich). Wzrosło bezpieczeństwo wewnętrzne, a administracja nie tonęła w korupcji.

Mehmed II, chcąc przywrócić świetność nowej stolicy, przemianowanej na Stambuł, przymusowo przesiedlał do niego ludność grecką. Starał się też ściągać z powrotem elity, wspierał interesy Żydów i Ormian. Stolica stała się na nowo miastem wielu kultur i religii, może bardziej niż kiedykolwiek. Grecy, na ogół wywodzący się z dawnych arystokratycznych rodów, chętnie służyli w sułtańskiej administracji. Nowy cezar dbał także o Kościół prawosławny: powierzył patriarchat jednemu z największych wrogów unii florenckiej, a hierarchię obdarzył przywilejami.

– Razem z symboliką cesarską – opowiada prof. Chwalba – Osmanowie przejęli konkretne dziedzictwo polityczne i fachowców. Nie zabijali Greków. Grecy stali się twórcami nowoczesnej tureckiej floty wojennej i handlowej, prowadzili prace budowlane. Wyjechali intelektualiści, ludzie ducha, ale zostali ludzie czynu. Wykształceni, zorientowani w kwestiach europejskich. Swój potencjał i bizantyjskie dziedzictwo wprzęgli w służbę Osmanom. Wtedy jeszcze nie patrzono na świat z perspektywy interesów etnicznych. Grecy-chrześcijanie w służbie sułtana myśleli kategoriami: tu jest szansa na karierę i trzeba jakoś żyć; skoro mnie nie zabili, a dają szansę zarobku, to idę z nimi.

Mitów o szatańskiej roli Turków jest więcej. Jeden głosi, że zabili handel śródziemnomorski, że przez ich podboje Wenecja i Genua przestały się liczyć. – To nieprawda – uważa prof. Chwalba. – Osmanowie intensyfikowali ten handel. Ratowali Wenecjan i Genueńczyków przed klęską, którą pisała im Europa Zachodnia. Upadek wschodnich szlaków handlowych był spowodowany nie podbojami osmańskimi, lecz wielkimi odkryciami geograficznymi. Busola dziejów przestawiła się ze wschodu na zachód. Hiszpanie, Portugalczycy, a po nich Holendrzy i Brytyjczycy zaczęli interesować się Nowym Światem i morską drogą do Indii.

Iwan poślubia Zoe

Ale w wieku XV na scenie europejskiej i azjatyckiej pojawił się jeszcze jeden gracz, który zgłosił się po spadek po Bizancjum.

Pięć wieków wcześniej książę Rusi Kijowskiej Włodzimierz Wielki przyjął chrzest z Bizancjum. Za odrzuceniem przezeń opcji rzymskiej stało coś więcej niż rachuby polityczne: jego posłowie do Konstantynopola byli wstrząśnięci pięknem kościoła Hagia Sofia i sprawowanej w nim liturgii.

Od pierwszej połowy wieku XIII księstwa ruskie znalazły się pod jarzmem mongolskim. W XV w. spod tatarskiego buta wydostało się księstwo moskiewskie, a jego władcy zdominowali otoczenie i zaczęli podbój ziem ruskich, uznając się za spadkobierców Rusi Włodzimierza. Wzgardzili Konstantynopolem za przyjęcie unii florenckiej – chrześcijaństwo w wersji łacińskiej uważali za herezję, a jego wyznawców za potępionych.

Po upadku Bizancjum papież Sykstus IV podjął próbę zbliżenia z wielkim księciem moskiewskim Iwanem III Srogim. Wciąż miał nadzieję na skonsumowanie unii z prawosławiem. W Rzymie schroniła się bratanica cesarza Konstantyna XI – Zoe Paleolog. Papież zaoferował Iwanowi jej rękę w zamian za zjednoczenie obu Kościołów. Ale wielki książę go okpił: zaczerpnął z tego układu same korzyści, nie przyjmując żadnych zobowiązań.

– Wziął Zoe za żonę, spłodził z nią potomstwo i poczuł się dziedzicem cesarstwa bizantyjskiego – mówi prof. Chwalba. – Równocześnie rozproszeni po uniwersytetach europejskich uczeni i mnisi greccy zaczęli ściągać do Moskwy. Mało tego, przyprowadzili ze sobą Włochów. To wtedy nastąpiła przebudowa Kremla: ten, który znamy dziś, jest ↦

W OBLĘŻONYM MIEŚCIE

MATERIAŁY PRASOWE

WARTO OBEJRZEĆ

„ROZKWIT IMPERIÓW: OSMANOWIE" (Netflix). Pierwszy sezon tureckiego serialu historycznego poświęcony jest oblężeniu Konstantynopola. Znakomite sceny fabularne są przetykane komentarzami historyków. Poznajemy pełnokrwiste portrety Mehmeda II, Konstantyna XI i Giustinianiego, śledzimy intrygi szpiegów i dyplomatów. Niby wiadomo, jak to się skończy, ale każdy odcinek trzyma w napięciu.

WARTO PRZECZYTAĆ

MIKA WALTARI, „CZARNY ANIOŁ". Fiński mistrz powieści historycznej opowiada o ostatnich dniach Konstantynopola z perspektywy obrońcy miasta, tajemniczego rycerza Johannesa Angelosa. Scena modlitw w Hagii Sofii w nocy poprzedzającej ostateczny szturm turecki – gdy okazało się, że nieważne, kto Wenecjanin, kto Grek czy Genueńczyk, zwolennik unii czy ortodoks, bo wszyscy mamy jednego Boga – na długo pozostaje w pamięci.

↦ dziełem architektów włoskich i greckich. Państwo wpisało do swojego godła bizantyjskiego dwugłowego orła, a Iwan wprowadził do tytulatury pojęcie cara, czyli cesarza.

Po tym, jak moskiewski książę poślubił Zoe Paleolog, Grecy dostrzegli w Moskwie państwo, które ma ambicje stworzenia imperium prawosławnego. – Bo fundamentem Wielkiego Księstwa Moskiewskiego jest prawosławie – wyjaśnia Chwalba. – Nawet nie idea imperialna, jak w przypadku Bizancjum i Rzymu, ale właśnie wiara. Idea imperialna pojawi się później. Na razie powstaje idea Trzeciego Rzymu. Jej twórcą jest Filoteusz, mnich z Pskowa, który widział cel w uratowaniu prawdziwego, jak uważał, świata chrześcijańskiego, czyli prawosławia.

W ten sposób władcy Moskwy obwołali się ni mniej, ni więcej, tylko przywódcami wszystkich chrześcijan. Tych prawowiernych i tych, których należy nawrócić.

Ze skutkami tego myślenia reszta świata mierzy się do dziś. W epokę nowożytną Moskwa weszła wyposażona w przemyślaną ideologię mocarstwową.

Rosja prze nad Bosfor

W wieku XVIII w planach carycy Katarzyny Wielkiej pojawiła się myśl o odtworzeniu Bizancjum także na jego historycznym terytorium. W wieku XIX kolejni carowie przybliżali ten cel. Również na Bałkanach, skąd Rosja coraz bardziej wypierała Turcję, aspirując do roli „wyzwolicielki Słowian".

– Kolejne wojny z Turcją, które Rosja na ogół inicjowała, miały doprowadzić do opanowania cieśnin tureckich i utworzenia tam Cesarstwa Bizantyjskiego kierowanego przez dynastię Romanowów, które miało zająć miejsce osmańskiej Turcji – opowiada Chwalba. – Jeszcze w czasach I wojny światowej car Mikołaj II widział w roli cesarza bizantyjskiego swojego brata Michała.

Plan wydawał się na tyle osiągalny, że pewien oficer carski greckiego pochodzenia otrzymał już od swoich zwierzchników krzyż, który po spodziewanym zdobyciu Stambułu miał umocować na kopule Hagii Sofii.

– Ten projekt polityczny był ważny także dla państwa stalinowskiego po II wojnie światowej – dopowiada prof. Chwalba. – Niewiele brakowało, aby się

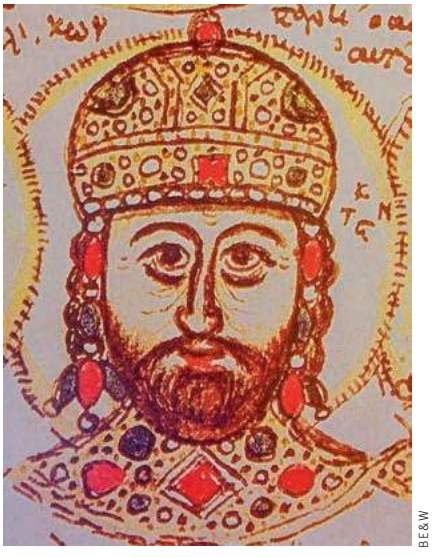

BE&W

Portret cesarza Konstantyna XI Paleologa w XV-wiecznym kodeksie z fragmentami historii Joannesa Zonarasa

to ziściło, bo granica imperium sowieckiego przebiegała zaledwie 30 km od Stambułu.

Związek Sowiecki jako państwo ateistyczne nie posługiwał się już ideologią Trzeciego Rzymu. – Bo to była ideologia przede wszystkim religijna, państwo sowieckie zaś niszczyło Cerkiew i tradycje religijne. W państwie totalitarnym nie mogło być dwóch konkurencyjnych ideologii: prawosławia i nowej religii świeckiej, której symbolem była mumia Lenina na Kremlu – mówi Chwalba. – Swój imperializm Związek Sowiecki zasilił więc inną starą tradycją, pojawiającą się w piśmiennictwie ruskim już w XI wieku: ideą *ruskiego mira*, czyli świata rosyjskiego.

Putin sięga w przeszłość

Trzeci Rzym zaczął się jednak odradzać po 1991 r., a nowych sił nabrał po dojściu do władzy Władimira Putina. – Putinizm zawiera w sobie zarówno tradycje sowieckie, jak i carskie – mówi Chwalba. – Nieprzypadkowo rosyjska propaganda chętnie sięga po postacie wielkich władców z wieku XVIII. Przekaz brzmi: po Katarzynie Wielkiej i Piotrze Wielkim nastał Wielki Putin.

Zanim nastał Putin, Rosja lat 90. była krajem w kryzysie. – Państwu groził rozpad, więc należało odwołać się do sprawdzonej ideologii – mówi Chwalba. – Było nią prawosławie. Rozpoczyna się flirt władzy z patriarchatem moskiewskim. Cerkiew staje się oparciem dla Rosji imperialnej i jej kremlowskiego gospodarza. Znów, jak przed ponad stuleciem, państwo i Cerkiew stanowią jedność.

Chwalba wskazuje na przykład tej jedności w praktyce: – W Poczajowie, w zachodniej Ukrainie, mieści się wielki kompleks soborów prawosławnych. Złoto dosłownie kapie tam z sufitu. To złoto Putina. Chodziło o to, by prawosławie moskiewskie promieniowało na cały region, na prawosławie ukraińskie. Ta inwestycja dowodzi, jak wielkie znaczenie przywiązują metropolita Cyryl i Putin do propagandy za pośrednictwem Cerkwi. Dzięki niej ma zostać zachowana jedność polityczna z Moskwą. To twórcze wykorzystanie religii, które cesarzom bizantyjskim chyba by nie przyszło do głowy.

Putin broni interesów Cerkwi w dawnych republikach sowieckich, prowadzi nieustającą wojnę z prawosławiem ukraińskim, a także z patriarchą Konstantynopola, który jest honorowym zwierzchnikiem prawosławia.

– Prawosławie zawsze głosiło – ciągnie historyk – że słuchać należy nie tylko zwierzchników duchowych, ale też świeckich. W tym układzie Putin występuje jako nowy car, który zasługuje na opiekę Cerkwi i podległość ludu. We współczesnej Rosji przenika się więc imperialna tradycja państwowa *ruskiego mira* z duchową tradycją Trzeciego Rzymu. To chyba skuteczniejsza ideologia niż sowiecka.

Trzeci Rzym ma się dobrze

Część ekspertów uważa, że bez względu na wynik wojny w Ukrainie nastąpi koniec imperialnych marzeń Putina. Jedni prognozują rozpad Federacji Rosyjskiej, inni – jej zwasalizowanie przez Chiny. Czy obserwujemy wobec tego ostateczny koniec Trzeciego Rzymu?

W wieku XI, gdy po wzajemnych ekskomunikach ostatecznie rozeszły się drogi chrześcijaństwa łacińskiego i greckiego, Rzym mówił o wielkiej schizmie wschodniej, a Konstantynopol – o schizmie zachodniej. To myślenie przetrwało tysiąc lat. Chwalba: – Prawosławie w wydaniu rosyjskim potępia zlaicyzowany Zachód, postrzega go jako świat gorszy, błądzący w herezjach, nie tylko katolickich, ale i protestanckich, otwartych na idee wolnościowe.

Ideologia Trzeciego Rzymu jest więc bezpiecznie zakonserwowana. Została trwale wszczepiona w rosyjskie prawosławie.

©℗ MACIEJ MÜLLER

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 52-53/2023

30 lat Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie

MARCIN KLUCZEK / MATERIAŁY PRASOWE

Dyrektor Niemieckiego Instytutu Historycznego **MILOŠ ŘEZNÍK**

Kultura wspólnej pamięci

MILOŠ ŘEZNÍK, DYREKTOR NIH:

Czeka nas z pewnością nowe otwarcie w relacjach polsko-niemieckich, aczkolwiek należy podkreślić, że nawet na poziomie politycznym relacje te nigdy nie zostały podważone do końca.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Niemiecki Instytut Historyczny obchodzi swój jubileusz – to dobra okazja do podsumowań.

MILOŠ ŘEZNÍK: Przez 30 lat swojej działalności Instytut stał się ważną, międzynarodową placówką badawczą. Początki, sięgające lat 90., były trudne – trzeba było wymyślić od zera pomysł na funkcjonowanie naszej instytucji, a także znaleźć odpowiednich pracowników. W przestrzeni nauki i w polsko-niemieckim dyskursie dominowały też inne problemy i tematy. Wiele z nich dotyczyło niedawnej, wciąż bolesnej przeszłości. Z czasem się to trochę zmieniało, a obszary badawcze uległy dalszemu rozszerzeniu także na inne epoki historyczne – od średniowiecza po współczesność. Udało nam się stworzyć pięć zespołów naukowych, prowadzimy także serie wydawnicze – niektóre mają już po kilkadziesiąt tomów. Instytut cały czas się rozwija. Poza drobnymi wyjątkami, fundusze na nasze działania pochodzą od niemieckiego rządu federalnego. Zmienił się także charakter samej instytucji, która stała się bardziej międzynarodowa, między innymi za sprawą coraz większej liczby polskich badaczek i badaczy.

Jakie tematy w badaniach historycznych dominują dziś?

Dalej jest to II wojna światowa i Holocaust, ale w nieco innym kontekście. Dziś coraz częściej historycy koncentrują się na kwestii pamięci i jej wpływu na szerszy kontekst społeczny i polityczny w dziejach Europy po 1945 roku. Wiąże się to ze zmianą paradygmatów w naukach o przeszłości i pogłębioną refleksją nad funkcją historii oraz historiografii w codziennym życiu społecznym.

Co jeszcze?

Ważnym tematem są również regiony – ich geneza, przekształcenia i historyczna rola, szczególnie w kontekście tworzenia się i funkcjonowania nowoczesnych państw narodowych. Poza tym Instytut prowadzi działania popularyzatorskie związane z historią, na przykład wystawy – teraz można było oglądać „Raport z oblężonego Miasta Czernihowa", czyli fotograficzny zapis z pierwszych tygodni wojny w Ukrainie. Ostatnio też w Kinotece zorganizowaliśmy przegląd filmowy „Polska–Niemcy: Love Story".

Czy dziś jesteśmy już w lepszym miejscu, jeśli chodzi o odbudowę politycznych relacji polsko-niemieckich?

To się oczywiście dopiero okaże, ale wydaje mi się, że może być tylko lepiej. Czeka nas z pewnością nowe otwarcie w relacjach polsko-niemieckich, aczkolwiek należy podkreślić, że nawet na poziomie politycznym relacje te nigdy nie zostały podważone do końca. Wiele się działo ostatnio złego w oficjalnej komunikacji, ale na innych poziomach te relacje utrzymują dobrą jakość.

Dojdziemy do momentu, w którym historia będzie nas w końcu bardziej łączyć niż dzielić?

To trudne pytanie, bo nie odnosi się do historii, tylko do nas samych – tego, jak podchodzimy do przeszłości, jak korzystamy ze wspólnego dziedzictwa. Bo nawet najboleśniejsze wydarzenia, choćby wojna, mogą stać się takim dziedzictwem – punktem odniesienia, z którego będziemy korzystać razem, aby budować lepszą przyszłość. Mam nadzieję, że dojdziemy do punktu, gdy politycy przestaną cynicznie wykorzystywać politykę do swoich bieżących celów.

Instytut zaangażowany jest także w pomoc Ukrainie, choćby przez stypendia dla artystów i naukowców.

Pomagając Ukrainie, pomagamy jednocześnie sobie – zawsze to podkreślam. Nasze zaangażowanie w tym kontekście wpisuje się idealnie w to, czym się zajmujemy na co dzień. Od przeszło dekady

Instytut rozszerza swoje działanie na cały region Europy Środkowo-Wschodniej. Gdy mówimy o polsko-niemieckich relacjach czy historii, staramy się to robić w kontekście funkcjonowania całego regionu. Dlatego też od kilku lat w Pradze i Wilnie działają filie naszego Instytutu, który zresztą sam działa w ramach sieci Fundacji im. Maxa Webera, skupiającej zagraniczne instytuty humanistyczne zajmujące się przeszłością. Eskalacja konfliktu zbrojnego w Ukrainie zmobilizowała nas oczywiście do nowych działań. Powołaliśmy specjalny zespół, który nazywamy Perspektywa Badawcza Ukraina. Działa on już od dwóch lat i stał się niezwykle ważną częścią naszej instytucji. W ten sposób nie tylko mogliśmy pomóc badaczkom zmuszonym wyjechać z Ukrainy, ale udało nam się też zrealizować wiele bardzo ciekawych projektów badawczych.

Jakie plany na kolejne 30 lat działania Instytutu?

Wszystko zależy od tego, jak będzie rozwijała się nauka i perspektywy badawcze. To, czym się zajmujemy dziś, byłoby trudne do przewidzenia w latach 90. Wiele się zmieniło nie tylko w kontekście politycznym czy społecznym, ale również jeśli chodzi o metodologię nauk humanistycznych. W najbliższej przyszłości zapewne dalej będziemy zajmować się badaniem rozmaitych form pamięci, ale też kształtowania przestrzeni. Konsekwentnie przesuwamy się tu w stronę historii materialnej. Jeszcze dziesięć lat temu badania nad pamięcią koncentrowały się na samej semantyce przekazów i nadawaniu znaczeń miejscom oraz przestrzeniom. Potem uwaga skupiała się bardziej na recepcji literatury, filmów i innych nośników pamięci, a już wkrótce zapewne dominować będzie refleksja nad społecznymi, materialnymi i organizacyjnymi aspektami tego, jak tworzy się kultura pamięci. ©

Miloš Řezník jest czeskim historykiem, od 2014 roku dyrektorem Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie. Profesor i wykładowca na Uniwersytecie w Chemnitz, gdzie zajmuje się europejską historią regionalną.

Książki w Instytucie

RUTH LEISEROWITZ

W ciągu 30 lat działania Instytutu powstało kilka serii wydawniczych, które zapewniają ciągłość badań i publikacji naukowych – niektóre liczą już po kilkadziesiąt tomów.

Pierwsza z nich, niemieckojęzyczna seria „Quellen und Studien" [Źródła i studia] ukazuje się w wydawnictwie Harrassowitz w Wiesbaden. Inicjacyjny tom został opublikowany w 1995 roku pod redakcją dr Almut Bues, wówczas pracowniczki naukowej Instytutu. Zatytułowany był „Eine schwierige Erbschaft. Die Verhandlungen nach dem Tode Herzog Jakobs von Kurland 1682/83" [Trudne dziedzictwo. Negocjacje po śmierci księcia Jakuba z Kurlandii w 1682/83 r.]. Publikacja ta była pod wieloma względami programowa, z uwagi na treść, poświęconą zagadnieniom i problemom przednowoczesnej historii Europy Środkowo-Wschodniej. W pierwszych latach istnienia tej serii ukazało się również kilka tomów dotyczących historii XIX i pierwszej połowy XX wieku. W 2010 roku ówczesny redaktor prowadzący, prof. Eduard Mühle zawężył jej profil – od tamtego czasu pod szyldem „Quellen und Studien" publikowane są wyłącznie prace dotyczące historii średniowiecza i okresu wczesnonowożytnego. Jako ostatni ukazał się tom 40., zatytułowany „›Space‹ as a Category for the Research of the History of Jews in Poland–Lithuania 1500–1900" [„Przestrzeń" jako kategoria badań nad historią Żydów w Polsce–Litwie 1500-1900], w którym redaktorki Maria Cieśla i Ruth Leiserowitz zebrały wyniki konferencji zorganizowanej w POLIN.

W drugiej serii, adresowanej przede wszystkim do niemieckich naukowców, publikowane są wyniki badań nad historią współczesną. Ukazuje się ona w wydawnictwie Fibre w Osnabrück i zatytułowana jest „Einzelveröffentlichungen" [Pojedyncze publikacje]. Ponadto NIH wydaje dwie równoległe serie: polskojęzyczną „Klio w Niemczech" oraz niemieckojęzyczną „Klio in Polen". Odgrywają one szczególną rolę w obustronnym transferze wiedzy. „Klio in Polen" również ukazuje się w wydawnictwie Fibre, natomiast wydawca ↦

↦ „Klio w Niemczech" kilkakrotnie się zmieniał. Obecnie książki tej serii wydawane są przez Wydawnictwo Naukowe Scholar w Warszawie. Prace publikowane w obu seriach „Klio..." nie są nastawione na sukces komercyjny. Mają przede wszystkim wprowadzać i popularyzować istotne, a zarazem nieznane wcześniej wyniki badań kultury naukowej sąsiedniego kraju.

Polscy czytelnicy mogli niedawno zapoznać się z pracami Pavla Kolářa „Poststalinizm. Ideologia i utopia epoki" oraz Franka Böscha „Media a przemiany historyczne. Od druku do internetu". Z kolei niemieccy czytelnicy zapoznali się m.in. z pracami Karola Modzelewskiego, Marcina Zaremby, Tomasza Kizwaltera, Jerzego Kłoczowskiego, Hanny Zaremskiej, Moniki Polit, Andrzeja Ledera i Jacka Staszewskiego.

Najnowsza seria współwydawana przez NIH ukazuje się w języku angielskim i nosi tytuł „Poland: Transnational Histories". Redaktorzy: Maciej Górny (IH PAN) i Maciej Janowski (IH PAN), Catherine Gousseff (Collège de France), Keely Stauter-Halsted (University of Illinois Chicago), Miloš Řezník (NIH) i Magdalena Saryusz-Wolska (NIH) mają przedstawiać oryginalne badania nad zmianami i mobilnością w historii Polski. Proponują spojrzenie z szerszej perspektywy, uwzględniając też wydarzenia poza jej granicami. Badania, które prezentowane są w tej serii, prezentują złożoność i transnarodowe uwikłania polskiej historii jako regułę, a nie wyjątek. Autorzy przyglądają się odbiciom zjawisk polskiej historii na poziomie globalnym, a także wpływom globalnych trendów na wewnętrzne wydarzenia w Polsce. Drugi tom, napisany przez Ralucę Golesteanu-Jacobs, właśnie się ukazał i nosi tytuł „Habsburg Galicia and the Romanian Kingdom. Sociocultural Development, 1866-1914" [Habsburska Galicja i Królestwo Rumunii. Rozwój społeczno-kulturowy, 1866-1914].

Wszystkie wymienione tytuły, a także wiele innych, można przeglądać w ogólnodostępnej bibliotece NIH. Dodatkowo wiele starszych tomów dostępnych jest bezpłatnie online.

© RUTH LEISEROWITZ

MELINDA NAGY / SHUTTERSTOCK

Eurosceptycyzm dziś

RUTH LEISEROWITZ, OLGA GONTARSKA

W październikowych wyborach parlamentarnych ważyła się przyszła polityka Polski wobec geopolitycznych wyzwań w Europie i na świecie. Wyniki wyborów będą miały też wpływ na dalsze dwustronne relacje polsko-niemieckie.

Czy wykorzystujący antyniemiecką retorykę polscy eurosceptycy negują ideę integracji europejskiej?

RUTH LEISEROWITZ: Z niemieckiej perspektywy polski eurosceptycyzm wydaje się związany ze specyficznym postrzeganiem roli narodu i oporem przed ujednoliceniem w strukturze federalnej. Jednocześnie nie jest jasne, czy chodzi tu o odrzucenie idei integracji europejskiej w ramach UE, czy raczej kierunku jej rozwoju. Antyniemieckie argumenty były elementem populistycznej polityki i narracji władz PiS, które wykorzystały je przede wszystkim do budowania odpowiedniego wizerunku i mobilizowania elektoratu.

OLGA GONTARSKA: Istotnie, trudno jednoznacznie stwierdzić, czy nadużywana retoryka antyniemiecka jest w przypadku polskich eurosceptyków wymierzona w samą Unię i ideę integracji, czy w zachodniego sąsiada, a może jest przede wszystkim instrumentem, służącym wywoływaniu określonych emocji u polskich odbiorców w walce o polityczne wpływy. To ostatnie wydaje się najbardziej prawdopodobne.

Co w społeczeństwie polskim i niemieckim jest postrzegane jako

najważniejsza korzyść z członkostwa w UE?

RL: Uważam, że jednym z najważniejszych osiągnięć UE jest strefa Schengen i swoboda przemieszczania się. Warto jednak zaznaczyć, że w Niemczech przedstawiciele starszego pokolenia, którzy mieli okazję obserwować proces rozwoju integracji europejskiej w dłuższej perspektywie, mają nieraz nostalgiczny stosunek do czasów tworzenia się wspólnoty i (nie zawsze spełnionych) nadziei związanych z projektem integracji.

OG: W Polsce wśród korzyści z członkostwa w pierwszej kolejności również wymienia się swobodę przemieszczania się – dostępność rynków pracy zagranicą oraz ułatwioną możliwość kształcenia poza krajem. Z polskiej perspektywy niezwykle ważne są również korzyści ze środków finansowych na modernizację infrastruktury. Wśród osób w średnim wieku i starszych docenia się wprowadzenie względnej transparentności procedur i standardów w wielu obszarach życia społecznego.

Czy można mówić o konstruktywnych kontrpropozycjach eurosceptyków wobec projektu integracji w ramach UE?

RL: Niemiecka alternatywna wizja współpracy europejskiej budzi raczej intuicyjne skojarzenie z pragmatycznym podejściem i dostrzeganiem potrzeby reform istniejącej struktury niż konkretnym pomysłem innego typu współpracy ponadnarodowej. Może poza pomysłami prawicowych ekstremistów lub bardzo przyjaznych Rosji grup lewicowych – co jest typowe również dla innych krajów.

OG: Wśród alternatyw dla integracji w ramach UE promowanych przez eurosceptyków w Polsce należy wymienić zacieśnianie współpracy transatlantyckiej oraz inicjatywę Trójmorza. Ta druga opiera się na idei współpracy małych i średnich państw w Europie Środkowo-Wschodniej w obliczu zagrożenia ze strony imperialistycznych zapędów Rosji i wątpliwości, czy „stara Europa" udzieli im wsparcia, gdyby okazało się ono konieczne. Polscy politycy za czasów rządów PiS aktywnie angażowali się w rozwój tej inicjatywy, jednak przy umiarkowanym odzewie potencjalnych partnerów.

MATERIAŁY PRASOWE

Swoją opinią podzieliła się **DR OLGA GONTARSKA,** historyczka i pracowniczka naukowa NIH

MATERIAŁY PRASOWE

oraz **PROF. RUTH LEISEROWITZ,** zastępczyni dyrektora NIH-u w Warszawie, gdzie prowadzone są badania nad eurosceptycyzmem w ramach projektu *(De)constructing Europe.*

Czy możemy mówić o kryzysie idei integracji europejskiej w obliczu dynamicznych zmian zagrażających pokojowi i bezpieczeństwu w Europie?

RL: Amerykański politolog Andrew Moravcsik powiedział niedawno, że kiedy w Europie pojawia się niezadowolenie i wyborcy głosują na partie prawicowe, nie robią tego z powodu niezadowolenia z samej UE. Jego zdaniem większość ludzi na całym świecie, opisując najbardziej pożądaną strukturę polityczną, przedstawia wizję zbliżoną do Unii Europejskiej. Wyniki badania opinii publicznej Eurobarometr z wiosny 2023 roku wskazują, że odsetek zaufania do UE i jej instytucji jest wśród polskich respondentów nawet wyższy od średniej (w Niemczech jest niższy). Podobnie zresztą jak w przypadku odpowiedzi na pytanie o zadowolenie z reakcji UE na rosyjską inwazję na Ukrainę. Wydaje się więc, że wizerunek UE i poparcie dla idei integracji są bardzo silne pomimo aktywności ruchów eurosceptycznych oraz wbrew przeświadczeniu o ich znaczeniu.

OG: W kontekście zagrożeń dla integracji europejskiej ważnym pytaniem jest, czy wojna w Ukrainie zmieni Europę i Unię. Warto się też zastanowić, czy będzie miała ona wpływ na rozwój relacji polsko-niemieckich. Po niedawnych wyborach parlamentarnych w Polsce wydaje się, że problemem może być spadek zainteresowania polskim eurosceptycyzmem, jego przejawami i genezą. Osłabione zainteresowanie przełoży się natomiast na ograniczenie środków na badania i uniemożliwi zrozumienie zjawiska. Także w jego ujęciu historycznym, co z kolei może mieć poważne konsekwencje w kontekście podejmowania właściwych decyzji co do działań na rzecz integracji i współpracy.

■■■

Aby Unia Europejska miała przyszłość, potrzebne są reformy i dialog. Dla wzmocnienia wewnętrznej spójności UE przy jednoczesnym zrozumieniu i poszanowaniu interesów różnych państw członkowskich pomocne mogą być nieformalne konsultacje i inicjatywy na podobieństwo Trójkąta Weimarskiego. Potrzebni są nam dziś wizjonerzy, doświadczeni liderzy i wybitni architekci polityki europejskiej. Nie mniej ważny jest kontakt ze społeczeństwem w zakresie komunikowania planowanych działań i przygotowania na zmiany w czasach, które wywołują niepewność i obawy o przyszłość. W przypadku powyższych kwestii wydaje się, że nie istnieją rozbieżności między spojrzeniem polskim i niemieckim. ©

Projekt realizowany jest we współpracy z Niemieckimi Instytutami Historycznymi w Londynie i Rzymie oraz Instytutem Badań Społecznych w Hamburgu, a finansowany jest przez niemieckie Federalne Ministerstwo Edukacji i Badań Naukowych (BMBF).

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 52-53/2023
OPIEKA REDAKCYJNA: Michał Sowiński | PROJ. GRAF. Marek Zalejski
TP TYPOGRAFIA: Zuzanna Kardyś | FOTOEDYCJA: Edward Augustyn
NA OKŁADCE:
Fasada Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie / MATERIAŁY PRASOWE
PARTNER
Deutsches Historisches Institut Warschau / Niemiecki Instytut Historyczny w Warszawie

FOTOGRAFIE Z WYSTAWY X7

Historia zdewastowanej biblioteki dla dzieci sięga początku XX wieku. W budynku znajdowało się wtedy muzeum ukraińskiego dziedzictwa, w którym przechowywano kolekcję słynnego ukraińskiego filantropa Wasyla Tarnowskiego.

Raport z oblężonego miasta Czernihowa

Wystawa jest fotograficznym raportem, kronikarskim zapisem z pierwszych dni wojny w Czernihowie. Obecnie w mieście, które powoli powraca do życia, trwa liczenie strat, sięgających miliardów dolarów. Odbudowa może potrwać do 50 lat.

Kiedy 24 lutego 2022 roku Rosja zaatakowała Ukrainę, wśród pierwszych poszkodowanych byli mieszkańcy Czernihowa. To staroruskie miasto nad Desną położone blisko granicy białoruskiej i rosyjskiej odgrywa kluczową rolę w obronie Kijowa, ponieważ od wschodu i północnego wschodu blokuje dostęp do stolicy. Przez 38 dni żołnierze rosyjscy nie potrafili przebić się przez obronę wokół miasta. Bombardowali je, próbowali wywołać katastrofę humanitarną, ale nie byli w stanie pokonać oporu Ukraińców. 6 marca 2022 r. prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski nadał Czernihowowi tytuł miasta-bohatera.

Waletyn Bobyr i Władysław Sawenok udokumentowali pierwsze dni agresji rosyjskiej w ich rodzinnym mieście. Obrazy zbombardowanych budynków mieszkalnych, obiektów edukacyjnych i sportowych, instytucji kultury, siedziby administracji lokalnej stały się inspiracją do wystawy.

Wystawa powstała jako wyraz wsparcia dla Ukrainy i naukowców ukraińskich. Zwracamy uwagę na problem zniszczenia infrastruktury naukowej w Czernihowie i Ukrainie. Zdjęcia, które wybraliśmy, pokazują bibliotekę, sale wykładowe, instytucje kultury. Nawiązujemy tytułem do wiersza Herberta z tomu „Raport z oblężonego Miasta i inne wiersze" z 1983 roku i w kronikarski sposób pokazujemy sytuację „oblężenia" miasta na początku wojny. Podobnie jak Herbert „unikamy komentarzy, emocje trzymamy w karbach".

Wystawa była pokazana w Warszawie i Krakowie, a od lutego 2024 roku będzie można ją obejrzeć w Instytucie Polskim w Lipsku.

KURATORZY WYSTAWY: Beata Jurkowicz, Kinga Wołoszyn-Kowanda, Wołodymyr Pylypenko

Wskutek rosyjskiej agresji wielu czernihowian straciło dach nad głową.

Czernihów, kwiecień 2022 r.

Poniżej: w parku naprzeciwko hotelu Ukraina zachowały się ławki z panelami słonecznymi. Mieszkańcy Czernihowa używali ich do ładowania telefonów komórkowych.

Boisko szkolne z muralem i wybitymi szybami w tle.

Dyrektorka szkoły sprząta budynek po rosyjskim ostrzale.

Poniżej: czernihowianie w kolejce po wodę pitną. Władze miasta, wojsko, ochotnicy i organizacje humanitarne zrobiły wszystko, aby zapobiec katastrofie humanitarnej i sanitarnej w mieście.

NAUKA

I STAJE SIĘ ŻYCIE

MAGDALENA ŻERNICKA-GOETZ, EMBRIOLOŻKA:

Jeden mały zarodek może wytworzyć miliony różnych komórek, które harmonijnie współpracują. To jest wielka zagadka życia. Nasze ciało jest magiczne.

KAROLINA GŁOWACKA: Czy Pani potrafi tworzyć sztuczne życie?

MAGDALENA ŻERNICKA-GOETZ: Nie, nie, to nie tak. Wiem, że w świat poszło, jakobyśmy mieli stworzyć „sztuczny zarodek". To dlatego, że w artykułach w anglojęzycznej prasie nie mieliśmy możliwości autoryzacji, stąd wkradły się nieścisłości. Udało nam się zbudować – i to jest wielki sukces – struktury zarodkopodobne. Owszem, bardzo podobne do zarodków, ale nie identyczne. Nie byłyby w stanie przeżyć i rozwinąć się w człowieka. Sensacyjny ton nadany naszym badaniom był niesłuszny. Cieszę się, że mogę to sprostować.

Czyli to modele ludzkiego zarodka, a nie embriony jako takie. Ale nadal fascynujące jest, jak udało Wam się to zrobić?

Budujemy je z komórek macierzystych, czyli takich, które nie „dojrzały" jeszcze do spełniania konkretnej funkcji w organizmie – np. przekazywania sygnałów nerwowych, wydzielania hormonów czy transportu tlenu. Komórki macierzyste to nasze cegiełki. Modyfikujemy je genetycznie, żeby tworzyły nie tylko zarodek, ale też rozwinęły się w kierunku tkanek łożyska i pęcherzyka, w którym zarodek żyje. Dzięki temu łączymy trzy różne typy komórek, które na siebie wpływają, podobnie jak to się dzieje w naturze. Zaczynają się samoorganizować w strukturę, która przypomina zarodek, chociaż jest od niego bardzo daleka swoim wyglądem. To są takie same modele, jak modele organów, które nazywamy organoidami: mózgu, nerki czy płuc. Zresztą, używamy też takiego określenia: *embroids*, czyli embrioidy.

Jesteśmy pionierami w tej dziedzinie, bo byliśmy pierwszym laboratorium, które zaczęło takie struktury zarodkopodobne tworzyć, ale trzeba powiedzieć, że tylko w ciągu tego roku zostało opublikowanych siedem podobnych modeli. I żaden z nich nie jest zarodkiem.

Właśnie miałam o to pytać, bo o Państwa badaniach dowiedzieliśmy się w czerwcu 2023 r., a we wrześniu głośno było o podobnych wynikach Instytutu Naukowego Weizmanna.

O grupie z Weizmanna było dość głośno, bo w Izraelu mają bardzo sprawne zespoły prasowe, chyba lepsze niż w Polsce czy w Cambridge. Pierwsze były prace mojego zespołu oraz mojej byłej doktorantki w Cambridge. Obie zostały opublikowane w czerwcu tego roku w „Nature". Wtedy stało się o nich szalenie głośno. Wywołały dużo komentarzy: pozytywnych, ale też dużo zdystansowanych, pełnych niepokoju, czy nauka nie idzie za daleko.

Rozwój technologii w biologii jest w ostatnich latach niesamowity. Ale ja uważam, że modele zarodkopodobne z komórek macierzystych nie budzą zagrożeń. Bardzo wiele dzieci rodzi się teraz metodą sztucznego zapłodnienia. Tego też kiedyś niektórzy się obawiali, ale na szczęście te obawy nie zahamowały postępu w biologii. Modele zarodkopodobne również pomogą w przyszłym rodzicielstwie, bo będą ogromnie pomocne dla zrozumienia, dlaczego tak wiele zarodków obumiera na wczesnych etapach ciąży.

Jaki to odsetek?

Badania wskazują, że około 70 proc. ciąż nie kończy się porodem zdrowego dziecka. Uważa się, że 30 proc. zarodków obumiera w pierwszym tygodniu, a kolejne 30 proc. w drugim tygodniu. Tylko 10 proc. to poronienia, o których wiemy!

Czyli wiele z nas mogło być w ciąży i nawet o tym nie wiedzieć?

Tak. I to jest naprawdę niesłychane!

Tak musi być?

Niekoniecznie. Uważa się, że większość tych zarodków byłaby w stanie przeżyć i ciąża mogłaby przebiegać pomyślnie. Niestety, jeszcze wiele nie wiemy o wczesnych etapach nowego życia, więc i ciąży; o procesie implantacji, w którym zarodek i matka muszą współgrać. Zrozumienie mechanizmów tego najwcześniejszego etapu jest jednym z głównych celów moich badań.

Czy tak duża liczba utraconych ciąż to problem *Homo sapiens*, czy to jest rzecz naturalna u ssaków?

Większość badań odbywa się na zarodkach myszy, a te rozwijają się świetnie. Nie wszystkie przeżywają okres implantacji, ale np. przedimplantacyjny etap rozwoju mysiego zarodka jest bardzo łatwy i rzadko pojawiają się jakieś zaburzenia. Tyle mogę powiedzieć na pewno. Czy to jest problem typowo ludzki? Nie wiemy.

A co z bliższymi nam zwierzętami – małpami? Czy nie lepiej badać ich zarodki?

Możemy to robić od niedawna. Siedem lat temu opisaliśmy w „Nature" metodę hodowli zarodków ludzkich i ostatnio została ona wykorzystana przez innych naukowców do hodowli zarodków naczelnych.

Rodzice decydujący się na metodę *in vitro* mogą przekazać w darze nauce zarodki, które nie zostaną wykorzystane. Ale ich obserwacja musi się zakończyć po 14 dniach rozwoju. Czy w przypadku modeli embrionów ta granica będzie wydłużana?

Tak. Jeden z modeli był hodowany przez 21 dni. To jedna z zalet badania embrioidów, a nie embrionów.

Natomiast pytania zaczną się pojawiać w momencie, kiedy modele staną się doskonalsze. Czy trzeba będzie regulować badania nad nimi tak samo, jak na ludzkich zarodkach? Nie jestem pewna, bo to zależy od wielu czynników. Dyskusje już trwają.

Obecnie, po 14 dniach zarodek musi zostać zniszczony. Czy nie lepiej pozwolić mu rozwijać się w celach badawczych? Wydaje mi się, że to poważny dylemat etyczny.

Tak, to jest poważny dylemat. Trwają dyskusje, czy możliwość takich badań powinna być przedłużona, i jeśli tak, to czy powinien to być dzień 21.

Trzeba też wiedzieć, że badania nad ludzkimi zarodkami mają wiele ograniczeń, nie tylko dotyczących czasu, ale też tego, że po prostu jest ich bardzo mało. Nie mogą to być zarodki stworzone dla nauki, tylko podarowane.

I zdaje się, że są obarczone pewnymi wadami, skoro odpadły w selekcji w procedurze in vitro.

Nie wszystkie, ale wiele z nich tak. Czasem wiemy, jakie to są wady, a czasem nie, to dodatkowo komplikuje sytuację.

A czy Pani się zgadza z takim ograniczeniem? Czy chciałaby Pani móc ↦

Pracownia prof. Magdaleny Żernickiej-Goetz na Wydziale Fizjologii, Rozwoju i Neuronauki Uniwersytetu Cambridge, styczeń 2023 r.

ANDREA ARTZ / LAIF / FORUM

ANDREA ARTZ / LAIF / FORUM

MAGDALENA ŻERNICKA-GOETZ stworzyła laboratorium Rozwoju Ssaków i Biologii Komórek Macierzystych w University of Cambridge, gdzie kieruje pracownią na Wydziale Fizjologii, Rozwoju i Neuronauki, szefuje również laboratorium w Los Angeles na Caltech. Wyniki swoich badań prezentowała m.in. w „Nature", „Science", „Cell". Jest współautorką książki, wraz z Rogerem Highfieldem, w Polsce wydanej pod tytułem „Taniec życia. Jak stajemy się ludźmi" (Prószyński i S-ka 2022, tłumaczenie Adam Tuz).

tworzyć ludzkie zarodki bezpośrednio dla nauki?

Mogłabym wystąpić o takie pozwolenie, ale nie robię tego.

Nie chce Pani?

Nie rozważałam takiej możliwości. Słyszałam, że laboratorium mojej koleżanki w Cambridge ma takie pozwolenie. Pracują nad chorobami związanymi z mitochondriami i jedynym sposobem na zrozumienie tych schorzeń byłoby tworzenie takich zarodków. Ale nie znam szczegółów i nie jest to nauka, którą ja się zajmuję. Dla mnie głównym modelem badawczym jest i zawsze była mysz, od dwudziestu pięciu lat. Ludzkie zarodki pojawiły się niedawno i nie są najważniejszą częścią pracy naukowej.

Wracając do embrioidów – skoro to modele, to do jakiego etapu rozwoju będą wiarygodne badawczo?

Nie ma na to pytanie prostej odpowiedzi, bo będzie ona zależeć od konkretnego modelu. Ten, który my wyprodukowaliśmy, jest fantastyczny do zrozumienia, jak zarodek się rozwija w czasie implantacji i jak komórki się różnicują, żeby wytworzyć m.in. część zarodka, która w przyszłości będzie produkować komórki jajowe i plemniki. Trudno mi powiedzieć, jak to wygląda w przypadku innych modeli zarodków, bo wszystkie pojawiły się w tym roku i jeszcze nie zostały dobrze przetestowane.

W przyszłości będziemy wiedzieć więcej, także to, w którym momencie rozwój tych modeli przestaje mówić nam o tym, jak rozwija się ludzki zarodek.

Muszę przyznać, że trudno mi ogarnąć wyobraźnią skalę zróżnicowania komórek ciała ludzkiego, które przecież wszystkie rozwijają się z zarodka. Dość łatwo zrozumieć dzielenie się komórki na dwie identyczne, jak to się dzieje u bakterii. Ale to, że komórki się specjalizują, jedna staje się komórką skóry, druga neuronem, trzecia pręcikiem w oku? To szalone.

Dużo nam brakuje do zrozumienia w pełni procesu, o którym pani mówi. Ciągle badamy to, jak komórki się różnicują, oraz, o czym wie mniej osób, jak potrafią się „odróżnicować". To się zdarza w przypadku nowotworów, kiedy różnice pomiędzy komórkami przestają być stabilne i wymykają się spod kontroli. Co ma tragiczne rezultaty.

Sporo już wiemy – rozumiemy, jak przebiega komunikacja między komórkami, znamy chemiczne i fizyczne bodźce. Ale to, jak jeden mały zarodek może wytworzyć miliony różnych komórek, tworzyć całe organy, które się ze sobą komunikują, harmonijnie współpracują – to wielka zagadka życia. Nasze ciało jest magiczne. I to jest piękne do poznania.

Przepracowała Pani w tej dziedzinie ponad dwadzieścia lat. Jesteśmy bliżej zrozumienia, czy kolejne zagadki przesłaniają pełny obraz?

Odkrywamy coraz więcej tajemnic, ale jednak jesteśmy zdecydowanie bliżej zrozumienia. Udało nam się otworzyć wiele nowych kierunków badań, takich jak tworzenie struktur zarodkopodobnych z komórek macierzystych. Wiem zdecydowanie więcej niż dwie dekady temu. Kiedyś byliśmy bardziej naiwni, zadawaliśmy nie do końca właściwe pytania.

Czy nauka da kiedyś rozstrzygnięcie, kiedy zaczyna się człowiek?

Myślę, że nauka kiedyś rozstrzygnie, jak zachodzą poszczególne etapy w życiu zarodka. A to pomoże nam zrozumieć, jak zaczyna się nasze życie.

Podobno nie pozwala Pani opuszczać kolegom laboratorium, póki zarodek, nawet mysi, nie wróci do inkubatora.

Nie lubię przerywać etapu doświadczenia, żeby na przykład wypić herbatę, póki zarodki nie są zabezpieczone. Szanuję je, trzeba o nie dbać, bo same nie powiedzą nam, że są „nieszczęśliwe". Szanuję też czas włożony w doświadczenie, chcę, żeby było wiarygodne.

Pisze Pani w swojej książce o nowej erze kreatywnej biologii, że będzie-

my mogli kształtować komórki tak, jak garncarz pracuje z gliną. Aż tak?

To oczywiście symbolika, daleko jeszcze do momentu, kiedy będziemy mogli dyrygować komórkami w różnych kierunkach. Ale do tego zmierza nauka, żeby móc eliminować np. nowotwory czy rany, które powstają na naszym ciele.

Dzięki komórkom macierzystym będziemy mogli kiedyś hodować organy do przeszczepów? Organoidy już mamy.

To jedna z głównych idei moich badań. Nie chodzi o samo hodowanie embrionów, ale o zrozumienie procesów komunikacji między komórkami macierzystymi. Dzięki temu możemy nauczyć się, jak popchnąć je do rozwoju w odpowiednim kierunku, tak aby można było wytworzyć organy albo przynajmniej naprawić uszkodzone. Na przykład dzięki tworzeniu tkanek, które można by było przeszczepić w chore miejsca.

Nauka kiedyś rozstrzygnie, jak zachodzą poszczególne etapy w życiu zarodka.

A to pomoże nam zrozumieć, jak zaczyna się nasze życie.

To bardzo dynamicznie rozwijająca się dziedzina, w ostatniej dekadzie poczynione zostały ogromne postępy. Rosną możliwości, wiele organizacji chce finansować badania w tym kierunku.

Czy dzięki m.in. Pani badaniom kiedyś każdy będzie mógł mieć dziecko? Bezpłodność będzie mogła być całkowicie wyleczona?

Tego niestety nie mogę powiedzieć. Myślę, że zawsze będzie wiele ograniczeń co do rozwoju dziecka i nie jesteśmy w stanie całkowicie wyleczyć bezpłodności. Natomiast jestem przekonana, że dzięki naszym badaniom i badaniom naszych kolegów będziemy mogli uchronić te ciąże, które mogłyby się zakończyć sukcesem, a tak się nie dzieje. Ale pewnie nie wszystkie.

Nauka to rzemiosło czy sztuka? Pytam, bo wiem, że ma Pani zacięcie artystyczne. A książka, nieprzypadkowo jak sądzę, ma tytuł „Taniec życia".

I sztuka, i rzemiosło. Dla mnie nasze życie jest wspaniałym tańcem, w którym nie do końca znamy choreografię. Uwielbiam życie. Jest piękne i skomplikowane, więc często nieprzewidywalne.

Jestem zafascynowana zwłaszcza jego początkiem, bo to niesłychanie ważne zagadnienia z medycznego punktu widzenia. Ale to też ogromnie frapujące z punktu widzenia czystej nauki, jako chęci poznania i rozumienia. To mnie napędza!

© Rozmawiała KAROLINA GŁOWACKA

REKLAMA

SALEZJAŃSKA FUNDACJA MISYJNA Don Bosco

Podaruj dobro

Zapewnijmy:
- jedzenie
- edukację
- leczenie

fundacjadonbosco.org

Ciemna misja Euklidesa

SEBASTIAN SZYBKA

Do słynnego teleskopu Jamesa Webba dołączył w tym roku w przestrzeni kosmicznej teleskop Euclid. Jego zadaniem jest rozwikłanie zagadki ciemnej materii i ciemnej energii.

Jest takie miejsce we wszechświecie, półtora miliona kilometrów stąd, zimne, puste i ciemne, gdzie ludzkość wysyła swoje najnowsze wynalazki. W kosmicznej ciszy, czterokrotnie dalej niż Księżyc, z dala od szumu Ziemi, można zawisnąć w przestrzeni i wpatrując się w czerń kosmicznej pustki, starać się zrozumieć wszechświat. Od prawie dwóch lat znajduje się tam słynny teleskop Jamesa Webba. To ten, który zachwyca nas zdjęciami odległych galaktyk. Towarzyszy mu sonda kosmiczna Gaia. Jej celem jest zmierzenie położenia miliarda gwiazd w naszej galaktyce. W wakacje zawitał tam trzeci podróżnik: teleskop Euclid.

Problem trzech ciał

Czemu te instrumenty wysyłamy właśnie tam? To kosmiczne miejsce równowagi sił, które umożliwia zajmowanie prawie stałej odległości względem centrum Ziemi w ruchu postępowym wokół Słońca. Zostało ono odkryte w połowie XVIII w., na długo przed tym, zanim pierwszy samolot braci Wright wzniósł się w powietrze i pierwsza rakieta przebiła atmosferę Ziemi. Dokonał tego, za pomocą pióra i kartki, matematyk Leonhard Euler. Dwadzieścia lat później dokładniejszą analizę tzw. zredukowanego problemu ruchu trzech ciał (Słońce, Ziemia i lekki trzeci obiekt, kręcące się w grawitacyjnym tangu) przeprowadził Joseph-Louis Lagrange. Obecnie miejsce to określane jest mianem punktu L2 Lagrange'a. Wraz z Ziemią porusza się wokół Słońca, zajmując pozycję na linii wyznaczonej przez środek Słońca i Ziemi. Analiza pełnego zagadnienia trzech ciał przeprowadzona przez Henri Poincaré'go, ponad sto lat po odkryciach Eulera i Lagrange'a, doprowadziła do rewolucji w naszym rozumieniu determinizmu. Echo tej odległej już rewolucji przedarło się ze świata nauki do świata literatury i można je dostrzec np. w opowiadaniu „Katedra" Jacka Dukaja czy też zekranizowanej niedawno powieści *science fiction* „Problem trzech ciał" Cixin Liu.

Teleskop Jamesa Webba, sonda Gaia i teleskop Euclid nie znajdują się dokładnie w punkcie L2. We wspólnym tańcu zakreślają w przestrzeni skomplikowane matematyczne krzywe, okrążając ten punkt. W ten sposób unikają kolizji. Zadanie, jakie stoi przed co najmniej sześcioletnią misją teleskopu Euclid, jest bardzo trudne: zbadać to, czego z definicji zobaczyć nie można – ciemną energię i ciemną materię. Zanim opowiemy, w jaki sposób Euclid zamierza wykonać swoje herkulesowe zadanie, przyjrzyjmy się specyfikacji technicznej misji.

Powtórka z geometrii

Teleskop Euclid został nazwany na cześć greckiego matematyka Euklidesa z Aleksandrii, który żył ok. 300 lat p.n.e. W szkole podstawowej wszyscy spotkaliśmy się z Pitagorasem i Archimedesem. Imię Euklidesa, nazywanego czasem „ojcem geometrii", również pojawia się na kartach współczesnych podręczników, ale najczęściej tych dotyczących matematyki wyższej. Einstein wykazał, iż grawitacja może zostać zrozumiana jako efekt geometryczny zakrzywienia czasoprzestrzeni. Grawitacja rządzi ruchem ciał na skalach astronomicznych. Stąd rozważania geometryczne Euklidesa okazały się być cenne na naprawdę kosmiczną skalę. Według Einsteina wszelkie formy energii, również ciemna materia i ciemna energia, zakrzywiają czasoprzestrzeń. Jeśli chcemy je poznać, to należy zbadać geometrię wszechświata.

Misja Euclid, w której uczestniczy około dwóch tysięcy naukowców, to projekt Europejskiej Agencji Kosmicznej. Teleskop ma średnicę 1,2 m, waży ok. dwóch ton i jest trochę większy od pasażerskiego busa. Obraz z teleskopu jest rejestrowany przez dwa instrumenty: kamerę na światło widzialne oraz kamerę na podczerwień połączoną ze spektrometrem. Światło widzialne i podczerwień to w istocie to samo zjawisko fizyczne: fale pola elektromagnetycznego, które różnią się między sobą długością (tak jak drobne zmarszczki i dłuższe fale na tafli jeziora).

Obserwowanie w podczerwieni (większa długość fali) ma wiele zalet: można zaglądać w zapylone obszary kosmosu, które podczerwień łatwiej przenika, a także spoglądać dalej. Wszechświat rozszerza się i światło odległych, uciekających od nas galaktyk ulega poczerwienieniu, tak jak zmienia się dźwięk sygnału oddalającej się od nas karetki. Spektrometr to urządzenie, które umożliwia zbadanie widma promieniowania, czyli dokładne określenie natężenia promieniowania o danej długości fali (wracając do poprzedniej metafory: czy trafia do nas więcej fal drobnych czy długich). Wędkarz, uważnie przyglądający się falującej powierzchni jeziora, prawdopodobnie potrafi ocenić, czy uderzające o brzeg fale wywołała motorówka, czy sum. Astronom, badając widmo promieniowania, może tymczasem określić skład chemiczny źródła, temperaturę, a nawet prędkość ruchu względnego.

Teleskop Euclid ma inną specyfikację niż jego słynny sąsiad, teleskop Jamesa Webba. Jeśli teleskop Webba porównamy do teleobiektywu, to Euclid będzie odpowiadał obiektywowi szerokokątnemu. Jedno zdjęcie wykonane za pomocą Euclida pokrywa ponad sto razy większy obszar nieba niż zdjęcie wykonane w podczerwieni przez teleskop Webba. Sprawia to, że Euclid może szybko zbierać informacje o dużych obszarach wszechświata. Z drugiej strony, nie może on tak dokładnie przyglądać się odległym obiektom. Dlatego nie powinniśmy oczekiwać równie spektakularnych zdjęć jak te, których dostarcza nam teleskop Webba. Za to według planów zdjęcia wykonane przez teleskop Euclid pokryją łącznie aż jedną trzecią nieba. Został on wystrzelony 1 lipca, a w listopadzie otrzymaliśmy pierwsze zdjęcia, które potwierdziły, iż pracuje zgodnie z oczekiwaniami.

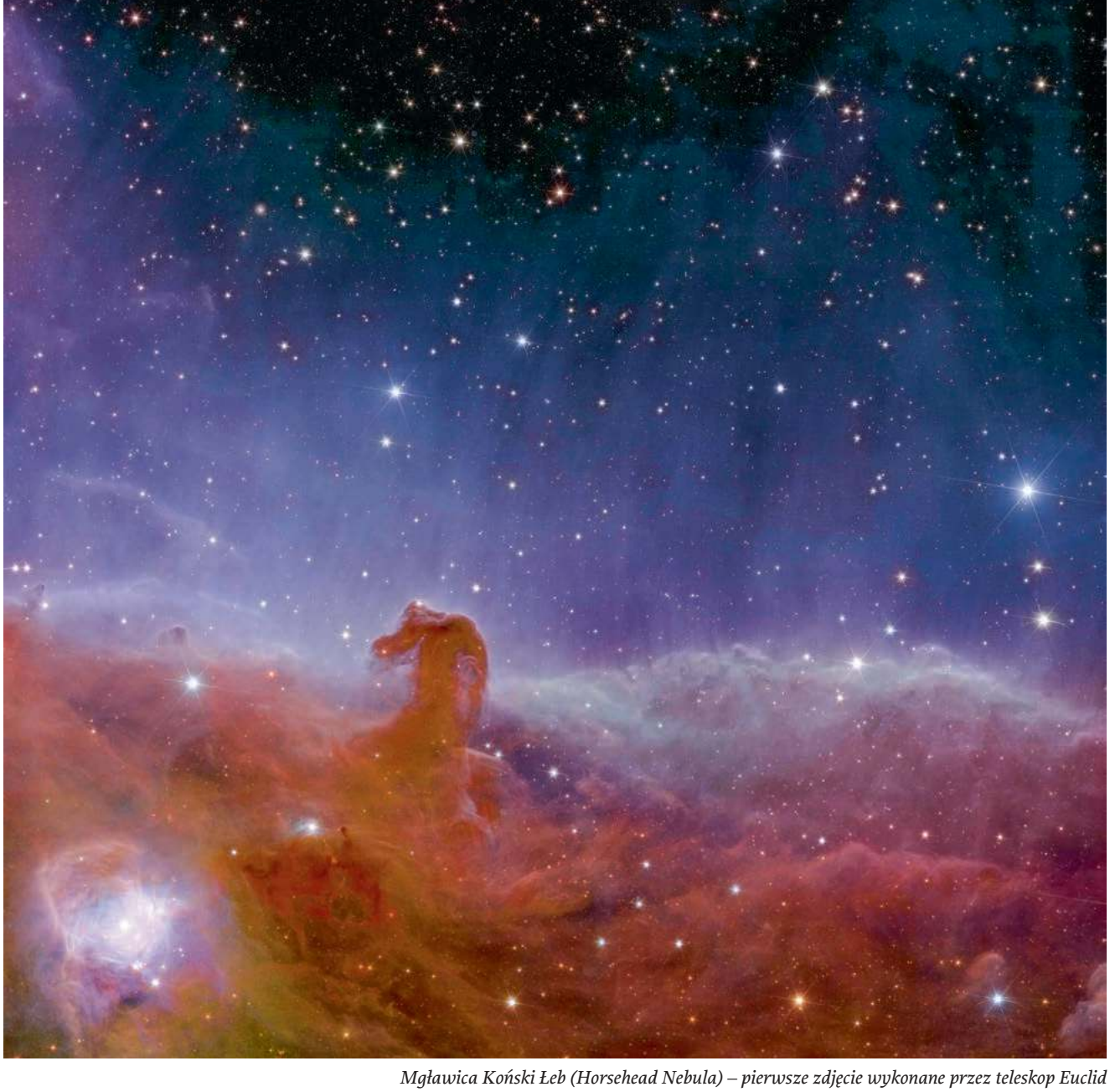

ESA / MATERIAŁY PRASOWE

Mgławica Koński Łeb (Horsehead Nebula) – pierwsze zdjęcie wykonane przez teleskop Euclid

Ciemne składniki

Jak badać to, co niewidoczne? Odpowiedź na to pozornie paradoksalne pytanie jest prosta: obserwując to, co widać. W połowie XIX w. astronomiczne obserwacje drobnych zaburzeń w ruchu planety Uran doprowadziły do postawienia hipotezy o istnieniu niewidzianej wcześniej planety – Neptuna. Hipoteza okazała się prawdziwa.

Od 90 lat astronomowie zbierają coraz to dokładniejsze dowody, zarówno na skalach galaktycznych, jak i niewyobrażalnie większych skalach kosmologicznych, wskazujące na to, że materia, którą widzimy, porusza się we wszechświecie tak, jakby istniało coś jeszcze, czego nie potrafimy bezpośrednio zaobserwować. Ten tajemniczy, niewidoczny bezpośrednio składnik wszechświata został nazwany ciemną materią.

Obecnie na Ziemi i w przestrzeni kosmicznej działa kilkadziesiąt eksperymentów, w których próbuje się bezpośrednio wykryć ciemną materię. Jak na razie bez skutku. Przyroda nie przejmuje się jednak brakiem naszych postępów i zamiast odpowiedzi, dwadzieścia lat temu podsunęła nam kolejną, jeszcze dziwniejszą zagadkę. Obserwacje na największych kosmologicznych skalach wykazały, że tempo ekspansji wszechświata rośnie – tzn. galaktyki nie tylko oddalają się od siebie, ale robią to coraz szybciej.

A przecież zwykła oraz ciemna materia spowalniają tempo ekspansji – działają przyciągająco, a nie odpychająco. Interpretacja tego typu obserwacji, w ramach teorii Einsteina, implikuje istnienie jeszcze innego składnika wszechświata (o innych właściwościach niż zwykła materia i ciemna materia). Składnik ten nazwano ciemną energią. Ostateczny bilans okazał się dla nauki dramatyczny: 95 proc. tego, co istnieje, jest obserwowane tylko pośrednio (ciemna materia stanowi 27 proc., a ciemna energia 68 proc. całości).

Oczywiście, w nauce nigdy nie ma pewności. W XIX w., tuż po odkryciu Urana, stosując analogiczną metodę analizy zaburzeń ruchu tym razem w odniesieniu do planety Merkury, postawiono hipotezę o istnieniu nieobserwowanej wcześniej planety Wulkan. Ale ta hipoteza okazała się fałszywa: Wulkana nigdy nie zaobserwowano. Rozwiązanie zagadki zaburzeń orbity Merkurego przyniosła ↦

↦ dopiero teoria grawitacji Einsteina. Okazało się, że teoria grawitacji Newtona nie jest dostatecznie precyzyjna, by wytłumaczyć ruch Merkurego, a obserwacje zinterpretowane w ramach nowej, dokładniejszej teorii nie prowadzą już do wniosków o istnieniu Wulkana. Ciemna energia i ciemna materia mogą podzielić los Wulkana, jeśli okaże się, iż teoria grawitacji Einsteina nie jest wystarczająco precyzyjna, by poprawnie zinterpretować w ramach niej nasze obserwacje. Skonstruowanie teorii, która odtworzyłaby wszystkie niebywałe sukcesy teorii Einsteina i jednocześnie pozwoliłaby się pozbyć ciemnej materii lub ciemnej energii, jest niezwykle trudne. Nikomu się to do dzisiaj nie udało.

Wszechświat 3D

Naukowcy nie wiedzą, czym są ciemne składniki wszechświata, ale wiedzą, jak zabrać się do pracy. Należy zebrać jak najwięcej informacji na ich temat. Zwykła materia, z której zbudowane są gwiazdy, zanurzona jest w ciemnej materii i energii niczym rodzynki w cieście. Dane z Euclida w połączeniu z danymi z naziemnych teleskopów umożliwią wyznaczenie odległości do miliarda galaktyk. W ten sposób powstanie trójwymiarowa mapa wszechświata. Ze względu na to, że światło porusza się ze skończoną prędkością, jednym z trzech wymiarów tej mapy będzie czas.

Galaktyki, które znajdują się daleko, widzimy takimi, jakie były dawniej. Te, które są bliżej, obserwujemy w późniejszych etapach ewolucji wszechświata. Nie dosyć, że zobaczymy, jak zwykła materia rozłożona jest we wszechświecie, to dowiemy się, jak jej rozkład ewoluował w czasie. Rozkład zwykłej materii i jego zmiany zależą od ciemnej materii i ciemnej energii, tak jak trajektoria Urana zależy od trudniejszego do dostrzeżenia Neptuna. Euclid zamierza sięgnąć aż 10 mld lat wstecz, co przy wieku wszechświata szacowanym na 13,8 mld lat jest wielkością niebagatelną.

Mapy wszechświata, podobne do tej, jaką sporządzi teleskop Euclid, wykonuje się od dawna. Nie jest to nowy pomysł. Obecnie podobne zadanie wykonuje np. naziemny instrument The Dark Energy Spectroscopic Instrument (DESI). Siłą Euclida jest precyzja i liczba obiektów, które zostaną zobrazowane. W przeciwieństwie do przeglądów nieba wykonywanych za pomocą instrumentów naziemnych, Euclid nie zerka spod płaszcza ziemskiej atmosfery, może więc swobodnie wykonywać obserwacje w podczerwieni, bez trudu sięgając daleko w przestrzeni i czasie (bo ziemska atmosfera blokuje znaczną część promieniowania podczerwonego). Sekret ciemnych składników wszechświata ukryty jest w subtelnościach kosmicznych ruchów zwykłej materii, a te mamy nadzieję zrozumieć dzięki przeanalizowaniu ogromnych ilości danych, których dostarczy nam Euclid.

> Na Ziemi i w przestrzeni kosmicznej działa kilkadziesiąt eksperymentów, w których próbuje się bezpośrednio wykryć ciemną materię.
> **Jak na razie bez skutku.**

Nobel za jedną liczbę

Dane obserwacyjne zawsze interpretuje się w ramach teorii. W przypadku obserwacji astronomicznych na wielkich skalach, które bada Euclid, jedyną sprawdzoną teorią, jaką posiadamy, jest teoria grawitacji Einsteina. Dane dostarczone przez ten instrument zostaną przeanalizowane w setkach, a być może nawet tysiącach publikacji. Istnieje wiele sposobów, na jakie można je wykorzystać, aby dowiedzieć się czegoś nowego o ciemnych składnikach wszechświata. Trudno omówić choćby część z nich, a zapewne w ciągu najbliższych lat powstanie wiele nowych. Dla przykładu przyjrzyjmy się bliżej jednemu z takich zagadnień.

Pojęcie ciemnej energii zagościło na dobre w dyskusjach astronomicznych na początku tego wieku. Jednak jeśli przyjrzymy się uważnie historii nauki, to już w 1917 r. Albert Einstein wprowadził do swojej teorii analogiczną koncepcję. Einstein, kierując się przesłankami, które dosyć prędko okazały się błędne, uzupełnił równania odkrytej dwa lata wcześniej przez siebie teorii o dodatkowy człon zawierający nową stałą, zwaną stałą kosmologiczną.

Taki dodatkowy człon nie psuje struktury teorii grawitacji. Wszystkie dotychczasowe obserwacje astronomiczne pozostają zgodne z najprostszą hipotezą: ciemna energia jest równoważna dodatniej stałej kosmologicznej. W takim przypadku nazwa „ciemna energia" byłaby trochę na wyrost i wyrażałaby ludzką tęsknotę za tym, by nadawać jakiekolwiek interpretacje rzeczom nieznanym. Nie mamy pewności, czy stałą kosmologiczną można interpretować jako pewną formę energii (opis matematyczny w teorii Einsteina, bez względu na interpretację, pozostaje ten sam). Być może stała kosmologiczna jest tożsama z rodzajem ciemnej energii zwanym energią próżni, a być może jest to nowa fundamentalna stała opisująca geometrię wszechświata, dla której na razie nie znamy bezpośredniej fizycznej interpretacji.

W praktyce odpowiedź na pytanie, czy ciemna energia to stała kosmologiczna, sprowadza się do sprawdzenia, czy pewna wielkość pojawiająca się w równaniach Einsteina, oznaczana przez w, jest równa minus jeden. Mamy wielką nadzieję, że Euclid pomoże rozwiązać ten dylemat. Jeśli dane z tego teleskopu jednoznacznie pokażą, iż w jest różne od minus jeden, to byłoby to sensacyjne odkrycie na miarę Nagrody Nobla, prowadzące do egzotycznej fizyki. Ta egzotyczna fizyka to albo egzotyczna ciemna materia, albo egzotyczna nowa teoria grawitacji

Kluczowe dla wyznaczenia wartości tej stałej jest precyzyjne ustalenie, w jaki sposób w trakcie ewolucji wszechświata zmieniało się tempo oddalania się od siebie galaktyk oraz jak prędko galaktyki tworzyły w nim jeszcze większe struktury. Informacje te zawarte będą w danych dostarczonych przez Euclida.

■■■

Spektakularne zdjęcia z teleskopu Jamesa Webba wspaniale ilustrują, w jaki sposób postęp technologiczny przyczynia się do rozkwitu astronomii. Teleskop Euclid jest tego kolejnym przykładem. Oba też się znakomicie uzupełniają – dzięki nim możemy podziwiać zarówno kosmiczne szczegóły, jak i podglądać wszechświat w wielkiej skali. © SEBASTIAN SZYBKA

REKLAMA

MENTAL HEALTH

Esther Perel

GEOPOLITICS

Ivan Krastev

GEOPOLITICS

Sanna Marin

CULTURE

Jesse Eisenberg

GEOPOLITICS

Valerie Jarrett

GEOPOLITICS

Peter Zeihan

GEOPOLITICS

Alexandra Polivanova

GEOPOLITICS

Sławomir Sierakowski

FINANCE

Mark Barnett

FINANCE

Michał Gajewski

BUSINESS

Anna Rulkiewicz

INVESTMENTS

Krzysztof Krawczyk

INVESTMENTS

Sebastian Kulczyk

impact'24

15-16 MAJA 2024
POLSKA / POZNAŃ
WWW.IMPACTCEE.COM

KUP BILET

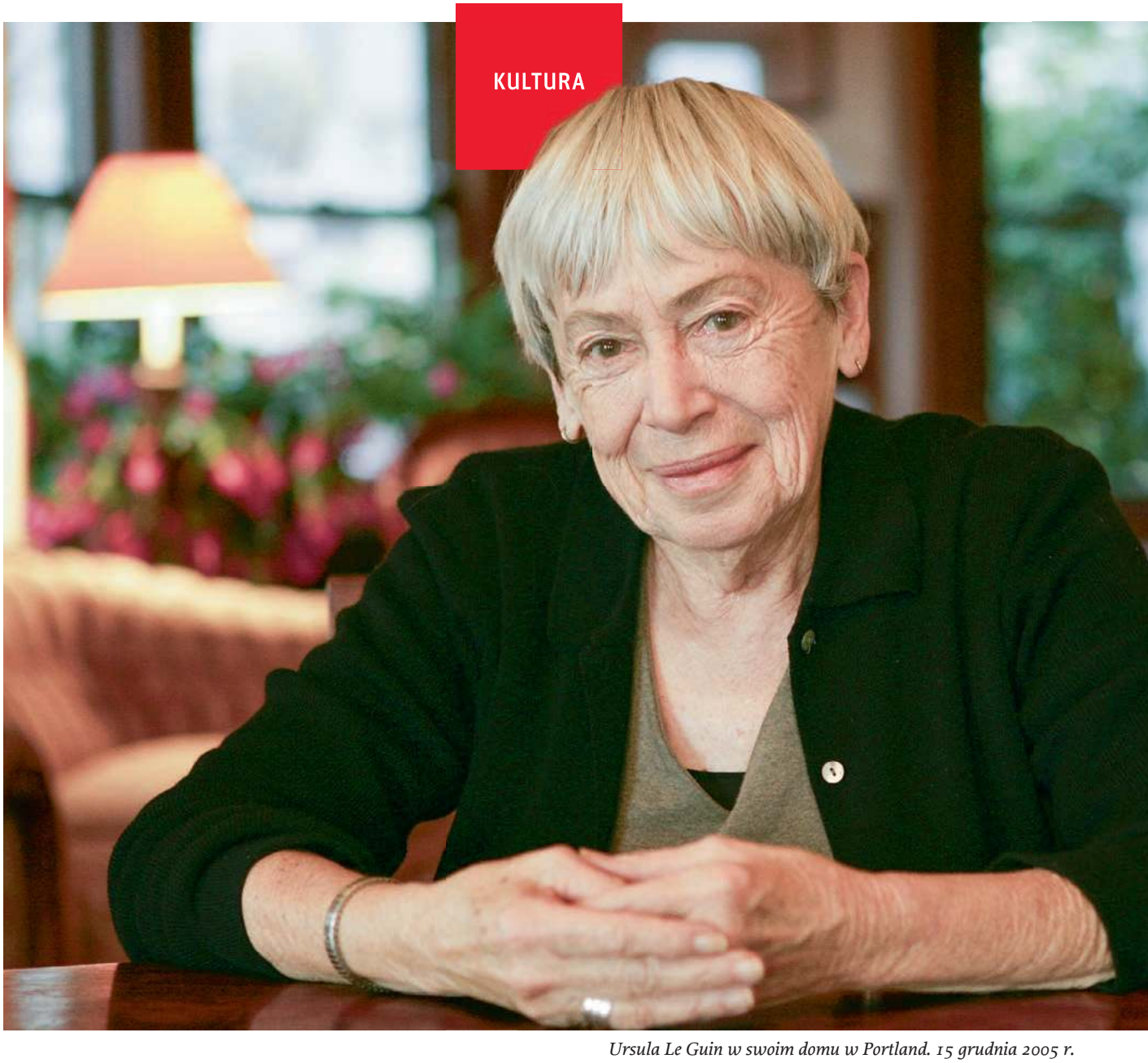

Ursula Le Guin w swoim domu w Portland. 15 grudnia 2005 r.

NAPEŁNIJ KOSZ I WRÓĆ DO DOMU

Do monumentalnej serii polskich przekładów dołączyła właśnie ostatnia powieść Ursuli K. Le Guin. Pisarki, która rozsadziła ramy fantasy i science fiction, wyprzedzając swój czas o dziesięciolecia.

PIOTR KOFTA

DAN TUFFS / GETTY IMAGES

Pamiętnego 29 sierpnia 1911 r. pracownicy fermy rzeźniczej położonej w pobliżu północnokalifornijskiego Oroville zadzwonili do szeryfa z informacją, że znaleźli i zatrzymali dzikiego człowieka. Dziki człowiek, okryty jedynie brezentową szmatą, zdezorientowany, przerażony i wygłodzony, nie stawiał żadnego oporu, gdy zakładano mu kajdanki. Nie mówił. Szeryf, nie wiedząc chwilowo, co zrobić z dzikim człowiekiem, przewiózł go do więzienia w Oroville i umieścił w celi, zwyczajowo przeznaczonej dla osób chorych psychicznie.

Dziki człowiek nie znał angielskiego, hiszpańskiego ani okolicznych rdzennych języków. Kiedy się wreszcie odezwał, jego mowy też nikt nie zrozumiał, nawet miejscowi Indianie pochodzący z różnych plemion, choć wyglądał najzupełniej indiańsko. Przez pierwsze dni w celi nie jadł, nie pił i nie spał – zachowywał spokojną czujność, a miał ku temu powody, został bowiem lokalną atrakcją: ludzie przychodzili go sobie obejrzeć, pod celą dzikiego człowieka kręcili się dziennikarze, robili mu zdjęcia, pisali sensacyjne artykuły.

Jedna z gazet trafiła w ręce dwóch antropologów z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, Alfreda Kroebera i Thomasa Talbota Watermana, badaczy starych języków Ameryki, specjalistów od pracy terenowej wśród Indian. Wizytę jednego z nich – Watermana – w Oroville poprzedził pilny telegram. Waterman nie przyjechał nieprzygotowany, miał ze sobą spis fonetycznie zapisanych słów języka plemienia Yana, z którego, jak przypuszczali naukowcy, mógł pochodzić przybysz. Antropolog zaczął odczytywać listę, Indianin słuchał, lecz nie reagował, ożywił się dopiero pod koniec wyliczanki, gdy padło słowo *siwini* – „żółta sosna". *Siwini* – powtórzył, poprawiając wymowę Watermana, i rozpromienił się.

Gdy okazało się, że dziki człowiek nie jest niebezpieczny, lokalne władze chętnie pozbyły się problemu – antropologowie z Berkeley zaproponowali, że przewiozą przybysza do uniwersyteckiego muzeum i tam zapewnią mu opiekę. Tak też się stało: przez kolejne pięć lat, aż do końca swojego życia (zmarł na gruźlicę), Indianin, niezwykle zrównoważony i życzliwie usposobiony mężczyzna z epoki kamiennej, mieszkał w budynku muzeum, będąc zarazem asystentem badawczym i czymś na kształt żywego eksponatu. Nazywano go Ishi, co w języku jego plemienia oznaczało „człowiek". Nigdy nie wyjawił swojego prawdziwego imienia. W chwili śmierci miał – z grubsza licząc – 55 lat. Nawiązał wiele przyjaźni – wspominając Ishiego, przyjaciele (przeważnie biali) nie szczędzili wielkich słów: deklarowali, że był nadzwyczajną, piękną i uduchowioną ludzką istotą.

To jedna strona medalu, druga to opowieść o brutalnej eksterminacji całego narodu, którego terytorium od połowy XIX w. było zajmowane na pastwiska dla bydła i eksplorowane przez poszukiwaczy złota. Ishi był ostatni ze swojego szczepu i całego swojego plemienia – jego ludzi, przy obojętnej postawie lokalnych stróżów prawa, gwałciły i mordowały prywatne milicje, wynajmowane przez zachłannych farmerów. Ishi wraz z nielicznymi ocalałymi członkami rodziny przez długie lata ukrywał się w górach; w końcu został sam. Zdesperowany, wędrował bez celu, bo jego życie po prostu straciło sens.

Dlaczego jednak w ogóle przywołuję historię Ishiego? To proste: antropolog Alfred Kroeber był ojcem Ursuli K. Le Guin (inicjał „K." to właśnie „Kroeber"), jednej z najwybitniejszych amerykańskich pisarek XX wieku; zapewne najwybitniejszej, gdyby ograniczyć się tylko do tzw. fikcji spekulatywnej, zwanej również fantastyką. Matka Ursuli K. Le Guin, Theodora Kroeber, to z kolei autorka słynnej monografii „Ishi. Człowiek dwóch światów".

W narracji o Ishim zbiega się wiele wątków, które później pojawią się w twórczości Le Guin: od antropologicznego namysłu nad Innym, przez refleksję o humanistycznych uniwersaliach, zbrodniach kolonializmu i ekologicznej równowadze, po opowieści o pierwszym kontakcie oraz utopie opisujące życie poza cywilizacją kapitalistyczno-industrialną (albo po jej upadku). Nie twierdzę oczywiście, że Ishi stoi za całym pisarstwem Le Guin – ale, prócz tego, że był człowiekiem z krwi i kości, może być tego pisarstwa czytelną, choć naturalnie niekompletną, metaforą.

Wyczerpująca wspinaczka

Urodzona w 1929 r., zmarła w 2018 r. Ursula nie mogła znać Ishiego, wychowała się jednak w domu, w którym opowiadano o nim i wiedziano wszystko o genocydzie rdzennej Ameryki. W rodzinie postępowych intelektualistów, naukowców i nałogowych czytelników – trzech jej braci zostało profesorami – nie było ucieczki przed światem liter oraz idei. Ona sama studiowała literaturę francuskiego i włoskiego renesansu w Radcliffe College. Była to prowadzona przez Uniwersytet Harvarda elitarna szkoła wyższa dla kobiet, jako że sam Harvard do lat 70. zeszłego wieku kobiet nie przyjmował.

Dyplom magisterski otrzymała na Uniwersytecie Columbia, zaraz potem przyznano jej stypendium Fulbrighta na roczny pobyt w Paryżu. Krótko mówiąc, miała zostać naukowczynią – filolożką ↦

↦ albo historyczką literatury; u jej stóp lśniły proste tory prowadzące ku profesorskiej posadzie na mocnej amerykańskiej uczelni. Los jednak zdecydował inaczej. Na statku płynącym do Francji Ursula poznała młodego historyka Charlesa Le Guina – w parę miesięcy później byli już po ślubie. On kontynuował karierę, ona rodziła mu, kolejno, trójkę dzieci, dorabiając jako sekretarka i nauczycielka francuskiego. W 1959 r. przeprowadzili się do Portland w stanie Oregon, gdzie osiedli na resztę życia. Żadnych szaleństw i rozwodów, małżeńska nuda aż do późnej emerytury. Wychowywanie latorośli, czytanie i pisanie. Ale za to jakie pisanie!

Le Guin zaczęła na poważnie pisać jeszcze na studiach, w ciągu dekady lat 50. powstało przynajmniej parę powieści i wiele opowiadań osadzonych w fikcyjnym środkowoeuropejskim państwie zwanym Orsinią – nie były to utwory fantastyczne *sensu stricto*, raczej swobodne wariacje na temat historii nowożytnej (z jej wojnami, rewolucjami, przewrotami) i rozmaitych manier literackich, ze szczególnym naciskiem na romantyzm. „Bohaterami byli w większości mężczyźni, ponieważ na początku lat 50. literatura traktowała głównie o mężczyznach; w historii najważniejsi byli mężczyźni i myślałam, że książki też muszą być o mężczyznach" – wspominała Le Guin we wstępie do pełnego wydania opowieści z Orsinii („Cała Orsinia. Malafrena. Opowiadania i piosenki"). Teksty te ujrzały światło dzienne dopiero w latach 70., gdy pisarka cieszyła się już zasłużoną sławą.

W 1951 r. znany wydawca Alfred Knopf w odpowiedzi młodej autorce nazwał nadesłane opowiadania „zwariowanym cholerstwem". „Istniała możliwość, że był po prostu uprzejmy, ponieważ znał mojego ojca" – wspominała Le Guin – ale stwierdził, że w sumie mu się podobało, tyle że publikacja byłaby wielce ryzykowna. „Taka odmowa od takiego człowieka wystarczy, by zachęcić młodą pisarkę do dalszego tworzenia". Utwory wedle ówczesnych standardów nadające się do druku Le Guin zaczęła dostarczać popularnym magazynom, „Fantastic" Ziffa Davisa i „Amazing Stories" Hugona Gernsbacka, dopiero na początku lat 60.

Ujmujący jest harmonijny spokój tych powieści.

„Wierzę, że dojrzałość nie jest jedynie wyrastaniem z dzieciństwa, lecz wzrastaniem wraz z nim" – pisała Le Guin.

Był to bardzo dobry moment, by zacząć uprawiać fantastykę. Być może najlepszy, jaki w ogóle można sobie wyobrazić: bo fantastyka, zarówno ta spod znaku SF, jak i ta z nurtu fantasy, także miała swoją nową falę, i ta nowa fala właśnie w latach 60. urwała się z postronka groszowego popu i rakietowych podniet dla nastolatków, zmierzając w stronę literackiego eksperymentu, psychodelii, anarchizmu, dekonstrukcji religii i polityki: w stronę kontrkultury.

Otworzyło się też wówczas okienko dla pisarek w tej dotychczas ściśle męskiej dyscyplinie artystycznej. W wywiadzie udzielonym pod koniec życia – zapytana o to, czy czuje się dumna z faktu, że jej książki publikowane są w prestiżowej serii „Library of America" – Le Guin odparła: „Proszę pamiętać, że rozmawia pan z kobietą. Dla kobiety każda nagroda literacka, wszelkie honory, jakiegokolwiek rodzaju wyróżnienie – to wynik wyczerpującej wspinaczki. A jeśli ponadto upiera się ona przy mieszaniu konwencji oraz pisaniu SF, fantasy i rozmaitych rzeczy w ogóle trudnych do określenia, ta wspinaczka jest dalece cięższa".

Eksperymenty myślowe

Ową wspinaczkę Le Guin odbywała jednak na własnych warunkach: za cokolwiek się wzięła w fantastyce, łamała tabu i zmieniała reguły gry. Już jej debiutancka powieść, „Świat Rocannona" (1966) gardzi sekciarskimi podziałami: jest to zarazem *fantasy* i *science fiction*. Owa powieść dała początek całemu „Cyklowi Haińskiemu", najistotniejszej zapewne w dziejach gatunku serii powieści eksplorujących socjologiczno-antropologiczny wymiar SF. Le Guin wzięła tu na warsztat rodzącą się wówczas konwencję *space opery*, ale pominęła w niej wszystko to, co jej nie interesowało: militaryzm, imperializm, mesjanizm. Po zdrapaniu tej męskiej pozłoty przystąpiła do swoich fenomenalnych spekulacji i napisała choćby „Lewą rękę ciemności" (1969), taoistyczną z ducha powieść o planecie, której mieszkańcy są wprawdzie ludźmi, lecz jednocześnie nie mają określonej płci – czy też, potencjalnie, mogą być albo mężczyzną, albo kobietą, lecz jedynie w określonych dniach cyklu, obwarowanych tabu i obyczajem. Konsekwencje takiego stanu rzeczy – cywilizacyjne, międzyludzkie, genderowe – są osobliwie trudne do pojęcia dla „ziemskiego" czytelnika.

Inną znaczącą powieścią z „Cyklu Haińskiego" są „Wydziedziczeni" (1974), rzecz o niewielkim globie Anarres zamieszkałym przez społeczność anarchistów posługujących się sztucznie stworzonym językiem, unikającym szowinizmu i podkreślania nierówności. Obywatele owej krainy, rewolucjoniści, uciekinierzy z pobliskiej planety, bogatej, kapitalistycznej, mizoginistycznej, są twórcami utopii z problemami (ale nie dystopii – Le Guin nigdy nie była pisarką dystopijną), bowiem nawet w świecie, w którym brak hierarchii majątku i płci, wymiany pieniężnej, ściśle sformalizowanej dyscypliny pracy i małżeństwa, istnieje ryzyko, że jakieś nieformalne biuro polityczne zechce przejąć władzę, albo że niedostosowana jednostka nie będzie umiała znaleźć sobie miejsca w rzeczywistości kolektywnej kontroli społecznej. Świat Anarres przypomina trochę izraelskie kibuce, trochę maoistowskie fantazje buntowniczej lewicy (bo raczej nie sam maoizm) – jest fascynującym odbiciem ówczesnych marzeń o zejściu z linii ognia, zbudowaniu czegoś poza systemem.

Le Guin podchodziła z dezynwolturą do pomysłu, że SF ma być artystyczną wypustką futurologii, mechaniczną ekstrapolacją zjawisk istniejących w naszych

RDC POLSKIE RADIO

AUTORKI I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

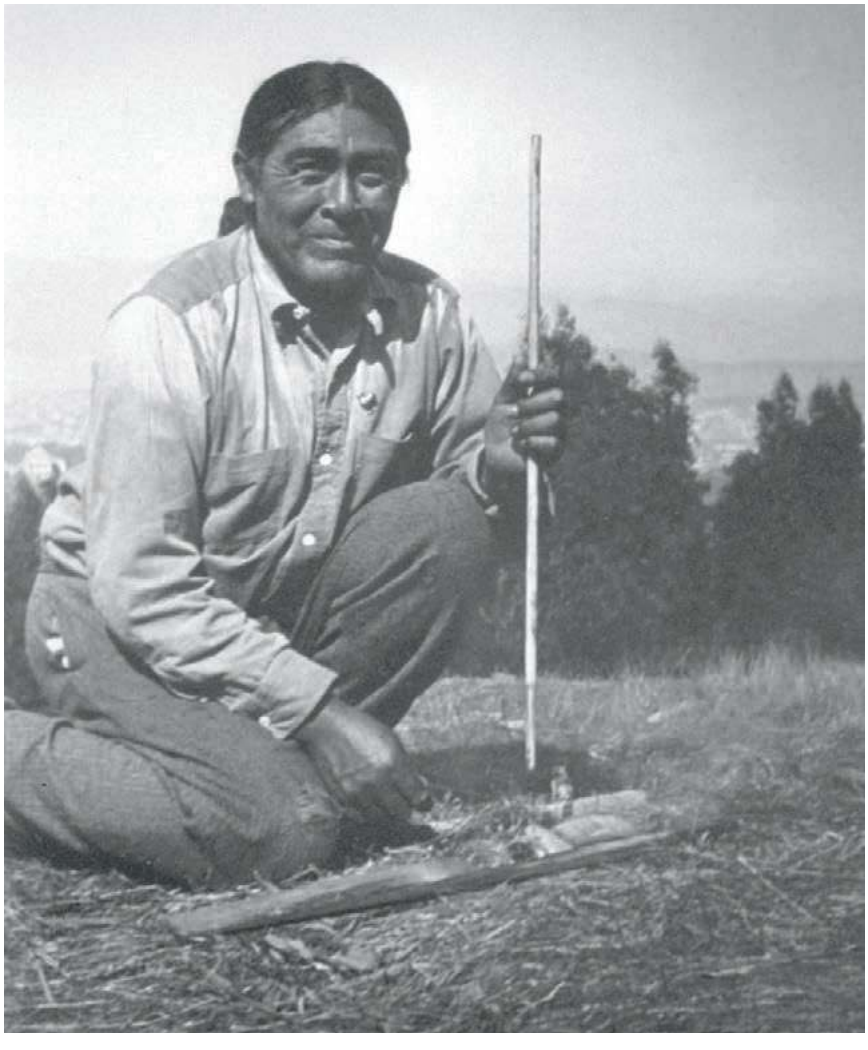

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Ishi rozpalający ogień

czasach, teleologiczną narracją zakończoną zbawieniem albo apokalipsą. Powinna być czymś innym: eksperymentem myślowym. „W tak pomyślanej historii nie ma potrzeby rezygnacji z moralnej złożoności właściwej nowoczesnej powieści i nie mamy założonego żadnego ślepego zaułka. Myśl i intuicja poruszają się swobodnie w obrębie granic eksperymentu, które mogą być bardzo rozległe" – zauważała we wstępie do „Lewej ręki ciemności". „Kiedy czytamy powieść, jesteśmy wariatami. Wierzymy w istnienie ludzi, których nie ma, słyszymy ich głosy. (...) Jestem (...) artystą, a zatem kłamcą. Nie wierzcie w nic, co wam mówię. Mówię wam prawdę. Jedyna prawda, jaką potrafię zrozumieć i wyrazić, jest, logicznie biorąc, kłamstwem. Psychologicznie biorąc, symbolem. Estetycznie ujmując, metaforą. (...) Piszę *science fiction*, a *science fiction* nie mówi o przyszłości. Nie wiem o przyszłości więcej niż wy, a bardzo możliwe, że mniej (...) W literaturze przyszłość jest metaforą. (...) Czytając powieść, każdą powieść, musimy doskonale wiedzieć, że cała jest nonsensem, i jednocześnie wierzyć w każde jej słowo".

Dorosły nie jest martwym dzieckiem

Z podobnym rozmachem i wiarą autorka przystąpiła do rozmontowywania fantasy jako opowieści o rycerzach, czarodziejach i elfach osadzonej w sfingowanym średniowieczu. Cykl o Ziemiomorzu, rozpoczęty „Czarnoksiężnikiem z Archipelagu" (1968), rozgrywający się w umownym wyspiarskim uniwersum, miał być początkowo przeznaczony dla nastoletnich odbiorców – w każdym razie tak zakładał wydawca. Le Guin tymczasem zrekonfigurowała figurę maga, czyniąc jego historię opowieścią nie o kolejnym wcieleniu brodatego Merlina, lecz o dojrzewaniu (z czego po latach skwapliwie skorzystała J.K. Rowling, tworząc postać Harry'ego Pottera; zresztą charakterystykę szkoły dla czarodziejów też podwędziła od Le Guin), a samą magię zdefiniowała jako sztukę nazywania i – znów kłania się taoizm – utrzymywania chwiejnej równowagi w świecie. Do tej konstrukcji dołożyła jungowskie archetypy i cień personalny, natomiast wyspiarzom podarowała ciemną skórę – to biali są w tej rzeczywistości barbarzyńcami. Płynnie przechodząc od życia do mitu i z powrotem, antycypując kulturowe miksy postmodernizmu, Le Guin pisała o miłości i erotyzmie („Grobowce Atuanu", 1971), o śmierci („Najdalszy brzeg", 1972), ale też o mrocznej sile kobiecości („Tehanu", 1990). Ujmujący jest harmonijny spokój tych powieści, ich wyważenie, lapidarna mądrość. „Wierzę, że dojrzałość nie jest jedynie wyrastaniem z dzieciństwa, lecz wzrastaniem wraz z nim: że dorosły nie jest martwym dzieckiem, lecz dzieckiem, które przetrwało" – pisała Le Guin w 1973 r. w głośnym eseju „Dlaczego Amerykanie boją się smoków?". A dlaczego się boją? Bo żyją w purytańskiej, męskiej kulturze, która lęka się wolności i wyobraźni.

Spekulatywną odpowiedzią na tę kulturę – prowadzącą cywilizację do niechybnej zguby – miała być, jak należy przypuszczać, najambitniejsza formalnie książka Le Guin, czyli „Wracać wciąż do domu" (1985), ułożona na kształt archiwum antropologicznych badań terenowych quasi-utopijna historia z Kalifornii po końcu aktualnej cywilizacji (katastrofa jest tu tak odległa, że nikt już o niej nie pamięta). Przez pryzmat rozmaitych dokumentów, sprawozdań, nagrań, zapisów, fragmentów podręczników odnoszących się do matriarchalnego ludu Kesh autorka bada inne sposoby organizacji społeczeństwa, odmienne szanse i odmienne zagrożenia. Lektura tej monumentalnej, feministycznej powieści przywodzi na myśl wydany u nas przed rokiem antropologiczny manifest Davida Graebera i Davida Wengrowa „Narodziny wszystkiego. Nowa historia ludzkości"; pojemna formuła pozwoliła Le Guin opowiedzieć w zasadzie o tym samym – o przypadkowości i niekonieczności naszego świata – ponad trzy dekady wcześniej. ↦

Historia o torbie i domu

↦ A skoro przy pojemności jesteśmy, to o przewrotnej naturze temperamentu Le Guin najlepiej, być może, zaświadcza esej „Teoria fikcji literackiej jako torby" z 1986 r.: „Myśliwi polujący na mamuty widowiskowo zagarnęli ściany jaskiń i nasze umysły, podczas gdy w istocie utrzymywaliśmy się przy życiu i obrastaliśmy w tłuszczyk dzięki zbieraniu nasion, korzonków, pędów, kiełków, liści, orzechów, jagód i ziaren, dorzucając do tego robaki i ślimaki, ewentualnie ptaki, ryby, szczury, króliki oraz inne drobne pieczyste – bez kłów". Co zaś mają zbieracze zamiast włóczni? Mają torby. I to właśnie torba (koszyk, pojemnik), nie zaś włócznia, była pierwszym narzędziem pierwotnej kultury.

Historia o włóczni i zabijaniu to historia męska. Historia o torbie i domu – kobieca. Chodzi o to, by znaleźć nowy, nieagresywny sposób opowiadania o historii ludzkości.

Problem w tym, rzecz jasna, że łowca z włócznią jest atrakcyjny jako główny protagonista bohaterskiej opowieści. „Znamy tę historię, bo słyszeliśmy o tych wszystkich kijach, włóczniach i mieczach, przedmiotach służących do uderzania, szturchania i uderzania, o tych długich, twardych rzeczach. Ale nie słyszeliśmy o rzeczy, w której można przechowywać inne rzeczy (...). To jest coś nowego, to jest nowa opowieść. (...) Dopóki tłumaczono mi, że kultura bazuje na coraz bardziej wyrafinowanym używaniu długich, twardych przedmiotów do kłucia, uderzania i zabijania, dopóty nie sądziłam, że jestem bądź pragnę być jej istotną częścią. (...) Ponieważ [jednak] też chciałam być człowiekiem, szukałam dowodów na to, że nim jestem. (...) Jeśli ludzką rzeczą jest włożyć coś – ponieważ jest użyteczne, jadalne lub piękne – do torby, koszyka, kawałka zwiniętej kory (...), do siatki utkanej z własnych włosów lub do czegokolwiek innego, a następnie zabrać to ze sobą do domu, bo dom jest kolejnym, większym przykładem sakiewki lub torby (...), to w końcu jestem istotą ludzką. W pełni, swobodnie, z radością, po raz pierwszy".

Historia o włóczni i zabijaniu to historia męska. Historia o torbie i domu – kobieca. Chodzi o to, by znaleźć alternatywny, inkluzywny, nieagresywny sposób opowiadania. O narrację rozumianą właśnie jako pojemnik, a nie narzędzie dominacji, skupione na konflikcie. Jako miejsce zamieszkiwane przez ludzi, nie przez bohaterów. Można tego dokonać w sztuce – choćby pisząc powieści *science fiction*, które nie dają się upchnąć w progresywny schemat podboju. „Oczywiście, ciężko jest opowiedzieć ciekawą historię o łuskaniu ziaren owsa, ale nie powiedziałabym, że niewykonalne". Fikcja spekulatywna może okazać się niezwykle ciekawym obszarem działalności kulturowej, jeśli tylko zrezygnować z włóczni na rzecz pojemników. Odpuszczając sobie prometeizm i apokaliptyzm, porzucamy szkodliwy mit na rzecz egzystencjalnego realizmu. „To dziwny realizm, ale i dziwna rzeczywistość" – pisze autorka, którą zawsze najbardziej ciekawiły kwestie kooperacji i równowagi, a nie zwycięstw i porażek.

Kończąca serię wznowień książek Le Guin, wydana właśnie „Lawinia" to ostatnia powieść autorki, oryginalnie wydana w 2008 r. Stanowi w pewnym sensie powrót do młodzieńczych zainteresowań Le Guin kulturą łacińskiego Zachodu – jest bowiem szczególnym przykładem retellingu „Eneidy" Wergiliusza. Oto Lawinia, wspomniana w „Eneidzie" dosłownie w paru miejscach żona herosa Eneasza, przejmuje kontrolę nad narracją, mówiąc do nas z wewnątrz tekstu (i będąc świadomą, że jest postacią literacką).

Pisarka ponownie schodzi tu z linii ognia: zamiast eposu, na który składają się opisy kolejnych rzezi, dostajemy subtelną, wyciszoną opowieść-pojemnik o kobiecym życiu, w której – w dodatku – główna bohaterka prowadzi *via* wyrocznia negocjacje ze swoim stwórcą, Wergiliuszem. To cała Le Guin, architektka literackich figur niemożliwych (choć zarazem prawdziwych).

© PIOTR KOFTA

I znów do kresu nocy

DARIUSZ KOSIŃSKI

Teatr, który Jan Klata od lat tworzy tak konsekwentnie, zamyka się coraz bardziej w sobie i coraz bardziej izoluje w seansie powtarzalnej niemocy. A przecież Polska to nie potrzask.

W roku 2015 dyrektor i reżyser Jan Klata żegnał się ze swoim Starym Teatrem „Weselem" – inscenizacją bogatą, barwną, huczną, eksplodującą pomysłami. A choć i jej wymowa, i okoliczności premiery były przygnębiające, to paradoksalnie była w tym przedstawieniu długo je napędzająca energia buntu i niezgody. Nawet jeśli wyładowywała się tylko w teatrze i potem gasła, to pozostawiała poczucie, że można „Krępulcowi nie ulec".

Teraz Jan Klata zrealizował w dwóch różnych teatrach dwa bardzo różne przedstawienia, które są podsumowaniem tego, co w Polsce i polskim teatrze jest dzisiaj do przemyślenia. Oba zdobyły już rozgłos i zostały uznane za wybitne. Jednak w moim odczuciu oba są mocno dwuznaczne i kłopotliwe.

W kontekście tej niezwykłej jesieni, która tak wielu przyniosła nadzieję, najnowsze diagnozy Klaty brzmią dojmująco rozpaczliwie. Jakby nie tylko nic się w Polsce nie zmieniło, ale i nic zmienić się nie dało.

Pamflet przeciw sobie

„Sen nocy letniej" Szekspira został przygotowany na jubileusz stulecia Teatru Nowego w Poznaniu, którym kieruje obecnie Piotr Kruszczyński. Kiedyś, jako dyrektor sceny w Wałbrzychu, był bodaj najważniejszym promotorem drugiej fali „nowego teatru", czyniąc jego protagonistami

Maję Kleczewską i Jana Klatę, a nieco później Monikę Strzępkę i Pawła Demirskiego.

Poznański „Sen" jest zbudowany z powidoków i ech tamtego teatru, czasem nie do końca jasnych, więc tym bardziej męczących. Nawet sceny ukazujące brutalną przemoc (upozowane na kadr z „Salo, 120 dni Sodomy" Piera Paola Pasoliniego), stanowiące mocną interwencję w fabułę, czy wręcz demonstracyjnie przekraczające granice smaku (zakochany już w Helenie Lizander oddaje na śpiącą Hermię mocz z wielkiego sztucznego fallusa we wzwodzie) wydają się powyciągane z lamusa rzeczy już zbyt dobrze znanych i niemających siły. Zamiast wstrząsu, rodzą we mnie pytanie, czy reżyser naprawdę nie widzi, jak gra własnymi stereotypami: jak to, co może kiedyś szokowało, stało się tak przewidywalne, że nuży?

Myślę jak najlepiej o świadomości i dorobku Jana Klaty, więc sądzę, że ten kolaż z cytatów kiedyś „nowego teatru" buduje on świadomie, bo sam nie jest wcale przekonany o skuteczności i sprawczości dawnych krytycznych strategii i wstrząsowych terapii. Lata demaskowania przemocy i brutalności ukrytej pod feerią miłosnych uniesień i poetyckich słów, ujawniania pożądań i niemających swego języka pragnień nie sprawiły przecież, że ludzie stali się wrażliwsi, świat mniej przemocowy, a życie tych, którzy nie mieszczą się w dominujących konwencjach, łatwiejsze. Może więc czas na zmianę sposobów działania, na poszukanie innych dróg, innych narzędzi, innego teatru?

Na takie sugestie Klata w „Śnie nocy letniej" też wydaje się odpowiadać negatywnie. W najżywiej komentowanych i dyskutowanych scenach przedstawienia, związanych z wątkiem trupy rzemieślników wystawiających „żałosną krotochwilę o Piramie i Tyzbe", reżyser doprowadza do absurdu i parodiuje metody pracy, etykę i język proponowany przez teatr nazywany dziś „demokratycznym", „horyzontalnym" czy „równościowym". Ta satyra na rzemieślników została już przyjęta z entuzjazmem przez osoby niechętne procesom „progresywnym".

Mnie wydaje się ona dużo bardziej problematyczna i obosieczna. Bo jeśli nawet jest przedstawiona jako przeciwieństwo umieszczonego w centrum sceny teatru okrucieństwa i poniżenia, to nie jest takie pewne, czy ta opozycja da się opisać jako relacja złudnej utopii i „prawdy" o brutalności świata. Jeśli teatr rzemieślników jest fałszywy i śmieszny, bo uznaje się go za oderwany od rzeczywistości, to teatr okrucieństwa i pożądania, choć usiłuje przekonać, że ma z rzeczywistością więcej wspólnego, wydaje się nawet bardziej zamknięty we własnych fantazjach, projekcjach i cytatach, do których nieustannie się odwołuje. Gdy ten pierwszy – może naiwnie i przesadnie to demonstrując – usiłuje jednak dokonać jakiejś zmiany, drugi cytuje sam siebie i własnych mistrzów, zamieniając się powoli w muzeum dawnej chwały. To raczej bliska Szekspirowskiej (i Barańczakowej) parodia „wielkiego teatru uczuć", z aktorami zgrywającymi się niemiłosiernie w scenach uniesienia.

I to właśnie z kokonu takiego teatru (a może i wszystkich innych, w ramach tego „Snu" przywołanych) wyzwalają się aktorzy grający Pirama i Tyzbe, gdy rozcinają ogromne kostiumy z nawiniętej na ciało folii i wychodzą z tych kokonów w swoich własnych osobach. Wygląda na to, że to właśnie naiwny, ale usiłujący ↦

JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jan Klata na tle scenografii spektaklu „Act of killing", styczeń 2023 r.

JAKUB WITTCHEN / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU NOWEGO

„Sen nocy letniej", reż. Jan Klata, Teatr Nowy w Poznaniu

↦ jednak przebić się przez niemożność nowy teatr „równościowy" zdołał ich doprowadzić do tego aktu, którego nie są w stanie spełnić uwięzieni w kostiumach aktorzy teatru okrucieństwa.

Przypuszczenie, że śmiech z teatru rzemieślników jest w tym przedstawieniu tylko powierzchowną warstwą, pod którą rozgrywa się autentyczny dramat wyczerpania, potwierdza może najmocniej finałowe przebudzenie z poznańskiego „Snu nocy letniej". Jeden z trzech występujących w tej wersji Puków (Łukasz Schmidt) wygłasza Szekspirowski epilog kończący się prośbą o brawa, po czym sam zaczyna je bić. Publiczność się dołącza, ale gdy Puk klaszcze ciągle i ciągle wykrzykuje „Brawo! Brawo!", nikt zaś do ukłonów nie wychodzi, oklaski widzów cichną. Ale Puk nie przestaje klaskać i wołać, stając się coraz bardziej tragikomiczną (i znów – stereotypową!) postacią rozpaczającego klauna. Trwa to jednak tak długo, że nawet ten obraz blaknie i koniec końców pozostaje tylko niemoc przerwania teatralnego mechanizmu. Ostatnia deska ratunku, jedyny – nawet jeśli dręczący – punkt oparcia. Przedstawienie musi trwać.

I trwać będzie. Gdy gasną w końcu światła sceny i cichnie Puk, na widowni – jak gdyby nigdy nic – rozlegają się oklaski. I aktorzy do ukłonów wychodzą, jak gdyby nigdy nic.

Narodowy teatr śmierci

„Nic" to kluczowe słowo „Wyzwolenia" Wyspiańskiego, które Klata przygotował na inaugurację otwartego po przebudowie Teatru Wybrzeże w Gdańsku. Jego premiera miała miejsce 14 października 2023 – dzień przed wyborami. Pierwsze niepremierowe pokazy odbyły się niemal miesiąc później, około Święta Niepodległości. Mnie udało się do Gdańska dotrzeć dopiero na grudniowy set – w ostatni weekend rządów PiS. Wyliczam te daty, bo nie mam wątpliwości, że okoliczności, w jakich oglądane jest przedstawienie, wpływają na jego odbiór i interpretację.

Reżyser przygotował niezwykle spójną, zwartą i zarazem oszczędną inscenizację dramatu Wyspiańskiego. Ogromną rolę w jej wykreowaniu odegrali współpracownicy Klaty: scenograf Mirek Kaczmarek, choreograf Maćko Prusak i autor wideo Natan Berkowicz. Dawno nie widziałem tak konsekwentnej i precyzyjnej kompozycji scenograficzno-choreograficzno-obrazowej, jak ta, którą stworzyli.

Wielka, uruchomiona przestrzeń sceny i wprowadzane na nią elementy grają, tańczą i wywołują silne afekty niemal tak samo jak działające na scenie 21 osób wciśniętych w brudnobiałe obcisłe kostiumy z kapturami zasłaniającymi włosy. Gdy widzimy je po raz pierwszy, sprawiają wrażenie, jakby dopiero mozolnie uczyły się panowania nad swoimi ciałami i głosami. Ich kostiumy są na stopach, rękach, piersiach i genitaliach pomazane brudnokrwistą farbą, nadającą ubranym w nie postaciom znamion trupich. A że biel i czerwień to też barwy narodowe, w zespole aktorskim gdańskiego przedstawienia z łatwością widzi się ofiary wydobyte z któregoś z polskich grobów, jakieś kolejne rodzime zombie i upiory. Nowiutki, lśniący z zewnątrz szkłem i złotem budynek Wybrzeża, we wnętrzu okazuje się narodowym teatrem śmierci.

Aktorska zbiorowość prowadzi gdańskie „Wyzwolenie" od początku niemal do końca. To ona jest Polską współczesną i teatrem ją przedstawiającym, ona jest Konradem i Maskami. Klata już

ROBERT SKWAREK / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU WYBRZEŻE

„Wyzwolenie", reż. Jan Klata, Teatr Wybrzeże w Gdańsku

na samym początku każe całemu zespołowi mówić chórem słowa „mieszkam w każdym człowieku" i chyba nie bez powodu podając obsadę nie przypisuje poszczególnym wykonawczyniom i wykonawcom konkretnych ról. Przemiana wyjątkowej jednostki jest tu zastąpiona tragedią zbiorowości.

Zgodnie z zapowiedzią z metateatralnego początku, Klata inscenizuje Polskę współczesną, ale w jego przedstawieniu nie zamyka się ona wyłącznie w obrębie satyrycznego poloneza słów, lecz obejmuje także zmontowane przez reżysera rozmowy z Maskami oraz fragmenty aktu trzeciego z zaklęciami Geniusza i skierowanym przeciwko jego władzy butem Konrada. To, co Wyspiański rozpisał na scenicznie dramatyzowany proces „oczyszczania myśli" głównego bohatera, zwieńczony jego ojcobójczym zamachem na tyranię poezji, reżyser pokazuje jako wielowarstwową diagnozę, której patronuje otwierająca ten ciąg scen pieśń Harfiarki rozpisana na głosy i ciała dwóch aktorek, powtarzających najważniejsze słowo przedstawienia – „nic".

Przedstawienie drąży kolejne warstwy zbiorowej świadomości i podświadomości, by wydobyć z nich to, co może zabrzmieć tonem autentycznego przeżycia. Te poszukiwania trwają długo – za każdym razem, gdy wydaje się, że jesteśmy blisko, okazuje się, że daliśmy się zwieść. Czysty ton ma dopiero jeden z najpiękniejszych fragmentów „Wyzwolenia" – wiersz „Chcę, żeby w letni dzień...". Lecz przecież jest to czystość marzenia o jakiejś wolnej od wszystkich polskich upiorów prostocie życia, które jest gdzie indziej. Jedyny wynik eksploracji polskich złóż, jaki Klacie udało się uzyskać poza diagnozą zamknięcia w nienawiści i niemocy, to chwytająca za gardło swoją rozpaczliwą nierealizowalnością tęsknota za czymś zupełnie innym niż to, co jest.

Już tylko lawa

Kolejne końcowe sekwencje następują teraz bardzo szybko po sobie. Najpierw chór aktorski, zapaliwszy świece dymne znane ze stadionów i Marszu Niepodległości, skanduje po kibolsku fragment modlitwy Konrada – patriotyczne uniesienia zamienione są w bojówkarskie hasła. Potem na scenę wytaczany jest praktykabel z biurkiem, za którym siedzi Geniusz, zimno i spokojnie rozwijający wizję narodowego wyzwolenia przez śmierć. Gwałtownie występuje przeciwko niemu Konrad, z całej wielkiej przemowy Wyspiańskiego wykorzystujący tylko najbardziej bluźnierczy dwuwers: „Krzyż przeklnę – Chrystusa godło / Gdy męką naród uwiodło!".

Ale i ten radykalny akt nie wydaje się przynosić wyzwolenia – Konrad trzyma wprawdzie w ręku pochodnię, ale gdy i on, i kolejne towarzyszące mu osoby wkładają rękę w płomień, ten okazuje się zimny – nikogo nie parzy i nie grzeje, jest tylko teatralną iluzją, jak całe to rzekomo wyzwoleńcze przedstawienie.

Kończy się ono opuszczeniem kurtyny i nagranymi oklaskami. Gdy zaś kurtyna ponownie się podnosi, widzimy scenę oczekiwaną – aktorki i aktorzy rozcharakteryzowani, niektórzy już bez kostiumów, w szlafrokach, wymieniają luźne uwagi, nawet niespecjalnie dziwiąc się, że jeden z nich jeszcze nie wyszedł z roli i wciąż mówi słowami Konrada. To się zdarza i zasadniczo nie ma powodu, by się dziwić. Powraca diagnoza nicości, tym razem stawiana przez Starego Aktora, który ↦

↦ ma swoim kolegom i widzom do powiedzenia tylko dobrze od wieków znane: „my jesteśmy nic”.

W finale z boku sceny, niemal zwyczajnie, bez żadnych spektakularnych zapowiedzi, wchodzi płonąca postać w kombinezonie z cyfrą 44. Przemieszcza się po scenie, jakby chciała zwrócić na siebie czyjąś uwagę – bezskutecznie. W końcu zatrzymuje się i unosi ramiona tworząc figurę płonącego orła z rozłożonymi skrzydłami. Po czym pada na scenę i zostaje natychmiast ugaszona przez strażaków.

Ostatnie słowa należą do Muzy (Katarzyna Dałek). Jest ona u Klaty jedyną postacią, którą obdarzono indywidualnością zaznaczoną odmiennym sposobem ułożenia ciała. Muza leży nieruchomo na specjalnym łożu-podeście z szeroko rozłożonymi nogami i wysmarowanym na czarno i czerwono sromem. Na twarzy ma wymalowany czarną farbą szeroki uśmiech z horroru, a w ręku trzyma zapaloną pochodnię. Jest Muzą i Hestią, polską boginią, panią teatru i domowego ogniska. Ale jest boginią zgwałconą i zabitą, przeciwieństwem spektakularnie czczonej przez Polaków niepokalanej Królowej-Dziewicy-Matki.

To ona kończy spektakl słowami, które Muza w oryginale wypowiada będąc pod trującym wpływem Geniusza („Wszystko, czego się tknę / W mych rękach mrze...”). Ujawnia się w nich jako archetypiczna matka kołysząca do śmiertelnego snu tych, których zrodziła. Ujawnia się też jako bogini pięknego gestu i melancholii, której tak naprawdę Polacy masochistycznie pragną. Wypowiedziawszy ostatnie słowa, wstaje i wychodzi, trzymając wysoko na wyciągniętym ramieniu zapaloną pochodnię. Jej światło oddala się i wreszcie ginie w ciemności.

W odróżnieniu od „Wesela” z 2014 r. zrealizowane teraz „Wyzwolenie” nie przynosi żadnego energetycznego pocieszenia. To jedno z niewielu przedstawień Klaty, jakie widziałem, w którym niemal zupełnie nie ma tak charakterystycznej dla niego ironii, przewrotnego poczucia humoru, nawet drapieżnego i czarnego. Ze sceny zieje zimny smutek, przenikliwy jak wilgotne grudniowe powietrze, które wdziera się we mnie natychmiast, gdy tylko wyjdę na zewnątrz.

Tak jak poznański „Sen...”, gdańskie „Wyzwolenie” zbudowane jest jako teatr w teatrze i o skuteczność teatru pyta, nie umiejąc do końca dać jasnej odpowiedzi. Być może jest nią powaga, z jaką w „Wyzwoleniu” mówi się o Polsce, być może to coś, co chwyta za gardło, gdy Polską autentyczną okazuje się tylko to, za czym od tak dawna niewypowiedzianie tęsknimy. Ale równie możliwie, że ten teatr, który Klata od lat tworzy tak konsekwentnie, zamyka się coraz bardziej w sobie i coraz bardziej izoluje w seansie powtarzalnej niemocy. Wytwarza efekt realności oparty na niewierze w jakąkolwiek przyszłość (*no future!*) i zarazem przyjemności bycia tym, który na nic nabrać się nie daje.

Piszę tak nie dlatego, że chcę atakować reżysera, ale by rozliczyć się z własną przyjemnością czerpaną tak często z jego teatru – przyjemnością bycia ponad w przekonaniu, że i tak nic się zrobić nie da, przebywania w azylu ironicznego outsiderstwa i spazmu rozpaczy wyrosłych na glebie bardzo wcześnie doświadczonej łatwości, z jaką tłumi się ludzkie marzenia i rozpędza jak dym nawet milionowe ruchy społeczne. W jesiennych przedstawieniach Jana Klaty, zwłaszcza w „Wyzwoleniu”, znów doświadczyłem siły tych afektów, ale zarazem dotarło do mnie brzmiące pomiędzy wyrazistymi scenami, a może nawet wbrew nim, poczucie jałowości i anachroniczności tylokrotnie powtarzanych podróży do kresu nocy.

Być może to kwestia kontekstu politycznej zmiany, a może wręcz echo adwentowych hymnów, ale wracając z Gdańska przez nocną Polskę poczułem się zmęczony tym tragicznym chórem i bez żadnej ironii powtarzałem w myślach: „Musimy coś zrobić, co by od nas zależało, zważywszy, że dzieje się tak dużo, co nie zależy od nikogo”.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Róbmy hałas

BARTOSZ „FISZ” WAGLEWSKI, MUZYK:

Zawsze byłem nieśmiały. Kiedy w liceum szukałem sposobu wyrażenia siebie, krzyk wydał mi się najwłaściwszy. Krzycząc, znajduję właściwe słowa.

MONIKA OCHĘDOWSKA: Spotykamy się niedługo po premierze trzeciej płyty, którą nagrałeś z zespołem Kim Nowak, ale najpierw chciałabym spytać Cię o inną ważną w Twoim życiu Kim – Kim Basinger. Napisałeś piosenkę o popularnej na przełomie lat 80. i 90. komedii, w której ta amerykańska aktorka zagrała ekscentryczną przybyszkę z kosmosu o imieniu Celeste.

BARTOSZ „FISZ” WAGLEWSKI: „Moja macocha jest kosmitką” to pierwszy film, który zobaczyłem w kinie, i który mną, co tu kryć, wstrząsnął. Poza tym był dozwolony od szesnastego roku życia, a ja byłem wtedy na pewno trochę młodszy i po raz pierwszy się zakochałem – w postaci symbolizującej ówczesne amerykańskie kanony piękna. Postaci z plakatu.

ŁUKASZ GĄGULSKI / PAP

BARTOSZ „FISZ" WAGLEWSKI – raper, kompozytor, wokalista, instrumentalista i autor piosenek, producent muzyczny. Członek zespołów Tworzywo Sztuczne, Bassisters Orchestra oraz Kim Nowak, z którym wydał właśnie trzeci album zatytułowany „My".

na zdjęciu:
Podczas koncertu w Nowohuckim Centrum Kultury w Krakowie, 13 stycznia 2022 r.

Wszyscy pobieraliśmy wtedy od Kim lekcje całowania i okazywania „ziemskich" uczuć.

Nie tylko. Wiesz, przecież my w tamtych czasach – końcówce lat 80. – wszystko oglądaliśmy jakby przez szybę, a ten film reprezentował kolorowy, nęcący świat, na który z wytęsknieniem czekaliśmy, dlatego, jak sądzę, zrobił na mnie tak ogromne wrażenie.

To był też czas, kiedy chodziliśmy, pamiętam, na bazarki ursynowskie, gdzie wymienialiśmy się kasetami VHS z kolejnymi częściami przygód Rambo. Nigdy nie było pewności, jaka ci się trafi jakość, wiele filmów musieliśmy sobie potem wyobrażać. Pamiętam spłowiałe „Żółwie Ninja" – dopiero po latach zorientowałem się, że każdy z tych żółwi ma opaskę w innym kolorze.

Co jeszcze pamiętasz z tamtego czasu?

Pamiętam, jak tata kupił pierwszy magnetowid. Wkręcał co czwartą kasetę. Wujek założył sobie antenę satelitarną, więc prosiłem go, by nagrywał nam na te VHS-y „Headbanger's Ball", program o heavy metalu, który leciał wtedy na MTV. Tym gatunkiem akurat się fascynowałem.

Właściwie bardzo szybko dowiedzieliśmy się, że ciekawe rzeczy dzieją się także w programach typu „120 minut" – gdzie prezentowano muzykę alternatywną. A później w naszym życiu pojawiło się już legendarne „Yo! MTV Raps"... Swoją drogą to niesamowite, że jedynym gatunkiem muzyki rozrywkowej, który nie tylko przetrwał od lat 90. do dziś, ale też cały czas cieszy się ogromną popularnością, jest właśnie rap.

Dobrze wspominasz lata 90.?

Druga połowa lat 90. była otwieraniem przeróżnych drzwi. Hip-hop spotykał się z metalem, muzyką hardcore'ową, klubową. Z tego wymieszania barw wychodził całkiem fajny, wcześniej nieznany kolor. Na jednym festiwalu muzycznym można było spotkać ludzi grających zupełnie osobne rzeczy i nikogo to nie dziwiło, przeciwnie.

A bardziej osobiście?

Jako dzieciak byłem w rozkroku pomiędzy codziennością podwórek szarych ursynowskich bloków a niedostępnym dla nas luksusem Pewexów i Balton. Nie ma lat 90. bez tamtych podwórek, przyjaźni i bez pierwszych koncertów, na które jeździliśmy tramwajami przesiadając się niezliczoną ilość razy – na długo, zanim w Warszawie pojawiło się metro.

Ale – poza tym wszystkim – myślami byłem jednocześnie po drugiej stronie, podpatrując w telewizji, co się dzieje na Zachodzie.

„Polepiony".

To był okres przełomów i zmian, na które czekałem, a które mnie potem bardzo rozczarowały. Czas fascynacji, ale też kontrastów. Ustanawiania i utrwalania podziałów. Zdobywania. Kogoś było stać na motorynkę albo deskorolkę, ktoś inny wyprowadzał się z bloku do domku jednorodzinnego. Zaczynały się imprezy, na które już nie każdy mógł przyjść. Otwierały się kluby z selekcją i trzeba było mieć odpowiednie buty, żeby wejść do środka.

Jeśli Kim Basinger była oknem do innego świata, nowa płyta Kim Nowak jest chyba okienkiem w czasie. Są na niej zarysowane sytuacje, o których teraz opowiadasz: warszawskie bloki, kumple z osiedla, garażowa muzyka. Lubisz wracać do przeszłości?

Wiesz, rzeczywiście często myślę o tamtym czasie, bo muzycznie mnie ukształtował i – jak sądzę – zdecydował o tym, co i jak w życiu robię. Gdyby muzyka mnie wtedy tak nie pochłonęła, zająłbym się czymś zupełnie innym, może malarstwem.

Inna sprawa, że do składu Kim Nowak wrócił właśnie Staszek Wróbel, pierwszy basista Tworzywa, z którym chowaliśmy się właśnie na tym samym osiedlu. Towarzyszyliśmy, jako dzieciaki, powstawaniu wielu bardzo różnych gatunków muzycznych, niektóre z nich wyzwalały we mnie energię i emocje, bo pozwalały opowiedzieć coś o sobie. Szybko zorientowałem się, że choć na co dzień nie jestem osobą komunikatywną i otwartą, to trzymając mikrofon, rapując czy krzycząc ↦

↦ z łatwością znajduję w sobie słowa, a niekiedy wręcz całe opowieści o tym, co dla mnie ważne i o tym, co trudne.

Kluczem okazał się rap.

Ursynów był sercem warszawskiego rapu – wtedy ta muzyka się po prostu nam wylewała z każdego podwórka. Pierwsze próby, najpierw zresztą z punkującymi składami, robiliśmy po piwnicach, wymieniając się pomysłami, podsłuchując wzajemnie. Ale też słuchając profesjonalnych nagrań, próbując zrozumieć i odtworzyć to, jak one są zrobione. Z czasem, za symboliczną czekoladę, udało nam się załatwić dostęp do świetlicy szkolnej i graliśmy sobie już regularnie raz w tygodniu.

Ponieważ wychowałem się na rapie, do dziś rozumiem muzykę jako opowiadanie historii i reagowanie nią na to, co się dzieje wokół.

Zatem to nie nostalgia?

Po prostu mój elementarz patrzenia na świat. Mając go pod ręką dostrzegam, jak wiele rzeczy, zarówno dobrych, jak i złych, ciągle się powtarza. Zresztą teraz coraz częściej opowiadamy sobie o tamtym czasie.

Więc nie boisz się powrotów?

Po kilku latach wróciłem na Ursynów – chodząc tam i z powrotem po ulicach dzieciństwa wiele rzeczy sobie przypominałem. Ma to oczywiście odzwierciedlenie w moich piosenkach. Ale wszystko jedno, czy nagrywamy płyty z Tworzywem, czy – jak teraz – wracamy sobie pohałasować z Kim Nowak: zawsze w jakimś stopniu czerpiemy ze swoich źródeł.

Co więcej – z Kim Nowak nagraliśmy płytę, która na pewno nie jest rewolucyjna i być może nie zainteresuje wielu osób, ale wyjątkowo była nam potrzebna właśnie dzisiaj.

Dlaczego?

Wiem doskonale, że czas muzyki garażowej, postpunkowej czy po prostu gitarowej minął, bo też w ogóle muzyka ma dzisiaj zupełnie inną rolę niż w czasach naszego dzieciństwa. Dziś liczy się melodyjny pop. Czasami słucham tych piosenek z czołówek list przebojów, ale na dłuższą metę strasznie mnie nudzą, bo są po prostu zbyt podobnie skonstruowane, trudno nawet odróżnić wykonawców.

Tworzywo to opowieść. Subtelna zabawa gatunkami i formą. Tam sobie dłubiemy, aranżujemy, jest w tym wszystkim właśnie miejsce na szept albo ciszę.

Remedium?

Dobrze jest co jakiś czas wrócić do tego, co w muzyce proste, surowe i pierwotne. A nie znam innego gatunku, który dawałby człowiekowi tyle pierwotnej energii, co punk. Albo, ewentualnie, free jazz.

Hałas? Mam wrażenie, że Ty częściej mówisz szeptem. Nie tylko na scenie, nawet teraz.

Wiesz, ja zawsze byłem nieśmiały, introwertyczny. W liceum szukałem jakiegoś sposobu wyrażania siebie i wtedy właśnie krzyk wydał mi się otwierający, uwalniający, organiczny. Kim Nowak pozwala mi krzyczeć. A jednocześnie odpocząć od zabaw, które mamy z Tworzywem. Bo Tworzywo to opowieść. Subtelna zabawa gatunkami i formą. Tam sobie dłubiemy, aranżujemy, jest w tym wszystkim właśnie miejsce na szept albo ciszę.

Czyli jest czas, kiedy się zdziera gardło, a potem przychodzi potrzeba lepienia po cichu w sylabach i słowach?

To są dwa zupełnie inne sposoby pisania, inny rodzaj pracy. W Tworzywie często nie potrafię się zatrzymać, więc potem muszę swój tekst przycinać. W przypadku Kim to jest w ogóle okrajanie wszystkiego do najprostszych haseł i skojarzeń, które zwyczajnie dobrze brzmią. Najważniejsze w tym przedsięwzięciu są właśnie chaos i spontaniczna radość spotkania w mieście. Bo muzyka Kim Nowak zdecydowanie nie mogłaby powstać poza Warszawą.

Dlaczego?

Całe nasze życie związane jest z tym miejscem. Podpisujemy się pod zjawiskiem, które nazwano z czasem tzw. nową muzyką miejską. W latach 90. to był nie tylko rap, o którym mówiliśmy, ale cała scena związana z muzyką elektroniczną i dj-ską, *drum and bass* czy *broken*. To muzyka klubów, osiedli, muzyka dochodząca z samochodów stojących w korkach. Godzinami szwendaliśmy się po osiedlach, klubach czy spotykaliśmy się jeżdżąc na deskach. Zawsze wtedy towarzyszyła nam muzyka, którą uważaliśmy za swoją, nową, taka też była wtedy dynamicznie zmieniająca się Warszawa.

Z drugiej strony – nasze granie od zawsze było związane z możliwością tego spotkania – wypływało oddolnie, organicznie. Jak sobie myślę o wszystkich muzycznych przygodach, które miałem w życiu, poza duetem z Piotrkiem, to były to zawsze nieoczekiwane wyniki niesamowitych splotów okoliczności. Weźmy choćby wspólne projekty z Mikołajem Trzaską, Wojtkiem Mazolewskim, Maciem Morettim. Ważny był w nich też element wzajemnej ciekawości, bo nigdy nie wiemy, gdzie nas doprowadzą te wspólne eksperymenty.

A gdybyśmy dzisiaj przyłożyli ucho do miasta – słychać coś nowego w Warszawie?

Bardzo długo muzyka, wywodząc się z różnych autentycznych środowisk, była osobistą opowieścią. Dzisiaj, jak ustaliliśmy, rzadko służy wykonawcom i słuchaczom do protestowania czy wyrażania gniewu. Raczej daje ukojenie po przepracowanym dniu, albo jest po prostu dodatkiem do radiowych reklam. Sam streaming z kolei to dość cwaniacki biznes, który nie dba o sprawiedliwe wynagradzanie artystów, nie mówiąc o tych grających muzykę mniej popularną. Nasz rodzimy rynek muzyki alternatywnej bardzo się skurczył.

Obserwuję natomiast bardzo ciekawy, odradzający się trend bliskiej mi muzyki w Londynie, gdzie jest dużo free jazzu i post-punku nowej fali. Byłem niedawno na wakacjach w Skandynawii i tam też jest jakieś ożywienie, powoli pojawia się coś w kontrze do muzyki środka. W Polsce mamy z kolei świetną scenę młodych ludzi grających jazz. To bardzo budujące, choć niszowe. Krzyczmy o tym.

©℗ Rozmawiała MONIKA OCHĘDOWSKA

Województwo Śląskie

Instytut im. Wojciecha Korfantego

Instytut im. Wojciecha Korfantego jest instytucją kultury Samorządu Województwa Śląskiego.

ZAKOPANE

STACJA KULTURA ZAKOPANE

ZAKOPANE ZAKOPIAŃSKIE CENTRUM KULTURY

MIASTO ZAKOPANE i ZAKOPIAŃSKIE CENTRUM KULTURY zachęcają do odwiedzenia wystawy stworzonej z Miastem Sopot i Muzeum Sopotu – **„Turyści i Kuracjusze”**, prezentowanej obecnie w nowej jednostce ZCK – Stacja Kultura Zakopane. Życie kuracyjno-sanatoryjne rządziło się swoimi prawami, modami i rytmem. Na przestrzeni kolejnych dekad ukształtowało się dzięki gościnności i współpracy – prawie 100 lat temu.Także dziś, w naszych latach dwudziestych, Stacja Kultura Zakopane, otwarta na terenie Centrum Komunikacyjnego Miasta Zakopane jako trzeci – po Miejskiej Galerii Sztuki i Czerwonym Dworze – Dział Zakopiańskiego Centrum Kultury, zaprasza Gości z innych regionów Polski. Tym razem z **INSTYTUTEM IM. WOJCIECHA KORFANTEGO** z Katowic już od 19 grudnia 2023 roku zapraszamy na wystawę **„Wojciech Korfanty. Człowiek w meloniku”** – nieszablonowy projekt w naszej nowej przestrzeni. Skąd Korfanty „w meloniku” w Zakopanem? To ważna postać także pod Tatrami. Polityk, który polityczne dysputy kochał na równi z górami i spacerami z psem – i dlatego często w górach bywał. Poznajcie go takim, jakiego jeszcze go nie znacie.

Zakopane to dobre eMOCje i pełnia wrażeń. Do zobaczenia w mieście pod Giewontem!

REKLAMA

Nasi bracia więksi

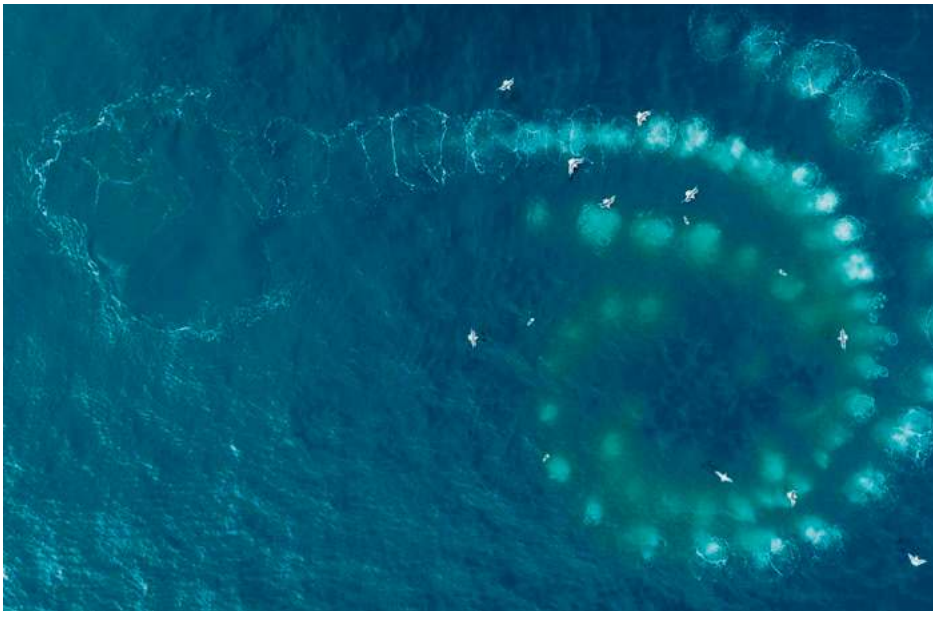

ANITA PIOTROWSKA

Jean-Albert Lièvre stworzył popularno-naukowy poemat, w którym narracja zza kadru prowadzona jest w pierwszej osobie liczby mnogiej. Z perspektywy wielorybów.

Co powiedziałyby nam wieloryby, gdyby w noc wigilijną przemówiły nagle ludzkim głosem? Na przykład to, że istniały na Ziemi miliony lat przed pojawieniem się człowieka i że ich zniknięcie może oznaczać koniec gatunku *Homo sapiens*. Byłby to zapewne skrót myślowy, lecz przecież jako tak zwani „siewcy mórz", a konkretnie użyźniacze fitoplanktonu, przyczyniają się walnie do produkcji tlenu, którego poziom na naszej planecie ciągle się zmniejsza.

Mogłyby też wspomnieć o czymś dużo bardziej dla siebie dotkliwym, jak choćby o przeprowadzanych dziś, w majestacie prawa i w różnych częściach świata, masowych rzeziach waleni. Albo coś o tonach plastiku pływających w oceanach. Spektakularny dokument „Pieśni wielorybów" stara się jednak nie epatować ciężkimi oskarżeniami – woli po prostu oddać głos waleniom. Dosłownie i w przenośni.

Zapewne ryzykowny to zabieg w czasach, kiedy tyle się mówi o upodmiotowieniu zwierząt. Tymczasem Jean-Albert Lièvre stworzył popularno-naukowy poemat, w którym narracja zza kadru prowadzona jest w pierwszej osobie liczby mnogiej, czyli właśnie z perspektywy wielorybów. W polskiej wersji językowej czyta ją popularna wokalistka Margaret i zawsze to jakaś odmiana wobec Krystyny Czubównej, wszechobecnej w takich produkcjach. Zresztą twórcy filmu rozmyślnie antropomorfizują swoich bohaterów. Dokument adresowany jest w dużej mierze do młodszego widza, a prócz walorów edukacyjnych ma uruchamiać wyobraźnię i dostarczyć refleksji nie tylko na temat samych wielorybów, lecz także naszego usytuowania w globalnym ekosystemie. I robi to z takim wizualnym rozmachem, że również dorosły widz czuje się niczym zanurzony przez półtorej godziny w nieskończonym oceanarium. A kiedy milknie na chwilę werbalny komentarz i brzmią wreszcie te wszystkie chlupoty i bulgoty, pomruki pękających lodowców i oczywiście nieziemskie śpiewy fiszbinowców czy zębowców, zmysłowa immersja graniczy z medytacją.

Nie jest przypadkiem, że nagrania owych pieśni poszybowały w kapsule Voyagera jako część ziemskiego dziedzictwa wysłanego domniemanym mieszkańcom innych galaktyk. To, co przypomina muzyczny ambient, okazuje się skomplikowanym systemem językowym, mającym swoje dialekty, melodie i archiwa. Trudno bowiem uciec w opisie zwierzęcej komunikacji od ludzkiego słownika. Mowa więc o sieci społecznościowej, nawigacji GPS, o mapach, a nawet o swoistym karaoke. Kiedy podkreśla się grupową współpracę wielorybów, używa się raczej określenia „solidarność" aniżeli „stadne instynkty". Ów humanizujący język brzmi zresztą zdecydowanie lepiej niż wkładanie w wielorybi otwór gębowy podniosłych haseł typu „śpiewamy dla planety".

Warto jednak pamiętać, że nie jesteśmy na wykładzie z zoologii, oceanografii czy *animal studies*, ale po prostu na filmie familijnym. Dodajmy: w możliwie szerokim tego słowa znaczeniu, dalekim od infantylizującego przyrodę bambinizmu i jednocześnie zacierającym znaki sprzeczności między naturą a kulturą. Chodzi w nim także o to, byśmy przy bliższym spotkaniu z naszymi braćmi większymi, dzięki poznaniu ich ewolucji, percepcji i rytuałów, poczuli się częścią znacznie większej rodziny. Tak jak ekipa tego filmu, kręconego – wedle deklaracji samych twórców – z poszanowaniem dobrostanu zwierząt, ograniczoną do minimum ingerencją w ich środowisko i z przestrzeganiem zasad „zielonej" produkcji.

W naszej kulturze wieloryb nie miał, jak dotąd, najlepszych notowań i długo kojarzył się, co słychać w niektórych językach, z ogromnych rozmiarów rybą. Przynajmniej od czasów starotestamentowego Jonasza był synonimem, pewnie ze względu na gabaryty, krwiożerczego potwora. Naładowany symbolami lewiatan powracał u Hermana Melville'a w „Moby Dicku" i we współczesnym filmie Andrieja Zwiagincewa. Ostatnio, u Darrena Aronofsky'ego, stał się synonimem uwięzienia w monstrualnym ciele. Dla kina dokumentalnego, zwróconego w inne rejony świata, był człowiekowi mięsem, a często gwarantem biologicznego przetrwania gdzieś na północnych rubieżach kontynentów („Wieloryb z Lorino"

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

MATERIAŁY PRASOWE

PIEŚNI WIELORYBÓW
(„Les gardiennes de la planète”) – reż. Jean-Albert Lièvre. Prod. Francja 2022. Dystryb. Against Gravity. W kinach od 29 grudnia.

Jean-Albert Lièvre to francuski fotografik, reżyser i scenarzysta filmów dokumentalnych, głównie przyrodniczych, znany z takich tytułów, jak „Syndrom Titanica” czy „Flore”. Jego scenariusz do filmu „Pieśni wielorybów” powstał z inspiracji książką „Whale Nation” autorstwa zmarłego w 2017 roku Heathcote’a Williamsa. W oryginalnej wersji językowej narratorem jest aktor Jean Dujardin.

Kadr z filmu „Pieśni wielorybów”

Macieja Cuskego). Równolegle dyskurs naukowy czy ekologiczny coraz częściej dostrzega w wielorybie ofiarę gospodarki opartej na nadmiernej eksploatacji tudzież czuły barometr dla funkcjonowania oceanicznej biocenozy. Nie przypadkiem bohaterów filmu Lièvre’a nazywa się szumnie strażnikami naszej planety.

I nawet jeśli głównym celem twórców nie miało być powodowanie u nas tak zwanego moralniaka, jednym z bardziej zapamiętanych kadrów filmu będzie z pewnością obraz wyrzuconego na dziką plażę gigantycznego walenia. Patrzy na nas nieruchomym okiem i wiele wskazuje na to, że godziny wodnego zwierzęcia unieruchomionego na suchym lądzie są już policzone. Że zginie pod wpływem promieni słonecznych bądź pod własnym ciężarem. Wówczas podbiega do niego mały chłopiec, a po chwili kładzie dłoń na ledwie dyszącym cielsku i zaczyna polewać je wodą z dziecięcego wiaderka. Rozpoczyna się akcja ratownicza i takie przerywniki będą towarzyszyć aż do końca paradokumentalnej gawędzie o największym z żyjących dziś na Ziemi ssaków.

Ponoć sam reżyser trzydzieści lat wcześniej przeżył podobną sytuację: na jednej z plaż Bahamów stanął oko w oko z humbakiem, z daleka do złudzenia przypominającym skałę, i od tamtej pory prześladował go ów obraz. Dlatego nakręcił film, który mimo nadmiernego rozpoetyzowania w warstwie słownej nie narzuca się z ludzką obecnością (w przeciwieństwie chociażby do dokumentu „O czym śnią wieloryby”, pokazywanego niedawno na festiwalu Watch Docs). Człowiek rzadko wchodzi tutaj w kadr, już prędzej jego własne „pieśni”, albowiem ścieżka dźwiękowa francuskiego dokumentu jest zaiste imponująca: od Sigur Rós i Talk Talk, poprzez Leonarda Cohena po Kronos Quartet.

Na szczęście ta kaloryczna playlista nie wytłumia naturalnej fonosfery. Bo jeśli coś zostaje po tym filmie, to nie tylko jego pokrzepiająca fabularna osnowa, widowiskowa oprawa czy warstwa edukacyjna. Najmocniej działa ów tytułowy „masaż dźwiękowy”, który od lat funkcjonuje na rynku jako muzyka relaksacyjna. Tym razem służy czemuś innemu niż ukołysanie. W łagodny sposób, głosami inteligentnych olbrzymów, pragnie wybudzić nas z letargu arogancji. ©

Lektor:
Profesorowa się zmienia

▪ *Maryla Szymiczkowa [czyli Jacek Dehnel i Piotr Tarczyński]*
ŚMIERĆ NA WENECJI
Znak Literanova, Kraków 2023, ss. 350.

Na okładkowym zdjęciu środkiem rzeki płynie łódka, cokolwiek przeciążona pasażerami. A w tle? Tak, to wieże mariackie, wieża ratuszowa i gmach Collegium Novum. I nie jest to fotomontaż – zdjęcie przedstawia ulicę Wolską (później Piłsudskiego, za Peerelu Manifestu Lipcowego, dziś znów Piłsudskiego) podczas katastrofalnej powodzi, która nawiedziła Kraków latem 1903 r.

Przyjrzyjmy się dokładniej: po lewej widać gmach Sokoła, po prawej – pałacyk Ostaszewskich na rogu ulicy Retoryka. Na przeciwległym, niewidocznym na fotografii rogu stała już wtedy kamienica Pod Śpiewającą Żabą, zaprojektowana przez Teodora Talowskiego, najbardziej ekscentrycznego z krakowskich architektów. I właśnie do niej przenieśli się profesorostwo Szczupaczyńscy, gdy pani Zofia postanowiła skorzystać z nowoczesnych udogodnień, których brakło w wiekowym domu Pod Pawiem przy Świętego Jana. Takich jak łazienka.

Można by uznać, że zamiana pawia na żabę zwiastowała kłopoty – proroctwo powodzi? Jednak mieszkanie na II piętrze nie jest zagrożone, a wszelkie uciążliwości wynagradza profesorowej trup, przyniesiony pod samo jej okno przez wody Rudawy i cofającej się Wisły. Nie umiała ona bowiem cieszyć się drobiazgami: „żeby coś ją naprawdę zainteresowało, z reguły potrzebowała zwłok”.

To już piąta powieść z serii, w której profesorowa Szczupaczyńska urozmaica sobie monotonię mieszczańskiego życia rozwiązując zagadki kryminalne. Nawiasem mówiąc, trupy są dwa i dopiero drugi, znaleziony w innej kamienicy Talowskiego, Pod Osłem, okazuje się tym właściwym, czyli ofiarą zbrodni. Profesorowa zaś znów odkrywa nieznane sobie obszary rzeczywistości. Tym razem urningów, jak profesor Leon Wachholz, wielki medyk sądowy, określił mężczyzn odczuwających pociąg seksualny do własnej płci.

Jako pilny czytelnik tej serii mam wrażenie, że Zofia Szczupaczyńska stale się rozwija, nabiera samoświadomości, dystansu do swojej roli społecznej, a także pełnej pobłażania czułości wobec swego małżonka, niezbyt lotnego (choć to profesor UJ). Jej pierwotny wizerunek – pani Dulskiej, która z przypadku staje się detektywką – coraz wyraźniej przekształca się w wygodną maskę, która ułatwia jej prowadzenie śledztw. Ciekawym, co twórcy postaci, czyli Jacek Dehnel i Piotr Tarczyński, zrobią z tym w tomach kolejnych. A, jeszcze należy wyjaśnić tytuł – w Krakowie mamy wszystko, także i Wenecję... ©℗

OLGA

Drenda:
Manul łagodziciel

To wielki dzień dla Polski – dotarła do mnie radosna wiadomość o takiej treści. Przypadkowo zdarzyło się to tego samego dnia, w którym głosowano nad wotum zaufania dla nowego rządu, lecz nie o to chodziło. Manul o imieniu Magellan, piękny i dzielny syn ziemi wielkopolskiej, pokonał w półfinale organizowanego na Twitterze Pucharu Świata Manuli groźnego przeciwnika, Stubsiego z Niemiec. Dzięki ogólnopolskiej mobilizacji to Magellan zwyciężył w zaciętej potyczce, stając się dumnym finalistą.

Manule to bardzo puchate dzikie koty o charakterystycznym wyrazie niezadowolenia na pyszczku. Mieszkają w stepie szerokim i na skalistych terenach Centralnej Azji (nazwa pochodzi z języka kirgiskiego, a grecki przydomek w nazwie gatunku, *Otocolobus*, nosi cechy szkalownictwa, gdyż oznacza brzydkouchego – co za oszczerstwo). Tam znajdują sobie kryjówki wśród kamieni, a kocięta wychowują w norach opuszczonych przez świstaki i w zaroślach jałowca. W tradycyjnych wierzeniach mongolskich manul to potężny ojciec innych silnych zwierząt, tygrysa, rysia, borsuka i świni.

Trudno spotkać je na żywo, gdyż wiodą życie samotnicze i skryte; ekspansja człowieka, niestety, uczyniła je gatunkiem rzadkim. Obfita w wyrazy niezadowolenia mimika i kształt kuli zapewniły mu jednak sławę i uwielbienie. Nasz wielki Polak Magellan zasłynął już dwa lata temu ucieczką z woliery w poznańskim zoo. Skusiwszy się na gołębie, zabłądził, lecz po wszczęciu alarmu odnalazł się – „wyziębiony, wychudzony, ale już bezpieczny".

Manul polski (prawie)

OLGA DRENDA

Co za ulga! Manul nieco nieoczekiwanie stał się repozytorem naszych zbiorowych emocji masowego ochłonięcia, ulgi, rozładowania, ale też, jak się okazało, wyproszenia złych emocji. Najciekawszym momentem wielkiej kociej batalii na Twitterze było bowiem świadome uruchomienie zabawy w antyniemiecką, rozpaloną patriotycznie retorykę i gremialne bicie w tarabany. „Nie będzie Stubsi kotów nam germanił!", grzmieli użytkownicy, nie tylko cytując Konopnicką, ale sięgając po frazę gomułkowską i bojową mowę lat ostatnich. Od Stubsiego, puchatego rewanżysty i krzyżaka w pikielhaubie, domagano się reparacji, a zwycięski Magellan trafił na popularnej grafice do memicznego panteonu wielkich Polaków, wraz z królem Sobieskim i Robertem Lewandowskim.

Pyszna to była frajda, bo pokazała, że z koturnowej, bojowej retoryki, używanej przecież jeszcze chwilę temu z kamienną twarzą, wyparowała cała groza i że może służyć teraz zabawie. Przypominało to parodiowanie PRL-owskiej nowomowy wkrótce po 1989 r., wyganianie strachu śmiechem. Patetyczne pogróżki zawsze bowiem, nawet gdy prowadzą do opłakanych skutków, mają w sobie coś komicznego.

Istotnie moment ten był karnawałowy – niestety potrwał krótko, gdyż już następnego dnia powszechną uwagą zawładnął Grzegorz Braun i jego antysemickie wybryki w Sejmie. Przypadek ten przypomina, że trzeba zachować dozę ostrożności, gdy mowa o zabawie czy parodiowaniu nacjonalistycznych odjazdów albo spiskowych fantazji, bo czasem okazuje się, że to po prostu czyjeś najszczersze przekonania, nawet gdy wydają się pochodzić z równoległego wymiaru. Trochę jak w popularnym memie, gdzie jeden z członków drużyny Scooby-Doo ściąga maskę ze złoczyńcy przebranego za ducha, ujawniając: „a więc to cały czas byłeś ty!". Pod kostiumem ekscentryka, który miewa swoje odpały, mieści się sporo – czasem, jak się okazuje, nawet gaśnica. Łatwo to zignorować, na własną zgubę.

Szczęśliwie i tu manul przyszedł z pomocą. Feralny wieczór uratowała bowiem wiadomość, że Magellan zwyciężył w finale i został najważniejszym manulem świata (otrzymał, jak zauważyła pewna utalentowana Agnieszka, „puchat świata"). To okazało się nie tylko wieścią krzepiącą, ale i schładzającą nastroje, gdyż przypominało, jak ważną walutą jest dziś medialna uwaga, i że trzeba rozważnie obdzielać innych klikami i sławą. „Nie paście nadmiernie ego Brauna, są lepsze wiadomości", pisali zdroworozsądkowcy. Nawet gdy to sława zła – wszak są tacy, i wcale ich nie brakuje, którzy nawet innego rozgłosu nie pragną. A wiadomość pozornie błaha, zmiana tematu, odwrócenie uwagi – może przyczynić się do przywrócenia równowagi. ©

PAWEŁ

Bravo: *Czystość miodu*

Tygodnik Smaków – co piątek w Twojej skrzynce przepisy na Tygodnikowy lunch, deser, obiad. Zapisz się na **powszech.net/tygodnik-smakow**

Czeka nas rok trudniejszy od obecnego, ale to nic, bo i tak będzie lżejszy od tego, który po nim nastąpi – zapowiedział u progu 1967 r. Enver Hoxha, komunistyczny sułtan Albanii w czasach, gdy ze średniowiecznej skamieliny pod rządami Osmanów przechodziła gładko w żelbetonowy skansen niczym niezmąconego stalinizmu. Nastroje ulicy, targu i piwiarni mają oczywiście kapitalne znaczenie dla stabilności władzy i lepiej uważać z pesymizmem, ale umiejętne sianie lęku jest doskonałym środkiem na pobudzenie entuzjazmu wśród poddanych – lub wyborców w kontekście demokratycznym. Wie to np. Donald Trump, gdy opowiada, z doskonałym sondażowym skutkiem, o imigrantach „zatruwających krew narodu".

Nic mi nie wiadomo o tym, jaki faktycznie okazał się tamten rok w Albanii. Jeśli chodzi o Polskę, to przyszedłem wówczas na świat, ale nie przypuszczam, że z tego powodu stała się lepszym miejscem. Izrael za to na pewno miał powody do zadowolenia, w sześć dni pognębił w czerwcu arabskich sąsiadów, wspinając się na szczyty potęgi symbolicznej. Tej właśnie, którą po pół wieku z okładem na naszych oczach do końca trwoni – prowadząc wojnę, której być może w sensie wojskowym nie da się prowadzić w inny sposób, nie ma tu chyba wśród nas mądrych. Ale wiadomo o niej na pewno, że jest objawem długiego już kryzysu, jaki toczył kraj pod złymi, zepsutymi rządami.

„The Economist" zastanawia się, ze swoim skrzywieniem poznawczym księgowego, czy znów rynki finansowe – obecnie będące w dość dobrym humorze – nie umieją, podobnie jak w 1914 czy 1939 r., rozpoznać na horyzoncie wojny światowej, która za chwilę stanie się faktem, gdy mianowicie posplatają się dwie, bynajmniej nie „lokalne" wojny, na Bliskim Wschodzie i w Ukrainie, pospołu z prawie pewną wygraną Trumpa. Dodajmy – demokratyczną i formalnie konstytucyjną, to przecież jest ten, jak to mówią Anglosasi, słoń w pokoju omijany skrzętnie przez mędrków z telewizji i podkastów, którzy przez najbliższy rok będą przed nami udawać, że coś z tego rozumieją.

Na naszym (na razie) spokojnym i sytym podwórku nie jesteśmy z roku na rok mądrzejsi. Przeciwnie. W pewnym smutnym sensie rację miał ostatnio Orbán, przyjaciel Trumpa i kolejny „obrońca czystości Zachodu", że rozmowa o przyjmowaniu Ukrainy do Unii jest przedwczesna – pomijając ważny aspekt symbolicznego gestu. Już teraz wspólnota europejska jest coraz bardziej niesprawna decyzyjnie, przynajmniej w tych obszarach, które z uwagą śledzę. Jedyną siłą sprawczą w każdej zawiłej sprawie są po prostu interesy tego, kto więcej zapłaci, jak np. producenci nawozów, którzy zarobili na nas grubo więcej (korzystając przy tym z publicznej pomocy), niż wynosił chwilowy skok cen gazu, albo producenci glifosatu, diablo skutecznego herbicydu, z którego już się nigdy nie wypłączemy, bo właśnie klepnięto jego dopuszczenie na kolejne 10 lat. Zmiany przepisów mające poluzować zabobonne, przestarzałe zakazy manipulacji genetycznych tak, by dopuścić nowe techniki tworzenia roślin dostosowanych do zmiennego klimatu – utknęły w ruchomych piaskach niemożności. Ale za to prezydencja hiszpańska kończy właśnie swoje półrocze ładnym sukcesem: udało się uzgodnić aktualizację tzw. dyrektyw śniadaniowych.

Pewnie nawet nie wiedzieliście, że wasze śniadanie ma ścisłe ramy prawne. O ile jadacie rogaliki z dżemem i pijacie soki, bo to głównie ich dotyczą rzeczone przepisy (moje śniadanie to jajka na bekonie z fasolką – wskutek brexitu znalazłem się w próżni legislacyjnej). Oprócz epokowej decyzji, by dopuścić do użytku słowo „marmolada" obok „dżemu", urzędnicy unijni wreszcie narzucą obowiązek podawania krajów pochodzenia miodu w mieszankach (stanowią one lwią część masowego rynku). Okaże się wtedy, że ten tani, zbyt tani, w dużej mierze pochodzi z Chin, a nie z Ukrainy. Dotąd często bywało, że nasi ukraińscy bracia, od których oficjalnie importowaliśmy miód, działali jako punkt przerzutowy dla chińskiego syropu udającego miód.

Mity o czystości krwi są trującą faszystowską brednią, jednak może w czystość wielokwiatu i spadziowego warto wierzyć, skoro przynajmniej do tego jeszcze wydajemy się jako Europa zdolni. Nie istnieje coś takiego, jak prawdziwy miód za piętnaście złotych za litr. Pamiętajcie o tym, kupując składniki na ostatnie pierniczki. ©℗

Jeśli zaś już wam się znudziło robić pierniczki, a z innych wypieków zostało kurze białko, możecie jeszcze zrobić „pocałunki damy", czyli baci di dama – piemonckie niby-makaroniki, tyle że z mielonych orzechów laskowych.

HUSNIYYA / ADOBE STOCK

150 g miękkiego masła ucieramy ze 150 g cukru na gładką masę. Dodajemy stopniowo 150 g mąki z orzechów, potem jedno małe białko (ok. 30 g) i na koniec 150 g mąki pszennej. Krótko mieszamy, aż wyjdzie jednolita masa, chłodzimy ją w lodówce przez godzinę. Wałkujemy na grubość 1 cm, wycinamy kawałki, z których w dłoniach toczymy małe kulki. Kładziemy je, lekko spłaszczając od spodu, na blachę wyłożoną papierem do pieczenia. Pieczemy w 180 stopniach 12-15 min., aż się ozłocą. Tak uzyskane połówki możemy „skleić" stopioną czekoladą. Można też zastąpić mąkę z orzechów laskowych mąką migdałową.

ADOBE STOCK

ZMYSŁY

LECZ MNIE, PIERNIKU

ALEKSANDER K. SMAKOSZ, FARMACEUTA I POPULARYZATOR:

Ten wypiek do XX wieku był medykamentem. A pomarańcza nabita goździkami miała chronić przed dżumą. W świecie przypraw spotykają się farmacja, medycyna, gastronomia i kultura.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI: Zacznijmy w Kukanii. To kraina obfitości i lenistwa ze średniowiecznej legendy, w której centrum miało rosnąć drzewo z korzeniami z imbiru, pędami z kurkumy, kwiatami z gałek muszkatołowych, korą z cynamonu, a owocami z goździków, rodzące też pieprz. Dlaczego jej sercem i osią jest właśnie taka roślina?

ALEKSANDER K. SMAKOSZ: W głębokim średniowieczu, gdy powstała opowieść o Kukanii, te przyprawy były potwornie drogie. Za kilkaset gramów można było kupić spore stado zwierząt. Po drugie, istniało wtedy wiele opowieści o mitologicznych źródłach przypraw, wierzono m.in. właśnie w takie drzewa przyprawowe. Po trzecie, handlarze przyprawami – korzennicy, farmaceuci, aptekarze – często ukrywali ich pochodzenie. Tajemnicą branży było, gdzie je kupują i za ile, żeby zachować dla siebie jak największy kawałek tortu.

Utajnianie pochodzenia przypraw miewało charakter niemal geopolityczny – handlarze z Bliskiego Wschodu utrzymywali przed starożytnymi Rzymianami, że dalekowschodnie w istocie przyprawy pochodzą z ich regionu.

Bo kto miał dostęp do przypraw, kto znał ich tajemnice, ten miał dostęp do niewyobrażalnej władzy i pieniędzy. Kiedy Goci napadli na Rzym, jako okupu zażądali m.in. pieprzu. Starożytny Rzym stał pieprzem, handel tą przyprawą bardzo się tam rozwinął około I wieku. Może nie każdego było nań stać na co dzień, ale w zasadzie każdy wolny człowiek mógł sobie od czasu do czasu na pieprz pozwolić.

Przyprawy korzenne mają sens symboliczny – konotują bogactwo, pochodzą z innego świata, niosą niespotykane aromaty – ale też praktyczny, bo większość z nich jest farmakologicznie aktywna. W swojej książce pisze Pan, że używane były do przyprawiania, leczenia i… balsamowania zwłok. Widać tu sens symboliczny, bo towarzyszą człowiekowi w drodze między światami, a zarazem praktyczny, bo są np. bakteriobójcze i zapobiegają rozkładowi.

Da się powiedzieć, który z tych sensów sprawił, że ludzie sięgnęli po przyprawy?

Kilka lat temu ukazała się analiza, której autorzy próbowali udowodnić, że przypraw używamy nieprzypadkowo, że ma to wytłumaczenie ewolucyjne. Pierwotni ludzie, może już wręcz hominidzi, musieli zauważyć, że rodziny, które spożywają pewne rośliny, rzadziej chorują.

Mówimy tu nie tylko o rosnących na subkontynencie indyjskim pieprzach i cynamonie, które rzeczywiście wykazują bardzo silne działanie przeciwbakteryjne, ale też roślinach europejskich: jedno ze znalezisk sprzed 8 tys. lat p.n.e. pokazało, że prehistoryczni Europejczycy do przyprawiania mięsa używali, można powiedzieć, musztardy – nasion rośliny z rodzaju *Alliaria*, czyli czosnaczku.

Odkrywaliśmy działanie roślin metodą prób i błędów?

Niekoniecznie. Po pierwsze, wiele roślin czy ziół wpływa na organizm, ale odkrycie działania tych, które nie mają specyficznego zapachu czy smaku, musiało być zdecydowanie trudniejsze i zaszło raczej przypadkiem. Gdy zaś chodzi o rośliny wytwarzające lotne związki organiczne, co daje im specyficzny zapach i smak, łatwiej zrozumieć, jak ludzie wpadli na pomysł, żeby je stosować – kulinarnie czy leczniczo. Co więcej, często przyprawy wywołują pieczenie błon śluzowych, jamy ustnej czy zauważalne zaczerwienienie skóry. Pomagało to zauważyć ich szczególne działanie. Bo w wielu przypadkach przyprawy wywołują nie smak, lecz ból – np. obecna w chili kapsaicyna łączy z receptorem waniloidowym, który jest receptorem bólowym.

Po drugie, już w starożytności przeprowadzano eksperymenty. Mitrydates VI Eupator, na wpół legendarny król Pontu z I wieku p.n.e., największy ówcześnie wróg Rzymu, miał prowadzić coś na kształt badań klinicznych – na więźniach. Podawał im różne dawki trucizny, żeby sprawdzić, jaka jest toksyczna, jaka terapeutyczna, a jaka nieszkodliwa. Wszystko po to, żeby samemu codziennie pić napój złożony z różnych trucizn, ale w nietoksycznych dawkach, i się na nie uodporniać. Gdy został schwytany przez Rzymian, chciał się otruć, ale trucizna nie zadziałała, przebił się więc mieczem. Rzymianie przejęli jego receptury i opracowali złożony z kilkudziesięciu składników, także przypraw, lek o nazwie *mithridatum*. Wytwarzano go w aptekach właściwie do końca XIX wieku. Uważany był za panaceum – na dżumę, zatrucia, na wszystko.

W starożytności działanie ziół i przypraw obserwowali Galen, Dioskurydes, Pliniusz Starszy, Celsus. Wiedza ta była rozwijana przez Arabów i w końcu rozeszła się po świecie. Renesansowe zielniki stanowią dziś czasem dowód naukowy na bezpieczeństwo stosowania niektórych surowców. Odwołuje się do nich niekiedy Europejska Agencja Leków – żeby zaznaczyć, że dany środek jest stosowany w Europie od dawna i jego profil bezpieczeństwa jest w miarę znany.

Do dziś medycyna korzysta z wielu związków, które pierwotnie izolowano z przypraw. Najbardziej oczywistym przykładem jest eugenol, główna molekuła zawarta w goździkach i w zielu angielskim. Wykorzystuje się go w tymczasowych uzupełnieniach zębów. Z kolei maści czy żele na reumatyzm często zawierają kapsaicynę, czyli ekstrakt z chili. W płynach do płukania ust i środkach dezynfekcyjnych znajdziemy tymol pochodzący z macierzanki czy oregano. Nie mówiąc o wszędobylskim mentolu.

Ale w świecie przednowoczesnym, gdy obowiązywała teoria humoralna, równocześnie ze składnikami działającymi prozdrowotnie korzystano w leczeniu ze składników czysto symbolicznych, a medycznie wręcz szkodliwych: ludzkich szczątków, ekskrementów...

Szczyt mody na tego rodzaju składniki w medycynie przypada na renesans. Proszę zobaczyć, jak mogła tu przebiegać ewolucja myśli: skoro człowiek jest istotą doskonałą, lepszą niż inne byty, to i wszelkie medykamenty pochodzące z jego ciała muszą być najlepsze.

Stąd wykorzystywanie czaszki ludzkiej, mumii czy tłuszczu, nie mówiąc o moczu, kale, mleku kobiecym i włosach. Skądinąd mamy tu paradoks, bo z jednej strony za rzecz normalną uważano leki z surowców pochodzenia ludzkiego, a z drugiej strony bardzo niechętnie podchodzono do sekcji zwłok. Żeby uczyć się anatomii, lekarze musieli korzystać z usług złodziei zwłok.

Wyposażonych w ocet siedmiu złodziei.

Zgadza się. *Acetum aromaticum*, ocet siedmiu – lub czterech – złodziei, był kompozycją olejków eterycznych z przypraw, która miała chronić przed zatruciem i zarazą.

Wróćmy do klimatów bardziej świątecznych. Przyprawom, które lubimy w zimie, przypisujemy działanie rozgrzewające. Nawet w medycynie humoralnej określano je jako „gorące". Popijamy herbatę z imbirem, cynamonem i goździkami. Skąd ten efekt?

Wiele przypraw wywołuje przekrwienie skóry i błon śluzowych, rzeczywiście krew szybciej płynie. Niektóre – w cudzysłowie – „rozrzedzają" krew, stąd obserwujemy efekt rozgrzewający. Ich nazwa w medycynie humoralnej mówi sama za siebie. Dodajmy, że przyprawy stosowano nawet w środkach na dżumę.

Gdzie dżuma, a gdzie święta?

A jednak: zna pan zwyczaj nabijania na święta pomarańczy goździkami?

Jasne.

W języku angielskim taki wyrób nazywa się *pomander*, z francuskiego *pomme d'ambre*, jabłko ambrowe. A *pomander* był pierwotnie środkiem prewencji dżumy. Miał formę żywiczno-przyprawowej kulki, którą umieszczano w naszyjnikach, kosztownych obudowach czy różańcach. Z pomanderem przedstawiani byli Elżbieta I czy Zygmunt I August.

Skądinąd amator alchemii. Ale co łączy żywiczną kulkę z pomarańczą?

Z czasem wyrób ten się rozwijał, w XV wieku brytyjski kardynał Thomas Wolsey zamiast żywicznej kulki zaczął używać pomarańczy sewilskiej, w której umieszczona była gąbka nasączona octem czterech – czy siedmiu – złodziei. W XVI wieku finansista Thomas Gresham, ten od prawa Kopernika-Greshama, wypełnił pomarańcze goździkami, a w wieku XVII ↦

↦ pisarz i pamiętnikarz John Evelyn nosił już pomarańczę nakłutą goździkami.

Oczywiście, w tamtych czasach niewiele osób mogło sobie na to pozwolić, bo goździki były jedną z najdroższych przypraw obok szafranu, kardamonu, później też wanilii. Spłacano nimi Kościołowi raty nieruchomości. W Polsce kary nierzadko płaciło się w pieprzu.

Jeśli przyprawy i święta, to piernik. Powinniśmy go dziś nazywać „żywnością funkcjonalną"?

Za takową uważano go od zawsze, dlatego informacje o piernikach znajdujemy często w dziełach farmaceutycznych ubiegłych epok. Do XX wieku był to całkiem popularny medykament, czytamy o nim w katalogach wystaw farmaceutyczno-medyczno-przyrodniczych na terenach Polski z przełomu XIX i XX wieku. W piernikach umieszczano leki, używano ich więc jako *corrigens*, czyli substancję stosowaną do poprawy smaku i zapachu leku. Ale cofnijmy się bardziej: w 1725 roku ukazuje się na Jasnej Górze drukiem „Compendium Medicum Auctum", poradnik medyczny zawierający opisy lekarstw i metod terapeutycznych najważniejszych lekarzy działających wówczas na ziemiach polskich. W tym właśnie dziele zanotowany został najstarszy przepis na piernik toruński. Co ciekawe, nie zawiera on pieprzu czarnego, lecz pieprz kubeba.

O którym chyba już dzisiaj nikt nie pamięta, prawda?

To rzeczywiście mało dziś znany gatunek pieprzu, zresztą dość drogi. Nie jest szczególnie pyszny, ale moim zdaniem zyskuje jako składnik mieszanek pieprzy. Za to np. na przełomie XVIII i XIX wieku był właściwie najważniejszym gatunkiem pieprzu stosowanym w lecznictwie. Mikołaj Rej napisał fraszkę pt. „Co to Kubeby", obfitującą w charakterystyczny dlań skatologiczny humor.

„Są pecki, co na dupnych górach wyrastają, / Na włosianych szypułkach, a kostek nie mają. / A gdy którą rozgryźniesz..." – hmm, resztę, drodzy Czytelnicy, wyguglajcie sobie sami.

Widać w tej fraszce właściwie wszystko, co dotyczy historii przypraw: mitologizację, niezrozumienie ich pochodzenia, właściwości, ale też to, jak były istotne, skoro pieprzowi kubeba swe dzieło poświęcił sam Rej.

Wróćmy jednak do piernika: mamy w nim pieprz kubeba, ale też oczywiście inne przyprawy, np. biedrzeniec anyż czy kardamon. W tym samym dziele znajduje się przepis na pierniki norymberskie. W przeciwieństwie do toruńskich robiło się je z mąki pszennej, nie z żytniej, a zamiast pieprzu czarnego i pieprzu kubeba stosowano pieprz długi, *Piper longum*. Z kolei na Wyspach Brytyjskich w XVII-XVIII wieku pierników w ogóle nie pieczono, tylko łączono mąkę albo okruszki chleba z miodem i z przyprawami, a następnie suszono. Jak się można domyślić, nie służyły do normalnego jedzenia, tylko właśnie jako nośnik dla medykamentu, którym były przyprawy o właściwościach przeciwbakteryjnych, przeciwzapalnych, rozgrzewających.

I co leczono piernikami? Zdaje się, że nie tylko przeziębienia.

Z pierników tworzono też leki na biegunki. W „Compendium Medicum Auctum" opisano lek na biegunkę obozową, zawierający różne składniki zielarskie, m.in. korzeń pięciornika, ale także właśnie pierniki. Pięciornik, działając ściągająco na błonę śluzową jelit, powstrzymuje przenikanie do nich wody, składniki piernika działają zaś przeciwzapalnie i przeciwbakteryjne.

Wiele przypraw wywołuje przekrwienie skóry i błon śluzowych, rzeczywiście krew szybciej płynie. Niektóre „rozrzedzają" krew, **stąd obserwujemy efekt rozgrzewający.**

Ale pierniki stosowano też zewnętrznie. Robiono z nich środki na rany, maści, a także środki mające chronić przed poronieniem. Najczęściej łączono piernik z miodem i innymi składnikami, i tym pokrywano drogi rodne kobiety.

Skoro tylko dawka czyni truciznę, to czy ze świątecznymi przyprawami można przesadzić?

Tak, weźmy choćby cynamon. Otóż większość dostępnego w sklepach cynamonu to kasja, czyli cynamon chiński. W jego korze znajduje się wielokrotnie więcej kumaryn niż w cyna-

ADOBE STOCK

monie cejlońskim, który zawiera ich właściwie homeopatyczne ilości. Kumaryny spożywane w nadmiarze działają toksycznie na wątrobę i nerki, choć nie znalazłem nigdzie informacji, by ktoś umarł z przedawkowania cynamonu. Dawniej cynamonu kasja używano do konserwacji zwłok i wytwarzania medykamentów, a w kuchni stosowano głównie cynamon cejloński. Obecnie ze względu na cenę to się zmieniło.

ARCHIWUM PRYWATNE

ALEKSANDER K. SMAKOSZ jest farmaceutą, popularyzatorem historii farmacji i kulinariów, etnobotaniki i wiedzy o przyprawach. Doktorant na Uniwersytecie Medycznym we Wrocławiu, autor książek, m.in. „Historii naturalnej przypraw" (2022), założyciel i redaktor naczelny wydawnictwa Pharmacopola, kolekcjoner fiolek aptekarskich (dwie z nich na zdjęciach). Profile w mediach społecznościowych: alexander_gulosus na Instagramie i Dr Gulosus na Facebooku.

Cynamon to bodaj najważniejsza ze świąteczno-zimowych przypraw. Co dobrego nam robi? Oprócz oczywiście dostarczania rozkosznie słodkiego aromatu.

Ma bardzo silne działanie przeciwzapalne, przeciwbakteryjne, ale też – jak dowodzą badania na szczurach – przeciwbólowe. Poza tym, mimo paradoksalnie słodkiego smaku, może obniżać poziom glukozy we krwi oraz hamować rozwój wrzodów żołądka. Efektów wywołuje całkiem sporo, choć oczywiście większość z nich została dopiero wykazana *in vitro* i na zwierzętach.

Wróćmy do goździków, składnika klasycznej mieszanki piernikowej. Czy jest jakiś farmakochemiczny powód, dla którego tak dobrze się komponują z jabłkami, gruszkami, śliwkami i cytrusami, czy to tylko kwestia skojarzenia i gustu?

Innymi słowy: dlaczego coś do siebie pasuje? Jest na ten temat wiele teorii. Jedną z nich jest teoria molekularna, według której pasują do siebie składniki zawierające molekuły o podobnej strukturze, przez co podobnie się przyłączają do naszych receptorów.

Niektórzy szefowie kuchni – molekularnej – komponują swoje dzieła analizując skład chemiczny składników i dostosowując je do siebie.

Może tak właśnie działa sama mieszanka piernikowa?

Pytanie, czy jej składniki naprawdę do siebie pasują, czy po prostu w dawnych czasach brano wszystko, co tylko aromatyczne, łączono i stosowano na różne choroby. Bo piernik, poza wszystkim, miał być towarem drogim, luksusowym, elitarnym. Uważano, że im droższy surowiec, tym silniej działa. Nierzadko pierniki pokrywano złotem – co zresztą dość typowe dla dawnej farmacji i medycyny. Jak na ironię, leki pokryte złotem czy srebrem w ogóle się nie wchłaniały w żołądku ani jelitach. Za to ładnie wyglądały.

Bo kto bogatemu zabroni...

À propos: jakiś czas temu znalazłem ciekawą recepturę z połowy XVI wieku na proszek do leczenia syfilisu. Składał się z cynamonu, anyżu, goździków i pieprzu czarnego, wszystko w równej ilości. Wypisz, wymaluj mieszanka do piernika. Znowu przenika się świat farmacji, medycyny, gastronomii i kultury.

W mieszance piernikowej mamy jeszcze kardamon, imbir, gałkę muszkatołową, anyż. Któraś z tych przypraw jest szczególnie warta uwagi?

Wszystkie! Ale weźmy anyż. Bo co właściwie mamy na myśli, mówiąc „anyż"? Z reguły myślimy o anyżu gwiazdkowym, z owoców *Illicium verum*. Ale w dawnej Europie chodziłoby o wspomniany biedrzeniec anyż, *Pimpinella anisum*. To całkowicie inne rośliny, i choć obie zawierają anetol dający anyżowy aromat, to jednak nie są spokrewnione. Obie mają za to ciekawe właściwości. Np. z anyżu gwiazdkowego po dziś dzień izoluje się kwas szikimowy, z którego produkuje się lek na grypę, oseltamiwir. Gdy kilka lat temu wybuchła epidemia ptasiej i świńskiej grypy, na całym świecie skończył się anyż gwiazdkowy. Anetol z kolei jest stosowany przez zorganizowane grupy przestępcze do produkcji pochodnej amfetaminy. I nierzadko bierze się właśnie z anyżu.

I jeszcze kardamon. O jaki kardamon nam właściwie chodzi? Bo może to być kilka gatunków. Jest oczywiście kardamon zielony, najpopularniejszy, ale mamy też kardamon czarny, indyjski, nepalski, a także chiński i jeszcze kilkanaście innych. Wiele z nich to zupełnie odmienne gatunki, a nawet rodzaje botaniczne, ale wszystkie należą do rodziny imbirowatych. I uwaga: jedną z głównych molekuł aromatycznych kardamonu jest 1,8-cyneol, którego bardziej znana nazwa to eukaliptol. To ta sama molekuła, która zawarta jest w liściach eukaliptusa i, co ciekawe, w rozmarynie. Znów: inne rośliny, inne gatunki, ta sama cząsteczka, podobny aromat. I działanie, bo 1,8-cyneol wykazuje m.in. działanie przeciwzapalne. Dlatego kardamony stosowano dosyć powszechnie na choroby układu oddechowego, astmę, zapalenia i infekcje.

Czas więc zapytać o sam fenomen zapachu i aromatu. I kucharz, i farmaceuta są trochę jak perfumiarz, który musi rozpoznać paletę, składowe zapachu: wonie cytrusowe, trawiaste, eukaliptusowe, karmelowe, smoliste... Czy w ten sposób rozpoznajemy w różnych składnikach tożsame molekuły, które tak samo oddziałują na nerw węchowy? Nos nam pomaga czy nas zwodzi?

↦

ADOBE STOCK

To nie takie proste. Weźmy karwon, cząsteczkę aromatyczną zawartą w kminku. Występuje ona w dwóch lustrzanych formach geometrycznych, tzw. enancjomerach. Jedna odmiana karwonu pachnie jak kminek, druga pachnie miętą zieloną. Ta sama chemicznie cząsteczka ze względu na różnicę struktury będzie wywoływać kompletnie inny profil zapachowy. Podobnie jest z limonenem, który w pomarańczach czy grejpfrutach pachnie intensywnie owocowo, a w cytrynie może przywoływać skojarzenie z terpentyną.

Z drugiej strony cząsteczki całkowicie odmienne mogą wywoływać ten sam efekt zapachowy. Np. i wanilina, zawarta w owocach wanilii, i wspomniana kumaryna pachną waniliowo. Badania wskazują, że obie przyłączają się do tego samego receptora mimo całkowicie innej struktury geometrycznej i chemicznej.

Farmaceutę w święta interesują też zapewne mak, migdały, grzyby, wanilia, cytrusy, szafran... A choinka?

W XV wieku istniała w Polsce tradycja, by przed obiadem iść do apteki. Po dwie rzeczy: **żeby zjeść piernik i żeby się napić wina aromatycznego.**

Jej najważniejszymi molekułami są oczywiście pineny, dające ów leśny zapach, który dobrze się nam kojarzy, uspokaja. Ale w żywicy roślin iglastych pojawia się też limonen, występujący także w skórkach pomarańczy i cytryny. Może dlatego cytrusy tak pasują nam do świąt.

No to zaszalejmy i zastanówmy się, jak można by sobie jeszcze święta olfaktorycznie urozmaicić i podkręcić, wyjść poza żelazny zestaw aromatów korzennych i cytrusowych. Czegoś Panu w świątecznej palecie brakuje? Ja pomyślałem o maśle szałwiowym do pierogów, jak do ravioli, żeby skontrastować ich słodkawy smak...

A ja często jem pierogi posypane tymiankiem. Pochodzę z okolic Częstochowy, gdzie zauważyłem, że pierogi przyprawia się tymiankiem. To całkiem smaczne.

I bardzo świąteczne, bo suszony tymianek niesie aromaty sianka!

Co pomaga słodko-gorzkim smakom kapusty. Sposób percepcji smaku gorzkiego i słodkiego jest bardzo podobny, więc często są dosyć wymienne, a tu w słodkich ramach pojawia się ziołowa, aromatyczna goryczka. Tymianek, który sam w sobie działa przeciwzapalnie i nieco znieczulająco, fajnie modyfikuje jednolitą słodycz kapusty i ciasta. Taki patent z Konopisk pod Częstochową.

Idźmy dalej: korzenne przyprawy to smaki dalekowschodnie, tymczasem opowieść bożonarodzeniowa toczy się na Bliskim Wschodzie. Dlatego w święta brakuje mi tamtych kompozycji aromatów.

A gdyby zamiast kminku do kapusty czy grzybów użyć kuminu? Albo do past i gęstych sałatek, które nieco kojarzą się z humusem?

Tam z kolei, gdzie pojawia się cytryna, warto zadbać też o pieprz. To połączenie bardzo często pojawia się w historii kulinariów, co ma uzasadnienie ewolucyjne i naukowe: składniki pieprzu działają lepiej w niskim pH wywołanym przez kwas cytrynowy.

A co do ryb? Kiedyś w Polsce bardzo chętnie przyprawiano je szafranem, ale też goździkami.

Do ryby bardzo pasowałby sos szafranowy z cytryną i pieprzem. Ale może by je podać z sosem piernikowym, znanym ze staropolskich ksiąg kucharskich, albo z posypką piernikową?

Kiedyś w Krakowie anioła morskiego w posypce piernikowej podawał szef Adam Chrząstowski i było to wybitne. Na koniec poproszę o receptę, bo w święta, jak to w święta, objemy się nieprzytomnie. Jak podratować brzuchy i wątroby?

W XV wieku istniała w Polsce tradycja, by przed obiadem iść do apteki. Po dwie rzeczy: żeby zjeść piernik i żeby się napić wina aromatycznego. Te dwa produkty dość długo stosowano jako aperitif – wzmianki o chadzaniu do apteki na takiego drinka pojawiają się jeszcze w połowie XIX wieku. Znów pokazuje to, że przyprawy mają własności tak aromatyczne, jak i terapeutyczne. Trudno to rozdzielić. Mądrość przodków idzie w parze z mądrością farmaceutów.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ KUŹMIŃSKI

NIE DO WIARY

Nowe, podwójne wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego” już w sprzedaży.

Więcej informacji: tygodnikpowszechny.pl/kimjestjezus

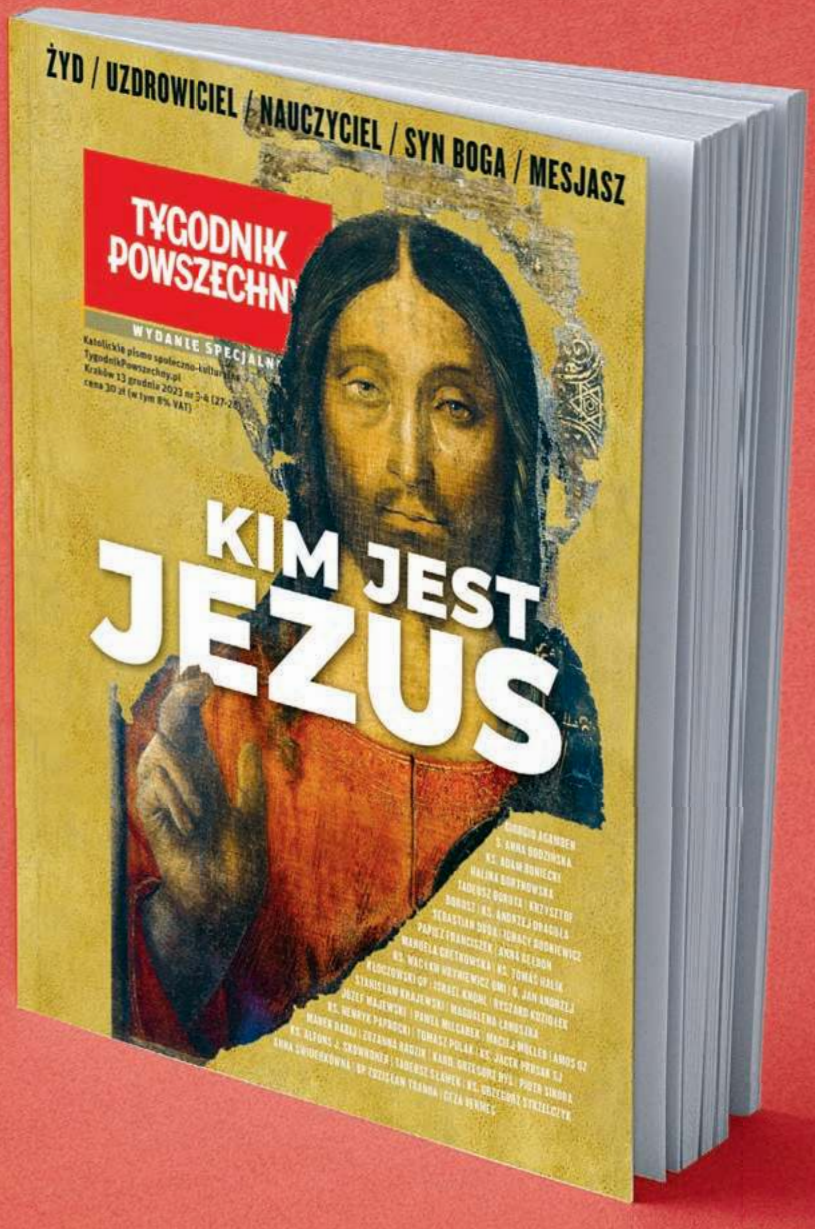

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WSPÓŁWYDAWCA:

Fundacja Tygodnika Powszechnego

PARTNERZY WYDANIA:

Kraków

Sopot

ERGO HESTIA

STANISŁAW

Mancewicz:
Ciężkie czasy

Narasta panika. Obawy, że zaraz będzie przeraźliwie nudno, dotykają już niemal każdego obywatela. Oto rząd Donalda Tuska to synonim ciepłej wody i nudy. Wszystko to wraca. Jest jednak gorzej niż kiedyś, bo woda ma być ponoć jeszcze cieplejsza, a nuda nudniejsza. Jej podkute buty coraz głośniej rżną w bruk. Tup, tup! – niesie się po ulicach miast polskich, małych i dużych, po korytarzach urzędów, po duktach leśnych i po placach niedokończonych budów.

Najtęższe głowy w kraju próbują znaleźć jakieś praktyczne i roztropne rozwiązanie, żeby nie było nudno, bo nuda zabija. Padł kapitalny pomysł, by oddać pisowcom choćby jeden kanał telewizji publicznej. Może dadzą radę, może udźwigną, może przedmuchają płożącą się mgłę nudziarstwa, może schłodzą wodę pod natryskami kraju tego, nie tylko bowiem z powodu dziury ozonowej jej temperatura się niefajnie podnosi, uniemożliwiając morsowanie. Pomysłodawca sprezentowania b. Gospodarzowi telewizji został zakrzyczany i spostponowany. Po wielokroć obrażony. Jak zwykle w Polsce – lekkomyślnie i bezmyślnie.

Za ciepła woda, za nudno... Rozpacz ogarnia coraz szersze kręgi komentatorów polskich czujących koniec ery kamienia łupanego i nadejście ery kamienia gładzonego. A gładzenie – każdy to przyzna – nie wydaje się tak atrakcyjne, tak spektakularne, jak łupanie. Myślimy podobnie, chleb bowiem, który jemy, kupowaliśmy za pieniądze przez ostatnie lata zdobywane łatwo. Był to żer na łatwiźnie, na osobliwościach umysłów takich dla przykładu osób ludzkich jak: P. Gliński, R. Terlecki, J. Kowalski, M. Błaszczak, K. Pawłowicz, J. Gowin i wielu, wielu innych. Odebranie im możliwości występów, zdjęcie z wizji i fonii, zepchnięcie do małych salek, niszowych kanałów, na peryferyjne scenki, na karty rozdzierających powieści B. Wildsteina, to uderzenie w istotę rozrywki, którą rozwinęli przez ostatnich wiele lat. Szkoda by było potencjału, ale też – przyzna to każdy – brutalny odwyk od ich repertuarów będzie bardzo bolesny.

Oczywiście zostaje nam parlament polski. A właściwie transmisje jego posiedzeń. Jak czytamy, popularność tych spektakli przewyższa oglądalność obrad wszystkich razem wziętych parlamentów na planecie Ziemia. Ba! Wszystkich innych parlamentów pracujących przy Drodze Mlecznej. Owszem, pękamy z zadowolenia, bo wreszcie, rzec to trzeba, kraj nasz jest w awangardzie świata, jeśli idzie o kreacje w rozrywce. Grube misie od Hollywood po Bollywood zbaraniały, gały im wypadły z orbit, a cygara z ust. Jest to największe BUM! od czasu „Big Brothera" i innych tego typu spektakli transmitowanych bezwstydnie i na żywca.

Poniekąd ma rację b. Gospodarz, jeden z głównych aktorów tych *shows*, nawiasem nazywanych przezeń cyrkiem, że jest to szokująca nowinka w branży. Zaiste, za jego władztwa obrady parlamentu polskiego prowadzone przez R. Terleckiego bądź E. Witek były na jedno kopyto, a poziom wyrażania myśli przez tę parę charakterystycznych aktorów mógł zadowolić tylko najmniej wymagające warstwy społeczeństwa. Oczywiście, niekończące się powtarzanie głosowań, gdy ich wyniki nie spełniały oczekiwań władzy, było ciekawostką i ewenementem, ale rzec trzeba, że to spowszedniało i nikogo już nie obchodziło. Słowem, obrady poprzedniego parlamentu polskiego uderzały monotonią i biedą intelektualną, co widać dopiero dziś.

A więc duma, ale też wątpliwości. Nasuwa nam się pesymistyczna myśl, że potencjału może nie wystarczyć na długo. Że braki możliwości technicznych jednak zahamują rozwój branży. Na razie, bo jakoś nie słychać, by trwały prace koncepcyjne, jak by tu podwiesić w sali plenarnej trapez bądź – dajmy na to – obręcze, bądź grilla. Mogliby się na nich bujać, wykonywać spektakularne ewolucje i dawać się opiekać choćby ci posłowie, którzy są słabsi w buzi, w grepsach, bon motach, powiedzonkach, odzywkach i tzw. zaoraniach. Dzięki tej infrastrukturze mieliby okazję do zaistnienia, do pokazania swym wyborcom, że pracują. Ale to przyszłość, w dodatku niepewna. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

Pomagam.pl

Pomagam.pl to serwis, który umożliwia każdemu stworzenie własnej internetowej zbiórki pieniędzy i zebranie funduszy na realizację marzeń.

Tym marzeniem może być projekt społeczny, kulturalny lub biznesowy, ale również pokrycie kosztów leczenia, opieka nad pupilem czy wsparcie bliskich w trudnych chwilach. Założenie zbiórki jest całkowicie darmowe i trwa kilka chwil.

Zbieraj na to, co ważne

dla *siebie*, swoich *bliskich* i na inicjatywy bliskie *Twojemu sercu.*

Potrzebna pilna operacja! Pomóż ratować Jasia

Leczenie mojego ukochanego Azora

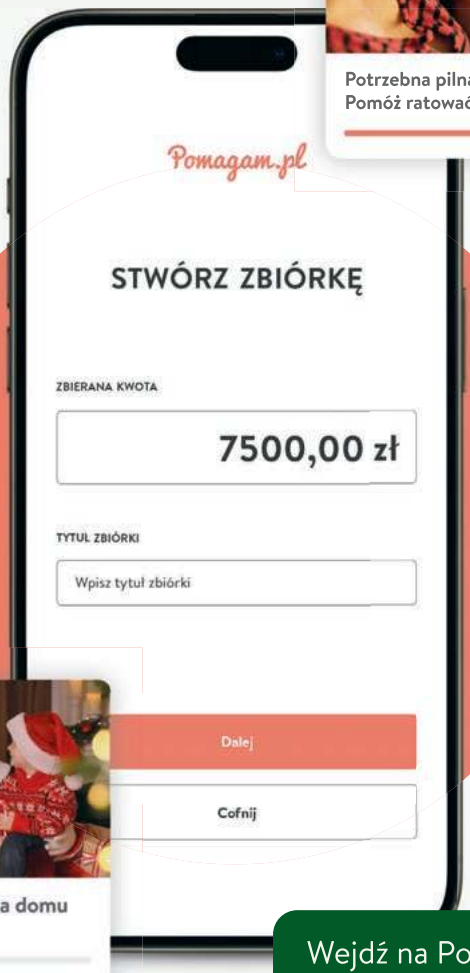

Świąteczna paczka dla seniora

Zostań Mikołajem dla domu dziecka

Wejdź na Pomagam.pl i sprawdź, jak to działa!

REKLAMA

Potrzebujesz wsparcia lub masz pytania? Możesz na nas liczyć. Napisz mailowo na adres kontakt@pomagam.pl lub skontaktuj się telefonicznie 22 602 27 37. **Jesteśmy po to, by pomagać!**

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

2024 ROK JUBILEUSZOWY

Ilustracja: Patryk Hardziej

REKLAMA

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

Iceland Liechtenstein Norway grants

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

WOJEWÓDZTWO ŚWIĘTOKRZYSKIE

Wspólnie działamy na rzecz Europy zielonej, konkurencyjnej i sprzyjającej integracji społecznej.

Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach jest jednostką organizacyjną Samorządu Województwa Świętokrzyskiego współprowadzoną przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

WWW.TEATRZEROMSKIEGO.PL